

7-23494/6
POEZJA
PROZA
ESEJE

(1978)
ZAPIS

Nr 6 kwiecień 1978

numer
przygotowali:

Jerzy ANDRZEJEWSKI
Stanisław BARAŃCZAK
Jacek BOCHEŃSKI
Tomasz BUREK
Jakub KARPIŃSKI
Adam MICHNIK
Kazimierz ORŁOŚ
Barbara TORUŃCZYK
Wiktor WOROSZYLSKI
Adam ZAGAJEWSKI

NIEZALEŻNA
OFICyna
WYDAWNICZA



71013

Z A P I S nr 6

Poezja - proza - eseje - kronika

ZAPIS nr 6 przygotowali: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak,
Jacek Bocheński, Tomasz Rurek, Jakub Karpiński, Adam Michnik,
Kazimierz Orłoś, Barbara Toruńczyk, Wiktor Woronczyński, i Adam Za-
gajewski.

Kwiecień 1970

4
będą się rozszerzać - tak jak rozszerzają się od czasu Halsinek - ale nie w tym stopniu, aby zaważyły istotnie na układzie sił /najkorzystniejsze warunki dla rozwoju opozycji istnieją w Polsce/. Nie można również liczyć na gwałtowne przemiany w którymś z krajów komunistycznych /w stylu pras-kiej wiosny/.

Perspektywa światowego kryzysu.

W rozpatrywanym okresie światowa sytuacja gospodarcza będzie chyba w znacznym stopniu stabilna. Natomiast po roku 1984 zeczną narastać zjawiska związane z kryzysem światowym, przewidywanym w I i II Raporcie dla Klubu Rzymskiego /2,3/. We świecie zeczną brakować energii, surowców, żywności. Z pewnością wystąpią ostre konflikty polityczne i społeczne w wielu krajach, oraz konflikty pomiędzy państwami. Sytuacja światowa straci charakter stabilny. Najistotniejsze jest, jak ułożą się wówczas stosunki pomiędzy Rosją a Zachodem - czy będzie rozwijać się współpraca, czy też dojdzie do zaostrzenia konfrontacji. Oczywiście nie można przewidzieć, jak rozwinie się wtedy sytuacja światowa. Podstawowym warunkiem umożliwiającym "przewidywanie" przyszłości jest względna stabilność wchodzących w grę czynników - gdyż można wówczas ekstrapolować obecne tendencje, zakładając, że otrzyma się stan najbardziej prawdopodobny.

Polska jest w dużym stopniu narażona na skutki kryzysu. Przyczyniła się do tego między innymi krótkowzroczna i bezplanowa polityka gospodarcza ekipy Gierka. Rozwijane były energochłonne, surowcchłonne i wodochłonne gałęzie przemysłu. Zakupywano licencje nieco tańsze, ale o wiele bardziej energochłonne. Rozwinięto motoryzację.

Ropę naftową kupujemy głównie od Rosji, która około 1985 roku stanie się z eksportera Importerem energii. Wydobycie węgla jesteśmy w stanie zwiększyć w niedużym stopniu. Jesteśmy najbardziej zacofani wśród europejskich krajów komunistycznych w zakresie energetyki jądrowej.

Nie uzdrowiono sytuacji w rolnictwie; wprost przeciwnie - spowodowano ostry kryzys mięsny przez wadliwą strukturę cen i kolejny raz zawiedziono zaufanie rolników, nie dotrzymując warunków kontraktacji. Fatalny stan rolnictwa będzie nas drogo kosztował w przypadku kryzysu żywnościowego.

Zanieczyszczenie środowiska staje się u nas większe, niż w najbardziej uprzemysłowionych krajach zachodnich, ponieważ nikt temu nie przeciwdziała.

Kryzys światowy będzie dla Polski szczególnie groźny ze względu na nasz system polityczny i gospodarczy, oraz na postawę społeczeństwa. Nasz system gospodarczy jest w wysokim stopniu nieefektywny. Uniemożliwia racjonalne i sprawne gospodarowanie. W naszych warunkach politycznych kluczowe decyzje gospodarcze są podejmowane przez ludzi niefachowych i pod naciskiem rozmaitych grup interesów. Przy pozorach systemu planowego gospodarka rozwija się w sposób w istocie bezplanowy, bez przemysłowych długofalowych koncepcji. Ten system gospodarczy, który nie zdał egzaminu w warunkach dobrej koniunktury i spokoju gospodarczego na świecie, szczególnie ostro zareaguje na kryzys światowy.

Na kryzys ekonomiczny nie jest również przygotowane nasze społeczeństwo. Nie jest ono świadomym, odpowiedzialnym podmiotem - zdolnym do cierpliwości, do ograniczeń i samowyrzeczeń. Nie są takimi obecnie społeczeństwa demokratyczne. Włoch, Anglii, jak wlec można oczekiwać tego po społeczeństwie państwie totalitarnego. A z drugiej strony społeczeństwo nasze nie przejawia takiej cierpliwości, pokory i strachu, jak społeczeństwa innych krajów komunistycznych. Gdy przyjdzie kryzys, mogący spowodować znaczne obniżenie stopy życiowej, społeczeństwo polskie przerzuci całą winę na rządzących i na system - tym bardziej, że winą ich jest rzeczywiście olbrzymie. Zareaguje rozprężeniem lub nowym wybuchem gniewu - tak jak w roku 1976.

Nie sposób oczywiście przewidywać, co kryzys światowy przyniesie Polsce. Nie wiadomo, czy spowoduje dalszą erozję lub rozpad obecnego systemu, czy też wprost przeciwnie - umocnienie "rządu silnej ręki", zniszczenie opozycji. Pewne jest, że kryzys ten niesie groźbę zarówno dla władzy, jak i dla opozycji i społeczeństwa. I dlatego tak bardzo jest ważna, co opozy-

Wiktor Woroszyński

X X X

W kamieniejącym grzęzawisku
naszej powszedniej głuchej wojny
w tym koczowisku w tym uścisku -
nigdy nie byłem taki wolny

Pod tą powierzchnią rozbejtaną
gdzie podły prąd i płaz podwodny
z rozdartą wargą stoną raną -
nigdy nie byłem taki wolny

Za ciemnej gwiazdy poruszeniem
wbity na gwizd na gwóźdź potworny
Z tym poniżeniem porażeniem -
nigdy nie byłem taki wolny

Gdzie skrzypi tramwajowa pętla
gdzie bitysk i zamach niezawodny
w pułapce zmurzonego piękna -
nigdy nie byłem taki wolny

Bo wszystko w wolność się zamienia
gdy zniewolenia pełna miara:
ciężki dech ziemi krzyk kamienia
i ta zapluta lawą sara

I krępebrny obrót słonecznika
i czujny sen i strzép natchnienia
to - przestrzeń z klucza się odmyka
to - wszystko w wolność się zamienia

I spod powłoki spod zaćmienia
życie swą jasną twarz wychylił
bo wszystko w wolność się zamienia
czego dotkniemy w takiej chwili

Wiktor Woroszyński

S P I S T R E Ś Ć I

Wiktor Woroszyński: x x x / W kamieniejącym grzęzawisku/	1
Marek Turbacz: Polska - rok 1984	2
Lothar Harbst: Z listów w sprawie włary i nadziei	15
Stefan Kisielewski: Po 10 latach /O marcu 1968/	16
Jerzy Ficowski: Nowe wiersze	19
Andrzej Drzewicz: Nasze Biennale	25
Andrzej Drzewicz: Z nami jest ten, kto...	29
Głosy znad Wławy:	33
Ludvik Vaculik: Proszę przekazać panu doktorowi praw h.c.	34
Zdeněk Mlýně: O donosicielstwie, szantażu oraz innych motywach nadchodzącej wiosny	36
Ludvik Vaculik: Śmiertelna choroba	38
Jiří Boreš: Wławy pogrzeb	40
Ludvik Vaculik: Pogrzeb rzecznika	42
Anka Kowalska: Rozmowy z braćmi/wławsz/	45
Zyta Oryszyn: Czarna iluminacja //fragmenty powieści/	48
Piotr Wierzbicki: Dwa rozdziały z powieści "Cyrek"	
XX. Listy do Ropuchy	56
XXI. Pisarz ileo przemawia na sympozjum "Artyzm-Humanizm-Pokój"	63
Wanda Chylicka: Assyryjski eksperyment	71
Tadeusz Korzeniewski: Dlaczego napisałem "W Polsce"	74
Jen Prokop: Polska zniwiedzona albo lodowiec z gówna	80
Ignacy Matuszewski: Zniesienie cenzury a literatura piękna	84
Stanisław Hartman: Przedmowa do Słownika Racjonalnego	86
Władysław Bieńkowski: Filozofie dziejów e teorie społeczne/2/	90
Stanisław Barańczak: Summa Czesława Miłosza	98
Leszek Szeruga: Sztuczne oddychanie	106
G.S.: O "Ewolucji czy rewolucji" Marka Tarniewskiego	112
Stanisław Varelki: Wława, poniewierka i gorycz	119
Kazimierz Orłowski: Świadectwo mimo woli	122
Jan Walc: Być docentem, sekretarzem i poetą...	124
Kronika	
Oświata niezależna	127
Episkopat Polski o krępowaniu kultury	128
Solidarność	129
Właczór "Zapisu" u Walendowskich	129
Protesty Instytucji społecznych przeciw cenzurze	130
Prymas Polski o cenzurze	131
A cenzura swoje	131
Wybory delegatów na zjazd ZLP	132
Sprawy wewnętrzne Związku Literatów - pod ochroną cenzury	133
Z policyjnego punktu widzenia	133
Historia cichociemnych zakazane	134
Represyjne zwolnienia z pracy	134
Wymuszone zakończenie cennej działalności	134
Spotkanie z poezją w Klubie Inteligencji Katolickiej	135
Właczory literackie w całej Polsce	135
Drugi numer "Pulsu"	135
Bardzo dobre "Spotkania"	135
Również Iwaszkiewicz przeciw przechrzczeniu Młodości na Walterow	136
Znowu "zapłuty karzeł reakcji" ?	136
Likwidacja zespołu filmowego	137
Śmierć studenta" na taśmie filmowej	137
Kto nie'zastużył na nagrodę	137
Kto zastużył na nagrodę	137
Działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej trwa	138
"Nierzeczywistość" w Paryżu	138
"Sztuczne oddychanie" z ilustracjami Lebensteina	138
"Kontynent" o "Zapisie"	138
Ekspozycja polska z Wenecji "Fasada i tyty" wędruje po świecie	139
Z ostatniej chwili: przebieg zjazdu literatów w Katowicach	139
Noty o autorach	142

cja osiągnięć w okresie, jaki nam do tego kryzysu pozostaje.

Władze.

Uważam, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że polityka władz w Polsce nie zmieni się istotnie w rozpatrywanym okresie. Bardzo mało jest prawdopodobne, że dojdzie do "dużej odwilży" - daleko idącej liberalizacji, a tym bardziej do strukturalnych zmian systemu. Niezbyt prawdopodobne, ale bardziej niż odwilż/ jest "mocne przykucie śruby".

Polityka ekipy Gierka jest z zasadzie zgodna z jej interesami, polegającymi przede wszystkim na utrzymaniu się przy władzy. Jest ona jednak sprzeczna z interesami narodu polskiego.

Polityka ta jest także sprzeczna z długofalowymi interesami systemu komunistycznego w Polsce. Aby ten system stał się bardziej stabilny/ miał większą szansę długotrwałego istnienia/, musi stać się bardziej akceptowalny dla polskiego społeczeństwa, musi zdobyć szersze poparcie.

Aby zapewnić sobie neutralność, czy wręcz poparcie, większości społeczeństwa, władze musiałyby osiągnąć następujące cele:

- stały wzrost stopy życiowej
- zaspokojenie potrzeb rynkowych, gdy chodzi o mięso i artykuły przemysłowe
- zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych
- stworzenie robotnikom lepszych warunków pracy
- zapewnienie swobodnego rozwoju indywidualnych gospodarstw rolnych
- zapewnienie sobie neutralności Kościoła

oraz unikać posunięć drażniących uczucia Polaków/takich, jak zdjęcie "Dziadów" czy zmiany w Konstytucji/. Sytuację taką próbował stworzyć Gierek. Doświadczenie wykazywało jednak, że nie jest możliwe w Polsce osiągnięcie tych celów bez wprowadzenia głębszych zmian, nie tylko gospodarczych, ale i politycznych - bez stworzenia pewnego zakresu społecznej kontroli nad wszystkimi szczeblami aparatu władzy. Dla zwiększenia stabilności systemu jest więc potrzebna nie tylko reforma gospodarcza, ale i kontrolowana odwilż polityczna - demokracja, zwiększenie wolności słowa, stworzenie autentycznego samorządu robotniczego. Możliwe jest niewątpliwie dokonanie pewnych zmian, pewnych ustępstw wobec społeczeństwa bez naruszenia systemu monopartyjnego i bez naruszenia rosyjskiej dominacji. Odwilż taka miała miejsce w Rosji po śmierci Stalina, w Polsce w 1956 roku i w mniejszym stopniu w roku 1971. Przemiany z roku 1956 w Rosji i w Polsce, częściowo cofnięte, ale częściowo mające charakter trwały, były bardzo korzystne ze względu na stabilność systemu - właśnie dzięki zapewnieniu mu szerszej akceptacji /czy choćby neutralności/ ze strony społeczeństwa.

W obecnej sytuacji władzom grozi wybuch kolejnego buntu robotniczego; opozycja zaś może wzrastać w siłę i może liczyć na milczące poparcie większości społeczeństwa. System jest w znacznej mierze stabilizowany z zewnątrz - groźbą rosyjskiej interwencji. Wspomnienie Węgier i Czechosłowacji ogranicza rozwój tendencji liberalnych w partii i odstrasza ludzi od angażowania się w działalność opozycyjną; tworzy atmosferę beznadziejności. Gdyby groźba ta znikła, system komunistyczny w Polsce załamałby się najprawdopodobniej. Sytuacja ta jest dogodna dla Rosji, ponieważ niezależnie od niej władze polskie. Jest niekorzystna dla systemu komunistycznego w Polsce, ale jest korzystna dla trwałości rosyjskiego imperium.

Ekipa Gierka z pewnością nie przystąpi do przeprowadzenia odwilży ze względów pryncypialnych - dla dobre narodu czy systemu. Gierek, nie będąc "zamordystą", nie jest także "liberałem". Przeprowadzenie większej odwilży "nie optała mu się" z punktu widzenia jego interesów /utrzymanie się przy władzy i wzmocnienie swej pozycji/ - nie jest mu bezpośrednio potrzebna, niesie zbyt wielkie ryzyko i wymaga zbyt wielkiego wysiłku. Odwilży nie zaakceptowałaby prawdopodobnie Rosja. To, że Rosja zezwala na stan obecny, nie oznacza, że będzie chciała zezwolić na więcej - Polska nie może różnić się w zbyt wielkim stopniu od reszty krajów komunistycz-

POLSKA - ROK 1984

Wstęp

Chcę podjąć się ryzykownego zadania - próby oceny, jak może rozwinąć się sytuacja w Polsce w bliskim czasie. Artykuł ten jest w pewnym stopniu kontynuacją mego poprzedniego tekstu/1/.

O przyszłości dobrze jest myśleć metodą "scenariuszy" - analizowania wchodzących w grę czynników, różnych możliwości rozwoju sytuacji, szacowania ich prawdopodobieństw - i wyciągania wniosków. Tego rodzaju "przewidywanie" przyszłości ma z założenia ograniczoną wartość. Zbyt wiele występuje czynników nawzajem od siebie zależnych, których działania nie sposób jednoznacznie przewidzieć. Nie można dokładnie przewidzieć historii. A jednak analiza taka ma pewną wartość. Umożliwia bowiem uznanie pewnych sytuacji za bardzo mało prawdopodobne, pozwala czasem z grubszą określić ramy, w jakich może zawrzeć się przyszłość, czy też przedstawić kilka prawdopodobnych, choć różnych, wariantów przyszłości.

Rozważaniami swymi obejmę okres do roku 1984 - stynnej daty Orwella i Amalrika. W przeciwieństwie do Amalrika przewiduję, że w tym okresie sytuacja światowa będzie w znacznym stopniu stabilna, co umożliwiła stabilnie prognoz naszej sytuacji wewnętrznej.

Zasadniczą tezę mojego artykułu jest twierdzenie, że najprawdopodobniej Polska roku 1984 nie będzie zasadniczo różniła się od dzisiejszej - że istnieje niewielka szansa, aby doszło w tym okresie do głębokich przemian struktury i praktyki politycznej systemu. Jednak opozycja może próbować poprzez swoje działania zmienić choć w pewnym stopniu tę praktykę. Istnieją ramy, poza które nie uda się wyjść, ale mamy pewien wpływ na to, czy w tych ramach rzeczywistość będzie jaśniejsza, czy ciemniejsza.

Ostatnie lata...

Lata 1976-77 były kolejnym przełomem w dziejach PRL - być może najważniejszym z dotychczasowych. U źródeł tego przełomu leżały: narastające niezlicznie opozycyjnie "nastawionej inteligencji", wywołane cofaniem się "małej odwilży" początku lat siedemdziesiątych /sprawa zmian w Konstytucji posłużyła jako detonator/, bunt robotniczy w czerwcu 1976 roku i wstrząs, jaki wywołały represje wobec robotników.

Po zlikwidowaniu antykomunistycznego podziemia działającego po wojnie i po zdławieniu jawnej opozycji /PSL/ przeważająca większość przeciwników systemu doszła do wniosku, że nie jest możliwe obalenie tego systemu od wewnątrz. Uznano, że wyzwolenie Polski spod rosyjskiej dominacji i obalenie rządów komunistycznych może nastąpić tylko jako skutek militarnego pokonania Rosji przez Zachód. Możliwość taka istniała rzeczywiście - dopóki Rosja nie posiadała dostatecznej ilości broni nuklearnej, aby konflikt zbrojny oznaczał klęskę dla obu stron. Zachód jednak nie chciał tej wojny.

Rok 1956 przyniósł znaczne złagodzenie sytuacji i stworzył nadzieję na wewnętrzną przemianę systemu komunistycznego. Wierzono w odrzucenie błędów i "wypaczeń", w liberalizację systemu pod wpływem konieczności ekonomicznych, w zwycięstwo liberalnej frakcji, itp. Od 1957 roku przez cały czas występowały sporadyczne akty oporu i protestu /mającego przeważnie charakter apelu do dobrej woli władz/. W społeczeństwie dominowała jednak postawa BIERNA. Postawa ta przyczyniła się istotnie do tego, że naród nie utrzymał zdobyczy z lat 1956-57 i 1970-71. Zryw 1956 roku, 1968 roku, 1970 roku i 1976 roku nie mogły zastąpić trwałego nacisku na władzę, jaki jest konieczny.

Lata 1976-77 przyniosły rozpowszechnienie się postawy "czynnej", postawy trwałego oporu, stwarzania faktów wbrew władzom /takich jak KOR, ruch wydawniczy, SKS-y/ - a nie apelowania do dobrej woli i rozsądku władz. Przyniosły świadomość, że jest możliwa zmiana tej rzeczywistości pod wpływem działań od wewnątrz, że działanie takie jest konieczne - że będziemy musieli żyć w tej rzeczywistości, o ile nie wywalczymy sobie jej zmiany. Postawą taką przyjmuje obecnie aktywna opozycja, stanowiąca bardzo nie-

wielką część społeczeństwa. Losy tego systemu i losy Polski zależą w znacznym stopniu od tego, czy ta postawa rozpowszechni się szerzej.

..Istotne czynniki..

Na sytuację w Polsce wpływają następujące zasadnicze czynniki zewnętrzne:

1. Postawa Rosji wobec Polski; sytuacja w Rosji
2. Postawa krajów Zachodu
3. Sytuacja w pozostałych europejskich państwach komunistycznych
4. Światowa sytuacja gospodarcza
- 1 następujące czynniki wewnętrzne:
5. Postawa rządzących Polską
6. Postawa społeczeństwa polskiego
7. Polska sytuacja gospodarcza
8. Postawa Kościoła
9. Działalność opozycji

..Czynniki zewnętrzne..

Nie mogę tutaj poświęcić zbyt wiele miejsca czynnikom zewnętrznym. Zamierzam zająć się nimi szerzej w innych tekstach. Tutaj przedstawię tylko zasadnicze konkluzje, nie podając ich uzasadnienia.

Uważam, że jest niewielkie szanse, aby w rozpatrywanym okresie czynniki zewnętrzne zmieniły zasadniczo naszą sytuację.

Od roku 1984 nie powinny zejść większe zmiany w stosunkach Wschód - Zachód, to znaczy powinna się utrzymać polityka umiarkowanego odprężania. Odejście od niej nie leży ani w interesie Rosji, ani państw zachodnich. Od czasów rosyjskiej wojny domowej /1918-20/ demokracje zachodnie pozostały wobec Rosji stroną defensywną i nie ma powodu, aby miało to się zmienić. Polityka odprężenia odpowiada zachodnim społeczeństwom. Interesy Rosji jako mocarstwa również wymagają kontynuowania dotychczasowej polityki. Zaostrzenie konfrontacji Wschód - Zachód nie może jej przynieść żadnych korzyści. Odbiłoby się natomiast fatalnie na sytuacji gospodarczej Rosji i państw satelitarnych /odcięcie handlu, technologii i kredytów/, co absolutnie nie leży w interesie rosyjskich przywódców. Ponieważ rosyjskim przywódcom zależy na odprężeniu, więc prawdopodobnie nie będą oni razie próbowali radykalnie zniszczyć ruchu opozycyjnego w Rosji i w państwach satelitarnych. Próba taka wymagałaby znacznego nasilenia terroru, co zraziłoby zachodnią opinię publiczną i musiałoby istotnie odbić się na odprężaniu.

Należy więc oczekiwać, że w rozpatrywanym okresie Rosja nie będzie dążyć do nasilenia konfrontacji Wschód - Zachód i nie będzie naciskać na polskich przywódców, aby radykalnie zdławili istniejącą opozycję. Sytuacja ta mogłaby się jednak zmienić w przypadku dojścia do głosu po upadku czy śmierci Breżniewa frakcji stawiającej na terror w imię swej postawy czy swoich interesów, a wbrew interesom Rosji jako mocarstwa.

Istotną zmianę systemu rosyjskiego w okresie do roku 1984 uważam za wykluczoną. Zbyt wielka jest bowiem bierność i zniewolenie rosyjskiego społeczeństwa. Rosja pozostanie czynnikiem uniemożliwiającym zmianę systemu politycznego w Polsce.

Opozycja polska nie może liczyć na większą pomoc państw Zachodu - na tzw. politykę Cartera. Możliwości takiej pomocy są ograniczone, a Zachód nie wykorzystuje w pełni i tych możliwości, które istnieją. Istotne jest jednak, że przywódcy komunistyczni muszą się liczyć ze względów gospodarczych z zachodnią opinią publiczną. Utrudnia to im bardzo zastosowanie ostrego terroru przeciwko opozycji.

Opozycja polska nie może również oczekiwać gwałtownego wzrostu ruchów opozycyjnych w innych krajach komunistycznych. Ruchy te prawdopodobnie

nych. Przeciwno odwilży byłaby również znaczna część aparatu partyjnego, gdyż odwilż musiałaby przynieść ograniczenie jego władzy. W wyniku odwilży ekipa Gierka musiałaby zapawnie rozliczyć się ze swych win - błędów gospodarczych, zmarnowania kredytów, poczarcowych represji, nieumierłowanego czarpania korzyści materialnych ze swych stanowisk. Próbując przeprowadzić dalej idącą odwilż Gierek ryzykowałby więc, że zostanie odsunięty od władzy.

Ekipa Gierka rządzi na zasadzie "po nas choćby potop". Jeśli nawet komunistyczni przywódcy zdeją sobie sprawę z nienawisli, jaką większość społeczeństwa darzy ich i ten system, to i tak nie wpływa to istotnie i trwale na ich politykę. Zbyt mała jest szansa, aby musieli ze swa postępowania zapłacić inaczej, niż samym odsunięciem od władzy.

"Przykręcenie śruby" byłoby również ryzykowne dla ekipy Gierka. Poruszyłoby to w dużym stopniu zachodnią opinię - wciąż jeszcze dość przychylną dla Gierka. Gierkowi i jego ekipie zależy na prestiżu w oczach Zachodu i na akceptacji przez zachodnią opinię publiczną. Akceptacja ta jest im potrzebna, ponieważ umocni ich pozycję polityczną (wizyta u Papieża, wizyta Cartera), a przede wszystkim jest potrzebna ze względów ekonomicznych. Kompromitacja w oczach zachodniej opinii groziłaby Gierkowi utratą wszelkiej pomocy gospodarczej i represjami ekonomicznymi, co przy obecnej zależności Polski od Zachodu mogłoby spowodować kolejny kryzys. Kryzys taki groziłby kolejnym buntom robotniczym, który prawie napewno spowodowałby odsunięcie Gierka od władzy.

"Przykręcenie śruby" za rządów Gierka jest jednak możliwe, o ile w efekcie walk frakcyjnych wzmochnęłyby się znacznie wpływy kierunku nacjonalistyczno-represyjnego. /Również część represji może być wynikiem nieodgórnej polityki, ale oddolnej inicjatywy organów represyjnych. "Góra" - opierająca się na aparacie represyjnym - w pewnych sytuacjach może nie czuć się na siłach, aby powstrzymać takie akcje, choćby były one sprzeczne z jej polityką i interesami./ Do wprowadzenia terroru może także dojść, jeśli rosyjscy przywódcy postawiliby na terror.

Układ sił frakcyjnych w partii wydaje się dość stabilny. Pozycja Gierka i sił konserwatywnych - odpowiedzialnych za dotychczasową politykę - jest mocna. Odejście Gierka od władzy w rozpatrywanym okresie jest niezbyt prawdopodobne, o ile nie dojdzie do nowego buntu robotniczego. /Złoty w władzy w państwach komunistycznych są zjawiskiem rzadkim/. Buntu tego ekipa Gierka boi się i stara się go uniknąć nie przeprowadzając jawnej i jednorazowej podwyżki cen żywności. Upadek Gierka prawdopodobnie niewiele zmieniłby obecną sytuację; a jeśli zmieniłby, to raczej w kierunku niekorzystnym.

Następca Gierka mógłby przeprowadzić "małą odwilż" - tak, jak Gierek w roku 1971. "Duża odwilż" jest bardzo mało prawdopodobna. To, że miała ona miejsce w roku 1956, było spowodowane tym, że równocześnie głębokie zmiany zachodziły w Rosji; walką dwóch frakcji, która odwoływała się do poparcia społeczeństwa 4/, oraz znacznie większym napięciem społecznym niż obecnie.

Większość partyjnych nie jest zadowolona z obecnej sytuacji - tak jak reszta społeczeństwa. Ale masę partyjną - przyzwyczajoną do postulatów i konformizmu - jeszcze nigdy w historii krajów komunistycznych nie wystąpiły pierwsze. W przypadku, gdyby istniała u góry silna frakcja "liberalna" lub stawiająca na liberalizm /to znaczy dążąca do przeprowadzenie odwilży/, i gdyby rozpoczęła ona ofensywę, wówczas mogłaby napewno liczyć na znaczne poparcie wśród szeregowych członków partii. Obecnie tendencja liberalna w partii znajduje bardzo słaby wyraz 5/ i jest mało prawdopodobna, aby powstał w partii liczący się ruch, dążący do liberalizacji i odnowy. Wrogość w stosunku do postaw liberalnych jest jedną z zasadniczych cech sowieckiego komunizmu. Prawie zawsze według "linii partyjnej" dążenia liberalne stanowią zagrożenie - przychodziły od strony wroga zewnętrznego czy wewnętrznego /"rewizjonistów". Jak to już zazaczyłem, przeciwna liberalizacji jest Rosja i znaczna część aparatu partyjnego. W tej sytuacji działacze zajmujący postawę liberalną ponoszą duże ryzyko - bardzo łatwo mogą przegrać. Mechanizmy działające w partii prawie nieumożliwiają dochodzenie do wyższych szczebli ludziom skłonny do bez-

Interesownych działań.

Znacznie aktywniejszy od nurtu "liberalnego" jest kierunek nacjonalistyczno-represyjny. Ma on poparcie w aparacie, policji i wojsku. Mogłoby za triumfować po upadku Gierka i dążyć do przeprowadzenia "normalizacji" w Polsce w stylu czechosłowackim. Ludziom tym znacznie bardziej zależałoby na zdławieniu opozycji i wprowadzeniu "rządów silnej ręki", niż na opinii zachodniej i na gospodarce.

Z punktu widzenia interesów Gierka błędna była polityka prowadzona wobec opozycji od czerwca 1976 do lipca 1977 roku. Zbyt mało wiemy, aby powiedzieć, w jakiej mierze ponosi winę Gierek, a w jakiej mierze była ona wynikiem działania jakichś sił frakcyjnych w partii i w policji. Pozasądowe represje /tortury, bicie, wyrzucanie z pracy/, zastosowane wobec zbuntowanych robotników, i tak nie były wystarczające, aby zapobiec kolejnemu wybuchowi - trzeba by do tego terroru o znacznie większym natężeniu. Ukarać nie w drodze prawnej uczestników /rzeczywistych lub rzekomych/ zajęć w Radomiu i Ursusie było konieczne z punktu widzenia rządzących - każdy system musi się bronić przed użyciem przeciwko niemu siły. Ale w sytuacji kiedy rzecz nabrała rozgłosu światowego, kiedy powstał ruch obrony robotników i nie dał się szybko stłumić przez policyjne szykany /znowu zbyt słabe/, jedynym rozsądnym wyjściem była całkowita amnestia. Gierek w końcu zdecydował się na nią, co dobrze o nim świadczy jako o polityku. Zrobił to jednak o wiele za późno, co pozwoliło na rozrośnięcie się i okrzepnięcie ruchu opozycyjnego. Amnestia była bowiem jedynym wyjściem - zdławienie opozycji terrorem nie było możliwe ze względu na sytuację gospodarczą i napięcie polityczne w kraju, sytuację międzynarodową /odpreżenie, Belgrad/ i na ekonomiczną zależność od Zachodu. W rezultacie Gierek dokonał niezbędnej "mątej odwilży" /amnestia, dialog z Kościołem, "manewr gospodarczy", pozostawienie opozycji we względnie spokoju/, osłagając pewne specyfikowanie nastrojów społecznych. Nie opłacałoby mu się jednak, jak już powiedziałam, posuwać dalej na tę drogę.

Władze mogą obecnie zostawić opozycję w spokoju, ponieważ istnienie jej nie zagraża im bezpośrednio - groźniejsza mogłaby się okazać próba jej likwidacji. Istnienie opozycji zagraża długofalowo systemowi, podważa podstawowe zasady totalitaryzmu - ale to ma dla władz drugorzędne znaczenie. /Znaczenie pierwszorzędne mają ich aktualne interesy, wymagające unikania dodatkowych napięć i liczenia się z zachodnią opinią w trudnej sytuacji gospodarczej i społecznej/.

Obecnie władze stosują wobec opozycji inteligentną taktykę. Policja zbiera informacje, aby być gotowa na wszelki wypadek, stara się zniszczyć baze poligraficzną, przeszkadza w działalności Towarzystwa Kursów Naukowych na prowincji i utrzymuje pewien - stosunkowo niewysoki - poziom represji /tych rozmiarów, aby nie wywołać poruszenia, a jednocześnie aby zachować pewną barierę strachu, ograniczającą rozszerzanie się opozycji/.

Spółeczeństwo.

Nie można oczekiwać, aby w ciągu rozpatrywanego okresu zmieniła się radykalnie postawa społeczeństwa polskiego - aby przystąpiło ono na szerszą skalę do aktywnego oporu przeciwko komunistycznemu totalitaryzmowi. Proces przemiany świadomości i postaw społeczeństwa jest procesem długotrwałym. Pokolenia obecnie czynne są ukształtowane w sposób dosyć trwały przez dotychczasowy stan rzeczy.

W warunkach komunistycznego totalitaryzmu władza rządząca przeciwko społeczeństwu wywodzi się z niego, ze wszystkich grup społecznych. Na tym polega wspaniały /z punktu widzenia trwałości i skuteczności dyktatury/ wyważenie ogólnonarodowej partii totalitarnej. Jest to jedna z przyczyn atomizacji społeczeństwa i stwarza dla Polaków sytuację nową i trudniejszą niż podczas zaborów i okupacji niemieckiej, gdy istniała narodowa solidarność wobec wroga.

W skład postawy narodu polskiego wchodzi patriotyzm i nawyk oporu przeciwko obcej dominacji. Wchodzi do niej również - wywodzące się z czasów "złotej wolności" szlacheckie i z czasów zaborów - "niepokorność" wobec

władzy i przywiązanie do wolności /tym na ogół Polacy różnią się od Rosjan/. Natomiast w przeciętnej świadomości Polaków nie jest żywe poczucie politycznych praw człowieka, nie są obecne kompleksy zachowań i pojęć związanych z demokracją, samorządnością, tolerancją /to nas różni od Amerykanów, Anglików czy Norwegów, a częściowo upodabnia do Rosjan/. Wolność jest przez Polaków rozumiana zwykle jako wolność od narzucanych ograniczeń, a nie jako korzystanie z przysługujących praw. Jest to skutkiem długotrwałego pozbawienia narodu polskiego demokracji i wolności politycznej /od końca XVIII wieku, oprócz krótkiego i trudnego okresu lat 1918-26/. Tradycja demokracji szlacheckiej odgrywa wyjątkową rolę w sferze mitu; nie stanowi źródła aktualnych postaw. Demokracja szlachecka uległa zwyrodnieniu, przybierając karykaturalne formy /liberum veto, drastyczne osłabienie władzy wykonawczej/, co stało się jedną z głównych przyczyn upadku Polski. Natomiast w XIX i XX wieku, kiedy w Europie zachodził proces emancypacji mas ludowych - kształtowania się nowoczesnych narodów - Polska prawie nie znała demokracji. Fakt, że świadomości współczesnych Polaków znacznie bliższe są wartości patriotyczne, niż wartości demokracji, wolności politycznej i samorządności, jest bardzo istotny.

Istotnym czynnikiem, powodującym bierność społeczeństwa wobec totalitaryzmu, było to, że wskutek reformy rolnej i industrializacji zaszedł proces awansu społecznego i materialnego mas chłopskich. Stara klasa robotnicza, przyzwyczajona do walki o swe prawa, roztopiła się w tej napływającej masie. Większość inteligencji pochodzi "z awansu". Ludzie uczestniczący w procesie awansu społecznego nie są skłonni buntować się, ryzykować tego, co zdobyli. Masy ludowe w Polsce przeszły przez proces emancypacji politycznej w znacznie mniejszym stopniu, niż miało to miejsce na Zachodzie. Wciąż jeszcze dla znacznego ich procentu istotne są tylko sprawy bytowe, wolność religijna i niepodległość Polski /w tym znaczeniu, według którego obecnie Polska jest niepodległym państwem - własny rząd, język, wojsko, itd./.

W ostatnich latach mobilność społeczna w wielkiej mierze zanikła. Obecnie społeczeństwo polskie charakteryzuje się wyraźnymi podziałami społecznymi. Fakt ten przeniknął już do świadomości społecznej. Uatwia to i będzie uatwiać rozwój postaw opozycyjnych.

Badania Socjologiczne /6/ wykazują, że pokolenie urodzone w latach pięćdziesiątych nie jest skłonna do angażowania się w działania ogólnospołeczne; jest zwrócone ku celom indywidualnym. Jest to skutkiem dojrzewania w okresie "ciszy społecznej" - w okresie, gdy społeczeństwo nie miało wyrobionej postawy i systemu oporu przeciw totalitaryzmowi, gdy "zaangażowanie społeczne" oznaczało zaangażowanie się po stronie systemu. Badania te wykazały również, że dla tej młodzieży wielką wartość stanowi idea patriotyczna. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu postawa "niezaangażowania" jest niezmienna; czy zmieni ją działalność opozycji.

Zobaczmy, jakie będzie pokolenie przeżywające obecnie w szkołach - dorastające w atmosferze lat ostatnich i patrzące na zwycięstwa 1970, 1976 i 1977 roku.

W laskiej mierze dwa ostatnie lata - lata istnienia jawnej i otwartej opozycji - wpłynęły na świadomość polskiego społeczeństwa?

Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie. Większość społeczeństwa jest wrogo nastawiona wobec władzy, ale nadal pozostaje bierna. Trudno ocenić czegoś innego - nawiąki wielu lat nie mogą zniknąć nagle. Ale bierność społeczeństwa nie oznacza przecieży, że nie ma zmiany się w jego świadomości. Niewątpliwie przenikają do niej nowe wzorce zachowań, znikają strach, poczucie bezsilności i beznadziejności. Powszechna jest postawa przychylności wobec opozycji.

Przemiany świadomości i postaw społeczeństwa, niewidoczne w okresie spokoju, mogą przejawiać się w chwili "wstrząsu". Na przykład Studenckie Komitety Solidarności powstały w wyniku wstrząsu wywołanego śmiercią Stanisława Pyjasa/.

W warunkach dyktatury "ciszę społeczną" przerywa albo niezorganizowany wybuch, albo nieliczne jednostki - ze statystycznego "ogona". Jeśli uda im się wywalczyć drogę i jeśli wyrażają dążenia, sporej części społeczeństwa, to po pewnym czasie ruch zaczyna rozszerzać się lawinowo.

W rozpatrywanym okresie aktywna opozycja może kilkakrotnie powiększyć swą liczebność /pozostając wciąż wąską elitą/, o ile potrafi wykorzystać swe szanse, i o ile władza nie zastosuje ostrego terroru. Opozycja może znacznie rozszerzyć swe wpływy wśród inteligencji; może zdobyć szerokie oparcie wśród studentów /młodzi łatwiej angażują się w ruchy oporu/. Ogromne znaczenie posiada fakt, że ruch opozycyjny dociera do robotników i znajduje - słaby na razie - oddźwięk. Nie sądzę jednak, aby do roku 1984 rozwinął się szerzej opozycyjny ruch robotniczy, a tym bardziej - chłopski. Wymaga to chyba dłuższego czasu.

Jedną z największych win systemu i ludzi będących u władzy jest demoralizacja społeczeństwa. Przejawami jej są między innymi: rosnący alkoholizm, nawyk złej roboty, pobłażliwy stosunek do rozkradania własności publicznej, korupcja. Nawet jeśli by doszło do zmiany systemu, demoralizacja długo jeszcze pozostanie dla nas wielkim obciążeniem.

Sytuacja...gospodarcza

Nie ma szans na istotne polepszenie się naszej sytuacji gospodarczej. Należy wręcz oczekiwać pogarszania się sytuacji z powodu spłaty kredytów, pogarszania się struktury cen, nadmiaru pieniędzy na rynku, starzenia się licencji /ucierpi eksport/ i rosnącego niezadowolenia i demoralizacji ludności /obniżania wydajności i jakości pracy/.

Przy obecnej strukturze - nie zmieniając zasadniczo przez cały okres istnienia PRL - gospodarka ta nie może działać w sposób efektywny. W latach 1971-73 istniał ruch, dążący do dokonania reformy gospodarki i istniały ku temu realne możliwości. Ekipa Gierka miała spore poparcie społeczeństwa, miała kredyty zagraniczne - miała luz. Obecnie nikt

u góry nie myśli o głębszej reformie /5/, a przeprowadzenie reformy byłoby bardzo trudne. Nawet najlepsza reforma gospodarcza musi powodować przejściowe trudności, związane z przestawieniem się ludzi i struktur, oraz z nieuniknionymi kosztami eksperymentalnymi. Trudno więc jest dokonywać reformy w obecnej sytuacji ekonomicznej i społecznej. Gierek stracił poparcie społeczeństwa. Nie ma możliwości uzyskania poważniejszych kredytów przy obecnym zadłużeniu.

Bardzo istotne byłoby, gdyby przynajmniej konsekwentnie przeprowadzono obecny manewr gospodarczy - zahamowanie inwestycji. Trudno jednak na to liczyć, ponieważ w rozwoju inwestycji zainteresowane są rozmaite silne grupy nacisku, powiązane z aparatem władzy, czerpiące z nich swoje znaczenie. Manewr jest więc przeprowadzany nie dość radykalnie, w sposób niekonsekwentny i nieprzemyślany.

Gospodarka nasza będzie więc działała nadal w stary, fatalny sposób, obciążona stratą zmarnowanych kredytów. Unemożliwi to istotny wzrost stopy życiowej.

Tragiczna jest sytuacja rolnictwa. Władza nie chce zezwolić na powstawanie dużych gospodarstw chłopskich i nastawić się na rozwój indywidualnego rolnictwa /produkować odpowiednią maszyną rolniczą, na szeroką skalę sprzedawać chłopom ziemię/, a boi się i nie jest w stanie ze względu na koszty przeprowadzić pegeeryzacji wsi. Utrzymuje więc stan obecny - wieś rozdrobnioną, niezmehanizowaną, niewydajną.

W roku 1971 polska gospodarka stała na rozdrożu. Istniała możliwość dokonania głębokiej reformy, wybrania optymalnych kierunków rozwoju/ na przykład rozwinięcia przemysłów, pozwalających na optymalny eksport/, rozwinięcia rolnictwa i przebudowy wsi, trwałego znacznego podniesienia stopy życiowej.

Szansa ta została zmarnowana. Dokonane ogromne inwestycje nie poprawiły istotnie naszej sytuacji. Zdeteminowały nas natomiast w fatalny sposób w obliczu nadciągającego światowego kryzysu.

Kościół

Chrześcijaństwo jest bardzo ważnym źródłem wartości moralnych, źródłem nakazów walki o prawa człowieka, o sprawiedliwość, o lepszy ład społeczny. Może być istotnym czynnikiem kształtowania świadomości i postaw społeczeństwa - odgrywało tę rolę niejednokrotnie.

W dziejach swych Kościół Katolicki wielokrotnie występował i działał przeciwko temu, co określany dzisiaj jako "prawa człowieka". Łacijszacja państw w XIX i XX wieku uniemożliwiła Kościołowi postępowanie się siłą /77/. W samym Kościele nastąpiły również przemiany doktrynalne /zwłaszcza od czasu II Soboru Watykańskiego/, prowadzące do zaakceptowania większości elementów zawartych we współczesnej koncepcji praw człowieka.

Wielką szansą Kościoła we współczesnym świecie mogłoby być zaangażowanie się w najdonioślejsze kwestie moralne epoki - między innymi w walkę o prawa człowieka. Naturalnym jest, że dla Kościoła /rozumianego jako instytucja/ na pierwszym miejscu musi stać spełnianie funkcji religijnych, ale Kościół powinien również działać w imię wartości moralnych Ewangelii, w imię miłości bliźniego. Obecnie Kościół nie robi tego w takim stopniu, w jakim byłoby to możliwe. W polityce Kościoła zdecydowanie dominuje troska o możliwość swobody działania w sferze religii, swobody funkcjonowania i nauczania. W trosce o tę swobodę Kościół nie zabiera często głosu w sprawie ludzi zabijanych, torturowanych, zniewolonych - unika przeciwstawienia się władzy świeckiej. /Dotyczy to zwłaszcza polityk! Watykanu/. Za wszelką cenę broni się przed zejściem do katakumb, stawia na ilość, nie na jakość. W ostatnich czasach można zauważyć pewne przemiany w tej postawie /postawa części kleru w Ameryce Południowej/, ale jak dotąd nie zaszły one zbyt daleko.

Po wojnie Kościół polski twardo opierał się naciskowi władz, dążących do maksymalnego zredukowania jego wpływów i znaczenia. Udało mu się w znacznym stopniu utrzymać swe pozycje i pozostać bardzo istotnym czynnikiem, z którym władze obecnie muszą się liczyć i muszą iść na daleko idące kompromisy. Różni to zasadniczo sytuację polską od sytuacji w innych krajach komunistycznych. Ten opór Kościoła był bardzo ważnym czynnikiem kształtującym postawę społeczeństwa - uczącym go oporu przeciw totalitaryzmowi. Kościół polski stanowi zorganizowaną siłę, dysponującą szerokim poparciem i możliwością oddziaływania na duży procent społeczeństwa.

Kościół polski przede wszystkim broni swych praw i swego stanu posiadania. Ale Kościół również, szczególnie w ostatnim czasie zabiera głos w sprawach całego narodu, walcząc o prawa człowieka, występując przeciwko poszczególnym instytucjom /policja polityczna, cenzura/, praktykom i posunięciom państwa totalitarnego.

Możliwości Kościoła w zakresie obrony praw człowieka są spore. Nie można od niego wymagać, aby angażował się głębiej w działalność opozycyjną /gdyż cele jego są innej natury, a za przegraną mógłby zapłacić zbyt wielką cenę - znacznym ograniczeniem możliwości spełniania funkcji religijnych/. Ale może konsekwentnie piętnować zło, wychowywać wiernych, ostanąć katolicki ruch opozycyjny, a przede wszystkim przeciwstawiać się represjom wobec ludzi walczących o swe prawa - choćby za cenę ostrej konfrontacji z władzami. Może kształtować świadomość i postawę społeczeństwa w znacznie większym stopniu, niż to jest w stanie osiągnąć ruch opozycyjny.

Czy Kościół polski jest w stanie sprostać temu zadaniu?

Wielu spośród dzisiejszych opozycjonistów wywodzi się z klubów Intelligencji katolickiej i z duszpasterstw akademickich. Świadczy to najlepiej o roli, jaką może spełniać katolicyzm i niezależne katolickie ośrodki, kształtujące i wychowujące. Ośrodków tych jest jednak bardzo mało - znacznie mniej niż by być mogło. Kościół w Polsce w niewielkim stopniu nastawiał się dotąd na tego rodzaju działanie. Kościół ten ma charakter bardzo tradycyjny. Polski kler, pochodzący głównie ze wsi, jest konserwatywny. Brak mu kultury politycznej. Są księża działający nie stereotypowo, stający się ośrodkami życia duchowego, angażujący się w działalność opozycyjną, ale stanowią oni nieliczną - choć bardzo ważną - mniejszość. Ogranicza to w znacznym stopniu możliwości pracy wychowawczej Kościoła. Możliwe jest jednak w bliskim czasie rozszerzenie się młodzieżowego ruchu katolickiego i zmiana jego charakteru - znaczne rozszerzenie się funkcji pozareligijnych. Ruch ten mógłby stać się istotnym źródłem odnowy katolicyzmu polskiego.

Wiele zależy od tego, czy Kościół polski utrzyma i pogłębi swą politykę angażowania się w walkę o prawa całego narodu. Kościół nie jest w stanie zasadniczo zmieniać sytuacji/ na przykład wymusić obecnie zmiany strukturalne systemu/. Może jednak istotnie przyspieszyć bieg procesów, o które walczy opozycja, i może przeważać szalę w niejednej kwestii.

-Opozycja-

O zadaniach opozycji pisałem obszernie w poprzednim artykule /1/. Obecnie chciałbym zaktualizować i rozszerzyć niektóre z zawartych tam tez.

Przez dwa lata działalności opozycja osiągnęła bardzo dużo - tyle, ile to było możliwe.

Amnestia dla robotników z Radomia i Ursusa była w pierwszym rzędzie zasługą KOR-u. KOR stworzył system pomocy dla represjonowanych robotników. Istnienie Biura Interwencyjnego stwarza możliwość niesienia pewnej pomocy prześladowanym i możliwość skuteczniejszego informowania opinii publicznej o bezprawach popełnianych przez władze i policję.

Opozycja stworzyła niezależne od państwa, trwałe działające organizacje i ruchy społeczne. Stworzyła niezależny ruch wydawniczy. Stworzyła Towarzystwo Kursów Naukowych. Powstały ośrodki dyskusyjne, salony literackie i biblioteki społeczne.

Władze pogodziły się chwilowo z faktem jej istnienia, im dłużej będzie ona działać, im bardziej fakt jej istnienia utrwali się w świadomości władz, społeczeństwa i zachodniej opinii publicznej, tym trudniej będzie ją zlikwidować. Utrwała się nowe status quo - wciąż jeszcze bardzo chwiejne.

Uważam, że przed opozycją stoją następujące zasadnicze cele:

- 1/ Kształtowanie świadomości i postaw społeczeństwa
- 2/ Tworzenie nieoficjalnych struktur i więzi społecznych
- 3/ Tworzenie nieoficjalnej kultury, niezależnej myśli politycznej, społecznej i filozoficznej
- 4/ Tworzenie elit politycznych i kulturalnych
- 5/ Inicjowanie ewolucji praktyki politycznej i struktury systemu.

Wydaje się, że w okresie, który rozpatruję, możliwości realizacji ostatniego celu będą znikome. Nie można się spodziewać, że dojdzie do przemian strukturalnych systemu, czy nawet istotniejszych zmian praktyki politycznej. Nie ma bowiem szans, aby zaszyły zmiany w Rosji, które umożliwiłyby takie zmiany u nas, i nie będzie jeszcze możliwe w tym czasie stworzenie zorganizowanego nacisku społeczeństwa. Opozycja musi nastawić się na to, że jej działalność przyniesie ostateczne owoce w dalszej przyszłości./Nieodpowiedzialnym byłoby stawianie pełnej suwerenności czy demokracji parlamentarnej za cele osiągalne w bliskiej perspektywie. Utrudnia to zadanie opozycji, ponieważ kształtowanie świadomości i postawy społeczeństwa jest znacznie mniej atrakcyjnym hasłem, niż demokracja i suwerenność. Ludzie są gotowi poświęcać się dla wielkich haseł religijnych, narodowych czy społecznych i dla bliskich celów/.

Najistotniejszą zmianą praktyki społecznej systemu, jaką można wywal-

czyć w bliskim czasie, jest to mianowicie, że istnienie i działalność opozycji stanie się normalnym elementem sytuacji w Polsce, że władze pogodzą się trwale z jej istnieniem i prawie zupełnie zaprzestaną represji.

Cel - według mnie najważniejszy - jakim jest kształtowanie świadomości i postaw społeczeństwa, opozycja realizuje przede wszystkim przez sam fakt swego istnienia i działania, /Niezależna myśl polityczna i informacja mają znaczenie drugorzędne. Posiadają ograniczony zasięg. Natomiast o istnieniu i działaniu opozycji informowany jest przez zagraniczne radio znaczny procent społeczeństwa/. Opozycja stanowi wzorzec moralny aktywności, "niepokorności", odwagi. Ukazuje, że jest możliwe działanie wbrew regułom narzucanym dotąd przez system, i że działanie to może przynieść sukcesy.

O ile nie nadejdą "rządy silnej ręki", opozycja będzie mogła rozwijać dotychczasowe kierunki działalności, powiększać się i docierać do coraz szerszych kręgów społeczeństwa. Nie sądzę jednak, aby do roku 1984 powstały niezależne reprezentacje pracowników w zakładach pracy, niezależny ruch związkowy. Nie sądzę, aby proces budzenia społeczeństwa zaszedł w tym okresie tak daleko, żeby celowym stało się utworzenie nieoficjalnych partii politycznych. Aby doszło do tego, trzeba jeszcze dłuższego czasu działania opozycji. Tak bujny rozkwit w ciągu tych dwu lat był możliwy, gdyż opierał się na wykorzystaniu istniejących już uprzednio możliwości oraz ludzi pozostających w bezczynności, a gotowych do działania. Obecnie opozycja musi się nastawić na nadejście okresu pewnej stabilizacji - okresu zasiewów.

Wydaje mi się, że w bliskiej perspektywie tylko kolejny wstrząs społeczny mógłby radykalnie zmienić sytuację. Wstrząsy ujawniają to, co naprawdę czuje i myśli społeczeństwo - co tkwi w głębi pod skorupą bierności i milczenia. Kształtują ludzi, wyzwalają aktywność, tworzą nowe ruchy. Przyspieszają znacznie bieg procesów historii. Kolejny wstrząs/bunt robotniczy czy ogólnopolskie zamieszki studenckie/ mógłby wywołać falę terroru i zduszenie opozycji, ale mógłby również spowodować daleko idącą liberalizację systemu, lub przynajmniej gwałtowne spotęgowanie się ruchu opozycyjnego. Wstrząs taki może nastąpić znowu w ciągu kilku następnych lat wskutek kolejnej podwyżki cen, lub z innego powodu. Opozycja powinna maksymalnie wykorzystać ten okres spokoju, jakim dysponuje, aby i ona, i społeczeństwo były jak najlepiej przygotowane do konfrontacji z władzą - przez powstające niezależne ruchy społeczne i międzygrupowe więzi /zwłaszcza zaś pomiędzy inteligencją a robotnikami/, pisma, przez nawyk i umiejętność działania.

W najbliższym okresie najważniejszym zadaniem jest obrona tej swobody działania, jaką cieszyła się opozycja przez ostatnie pół roku, oraz rozszerzanie zakresu tej swobody. Opozycja działa zgodnie z prawami przysługującymi jej na mocy Paktów Praw Człowieka. Opozycyjni nastawieni intelektualistów, Kościół, zachodnia opinia publiczna powinny walczyć jak najusilniej o swobodę działań dla opozycji, przeciwstawiać się represjom, bronić dotychczasowych osiągnięć/8/..

Doświadczenie potwierdziło rzecz oczywistą - jawna działalność uprawiana przez KOR i ROPCZIO jest o wiele bardziej owocna od działalności tajnej. Istniejące niejawne ugrupowania /jak PPN/ mają o wiele mniejszy wpływ na społeczeństwo i znacznie mniej są w stanie osiągnąć.

Przybierając w siłę czy rozpoczynając nowe akcje opozycja ryzykuje, że władze poczną się zagrożone i uznają, że nie mogą jej dłużej tolerować. /Na przykład aresztowanie działaczy KOR-u w maju 1977 roku było reakcją na krakowską manifestację/. Oczywiście jednak opozycja musi w granicach rozsądku podejmować to ryzyko.

Ponieważ zadania i cele, jakie aktualnie może sobie stawiać opozycja, są dosyć oczywiste, zachodzi obecnie zasadnicze podobieństwo działania i haseł poszczególnych jej odłamów. Nie wyklarowały się jeszcze prądy i kierunki opozycyjne, oparte o różne koncepcje przyszłej Polski, różne systemy wartości, różne wizje społeczeństwa i państwa, różne prognozy. W przyszłości jednak najprawdopodobniej to nastąpi, ponieważ istnieją w naszym

społeczeństwie rzeczywiste i głębokie różnice tradycji myślenia i postaw, wywodzące swą genezę jeszcze z końca XIX wieku, oraz po prostu dlatego, że możliwości wyboru drogi są różne.

W nieoficjalnych wydawnictwach publikowane są na razie przede wszystkim: serwis informacyjny, publicystyka polityczna, oraz literatura i poezja.

Wydawanie nieoficjalnej literatury ma duże znaczenie nie tylko kulturalne, ale i polityczne. Wśród inteligencji polskiej popularna jest postawa niechęci do polityki. Nieoficjalna literatura może znaleźć znacznie więcej czytelników, niż artykuły polityczne i informacyjne. Umożliwia więc szersze oddziaływanie na postawy inteligencji przez swą treść i sam fakt swego istnienia.

Poziom publicystyki politycznej jest bardzo niejednorodny - zbyt często powtarza ona rzeczy oczywiste, wielokrotnie powiedziane. Jest to zjawisko normalne i nieuniknione - zwłaszcza w pierwszej fazie, gdy tworzy się dopiero niezależna myśl polityczna. Uważam jednak, że istnieje paląca potrzeba publikowania nieoficjalnych/tzn. niecenzurowanych/ prac z zakresu socjologii, historii, ekonomii. Zwłaszcza z zakresu socjologii - tak mało bowiem wiemy o naszym społeczeństwie, i tak bardzo jest nam ta wiedza potrzebna. W ruchu opozycyjnym działają socjologowie i mogliby oni tutaj wyładować swoje ambicje zawodowe. Istnieją interesujące wyniki oficjalnie prowadzonych badań na temat młodzieży, patologii społecznej, postaw represyjnych - niedostępne szerszym kręgom odbiorców. Odpowiednie opracowanie ich i opublikowanie nie nastroczałoby większych trudności. Niestety - nie ważne byłoby przeprowadzenie sondaży na temat oblicza współczesnego polskiego patriotyzmu, stosunku do idei socjalizmu/ i poszczególnych idei z nią związanych/, psychospołecznych przyczyn bierności społeczeństwa, itd.

Bardzo poważną słabością ruchu opozycyjnego jest brak dostatecznego zainteresowania problematyką ekonomiczną. Ukazała się na ten temat niewielka jedynie ilość publicystycznych artykułów, gdzie można znaleźć prawdy powtarzane od 1956 roku. /Chwałebnym wyjątkiem jest tutaj podający aktualne realia "Robotnik".

Zdaje sobie sprawę z trudności. Do dokonywania głębszych analiz sytuacji gospodarczej niezbędne są dane trudno dostępne lub takie, którymi nikt nie dysponuje. Przeprowadzenie przez opozycję badań sytuacji ekonomicznej społeczeństwa /rejonów nędzy, gwałtownie rosnącego rozwarstwienia/ jest w praktyce niemal nierealne/ w odróżnieniu od pewnych badań socjologicznych/. Opozycja nie może zmusić władz do dokonania reformy gospodarczej. Może jednak stworzyć Komitet Obrony Konsumenta - choć stanowi to bardzo trudne zadanie. Możliwe też byłoby sformułowanie apeli/ choćby w formie podpisywanych masowo listów protestacyjnych/, związanych z problematyką ekonomiczną i socjalno-bytową /Kodeks Pracy, zasady rozdziału mieszań, i in./, oraz opracowanie reportaży z rejonów nędzy, lub na temat warunków pracy robotników, chorób zawodowych, czy sytuacji na wsi. Miałoby to ogromne znaczenie, nie tylko propagandowe, ale i moralne. Szersze podjęcie tych zadań przekracza chyba siły dzisiejszej opozycji, ale przystąpienie do nich uważam za niezbędne.

Przyczyny zaniedbania problematyki ekonomicznej tkwią chyba głównie w tym, że w działalność opozycyjną angażują się ludzie, którzy zdecydowani są ryzykować swą sytuacją życiową i materialną, i w tym sensie sprawy materialne mają dla nich drugorzędne znaczenie. Znacznie istotniejszy dla nich jest brak wolności politycznej, demokracji, wolności słowa, sprawiedliwości. Ale to właśnie zasadniczo różni aktywną opozycję od reszty społeczeństwa, dla której sprawy materialne mają priorytet. Niezainteresowanie sytuacją materialną społeczeństwa odcina od niego opozycję. Opozycja traci szansę wywarcia o wiele większego wpływu, niż wywiera obecnie. Ludzie dochodzą - świadomie czy nieświadomie - do wniosku, że opozycja, tak jak władze, nie troszczy się o ich sytuację. Władze znają dobrze swoją najcięższą stronę. Twierdzą stale, że opozycja wykorzystuje "przejściowe trudności gospodarcze". Ale opozycja właśnie tego nie robi!...

Nie chciałbym, aby tekst ten został odebrany jako pesymistyczny. Przewiduję, że sytuacja pozostanie stabilna do roku 1984, ale uważam, że w nieco dalszej przyszłości mogą nastąpić głębokie zmiany. Może dojść do formowania się w Polsce silnego ruchu oporu przeciwko totalitaryzmowi; powstanie niezależnego ruchu robotniczego - umożliwiającego wywarcie silnego nacisku na władzę. Mogą wzmoć się znaczne konflikty wewnętrzne w Rosji - przede wszystkim na tle narodowościowym.

Światowy kryzys ekonomiczny wstrząsnie całym światem, całym ustalonym porządkiem. Nie sposób przewidywać, co wtedy nastąpi, ale nierozsądnym byłoby pokładać w kryzysie zbyt wielkie nadzieje. /Zachód może okazać się znacznie wrażliwszy na kryzys, niż Rosja/. Kryzys ten jest bardzo groźny i dla Polski. Istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że dojdzie wówczas do wstrząsów społecznych - do zasadniczej konfrontacji między władzą a opozycją i resztą społeczeństwa.

Idąc w ślady Kotakowskiego /9/ uważam, że opozycja powinna nastawiać się raczej na stopniową ewolucję systemu, a nie na nagłe jego załamanie wskutek rewolucyjnego zrywu. Nie można jednak wykluczyć, że - wcześniej czy później - wskutek ostrego kryzysu politycznego w Rosji i w Polsce /jak w 1956 roku/ otworzy się nagle możliwość gwałtownych zmian.

I Wojna Światowa stworzyła możliwość odrodzenia się niepodległej Polski. Możliwość ta została wykorzystana dzięki temu, że społeczeństwo było na to przygotowane. Mogła zostać zmarnowana.

Nie możemy liczyć na rychłe zwycięstwo. Jednak działając w ruchu opozycyjnym nie tylko walczymy w imię wartości etycznych, ale i zdobywamy dla siebie najwyższy stopień wolności dostępny w obecnym systemie.

Polska, luty 1978.

Przypisy

1. M. Turbacz: Możliwości działania opozycji w Polsce, Polska, 1976; Aneks 16/17, Upsala - Londyn, 1978.
2. D. Meadows: Granice wzrostu, Warszawa, 1973.
3. M. Mesarović: Ludzkość w punkcie zwrotnym, Warszawa, 1977.
4. W. Jedlicki: Klub Krzywego Koła, Paryż, 1963.
5. Sytuacja frakcyjna w PZRR jest bardzo niejasna. "Mówiło się" o istnieniu w partii "frakcji liberalnej", wymieniając nazwiska Stefana Olszowskiego, Tejchmy, Barcikowskiego. Frakcja ta miała łączyć między innymi do przeprowadzenia reformy gospodarczej. Pozycja tych działaczy nie wydaje się jednak mocna, a trudno stwierdzić, czy rzeczywiście tworzyli oni jakąś wspólnie działającą frakcję.
6. H. Datner, I. Krzemiński: O postawach i systemie wartości młodego pokolenia, Więź, 9/197, 1974.
7. Znamienny jest przebieg niedawnej dyskusji w sprawie rozwodów we Włoszech, gdzie pozycja Kościoła jest wciąż bardzo silna, a katolicyzm bardzo tradycyjny. Kościół usiłował narzucić niewierzącym swe prawa - zakaz rozwodów. Nie chciał przyjąć do wiadomości tego, że nakazy mogą dotyczyć tylko wiernych, że nie wolno ich narzucać w drodze prawnej całej społeczności.
8. Wydaje się, że ostatnio władze postanowiły uniemożliwić działanie Towarzystwa Kursów Naukowych poza Warszawą. Należy temu przeciwdziałać choćby w drodze masowej i zdecydowanej akcji protestacyjnej! w rodzaju tej, jaką prowadzono w związku ze zmianami w Konstytucji/. Nie wolno dopuścić do tego, aby władze uporały się stopniowo z ośrodkami, które powstały na prowincji/tak jak zlikwidowały w roku 1957 ruch klubów dyskusyjnych, pozostawiając najdłużej przy życiu Klub Krzywego Koła w Warszawie/.
9. L. Kotakowski: Tezy o nadziei i beznadziei, Kultura, 6/285, 1971.

Marek Turbacz

Lothar Herbst

Z LISTÓW W SPRAWIE WIARY I NADZIEI

L i s t 7

ciemność mnie ogarnia ale i jasność przeraźliwa
kiedy widzę te twarze zmęczone czekaniem jutra
kiedy widzę te szpalty gazet przepełnione hymnami
na cześć ludzi i moją
kiedy nie ma już czym oddychać
bo powietrze zadrutowane milczeniem
i tylko dowiec czasami zakrząży doleci zmaleje
i padnie u stóp stróżów mojego ładu i naszego porządku
tylko lustro mój własny stróż sumienia
jeszcze lekko oddycha
lecz jeszcze jak długo trwać będzie ten dialog
w świetle jaskrawym
bo własnym

L i s t 11

kolejny pogromco prawdy i stów które się za nią kryją
nie wydzieraj mi wiary z gardła i krwi
nie drap mnie po twarzy
pod nią nie znajdziesz
maski
i usprawiedliwienia dla siebie

L i s t 18

znam ludzi
którzy nie wierzą w niewinne aresztowania
którzy nie wierzą w wymuszanie zeznań
którzy nie wierzą w przymusowe donosy
którzy nie wierzą w telefoniczne podstuchy
którzy nie wierzą w otwierane listy
którzy nie wierzą w istnienie własnego zdania
którzy nie wierzą w istnienie nie urzędowej prawdy

i to są szczęśliwi ludzie

L i s t 20

widzę ludzi którzy podnoszą głowy i wyciągają ręce
z oczów zmywają sen ten przewlekły
ich kroki są coraz pewniejsze i głośniejsze
ich głos staje się krzykiem
oczyszcanej wiary i nadziei
ich ręce głosują tylko za prawdą
ich oczy szukają drugiego człowieka
i widzę uśmiechy ulgi na ich twarzach
i dostrzegam poetę niosącego dumnie swoje wiersze
i widzę jak ludzie w jego wiersze
zawijają swoje życie

Lothar Herbst

P O 1 0 L A T A C H

/ 0 marca 1968 /

Polska, jak szereg innych krajów Europy Wschodniej, nie posiada życia politycznego. To znaczy, przepraszam, nie posiada życia politycznego funkcjonującego publicznie, polityki "dla ludności". Istnieje, owszem, jakieś życie polityczne, ściśle ukryte, rozgrywane się między naszymi władzami, gdzieś na wyżynach blur politycznych i komitetów centralnych. Ale to nie jest dla zwykłych ludzi, to dla wybranych.

Czasem jednak Polska "funduje sobie" na trochę życie polityczne, jawne i konfliktywne. Funduje sobie ogromnym moralnym i wręcz fizycznym wysiłkiem grup ludzkich, nierzadko przez krew, prześladowania, upokorzenia. Ale daty tych wysiłków pozostają, jak symbole, znaki milowe na drodze budzenia się i samouświadamiania usypianego społeczeństwa. Czerwiec i październik 1956 i październik 1957 /demonstracje po zamknięciu "Po prostu"/, marzec 1968, grudzień 1970, czerwiec 1976 i jego konsekwencje w 1977 - oto owe daty, wobec których terapia ciszy, terapia cenzury, dezinformacji i zapomnienia staje bezradna. Te daty zostaną, choć nie ma ich w żadnych kalendarzach, diariuszach czy protokołach, choć milczy o nich oficjalna historia PRL - jeśli taka w ogóle istnieje. Bowiem rządzący przekładają władzę nad prawdę czy historię, nie na rękę im są wszelkie minione, "nieprawdopodobne" fakty, wspominki, opisy. Dlatego też tępi się i likwiduje literaturę o współczesności: każde świadectwo jest niepożądane, zwłaszcza świadectwo o autentycznych wstrząsach politycznych, mogących nasunąć przypuszczenie, iż coś takiego jeszcze się powtórzy. Rządzący nie lubią takich myśli, myśli o nieuniknionym końcu wszelkiej władzy i o rozpadzie wszelkich, na pozór najtrwalszych i najmocniejszych politycznych konstrukcji.

Ale wspomnienia są uparte. Zwłaszcza wspomnienia wydarzeń nie do końca wyjaśnionych, dwuznacznych, których interpretacja do dziś budzi wątpliwości i podziaty wśród tych, co nie godzą się całkowicie utracić pamięci. A jednocześnie wydarzenia, które otworzyły nową psychiczną kartę w dziejach grup polskiej młodzieży studenckiej, stając się zaczynem przyszłych ogólnych już fermentów, przemyśleń i działań.

Taki był właśnie Marzec 1968: autentyczny wstrząs polityczny, ale wstrząs trudny, nie od razu zrozumiany, bo demonstracje myślących i żywych idenwytów i spragnionych prawdy środowisk młodzieży spiętane zostały z akcją prowokatorską, z wewnątrzpartyjnymi działaniami mafii i koterii, z ukrywaną przed szeroką opinią walką o władzę. Jak zawsze w ustroju totalnym kamufaż i rozmyślna gra pozorów, utajona reżyseria i próby wzniecenia zastępczych namietności, odegrały tu ogromną rolę. Ale niezłani reżyserzy bardzo się zawiedli: nie udało im się osiągnąć władzy, prowokacje chybiły celu, a grupa młodzieży, z której zrobiono pretekst i kózta pfiarnego, mimo terroru fizycznego, więzień i zniewalających procesów, wyszła z próby zwycięsko, z podniesionym czołem, pokazując, że w ostatecznym rozrachunku wygrywa ten, co zachowa wolność ducha.

Jednakże początkowo wydarzenia marcowe trudne były do pojęcia dla "normalnego" obywatela, odwykłego od jawnego, publicznego, ba, na ulicy rozgrywanego się życia politycznego. Onia 8 marca 1968, w piątek, zdumieni przechodnie ujrzeli na ulicznych stolicy istne polowanie na demonstrowającą młodzież, ujrzeli chmary uzbrojonych po zęby oddziałów policyjnych oraz długie szeregi niezwykłych pojazdów "bojowych", z kratami w oknach, z nadajnikami, radiowymi, z całym arsenałem przedziwnej aparatury. O co chodzi, kto tu z kim walczy i o co?

Z usługnymi wyjaśnieniami pospieszyła natychmiast ekipa pozbawionych skrupułów, nie wiadomo skąd nagle wyrojonych pismaków, radio, telewizja, zmechanizowany, scentralizowany w nieznanych rękach aparat masowej sugestii. Słęgnięto do starych metod Czarnej Sotni, rzucano zatrważającą wersję o "syjonistycznym spisku", odgrzebano zapomniane polityczne postacie dawnych działaczy Zambrowskiego i Staszewskiego, w absurdalny sposób przypisywając im jakąś demoniczną walkę o władzę, naszeptywano o dziwnych, tajemniczych klubach "Ba-

bał" i "poszukiwaczy sprzeczności", o "komandosach", próbowano wyciągnąć na wokandę wszelkie roznamietniające podejrzenia i oskarżenia, wzywając wręcz - zadziwiająco rzecz w uśpionym politycznie kraju - do publicznych samosądów. Ale wszystko to zawiodło i nie chwyciło: zbyt było głupie i tandetne, zbyt kontrastowało z realną, widzialną na ulicach rzeczywistością. A rzeczywistość ta dała się sprowadzić do dwóch prostych stwierdzeń: że brutalnie bita na ulicach wolnościowa młodzież studencka bronił się jak może i że "prasa kłamie" / prasa, radio, telewizja i wszelkie oczywiście publiczne środki przekazu /.

Młodzież zyskała podziw i sympatię wśród tych nawet, którzy pojąć nie mogli, o co właściwie chodził - dreszcz przebudzenia przeszedł przez całe społeczeństwo. Odczuł to nawet bieżącym powrotaający z Bułgarii Gomułka, który zresztą nie bardzo zrozumiał, że cała akcja rozpetana została i wyolbrzymiona przez jakieś czynniki partyjne właśnie przeciwko niemu, aby go skompromitować, wykazując jego nieudolność, słabość czy też sprzyjanie "syjonistom" /pod tajemniczą tę nazwę szalejący pismacy podcлагnęli wówczas wszystko: co na placu, to nieprzyjaciel /, o kompletnej dezorientacji Gomułka świadczą jego nonsensowne wypowiedzi, zwłaszcza ta "styczna" 19 marca w Sali Kongresowej. Ale jednak Gomułka, choć "kupił" wszelkie spiskowe i syjonistyczne koncepcje i sugestie - utrzymał się. Nie nadeszła jeszcze widać jego godzina, niezadługo wainie podtrzymać go miała wobec Kremla gorliwość w akcji przeciw rewoltującemu się Czechom i Słowakom. Skoro zaś wygrał to poparli go wszyscy, z inicjatorami całej historii na czele i przez długie dni wystukiwaliśmy w telewizji pochlebnych, a gromko wyklinających "włchrzycieli", bświadczeń sekretarzy wojewódzkich Partii.

Ukoronowaniem propagandowego sabatu stała się dwudniowa sesja Sejmu 10 i 11 kwietnia, gdzie chóralnie a groźnie pociągano postów koła "Znak" za interpelację, dotyczącą bicia młodzieży przez milicję, "ORMO" i inne formacje, oraz za piękne przemówienie Jerzego Zawleyskiego. Był to ostatni wypadek, gdy koło postów katolickich "Znak" wystąpiło solidarnie a zgodnie ze swą rolą grupy niezależnej, symbolizującej jeśli nie opozycję to swobodną tak pod względem światopoglądowym jak i politycznym opinię narodową. Piękne wystąpienie szkoda że ostatnie. Potem był już tylko samotny zryw Stanisława Stompy podążający głosowania nad Konstytucją w lutym 1976.

W przemówieniach Gomułka i pomniejszych notabili, oraz w kampanii prasowej, obok nazwiska Michnika, Kuronia, Modzelewskiego, Toruńczyk, Grudzińskiego, Bożuckiej, Blumsztajna, a także Stonimskiego, Kijowskiego, Leszka Kołakowskiego i innych, przejawiały się uporczywie nazwiska trzech nienajmłodszych już członków Związku Literatów: Januarego Grzedzińskiego, Pawła Jasienicy i... Stefana Kisielewskiego. Określano ich m.in. na wyrost i hurtem jako starych dziaających bez skrupułów spekulantów politycznych, ludzi, którzy chcą wsiąknąć się na widownię tylnymi drzwiami". Sprawa socjalizmu jest im najzupełniej obojętna, jak obojętne jest im również sprawa narodu polskiego".

Otóż prawdą jest, że w okresie tym odegrałem pewną rolę, choć dosyć przypadkowo i trochę inaczej niż bym chciał. Po prostu wziąłem udział w nadzwyczajnym zebraniu warszawskiego oddziału Związku Literatów, gdzie przemawiając na najbardziej mi doskwierający temat - cenzury - użyłem określenia "dyktatura ciemniaków", które zrobiło sporą, choć wypaczoną karierę. Ciekawe, że przed tym zebraniem otrzymałem anonimowy telefon, przyjaźielsko ostrzegający, abym na owo zebranie nie chodził, bo "to nie o mnie idzie". Podobny telefon otrzymał Paweł Jasienica. Najwyraźniej nie pasowaliśmy do z góry opracowanego scenariusza, co potwierdza moja teza o elementach prowokacji, która odegrała rolę zarówno w przygotowaniu tego zebrania, jak i w przebiegu ostatniego i przedostatniego /w obecności Kłiszki/ przedstawienia "Dziadów" oraz rzekomo spontanicznej manifestacji pod pomnikiem Mickiewicza. Tak więc "spiskowa teoria historii" miała niewątpliwie w marcowych wydarzeniach swoje częściowe zastosowanie.

Ważne jest jednak, że moralnie i historycznie wygrali nie autorzy spisku i prowokacji, lecz - sprowokowana młodzież. Po kampanii oszczerstw i represji, po procesach oraz po wymuszonej, haniebnej emigracji "pochodzeniowej", która tak bardzo zaszkodziła Polsce w świecie, nastąpiło otrzeźwie-

nie i - wymierzenie sprawiedliwości, Sprawiedliwości, jeśli jeszcze nie sądowej, to moralno ideowej. Dezinformowana i wprowadzana w błąd opinia ludzi myślących w Polsce ocenia dziś jednolicie marcowy zryw młodzieży jako istotny i cenny, jako odważną manifestację swobody narodowego myślenia i dążenie do zrzucenia psychicznych okowów, nakładanych na ludzką psychikę przez zbiurokratyzowany totalizm. Wolność słowa, myśli, dyskusji, pluralizm poglądów, zdobywanie wiedzy o prawdziwej historii i polityce, oto były młodzieńcze hasła, niezrozumiałe wówczas przez robotników, którzy już w roku 1970 pożatowali swego błędu, a w roku 1976 próbowali go naprawić. Posław marcowy 1968 nie przepadł więc w niepamięć, nie przepadł też w życiu społecznym, korzystamy z niego wszyscy, choćby ja, mogąc dziś dla krajowego czytelnika pisać niniejsze słowa. "Der böse Geist", który, według Goethego, chcąc zła stwarza dobro, podzielał i tutaj: porachunki partyjne i ukryta walka o władzę, wbrew swej woli i świadomości, wyniosły trwale na forum społeczne właśnie "marcową młodzież", owe młodzieńcze siły opozycyjne, których praca owocuje i owocować będzie. Po 10 latach rzecz jest konkretna, uchwytna, zakorzeniona już w życiu, widziana gołym okiem. Stąd i nowa nadzieja, bez której, mimo całego mojego "programowego" pesymizmu, żyć byłoby trudno.

Stefan Kisielewski

Warszawa, styczeń 1978

Jerzy Ficowski

NOWE WIERSZY

SZATY PEŁNE NIKOGO

Skończyła się owacją
 monarsza parada
 Nowe Szaty Cesarza
 mogły dopiąć swego
 mimo brzucha na którym
 pruty się iluzje
 aż nagi włożył gacie
 wziął insygnia stare
 ogrzał się na komnatach
 przeszedł do historii
 Teraz nas olśniewają
 same szaty puste
 z Łakretem za pazuchą
 z bezkrólewem w środku
 na miarę i na wiarę
 na ostatni guzik
 i za grósz ostatni

I kiedy ktoś zakrzyknie
 że w tych szatach sutych
 jest pełno och nikogo

z tych fałd rękawów zwinna
 obstawa wyskoczy
 żeby go zrewidować
 czy aby w ubraniu
 nie przemycił siebie

Z KRONIKI WYDARZEŃ - 2.

W domu powieszzonego
 mówiono płynnio
 o wodzie

w domu topielca
 poruszano węzłowe problemy
 sznurka

to wywołało ożywienie
 pełne śmiertelnej powagi

prelegentami byli
 powroźnik i pletwonurek
 co zapewniło
 wysoki poziom
 wody
 i zwięźłość
 stryczka

Z KRONIKI WYDARZEŃ - 4.

O o frrr ptaszek leci
 o tam widzisz jaki
 o już troszkę go nie ma
 o znów jest



o upierzeniu dowolnym
na zimę nie odlatuje
jest pod ścisłą ochroną
gnieździ się w dziuplach
kłopotliwych okoliczności
gniazda nie kała

Kiedy jaś nie chce jeść
kiedy Jan chce jeść
kiedy Nic schwytane w garść
staje się pięścią
kiedy pytanie pada i
nie podnosi go żadna odpowiedź

wtedy frrr ptaszek leci
o tam widzisz jaki
o już troszkę go nie ma
o jest znów

ostatnio widziano pokaz
wyjątkowo sporych rozmiarów

OTWARTE DRZWI

Znalazł się w sytuacji
bez wyjścia

stał u otwartych drzwi
wyważał je w milczeniu
tak szczerze stojące otworem
że się pukanie nie przecisnęło

a z drugiej strony
samo niedoczekanie
mosiężna klamka zielona
od tyłu spoconych rąk
i sufit krztusił się zaduchem ciszy

aż języki nieobce języki
odparzone od milczenia
zabełkotały śmiesznie o nim
wdzięczne aż do czerwieni
za wyjęcie knebli

wtedy go dostrzeżono

Zabłysło tak krótko
że nie zdążył rzucić cienia

EPITAFIUM

Pamięci Kazimierza Moczarskiego

On b. lubił kwiaty
/niech pachną za jego duszę/
włec położył mu u stóp
męczeńskiego krzyża
wieniec białoczerwony
b. podobny do
koła ratunkowego
dla zmarłych na dnie
żeglarzy

PO POLSKU
Pani Lucienne Rey

W żadnym żadnym krajobrazie
nie ma tyle co tu co tu
cierpliwości cierpkich traw
płaskiego czekania nizin

każdy z nas
oś wryta w ziemię
aż po zgrzyt obrócony w rdzę
wldnokrąg nie obraca się

I tylko karuzela gdzieś na Placu Kłeski
w polichromiach państwowych odpustów
potwierdza pokrętnie
ostatnie słowa galileusza

włóc szubienica obrotowa
kręci się zamiast

ze zwojów mózgowych
wywleka i snuje
nić długą długą
nią pęta nas
nią opęta
z wywalonymi jezorami
sztucznych ogni
wisielczo humorystycznych

PS. chciałbym to dać do zrozumienia
braciom innojęzycznym ale
obawiam się że
to nieprzetłumaczalne

może gestem iluzjonisty
nie słowem nie znalazłem go
w cudzoziemskich słownikach
wyrazów ogniotrwałych

myślałem o komentarzu ale
nie znają go języki obce
wywiódłby tylko
w bezdroża torfowiska chude
których unika nawet unicornus
w których zdychają syreny
gdzie dni swolch dożywa od wieku po wiek
ten kraj donośnie niemy
w historii
karczowanych chaszczach

I gasi pragnienia nasze
zaciekle
z niedocieczonych źródeł

PLANETA ZIEMIA

Z bardzo bardzo daleka mamy hojnie blasku
z bardzo bardzo daleka świecimy okrągło
tam z daleka jesteśmy w liczbie pojedynczej
obieżywszechświat z UFO stwierdza to naocznie
na czarnym tle kosmosu się pięczętujemy

jedną tarczą wspólnoty wpisani w jej koło
 Z bliska jesteśmy ciemni bardzo ciemni sobie
 oddaleni od siebie o tysiąc lat mroku
 nie wjemy po omacku kto My a kto Oni
 więc przyświecamy sobie światłością pożarów
 abyśmy patrząc w serce mogli trafić w serce
 Wtedy się nam planeta i z bliska rozjaśniła

Jerzy Ficowski

Andrzej Drawicz

NASZE BIENNALE

1. Pierwsze Biennale zdarzyło mi się dwadzieścia dwa lata temu, w 1956 /"10 roku ów..."/, podczas pierwszego w życiu wyjazdu zagranicę, więc, choćbym chciał, od wspomnień porównujących się nie opęde; niech mi cytelniczy "Zapisu" te dygresje osobiste wybaczają. Był początek lata, Polska ostygła właśnie od wstrząsu poznańskiego, ale dość było innych emocji, żeby atmosferę podgrzewać. We Włoszech patrzyły na nas plakaty ze zdjęciami poznańskich czołgów i wielkimi napisami: "Komunisto włoski, co ty na to?" Świat jakby miał się przechylić ku jakimś nowym rozstrzygnięciom, i oszałamiające perspektywy aż zapierały nam, dwudziestoletnim smarkaczom dech, bo sądziliśmy, że to właśnie od nas i przez nas wszystko się zacznie na nowo i lepiej w "ulepszonym" komunizmie. Nie mogliśmy wiedzieć tak- że i tego, że to już była kulminacja; właśnie wtedy Chruszczow dobiegał się do założenia w Związku drugiej partii. Tymczasem była jednak Wenecja, i było Biennale, które pozostawiło mi wspomnienie niestychanej plastycznej gigantomachii. Kilometry bieżące płócien: abstrakcyjniści geo- i nie- geometryczni, półabstrakcyjniści, figuraliści, a wśród nich jak jedyny punkt odniesienia Renato Guttuso, któregośmy uznawali przedtem oficjalnie, bo był "postępowy", z jakimiś nadnaturalnymi, bolesnymi brzydotkami. Wschodnie pawilony narodowe - bastiony socrealizmu, w naszej ekspozycji coprawda już nadszarpniętego i zrównoważonego kulturalnym koloryzmem; za to w radzieckim jeszcze, żeby nie skłamać, trwał chyba w najlepsze Aleksander Gierasimow, tyle, że już bez swoich Stalinów. Wszystko było na wysoki połysek, tłumne, szumne, odstające od siebie wewnętrznie, niemożliwe do ogarnięcia, i przybysz od nas czuł się, według dobrego rosyjskiego określenia, jak trzepnięty zza węgła zapyłonym workiem; dokładnie tak.

I - teraz, bez mała ćwierć wieku później. Miasto, ze swoją witrażową, przesadną, dwumiarową pięknością - prawie takie same, trochę zbiedniałe. Gama kolorów przycmiona, słońce ukośne, zimowe, chłodna wilgoć. Większy spokój, bo nie sezon, widać mieszkańców. Biennale zupełnie nietypowe, wsunięte trochę wstydliwie w tę porę roku, w kilku uzupełnieniach, w samym centrum, ale i na peryferiach; trzeba wiedzieć, gdzie tego wszystkiego szukać. Tu i ówdzie plakaty z pięcioramienną błękitnie okonturowaną gwiazdą; jedno z ramion rozchylone. Wyjście poza obręb zamknięty, uścisnąć ku czemuś innemu, niedomówienie; taką formułę plastyczną znalazł dla "Biennale di Dissenso". Są wystawy, pokazy filmowe, dyskusje, ale wszystko skromne, ściszone, mniej zauważalne. Atmosfera wielkiego targowiska próżności nawet się teraz nie śni. Auerola wielkoświatowego blichtru nie łśni. A mimo to...

Najpierw jednak - jak do tego doszło. Otóż ta skromność, nie oszukujemy się, jest skrojona nie tylko na miarę powagi spraw, ale też przymusowa. Walka o to Biennale była dramatyczna, i została wygrana ze stratami. Początkowo organizatorzy, przykładając do sprawy miary przyzwalających społeczeństw, sądzili, że wszystko będzie normalnie. Ale reakcja ze strony terytorialnie biorąc/"naszej" - rozwiązała te złudzenia. Zastosowano zmasowane formy psychicznego szantażu, i to w formach całkowicie otwartych, tłumiasz różne włoskie instancje, od najwyższych władz państwowych począwszy. Zabrakło również metod nacisku ekonomicznego; jest publiczną tajemnicą, że grożono zerwaniem różnych umów o współpracy, przerwaniem eksportu filmów itp. Jawność tej procedury i jej cynizm - ponieważ trudno tu było cokolwiek dowieść, więc nie dowodzono niczego, krzycząc tylko, że impreza jest "prowokacyjna" - były pouczające, i bodaj wręczcie nauka ta nie poszła dla Zachodu całkowicie w las. Najlepszy dowód, że Biennale jednak doszło do skutku. Choć wielu ludzi, dawszy się widać zaszantażować fetyszem gruntownie przekłamanym pojęć "postępowego" i "wstecznego", zarezerowało i, najpierw obiecany udział, słowa nie dotrzymało. Mnóżyły się przeszkody techniczne; brakowało pieniędzy, zaplecza, sal, materiałów. Właśnie lokalne i centralne uprawiały różne zwody i uniki. Działy się różne

korowody między- i wewnątrz-partyjne. Komuniści zdystansowali się od imprezy, uznawszy ją za reklamówkę socjalistów, choć ich przedstawiciel, Trombadori, powiatał Biennale - i znowu zastrzegając się, że czyni to we własnym jedynie imieniu! "Jeden Trombadori nie czyni eurokomunistycznej wiosny" - napisała jakaś gazeta/. Socjaliści również częściowo zdezawuowali swego własnego adherenta, prezydenta Biennale, Carla Ripa di Meana; do udziału w imprezie włączyła się natomiast aktywnie dysydencka grupa "Il Manifesto", organizując przed-biennialową dyskusję historyków i politologów; widziałem też afisze jakichś ugrupowań marksistowsko-lewackich, które wbijając szpile komunistom i socjalistom oświadczały, że gorąco Biennale witają. W praktyce, ku końcowi, di Meana i niewielka grupa jego współpracowników prowadziła bellum contra omnes, przy akompaniamencie nieustających pokrzykiwań od Wschodu, przy czym ton prasy polskiej trzeba, porównawczo, uznać za stosunkowo umiarkowany. Kiedy się już szala ostatecznie przeważała, Związek Radziecki jeszcze rąbnął z grubej rury, przysyłając do Wenecji wystawę "Złoto Scytów"; przyjechały też jakieś cenne dzieła sztuki z NRD, i ekspozycje Biennale wcisnęły się gdzieś zaraz po tym i pomiędzy to, przy czym wymowa tego przekupstwa była tak obnażona, że nawet Vittorio Strada, rusycysta i komunista, napisał gdzieś parę cierpkich zdań o tym, co ma martwe złoto do żywych spraw dzisiejszego świata. I znów: napisał - ale na Biennale nie przybył, choć przed niewieloma laty literacki ultradogmatyk moskiewski Wsiewołod Koczetow wylał na niego kubeł pomył w swojej powieści-paszkwiliu "Czego że ty chcesz", i choć kosztowałoby go to wyjątkowo małe fatygi, polewał mieszka w Wenecji....

Wokół imprezy kłapało więc namiętności wiele, i byt jej był wielokrotnie zagrożony. Żyjemy jednak w świecie, który choć z oporami, czegoś się uczy - chociażby czytając Sołżenicyna. Być może zresztą dysydenckie Biennale powinno się samo znaleźć w półdysydenckiej sytuacji; jeśli znamy to za właściwe, to batalię wokółwenecką można potraktować jako najzwyklejszy spontaniczny happening, tak ceniony jako forma przez sztukę nowoczesną. W tej roli owa walka z szantażem, wygrana z takim wysiłkiem w świecie żyjącym wśród pełni swobód i przywołującym wszystkim na coraz więcej - powinna zostać zapisana do kłonic społecznych i artystycznych.

A kiedy szła już się przeważała, i upór garstki ludzi, utwierdzających się w nim w miarę jak szantaż rósł, przyniósł owoce - wtedy, jak w takich razach bywa, szybko okazało się, że nie jest tak źle, i Biennale balansujące na granicy niespełnienia momentalnie stanęło na mocnych nogach. Znalazły się, choć skromne, fundusze, znalazły sale, mimo oficjalnych zakazów ze wszystkich stron popłynęły materiały, improwizacja, przypadek i szczęście, które sprzyja śmiałym, sprzedały się z organizacyjnym zrywem, a ci, którzy wykalkulowali sobie, że lepiej się nie pojawiać - ich sprawa, ich strata - zostali, by tak rzec, z nawiązką zrekompensowani przez innych, którzy przybyli zewsząd w bardzo reprezentatywnym składzie, spragnieni poważnej konfrontacji.

II.

Czytelnikom "Zapisu" winienem pewną ilość elementarnych informacji. Biennale 1977 "Il dissenso culturale", a więc "dysydentyzmu w kulturze", poświęcone krajom Europy Wschodniej, odbywało się w dniach 15 listopada - 15 grudnia. Powołane wówczas zespoły koncepcyjne, złożone z najpoważniejszych zachodnich i emigracyjnych fachowców, ustaliły, że w tych ramach czasowych odbędzie się szereg autonomicznych spotkań problemowo-dyskusyjnych, jak to /w nawiasach podaje ich hasła - tytuły/: historyczne /"Wolność i socjalizm; dysydentyzm jako zjawisko historyczne"/, sztuk plastycznych /"Awangardy i neoawangardy w Europie Wschodniej"/, filmowe /"Film awangardowy i problemy dysydentyzmu"/, druga część: "Znacjonalizowane kino - jego sukcesy i jego problemy"/, religijne /"Dysydentyzm religijny: współpraca między chrześcijanami, wierzącymi, niechrześcijanami i niewierzącymi w walce o prawa człowieka"/, literackie /"inna literatura: kryzys hegemonii i sprzeczności w kulturze Wschodu"/, teatralne /"Teatr - prowokacja; element nonkonformizmu w działaniach teatru wschodnioeuropejskiego"/, naukowe /"Wolność poszukiwań naukowych; problemy

nauki i naukowców w krajach Europy Wschodniej"/. Spotkania następowały po sobie w wyliczonym tu chronologicznie porządku; w ten sposób poszczególne odcinki czasowe Biennale miały swoje problemowe dominanty, i przybysze mogli /jeśli rzeczywiście mogli/; nie dotyczyło to, rzecz jasna, zaproszonych licznie przedstawicieli naszego obozu, bo o ile znajdowali się w swoich krajach, to pozwolenia na wyjazd nie otrzymali/ wybrać zawnazę po-
 rze dla znalezienia się w gronie o podobnych zainteresowaniach. Ponadto przez cały czas drugi plan Biennale tworzyły wystawy, z których najważniejsze były dwie: samizdatowa /książki, czasopisma, plakaty, fotografie, taśmy z nagraniami/ oraz "Nowa sztuka radziecka z nieoficjalnej perspektywy", czyli malarstwo, zebrane ze zbiorów zachodnich. Skromnie, ale w miejscu dobrym, bo uczęszczanym, przytuliła się też osobna ekspozycja polska. Przygotowano ją po polsku, to znaczy dzięki samozaparcu, uporowi i improwizacji dwójga ofiarnych osób, którym tu szczęścia dopomógł znaleźć się gdzie trzeba we właściwym czasie. Ten tu szczęścia sprawił, że ekspozat, w różny sposób wysyłane i porożpraszane, udało się w ostatniej chwili zebrać.

Były również wystawy bardziej szczegółowe, ponadto wyświetlano filmy, odbywały się koncerty piosenkarskie i poetyckie; przedstawiono obszerne zbiory dokumentacyjne, dotyczące poszczególnych aspektów dysydenizmu. To współistnienie różnych sposobów ekspresji i ekspozycji, starannie zaplanowane, ale, jak to zwykle bywa, również doimprowizowane, gdy okoliczności się zmieniały - sprawiły, że materia Biennale była gęsta, chociaż ani w przybliżeniu tak bajecznie kolorowa jak przy ekspozycjach "normalnych". Ten kontrast musiał normalnych widzów skłaniać do refleksji, i już dzięki temu im-
 preza osiągała swój cel. Jej publicznością byli przede wszystkim młodzi Włosi; widziałem codziennie, jak dużymi grupami obsiadywali monitory, wystawione na klatkach schodowych Museo Correr, gdzie odbywały się obrady, i korzystając z symultanicznych tłumaczeń uważnie wszystkiego słuchali. Widziałem i czułem ścisł w salach wystawy samizdatu, przez które trudno się było przecisnąć. Widzowie, najpierw nieco skonsternowani zgrzebnnością ekspozatów /listy z łagrów, fotografie, pomięte maszynopisy, powielaczowe pisemka; o-
 bok, naturalnie, publikacje wydawane na Zachodzie/, później, w widoczny sposób wciągali się w wytwarzaną przez nie atmosferę. Udzielano sobie nawzajem wyjaśnień, spierano się, powstawały spontaniczne grupy dyskusyjne. Chodziłem tam i nadstawiałem ucha, tłumaczono mi urywki rozmów: "Bo widział, był taki jeden Lenin, i on zrobił rewolucję.... A znowu taki Trocki...." Pewien dziennikarz z prasy, którą u nas określa się słowami "bratniego kraju", doszedł w demaskowaniu ohydę Biennale aż do tego, że przypisał organizatorom spędzanie pod przymusem włoskich szkół, żeby miazmatami dysydenckimi indoktrynować niewinne duszyczki; w ten sposób dał dowód wiary w to, że metody swojskie są w świecie powszechnie stosowane, co - przynajmniej Polak, który trochę bywał w Europie - dosyć zabawnie o nim świadczy.

Aby nie popełnić podobnych - nawet mimowolnych - błędów w drugą stronę, będę się trzymał tego, co sam widziałem, i za co mogę czytelnikowi ręczyć. Widziałem zaś tylko wycinek Biennale: spotkanie literackie. O nim za chwilę. Z drugiego planu zdążyłem zobaczyć dwa filmy: czeski "Żart" według znakomitej i cenionej u nas książki Milana Kundery - bardzo dobry w fakturze, ale mniej przejrzysty i klarowny od pierwowzoru, oraz "Trzy dni w Szczecinie" Bolesława Sulika, rzecz arcyciekawa. Jest to - dokonana w Anglii, w doskonałe dobranej scenerii stocznicej, przy pomocy zawodowych aktorów i statystów - jak by to precyzyjnie określić? - dokumentalna inscenizacja. Sulik dorobił obraz do znanej taśmy dźwiękowej z zapisem spotkania przywódców partyjnopañstwowych ze stoczniovcami w czasie szczecińskiego strajku w r. 1971; ponadto uczestniczył w filmie Edmund Bałuka, wówczas przewodniczący komitetu strajkowego, dzie emigrant polityczny. Wyszło to bardziej niż przekonująco; główne postacie zostały zagrane nad podziw autentycznie, i dobrze się stało, że film ten szedł m.in. w telewizji RFN; szkoda, że w kraju zobaczymy go pewnie nieprędko... Słuchałem też poetyckiego śpiewu, bo czymś takim to było, Józefa Brodskiego, znakomitego poety-emigranta rosyjskiego, który w wypełnionej po brzegi sali teatru Ateneo Veneto najpierw wspinał się głośno bardzo wysoko, a potem, na jednostajnie wytrzymywanej nucie wykonywał swoje

utwory, by w końcu raptownie oberwać głos. Można tej recytacyjnej szkoly nie lubić. *Łsam za nią nie przepadam*, ale daje ona pewne przeżycie, i nas trój na sali był prawie modlitewny. Drugiego wieczoru w tejże sali śpiewał Aleksander Galicz. Posadzone go na bardzo wysokim barowym stołku, a stołek na normalnym stole; w ten sposób rosyjski bard o smutnych oczach, trochę otyły, niegdyś pożeracz serc, zdawał się, w niezbyt wygodnej pozycji, nadrealitystycznie fruwać z girarą wśród ukrzyżowań i wniebowstąpień, pokrywających sklepienie sali teatralnej - i kiedy tak w górę, z góry, spomiędzy skłębicznych, barokowych ciat przekazywał sali swoje: "Ach jak prosto po past'w pałaczi. Promotczł, promotczł, promotczł", odczuwało się to, razem / gdzie Wenecja, gdzie Moskwa, gdzie my wszyscy?... / jakoś szczególnie przejmująco, chociaż nikt ze słuchaczy nie mógł wiedzieć, że to ostatni z tylu koncertów; niedługo potem Galicz zmarł. W ten sposób, zhańc prawie wszystkie jego magnetofonowe zapisy, wysłuchałem po raz pierwszy i ostatni jego samego. Mając znowu na uwadze to, co luminarze prasy o czystej i zaprzężonej piśni pisali na temat krachu Biennale i kompletnego braku zainteresowania - dodam, że ścisł i parcie na salę było takie, że wejście musieli ochraniać karabinierzy.

Polska wystawa, umieszczona w centrum prasowym Biennale, zawierała m.in. egzemplarze opozycyjnych czasopism, zdjęcia członków KSS KOR i autorów "Zapisu", serwisy fotograficzne z festiwalu "Sacrosong", z procesji Bożego Ciąta, z głódówki u św. Marcina, listy, apele, komunikaty, list Prymasa, sprawozdanie z konferencji cenzury z naczelnymi redaktorami czasopism, program pierwszych zajęć Uniwersytetu Latającego, egzemplarze publikacji autorów krajowych, wydane w oficynie "Nowa" i zagranicą. Słowem: pulsowało na tej wystawie autentyczne życie zbiorowe, które dane jest dziś u nas coraz większej liczbie ludzi dobrej woli. Dobrze było tam, co jakiś czas, w przerwie, wpaść, postać, ucieszyć oko tym zestawem nigdy tak - razem - nie widzianym, tak wiele mówiącym, chociaż skromnym. Wszystko być w porządku, i ta "obecność polska" znaczyła akurat to, co powinna była znaczyć. Nic dziwnego, że, wzbogacona, wystawa z powodzeniem jeździ teraz po zagranicach. III.

Na sali obrad w Museo Correr zebrali się, na spotkaniu literackim, zarówno dysydenci właściwi jak dysydentolodzy, i początkowo rozmowa toczyła się jakby dwoma oddzielnymi nurtami, przy czym nurt naukowy dominował. Dało to nawet asumpt Włodzimierzowi Maksymowowi, naczelnemu redaktorowi najważniejszego organu nowej rosyjskiej i wschodnioeuropejskiej emigracji, "Kontynentu", do zgryźliwych uwag o "ichtiologach", którzy nie dopuszczają do głosu "ryb". Istotnie, uczeni mężowie z Zachodu stawili się licznie/ doskonale reprezentowana była rusycystyka anglosaska i francuska, nieźle włoska, zabrakło natomiast Niemców/ i w wystąpieniach swoich analizowali poszczególne aspekty dysydenctyzmu w ujęciu już to chronologicznie, już to fenomenologicznie, już to strukturalizującym, już to personalnym. Nie zabrakło tu głosów bardzo ciekawych. Zapamiętałem zwłaszcza wystąpienie Georgesa Nivata, który mówił o prowokacji artystycznej jako orężu sztuki dysydenckiej; Geoffreya Hoskinga, ze znanstwem podnoszącego wartości takich "oficjalnych" pisarzy jak Rasputin i Trifonow; Julii Kristevej, rozpatrującej literaturę dysydencką jako przejaw strukturalnego kryzysu lewicowości; Martina Dewhirsta, który dał błyskotliwy popis semazjologii stosowanej, zastanawiając się czemu w oficjalnej ruszczyźnie słowo "Istina" wypiera słowo "prawda", i o czym to podmięśnianie niezupełnych synonimów świadczy. Zresztą ciekawego materiału było dużo; tyle, że nie zawsze - jak w cytowanych wyżej wypadkach - najprymitywniej biorąc, nauka wiązała się z życiem. Niektóre wystąpienia, dogłębne nawet i dobrze osadzone w materiale, miały tak solidny akademicki szlif i sznyt, że nie rezonowały należycie; sala kwitowała je grzesznościami poklaskiwaniemi. Znacznie żywiej przyjmowano wystąpienia z nurtu drugiego, który nazwę umownie intymistycznym: tu sami dysydenci występowali z refleksjami dotyczącymi sytuacji swoich i sobie podobnych, - a więc obiekty stawały się subiektem. Oklaskiwano z przekonaniem Iwana Svitaka, który pięknie przedstawił dysydentów jako spadkobierców Don Kichota - i Jefima Etkinda podnoszącego wymowę tragiczności losów rosyjskich pisarzy, i obowiązkowo ich organizacji zawodowych. Wiktor Niekrasow rozbałwił salę improwizowanymi cytatami z aktualnego numeru "Prawdy" i ich swobodną egzegezą.

Ciekawie mówili Węgrzy, Tibor Meray i Gyorgy Konrad. W niektórych wystąpieniach Czechów przybytych w bardzo silnym składzie /czuło się niechęć do rozstawiania z reformistycznymi nadziejami; mogło to budzić sprzeciw, ale było wystuchane ze zrozumieniem. Bardzo dobrze wypadł głos Stanisława Barańczaka "Pasada i tyty", przłutaczony na włoski i odczytany, bo precyzja analizy połączyła się tu z bezpośredniością refleksji, a więc dwa nurty połączyły się razem.

W miarę jak spotkanie się przedłużało /tęcznie trwało dni cztery, od 1 do 4 grudnia/, zaczęły się w ogóle w jego duchowej substancji jakościowe zmiany. Mieszanie nurtów następowało coraz wyraźniej. Nauka i życie miały się coraz bardziej ku sobie. Przy czym - i tu nie mógłbym się zgodzić z ostrą reakcją Maksymowa - "ichtiolodzy" okazali się potrzebnymi rybom; poza wszystkim wyznaczili obszar swobodnego pływania, opukali dno, zbadali ową płynność, w której się poruszamy. Znowu: nie wszystko słyszałem, bo najpilniejszy słuchacz nie wysiedzi od pierwszego do ostatniego słowa, mając za oknem, bądź co bądź, Plac świętego Marka, a dokoła nowych i starych znajomych, z którymi trzeba pilnie pogadać na stronie o losach świata. Ale, za każdym razem, wracając na salę, czułem, jak atmosfera, początkowo rozrzedzona, gęstnieje. Wytwarzała się stopniowo świadomość tego, co istotne. Staraliśmy się o tym powiedzieć przed samym zakończeniem obrad, czytelniki "Zapisu" tekst tego, co powiedziałem, znajdując, więc nie miałyby sensu powtarzanie się. By więc sprawę najkrócej tylko streścić: dysydyntyzm /okropne słowo, ale przyjęło się, więc nie ma rady/rozpoznał sam siebie, swoją rolę i swoje znaczenie. Ta rola i znaczenie dotarły też do obserwatorów zewnętrznych, zachodnich. Chyba nie bez znaczenia była antybiennale'owska kampania i nagonka, której świadomość mieli wszyscy, i która dopomagała w odzieraniu z resztek złudzeń, a więc bardzo się sprzyła przystąpieniu. Różni z nas różnie na tej sali przedstawiali swoje credo i swoje nadzieje na przyszłość, ale wspólna była świadomość nieodwracalności wspólnie wytwarzanego zespołu faktów - a także i tego, że nabiera on w naszych oczach rozmachu, rośnie, i przez to samo zaczyna po troszeczkę zmieniać świat.

To stawianie się psychicznej nowej jakości czuli wszyscy. Na samym początku, otwierając spotkanie, Alberto Moravia używał jeszcze sformułowań bardzo - w szerokim odczuciu za bardzo - wyważonych: że reguła dobra, tylko odstępstwa od niej zaważyły nie, że były pewne nieuchronności "błędów i wypaczeń", i że Zachód ma swoje problemy, a Wschód swoje, więc... Upraszczam ten tok, bo wybitni pisarze mówili ładniej i subtelniej, ale sedno, do niedawna będące przecież aż za dobrze znanym consensum wielu intelektualistów Zachodu - wyglądało właśnie tak. Na Moravię patrzone z szacunkiem już dlatego, że mimo psychicznego terroru i straszaka zmumifikowanej "lewicowości" właśnie on, Włoch, nie jak wielu innych, swoimi autorytetem Biennale poparł - ale nie zestawiono go jednak w spokoju. Ostrze polemizował z nim m.in. nasz rodak, jedno z najlepszych dziś polskich piór i jedna z najtęższych głów, Gustaw Herling-Grudziński, będący w ogóle na Biennale spiritus movens. Potem podobnie wywodził jeszcze pro i contra Edward Goldstücker; zabrzmiało to już z całkiem anachronicznie. A później ten wątek przepadł, przestał znaczyć. Zabierali głos wybitni niezależnie myślicy intelektualniści: Vercors, Stephen Spender, Claude Roy i inni - i wspólnie poczucie tego, że kryzys naszej byłej ideologii jest strukturalny i nie podlegający zakwestionowaniu - ugruntowało się. Tak bardzo, że kiedy przy końcu amerykański uczonec Lee Baxandall żywo i z werwą opowiadał o tym, jak jego pokolenie "też" musiało walczyć w Stanach o prawdziwą demokrację i nawet ponosiło straty - to wszyscy oklaskiwali go, z przyjemnością, bo głos ten zabrzmiał niekwestionowaną uczciwością, a tamta, nasza, sprawa była już i tak definitywnie zatwierdzona.

Takie to były weneckie rozmowy tej zimy. W tym miejscu winienem otworzyć nawias dla spraw, których już bezpośrednio nie obserwowałem; będzie to nawias ze słów "zdaje mi się, że..." Otóż zdaje się, sądząc z odgłosów i relacji, że z tą wymową spotkania literackiego zgadzały się sensy wcześniejszych spotkań historyków: wspomniane go przedbiennale'owego, zorganizowanego przez "Il Manifesto", i właściwego, któremu, jak mi wiadomo, nadał ton Leszek Kołakowski. Również dyskusja poświęcona religii z udziałem m.in. bardzo aktywnego obecnie na Zachodzie, niedawnego więźnia szpitali psychiatrycznych, Leonida Pluszcza - doprowa-

dziła do jasnych określeń i wniosków na temat pustki duchowej i głodu religii, jako wartości dla wielu nie znanej, ale instynktownie i żarliwie poszukiwanej. Te główne sensy powracały, wyczuwalnie uformowały szkielet Biennale i uczyniły go ważnym/ poza innymi, bardziej szczegółowymi, tej wartości przyczynami/. Resztę przyszłość pokaże; przyszłość dosyć dziś niejasna, i dająca sporo sygnałów dla przeczuć także pesymistycznej natury. W jedno przecież zechcą czytelnicy włożyć - a podkreślam to dlatego, że znana jest siła uporczywie powtarzanego kłamstwa, z którego, jak ze znawstwem twierdził jeden z kłamaczów największych, "zawsze coś zostanie" - że to Biennale, niepodobne do innych, stało się oczywistym sukcesem, i ci, co pisali inaczej, z premedytacją kłamali. Niech więc z tego co napisali zostanie możliwie najmniej.

IV.

Jeszcze moment osobisty. Było tak: Jakiegoś popołudnia, w przerwie w ob-
radach, znalazłem się na placu świętego Marka, wyglądającym dokładnie tak,
jak to miejsce może wyglądać o zachodzie słońca. Wszyscy znamy chwilę, kie-
dy dopada nas - skurczem - poczucie mijanego czasu, więc nie odkryję nicze-
go. Ale spod arkad wyszedł nagle na środek osiwiłały Wiktor Niekrasow, au-
tor "Okopów Stalingradu" i laureat stałińskiej nagrody, raniony w Lubli-
nie, znany każdemu czytającemu Polakowi/"Okopy" miały bodaj osiem u nas wy-
dań, a mój w dodatku przewodnik po Bułhakowskim Kijowie. Uściskaliśmy
się, jak na Słowian przystało, a wtedy, bo wszyscy spacerowali obok, żeby
tyknąć powietrza, zbliżył się, z innego czasowego wymiaru, Jiri Pelikan,
kiedys, przed tymi samymi dwudziestoma laty, widziany w Pradze, jako prze-
wodniczący Związku Studentów; autentycznie wtedy lubiany, bo nie bonza, do-
bry do wypitki i do wybitki, dziś rzekłoby się "aparaczyk z ludzką twarzą".
A jeszcze znalazł się obok Josif Brodski, z twarzą Judy Machabeusza i wyra-
finowanego sceptyka jednocześnie, który piętnaście lat wcześniej, wypłasto-
wany przez Achmatową, recytował mi swego "Donne'a" w leningradzkim hote-
lu, wkładając w to tyle samo natężonego i śpiewnego głosu, co w weneckim
teatrze. Teatralność świętego Marka na-dąta tej popłatanej geometrii i
przejsi i spotkań cechy jakiejś przewrotnej inscenizacji, której smak
czuło się, jeszcze jej nie rozumiejąc. Był to smak clercki i zagadkowy, i
nikt z nas nie był pewnie wolny od - banalnej ostatecznie refleksji na te-
mat dziwności losu, który tak oto spotkał nas ze sobą tu i teraz. Mnie nie-
włem o myślach moich towarzyszy, bo słowa padały lekkie i, by tak rzec, ry-
tualno-okolicznościowe, ale może i oni czuli się łamani kołem czasu. Dla
mnie zgęszczenie to, i właśnie tam, w Wenecji, dokonane znaczyło wiele, ale
co mianowicie znaczyło, będę się chyba jeszcze dowiadywał w ciągu lat.
Tymczasem wiedziałem, że lata upłynęły, i że między dwoma Biennale przeży-
łem, wraz z wieloma ludźmi, cykl wziętu i długiego, męczącego umierania
złudzeń. Ten cykl był zamknięty. Żegnałem teraz siebie dawnego i jakiś zbło-
rowy wymiar naszej świadomości, który bezpowrotnie przestał istnieć. Było
to melancholijne, ale sprawiało ulgę. Ożywiane sentymenty ćmiły lekko, ale
trzeba było je stłumić, bo to, co się stało, było dobre i dobrze, że się
stało.

Taki był ten ulotny spektakl, gdzie grało się, będąc granym, i który na
moment skonkretyzował się - zaryzykuję to przypuszczenie: dla wielu z nas
- jakąś ostrą duchową realnością, nim zaraz potem wróciliśmy do sali Musee
Correr.

I dlatego - również dlatego - to skromniutki Biennale znaczyło o wiele
więcej od swoich sutych, bogatych i powszechnie uznanych poprzedników. Ide-
o zakład, że ci młodzi Włosi, między którymi przeciskałem się na salach wy-
stawowych, będą je sobie kiedyś przypominali.

Andrzej Drawicz

Andrzej Drawicz

Z NAMI JEST TEN, KTO....

/Przemówienie wygłoszone na sesji literackiej Biennale 77 w Wenecji/

Szanowni Państwo, w miarę jak spotkanie nasze zbliża się ku końcowi, i kontury spraw, o których mówimy, zaznaczają się coraz wyraźniej - doznajemy, jak myślę, wspólnego uczucia, że nasza wielogłosowa rozmowa jest sensowna. Więcej: jest ważna. Przyznam, że na początku miałem odczucie inne; zdawało mi się, że wielu z nas mówi jakby w różne strony, nie słuchając głosów innych. A jednak wszystkie te słowa - lub przynajmniej większość ich - które swoją mnogością wypełniły jakby całą przestrzeń tej sali - spotykają się w jakiejś nieeuklidesowej przestrzeni, nawiązując ze sobą kontakt. Ich wymawianie okaże się chyba nienadaremne; wspólnym wysiłkiem popchniemy, być może, powszechną świadomość o jakieś pół kroku ku przodowi. Świadomość czego? Otóż tego, że nie sposób już ulegać dłużej złudzeniom co do charakteru ideologii, która dla wielu z nas była kiedyś czymś ważnym, ba, niekiedy najważniejszym; która wypełniła nam znaczne części naszych biografii. Elementarna uczciwość wymaga dziś spojrzenia prawdzie w oczy, nawet jeśli jest to zabieg bolesny. Nikt już nie może udawać, że nie wie, nie słyszał, nie rozumiał. Wszystko jest jasne. I jasność ta przebija również w wystąpieniach przedstawicieli świata zachodniego, którzy współuczestniczą wraz z nami w tych obradach. Z pewnymi małymi wyjątkami, które, na szczęście, brzmią dla większości audytorium jak jawne nieporozumienie. To, co mówiono bezskutecznie w latach trzydziestych, czterdziestych, pięćdziesiątych i co przepadało daremnie w obliczu obojętności czy niedowierzania Zachodu - w latach siedemdziesiątych, dzięki wspólnemu wysiłkowi wielu ludzi i wymowie faktów nazbyt już oczywistych, na szczęście dla całej ludzkości trafia już do celu. To jest właśnie owo mozolne popychanie ku przodowi zbiorowej świadomości, która w tamtych dziesięcioleciach, okazując uległość wobec faszystowskich podmienników znaczeń i odwracanych pojęć - jakby zaprzeczała samej sobie, a więc przestawała być świadomością, stawała się przygotowaniem aktu zbiorowego duchowego samobójstwa. Istnieje ciągle wiele niebezpieczeństw, ale to, najgroźniejsze, zostało już chyba odwrócone.

Jest więc bardzo sensowne to nasze skromne, nietypowe, dysydenckie Biennale. Notabene: przymiotnik ten nie wydaje mi się najszcześliwszy, bo zakłada - jeśli do słownych źródeł sięgnąć - odstępstwo, czy odchylenie od czegoś, a więc od domniemanej normy. Tymczasem, w moim przekonaniu, to my, - w szerokim pojęciu - jesteśmy normą, i działanie nasze zmierza do tego, by poczucie zachwianej normy powszechnie przywrócić; a więc to raczej "oni" - w szerokim pojęciu - są dysydentami. Skoro jednak określenie to stało się poręczne i weszło w użycie, to nie warto się o nie spierać. Chciałbym natomiast zwrócić się w tym miejscu ku organizatorom naszego spotkania - panu Carlo Ripa di Meana i jego współpracownikom. Musieli pokonać wiele trudności - zadziwiająco wiele, jak na tak demokratyczny kraj jak Włochy - by nasze spotkanie doszło do skutku; można nawet powiedzieć, że sami stali się jakby, na pewien czas, półdysydentami. Tym bardziej należy im się nasza wdzięczność i uznanie, i jestem pewny, że wyrażiliby ją za mną wszyscy Polacy, którzy zostali do Wenecji zaproszeni i nie mogli tu przyjechać. Tu odwołam się na moment do tradycji i religii, bez których, jak państwu wiadomo, Polacy najczęściej nie mogą się obejść. W osiemnastym wieku pijar, ksiądz Konarski, któremu mimo wielu przeciwności, udało się dokonać niezwykle cennej reformy ówczesnego szkolnictwa, otrzymał od króla medal z napisem "Sapere auso"; temu, który odważył się być mądrym. Zmieniwszy liczbę pojedynczą na mnogą: "sapere ausis" - taki właśnie medal, my Polacy, przyznalibyśmy, gdyby to było możliwe, organizatorom obecnego Biennale.

W poprzednich wypowiedziach zainteresowała mnie szczególnie sprawa podziału na literatury krajowe i emigracyjne. Zastanawiano się, na ile ten

podział jest prawomocny. Co do nas, Polaków, to, jak sądzę, rozstrzygnęliśmy tę kwestię dawno i jednoznacznie. Nie ma takiego podziału; mogą istnieć okazjonalne, spowodowane koniecznościami losu, przemieszczenia terytorialne pisarzy, ale nie ma to nic wspólnego z podziałem literatury. Ta - jeśli jest prawdziwa - jest dla nas tylko jedna. Prawdziwy pisarz jest zawsze w kraju, ponieważ ma ów kraj w sobie, jest częścią swojej ojczyzny. Swoją pozbądź poza jej granicami może traktować jako wieloletnią misję specjalną; może być duchowym ministrem pełnomocnym swego kraju. Tak jest w naszym wypadku. Mamy przecież bardzo wartościowych twórców - pisarzy i publicystów - przebywających poza Polską, którzy są nieoddzielną częścią składową naszej kultury. Mamy też bardzo zasłużone instytucje wydawnicze. Ich działalność jest nam niezbędnie potrzebna; podobnie jak im potrzebne jest nasze działanie w kraju. Nie ma tu sielanki, często nie jesteśmy zgodni w szczegółach, ale godzimy się w sprawach zasadniczych. Jeżeli istnieją między nami podziały - poza, rzecz jasna, naturalną różnorodnością widzenia metod i perspektyw działania - to są to podziały możliwości i ról. Twórcy spoza kraju mają zupełną swobodę wypowiedzi, i mogą uzupełniać to, czego nie dopowie skrupowana zakazami cenzury literatura krajowa; ta z kolei ma bezpośrednią łączność z czytelnikiem, może do niego docierać na codzień, co jest możliwością bezcenną i czasami wartą tego, by zapłacić za nią pewnymi samoo graniczeniami. Są to sformułowania bardzo uproszczone; chodzi jednak o to, że jak polski - i nie tylko bodaj - przykład wskazuje, podwójna egzystencja wielu literatów, nie zaprzeczająca ich wewnętrznej jedności, jest faktem, który trzeba uznać ze wszystkimi stąd wypływającymi konsekwencjami.

Mówiąc o konsekwencjach, mam na myśli sprawy zupełnie konkretne. Niepokojąca wydaje mi się nutka pewnego maksymalistycznego lekceważenia "kraju" przez "emigrację"; nutka, którą ustyszałem w wystąpieniach niektórych naszych rosyjskich przyjaciół. Głęboko cenię kunszt Aleksandra Galicza, ale kiedy w zakończeniu swej żarliwej wypowiedzi zawołał on, że pisarza obowiązuje tylko cała prawda, ponieważ każda półprawda jest zawsze nieprawdą, to odczułem w tym dość abstrakcyjną retorykę. W praktyce nie jest przecież tak, i każdy z nas o tym wie, a Aleksander Arkadiewicz mógłby z łatwością sobie zaprzeczyć, gdyby sięgnął do własnych doświadczeń. Powtórzę to co jest truizmem, potwierdzanym ustawicznie; czasami warto z czegoś zrezygnować, aby dojść do czytelnika. Wszyscy to robiliśmy, albo robimy. Tylko każdy z osobna w każdym z osobna wypadku może we własnym sumieniu zdecydować - czy i na ile warto, i kiedy należy powiedzieć dosyć. Półprawda nie musi być nieprawdą; pisarza, który dokonuje autocenzury, trzeba oceniać w działaniu - czy zmiernie od kłamstwa ku prawdzie, czy też odwrotnie. Każde z jego kolejnych poczynań musi być sądzone na tle poprzednich; wówczas wszystko staje się jasne. Abstrakcyjny maksymalizm nie pomoże w sprawiedliwych ocenach.

Pozwólcie mi, Polakowi, którego sprawy literatury rosyjskiej żywo obchodzą, bronić pisarzy w Rosji przed takim maksymalistycznym zacietrzewieniem. W bardzo wartościowej książce obecnego wśród nas Jurija Malcewa "Voinaja russkaja literatura" znajduję jednak na str. 218 zdanie, stwierdzające, że w ostatnim okresie "literatura radziecka jest wyłącznie szara masą oficjalnej i pozbawionej życia pisaniny". I nie jest to zdanie odosobnione, zarówno w samej książce, jak i w kontekście innych wypowiedzi, które rozlegają się ostatnio w rosyjskim środowisku emigracyjnym. Tymczasem zaś - jest bardzo niesprawiedliwe. Literatura rosyjska przeżywa w tej chwili okres bardzo trudny, zalewa ją fala rozzuchwalonej miernoty, półgrafomatstwa, zaasekuranego polityczną prawomyślnością. Prawdziwym pisarzem jest ciężko, ale tym bardziej ich wysiłek musi być doceniony. Wychodzą przecież książki Jurija Trifonowa i Walentyna Rasputina, o których tak przekonująco mówił w czasie naszego spotkania Geoffrey Hosking; działają bardzo znacząca grupa pisarzy szeroko pojętego tematu wiejskiego, których utwory mówią bardzo wiele; piszą wybitni poeci. Trzeba też pamiętać, że wokół Republiki Rosyjskiej istnieją i inne, a literatury wielonarodowe przeżywają w ostatnim okresie duże przyspieszenie; mamy świetnych pisarzy estońskich, ukraińskich, gruzińskich, armeńskich, azerbejdżańskich, kazachskich, i innych, przy czym część z nich używa również języka rosyjskiego,

lub też tłumaczy samych siebie na rosyjski, nie tracąc narodowej specyfiki - a zatem istnieją zjawiska przenikania i współistnienia języków, których również nie wypada nie dostrzegać gdy mowa o literaturze rosyjskiej lub właśnie radzieckiej. Doprawdy, mówienie o "szarej masie" jest krzywdzące i mija się z prawdą.

W Polsce staramy się unikać maksymalistycznego zadęcia, i być może właśnie to nasze doświadczenie może się okazać pożyteczne. Rzucamy hasło szerokiego współdziałania ludzi dobrej woli w prowadzonych obecnie przez opozycję demokratyczną długofalowych działaniach w dziedzinie kultury, oświaty, nauk społecznych, informacji. Nie jest to żadną tajemnicą, odwrotnie, działania te dokonują się obecnie u nas jawnie, i to na znaczną skalę, przy względnie - volens nolens - tolerancji władzy. Nie ukrywamy, że celem naszym jest stworzenie, w miarę możliwości, równoległego i niezależnego od oficjalnego, obiegu wartości kulturalnych i intelektualnych. Jest to zadanie palące, ponieważ im więcej czasu upływa, tym bardziej nieodwracalne zmiany zachodzą w tkance duchowej społeczności; znikają punkty odniesienia, biologiczne procesy starzenia odbierają coraz więcej ludzi, których doświadczenie sięga poza rzeczywistość obecną. Podstawowe kryteria etyczno-moralne stają się względne, pojawia się podatność na manipulacyjne zabiegi kłamliwych propagandzistów. Toteż - stwierdzam to z całą stanowczością, wiedząc, że nie mijam się z poglądami moich polskich współtowarzyszy - w pracy tej potrzebujemy każdego, kto zechce^{dość} bodaj część siebie, bodaj w sposób niejawni i dorywczy. Naszym zadaniem nie jest formowanie sekciarskiego zakonu sprawiedliwych, lecz odwrotnie - danie możliwości działania każdemu. Przerzucamy i będziemy nadal przerzucać mosty, łutawiać sytuację tym - a jest ich przecież większość - którzy nie chcą się z tych czy z innych względów ujawnić, pragną - czy muszą - prowadzić życie oficjalne i nieoficjalne jednocześnie. Nie jest to jakaś abstrakcyjna koncepcja, ale po prostu czyste pragmatyczne, wymóg samego życia. Inaczej niż wspólnymi siłami nie dźwigniemy spraw, które podjąć trzeba.

Jeszcze wyraźniejsze okazało się to zapewne kiedyś, kiedy - ufam w to mocno - rozpoczniemy w naszych krajach procesy detotalitaryzacji naszych społeczeństw. Będą to zbiorowe procesy reedukacji, samowychowania, i wówczas - zwracam się w tym miejscu do was, moi rosyjscy przyjaciele - będę wam, po godpodarsku, potrzebni, nawet niezbędni także i ci, których dzisiejsze postępowanie oceniacie ostro - może czasem zbyt ostro. Notabene: rzeczywistość dostarcza nam pod tym względem pokrzepiających przykładów. Okazuje się, że detotalitaryzacja postępuje szybciej, łatwiej i nie za cenę tak wielkich kosztów ubocznych, jak sobie to czasem wyobrażamy. Dowodzi to tylko raz jeszcze prawdy elementarnej: że człowiek jest stworzony do życia w wolności, że to jego żywioł, do którego po prostu, z całą naturalnością powraca. Szczególnie mocno chciałbym podkreślić wymowę jednego zwłaszcza przykładu: i to tym bardziej, że u jednego z moich przedmówców zabrzmiały pod adresem akurat tego kraju nutki krytyczne. Zapewne idealnych demokracji nie ma. Bodaj jednak mnie, Polakowi, mającemu za sobą normalne, wojenne dzieciństwo, któremu Niemcy za czasów Hitlera spalili dom i przesładowali jego bliskich, wypada powiedzieć z całym przekonaniem to, w czym się ugryntowałem po bardzo długiej, ostrożnej, a początkowo zgoła nieufnej obserwacji na miejscu - że uważam Niemiecką Republikę Federalną za jeden z najbardziej demokratycznych krajów Europy i gotów jestem bronić tego przeświadczenia na każdym forum dyskusyjnym. Rzeczywista i gruntowna reedukacja, która się w tym kraju dokonała, stanowi chyba jedno z najbardziej optymistycznych doświadczeń ludzkości, nękaną w naszym stuleciu tak wieloma klęskami i strapieniami. Powinniśmy chyba dostrzec i docenić nadzieję, jaka stąd wynika.

Praca nasza będą jednak z pewnością trudna, i powinniśmy myśleć o nich zawnazasu. Ivan Svitak mówił tu pięknie o "donkichotyźmie" jako przyrodzonej sytuacji dysydenta. Chciałbym się jednak w tym miejscu upomnieć o uznanie i dla Sancho Pansy. Nie zapominajmy, że osadzony na tronie dla głupiej uciechy i płaskiej rozrywki władców okazał się mądrym i sprawnym rządcą; jego pracami kierowała ludowa mądrość. Nie byłoby źle, gdyby za samotnymi rycerzami Smętnego Oblicza ruszyły w pole oddziały Sancho Pansów; zdrowy rozsądek, praktyczny koncept, trzymanie się ziemi - wszystko to jest dla

naszej sprawy w wielkiej cenie. Właśnie polskie doświadczenia tego uczą. Wspólnym wysiłkiem wielu ludzi, bez wielkich, spektakularnych gestów, na co dzień, w całkowicie legalnych ramach prowadzimy dzisiaj walkę o świadomość naszego narodu. Odwojowaliśmy już spory przyczótek, który z każdym dniem umacnia się i poszerza, i z każdym dniem coraz trudniej go zlikwidować. Przyczótek ten ma coraz większą siłę atrakcyjną, przyciąga uwagę i staje się przedmiotem wewnętrznych rozterek bardzo wielu ludzi - jeśli nie zdecydowanie dobrej, to przynajmniej niezłej woli - którzy dawno już zrozumieli wszystko do końca, którzy podzielają nasze poglądy w sprawach zasadniczych, ale którzy wahają się jeszcze przed podjęciem decyzji współdziałania.

Są to wszystko nasi potencjalni sojusznicy. Przyjaciele - znamy dobrze różne warianty i odmiany formuły "kto nie za, ten przeciw", od ultradogmatycznego "kto nie z nami, ten przeciw nam", do liberalizującego "kto nie przeciw nam, ten z nami". Doświadczenie chwili obecnej - polskie doświadczenia, które być może przyda się jeszcze komuś poza nami - każe powiedzieć jeszcze inaczej: każdy, kto waha się i jest męczony przez niezgodność tego co myśli i tego co oficjalnie mówi; każdy, w kim nocą przewraca się ułamek sumienia, wybijając go ze snu; każdy, kto nie zakałamał się do końca i nie sprzedał ani zobojetniał do reszty; słowem - każdy, kto nie jest całkiem z nimi - jest z nami.

Andrzej Drawicz

GŁOSY Z NAD WIELTAMY

Dziesięć lat temu była Praska Wiosna. I nam również jej powiewy niósł nadzieję.

Także dziesięć lat temu, ale kilka miesięcy później, była sierpiowa inwazja, gasienicami czotgów dławiąca nadzieję Czechów i Słowaków - i zarazem naszą.

Później, w trakcie upływających lat, niejednokrotnie świtała nam wspólna nadzieja - i niejednokrotnie dławiono ją, choć niekoniecznie czotgami. Nie czas jeszcze na bilans, co po tych latach zostało; ale jedno zostało na pewno - braterstwo.

Rok temu - ogłoszono w Pradze Kartę 77. Ten prosty, ludzki manifest przypominał światu, że pod powłoką cmentarnej praskiej "normalizacji" toczy się inne życie, wbrew wszystkiemu wolne, wołające wolności i odbudowujące wolność w każdym swoim drgnieniem, każdym odruchem, twórczym gestem, głosem prawdy, i głosem niezgody. My, w Polsce, znów poculiśmy się solidarności z Czechami. Tym głębiej - gdy na sygnatariuszy Karty posypały się represje, a profesor Patočka przytłaczony swym męstwem życiem.

Przedstawiony niżej wybór czeskich felietonów ze stycznia-marca ubiegłego roku nie ma być ilustracją wspomnianej akcji represyjno-dyfamacyjnej, chociaż mówił o niej i bez ostrości pokazuje odrażającą polityczną powściągliwość dzisiejszej Pragi. Ale w jeszcze większym stopniu mamy do czynienia ze świadectwem owego innego życia i opozycyjnej inteligencji czeskiej: jej nieugiętość wobec przemocy, przywiązanie do podstawowych norm moralności i demokracji politycznej, odważne manifestowanie swego istnienia, a także jej pracowitości i zdumiewającej weny twórczej, filozoficznego stosunku do świata, humoru i dbałości o nie obniżanie lotu pod żadnym względem. Ta dokumentacja życia mimo wszystko - wydaje nam się ważniejsza od dokumentacji tego, co tłumili i niszczy życie.

Wyboru felietonów - poza innymi walecznymi, naszym zdaniem, świetnych formalnie - dokonał tłumacz, mając do dyspozycji liczne teksty, nieustannie krążące w Czechostowackiej poza zasięgiem cenzury, m.in. powielane przez nieoficjalne wydawnictwo "Skobel" /po czesku "Petlice", co u nas tłumaczy się również jako "Kłódka"/. Od tłumacza otrzymaliśmy także tekst listu L. Vaculíka do prokuratora generalnego CSRS z dn. 26 stycznia 1977, którego fragment przytoczymy, ponieważ stanowi rodzaj komentarza do spraw poruszonych w pierwszym felietonie:

"W tygodniku "Ahoj" nr 5 ukazała się kłamliwa wiadomość, że sporządziłem i puściłem w obieg serię fotografii pornograficznych. W dzienniku "Lidova demokracie" kłamstwo to dziś się powtarza.

Dowiedziałem się, że pewnego dnia między 17 a 19 b.m. kierownik działu fotograficznego Czechostowackiej Agencji Prasowej, Lomoz, przed końcem pracy zwolnił pracowników do domów o godz. 14., a do laboratorium przybyli inni ludzie, którzy do rana sporządzili tam 3500 fotografii o treści pornograficznej. Na protesty pracowników następnego dnia kierownik wyjaśnił, że to zadanie dostał od Svercliny, dyrektora Czechostowackiej Agencji Prasowej.

Nam powód, by przypuszczać, że jest to prowokacja przeciw mnie, ponieważ we wrześniu ubiegłego roku byłem szantażowany i grożono mi taką właśnie kampanią, jaka rozpoczęła się w "Ahoj".

Być może, pamięta Pan, Panie Prokuratorze Generalny, że w roku 1975 skarżyłem się Panu na to, że podczas rewizji domowej zostali mi zabrane rzeczy, które z działalnością karalną, o jaką byłem podejrzewany, nie miały nic wspólnego, zwłaszcza fotografia o charakterze prywatnym i niezliczona ilość negatywów bez protokołarnego stwierdzenia treści. Nie błona na siebie odpowiedzialności za wszystko, co jeszcze może być następstwem owej rewizji domowej. Co się tyczy tej sprawy, składam skargę na majora Martinovskiego, który dopuścił się zarówno przekroczenia uprawnień, jak i szantażu. Do Pana jednak piszę po to, żeby Pan przynajmniej teraz wystąpił przeciw sprawcom nowego przestępstwa."

Jeszcze jedno wyjaśnienie: doktor praw honoris causa, o którego chodzi w tymże pierwszym felietonie - to sekretarz generalny ONZ, Kurt Waldheim, który otrzymał tę godność na praskim Uniwersytecie Karola w 1975 r. /w związku z czym Vaculík napisał wówczas do niego list otwarty/.

Proszę przekazać panu doktorowi praw h.c.

W nocy opowiedziałem jeszcze przez telefon jakiemuś korespondentowi w Wiedniu, że przesłuchania sygnatariuszy Karty 77 są prowadzone poprawnie, a rano zabrali mi telefon. Następnie odebrali mi prawo jazdy pod prawdziwym pretekstem, że jestem w nim bez zarostu, i nie pomogło powoływanie się na to, że od ubiegłorocznego lata leży u nich podanie o prawo jazdy z zarostem. Po ogłoszeniu Karty 77 telefonował ktoś do mnie, że mnie znajdzie i skończy na ulicy, lub że na skrzydle samolotu polecę zagranicę. Powiadomiłem Bezpieczeństwo Publiczne o przestępstwie szantażu i przygotowaniach do zabójstwa lub uprowadzenia zagranicę. Minęły dwa tygodnie i nawet mnie jeszcze nie wezwali, żeby spisać protokół. Przy tym śledztwo, jak sędze, nie byłoby beznadziejne; był to ktoś, kto ma samolot. Ale ja już od dawna wiem, że prawo działa tylko w jednym kierunku.

Będą już ze dwa lata, jak zjawiła się na mym progu grupa ludzi, pokazała nakaz rewizji i zabrała mi masę rzeczy, wśród nich również fotografie i niezliczone mnóstwo negatywów. Z największym nasileniem złej woli poczynali sobie człowiek, którego znałem - mówiłem o tym niechętnie - z gmachu Bezpieczeństwa Państwowego. Mój protest od razu na miejscu, a następnie na piśmie, był daremny, mimo, że ludzie ci przekroczyli treść nakazu rewizji, stanowiącą wyraźnie, że mieli szukać tekstów antypaństwowych. A więc nadużyli swoich uprawnień /§ 158 kk/, dopuścili się presji /§ 237 kk/ i ograbiali mnie /§ 254 kk/. Według rozumu i prawa byli to złodzieje ukrywający się za ustawami. Coś takiego znałem tylko z powieści z Dzikiego Zachodu, które lubiłem czytać jako chłopiec: banda rabusiów terrorizuje okolice, a ludzie są bezsilni, bo należy do niej zdradziecki szeryf.

We wrześniu ubiegłego roku, parę tygodni przed wyborami, dostałem wezwanie do urzędu Bezpieczeństwa Państwowego. Przyszedłem - i kogoż to poznałem wśród tych ludzi? Fałszywego szeryfa! Uprzejmiejczy z tych mężczyzn najpierw zaproponował mi, bym opuścił Wyoming - szybkiego konia mi dadzą. Gdy powiedziałem, że nie, zaczął się domagać, żebym przestał organizować "Skobel" i felietony. Zauważyłem, że w obydwu tych sprawach nie ma nic niezgodnego z prawem, że przeciwnie; powstały jako reakcja na niezgodne z prawem dławienie myśli i literatury. Wtedy wtrącił się do rozmowy fałszywy szeryf. Położył na stole papierową teczkę i dumnie rzekł:

- Kosztowało mnie to prawie dwa lata pracy, panie Vaculíku!

Po czym teczkę przede mną otworzył. Myśle, że w owej chwili nie jeden na moim miejscu chętnie opuściłby Wyoming. Byłem tak przegnębiony, że życzyłem sobie natychmiastowej ciężkiej choroby, byle tylko uniknąć podejmowania decyzji. Ale stałem przed nimi, przeciw okropnej przemocy uzbrojony tylko w to zdrowie i w goły gniew. Sięgnąłem do zapasów na czarna godzinę, wyprostowałem się i powiedziałem odważnie ntażystom:

- Jeżeli ośmielicie się to zrobić, napiszę o tym i wobec świata świniami okażecie się wy, a wiecie, że to potrafię.

Ani w chwili później, na świeżym powietrzu, ani w ciągu następnych tygodni nie wymyśliłem niczego lepszego. Jeżeli chcę utrzymać swą niepodzielność i nie dopuścić do wdarcia się rabusiów między niżejdanekowe części mej istoty, muszę bronić się cały, taki jaki jestem, z zarostem i u góry i na dole. Mogłem już chyba zrobić tylko jeden drobiazg: opowiedzieć o tym w domu przyjaciółom. Co też zrobiłem - i wszyscy posmutnieliśmy.

Jeśli używam słowa "rabusie", to tylko z ostrożności. Nie chcę uprzedzać śledztwa w całej tej sprawie i twierdzić, że byli to pracownicy Bezpieczeństwa Państwowego. Nie sędzę, by mógł tak postępować jakiś funkcjonariusz państwowy. Dlatego po tej przygodzie postanowiłem poprosić o audiencję u federalnego ministra spraw wewnętrznych i powiedzieć mu, co się dzieje. Było to przed wyborami, a on kandydował w naszym okręgu. Jeśli przyjmie mnie jako mój deputowany, powiedziałem sobie, będę na niego głosować. Ale na mój list do dziś nie dostałem odpowiedzi. Myślę, że któryś z bandytów ją ukradł.

Dnia 6 stycznia ogłosiliśmy Kartę 77 i tegoż dnia wieczorem zjawili się rabusie. Fałszywy szeryf ex abrupto, bez papierów, oświadczył, że jestem

aresztowany, odebrał mi klucze od mieszkania, szperał mi po kieszeniach, a przy drzwiach postawił rewolwerowca z pasem od spluwy zapiętym w poprzek swetra. Znow brali wszystko, co chcieli: rękopisy, książeczki oszczędnościowe, a nawet Dziennik Ustaw z obwieszczeniem nr 120, zawiadamiającym, że w naszym państwie wszedł w życie Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych.

Nastąpił tydzień przestuchań, podczas których zrodziła się we mnie nadzieja, że prawo obowiązuje: prawdziwy śledczy z Bezpieczeństwa Państwowego nie twierdził, że podpisując Kartę 77 popełniłem przestępstwo. Chciał tylko wiedzieć, kto zbierał podpisy itp. W południe zawsze dostawałem obiad a po nim kawę.

- Jest pan gościem naszego urzędu - mówił.

Dopiero gdy wracałem do domu, dowadywałem się, co się dzieje na zewnątrz. Bandyci najwidoczniej wdarli się do telewizji i do wszystkich redakcji. Mówili i pisali o nas tylko oszczerczo, wypędzali nas z kraju, odmawiali nam przynależności do narodu i posiadania mózgu w czaszce, oskarżali nas o zdradę, wyśmiewali się że kiepsko piszemy, wiązali nas z nie cieszącymi się dobrą opinią ambasadarami Wielkiej Brytanii i - least but not last - oznajmili nam, że na przedmieściu Pragi, na Čakovicach, nie dostaniemy piwa. Od przyjaciół dowadywałem się, że niektórzy sygnatariusze Karty 77 zostali wyrzuceni z pracy, czterej sygnatariusze, wśród nich i Václav Havel, znaleźli się w niewoli, a Pavla Kohouta jakiś szaleniec chciał zastrzelić na ulicy. Prawdę mówiąc, bezpiecznie czuli się tylko ci z nas, którzy siedzieli na przestuchaniach na Ruzyni. Raz, gdy wypuszczali nas stamtąd w wieczorny mrok, siedemdziesięcioletni profesor Patocka westchnął: "I znowu do tej dżungli!"

Bodajże piątego dnia śledczy przyjął do wiadomości, że moje odpowiedzi na jego pytania nie będą inne niż dnia pierwszego: "Odmawiam odpowiedzi". I zaczął rozmawiać ze mną o gatunkach jabłek. Zwrócił mi także książeczki oszczędnościowe, większość rękopisów i obwieszczenie nr 120. Jakież było moje zdumienie, gdy następnego dnia w tygodniku "Ahoj" bandyci wydrukowali mą podobiznę na golasa! Naprawdę na golasa. Zdarzyło się to już knuś z was? Czy to jest gdzieś możliwe?

Zamierzam złożyć skargę na fałszywego szeryfa o szereg przestępstw. Następnie składam skargę na czasopismo "Ahoj". Nie wiem tylko, czy znajdę adwokata, gdyż w okolicy grasuje banda rabusiów maskujących się prawem. Jedyny, kto mógłby stanąć w mej obronie, to jakiś prawnik żyjący poza zasięgiem działania bandy. Przy czym życzę sobie, by był to doktor prawa czesostowackiego, to jest konieczne. Znam tylko jednego takiego. Żaden rabuś nie ośmielił się wystąpić przeciw niemu. On o mnie także wie, gdyż raz już do niego pisałem.

Proszę was, którzy jesteście ubrani, pójďte do niego i opowiedzcie mu wszystko. Ja jakoś nie mogę, w tej chwili.

Praga, 25 stycznia 1977 r.

O donosicielstwie, szantażu oraz innych motywach
-----nadhodzącej wiosny-----

Każdy czytelnik powieści kryminalnych zna tę banalną sytuację: ktoś zaplątał się w towarzystwo gansterów, po czym przejrzał na oczy i zaczął nowe życie. Jeżeli śledzi cicho, gangsterom to nawet szczególnie nie przeszkadza. Ale biada mu, jeśli w jakiś sposób zagrozi ich interesom. Wtedy odwieżdża go wystannik bandy i przystawia mu nóż do gardła. "Już zapomniłeś, jak za młodu stałeś na świecy podczas tego napadu na bank? No to ci przypomniemy. Dowiedz się twoja żona, dzieci, przyjaciele. Dowie się i policja. Więc jak? Będziesz jeszcze po stronie prawa i sprawiedliwości?"

Z gangsterami z powieści kryminalnych nie miałem nigdy nic wspólnego, więc żaden do mnie nie przyszedł. Natomiast Stanisław Oborski napisał o mnie we wtorek 1 marca 1977 r. wielki artykuł do "Rudego práva". Takі człowiek - i bojownik o ludzką prawą, o demokrację polityczną? Spójrzcie, co pisał w liście do pewnej komisji partyjnej dwadzieścia sześć lat temu. O Marli Švermowej, o Františku Krieglu, o Ottonie Šlingu i nawet o swoim nieżyjącym już ojcu. Przecież to donosiciel!

Czytam raz, czytam drugi - i własnym oczom nie wierzę. W "Rudym pravie" - i takie rzeczy nazywane są po imieniu! Oto piszą, że to, czego okryte chwałą gottwaldowskie kierownictwo KPCz domagało się kiedyś od komunistów w imię "rewolucyjnej czujności", było donosicielstwem. Oto mówią, że to, co wówczas każdy komunistą miał stosować jako "pryncypialną partyjną postawę" wobec siebie, swoich rodziców, dzieci i przyjaciół, było sprzeczne z normalną ludzką moralnością.

Niczego podobnego nie czytałem w prasie partyjnej KPCz przynajmniej od dziewięciu lat, i teraz jest to aktualne. Przecież już drugi miesiąc prowadziśmy kampanię przeciwko jakimś "zdrajcom ludu i najmitom imperializmu", przeciwko bandzie "samozwańców" - zupełnie jak w roku 1950. Jak dohrze w takiej chwili przypomnieć wszystkim, którzy chcieliby może potępić i wyklinać innych, nawet nie wiedząc, za co, że jest to podłość, nikczemność donosicielstwo. Jak pożytecznie zwrócić im uwagę, że w ten sposób mogą przystąpić się również politycznym zbrodniarzom, jak się to już raz stało przed dwudziestu pięciu laty.

Tym więc po długiej przerwie "Rude Pravo" naprawdę sprawiło mi radość. Ale skłamałbym twierdząc, że było to jedyne uczucie. Bo dreszcz przeszedł mnie także. Na wspomnienie o sobie samym sprzed dwudziestu sześciu lat. Niczego nie zmienia tu fakt, że były nas tysiące, takich sfanatyzowanych statystów, opanowanych przez doświadczonych reżyserów scen zbiorowych. Również jako dwudziestoletni statysta byłem już - i jestem do dziś - osobiście odpowiedzialny za to, że na znak reżyserów w tłumie podobnych w wyznaczonej chwili albo hałasowałem, albo - przeciwnie - milczałem, oburzałem się, nie nawidziłem, demonstrowałem entuzjazm albo pisałem to, czym Oborski chce mnie dziś szantażować.

Tego szantażu się nie boję. Jest zbyt przejrzyisty. Lecz tę odpowiedzialność czuję. Zrozumiałem ją już ładny czas temu. Miałem to szczęście, że już w rok po napisaniu żenującego listu sam stałem się obiektem donosu innych, tak samo czujnych towarzyszy i kolegów, jako "agent ośrodka antypartyjnego". Możliwe, że również któryś z tych listów, dla odmiany denuncjujący mnie, przeczytamy w "Rudym Pravie". Pisali je bowiem ludzie, którzy nie tylko nigdy później nie stali się donosicielami, ale mają dziś takie same poglądy polityczne jak ja. Od dawna nie mamy sobie tego wzajemnie za złe. Ponieważ w gruncie rzeczy tym donoszeniem okazaliśmy sobie pomoc. Nie doszliśmy drogą donosicielstwa do zbrodni politycznych i dlatego mogliśmy drogę tę porzucić, a za dymną zastonę stalinowskich komunistycznych frazesów dostrzec prawdziwe oblicze sprawy.

W ćwierćwieczu, jakie upłynęło od tamtych czasów, miałem niejedną kłopot. przez to, że z owej drogi zszedłem. Im bardziej kierowałem się własnym rozumem i własnym sumieniem, a nie wskazówkami reżysera, tym te kłopoty by-

ty większe. Osiągnęły szczyt po sierpniu 1968 r. i ciągną się do dziś. I widzę wokół siebie mnóstwo ludzi w identycznej sytuacji. Wcale tu nie ma znaczenia, kto i kogo oskarżał przed wielu laty. To samo przez się na nikogo z nas kłopotów nie ściga. Kłopoty zaczynają się wtedy, gdy z tym zrywamy: gdy już nie piszemy listów i donosów tam i wtedy, gdzie i kiedy spodziewają się po nas na górze. Właśnie dlatego także wszystkie nazwiska, które pan Oborský z takim smakiem wymienia w "Rudym pravie", są dzisiaj zaseregowane całkiem inaczej. Nazwisko Marii Švermowej, Františka Kriegla, nazwisko moje i nazwisko syna straconego Oty Šlinga, Karla - znajdują się dziś na liście sygnatariuszy Karty 77.

Każdy wie, że ta lista nie jest listą uprzywilejowanych i nie otwiera drogi do zawrotnej kariery. A jak mogło mi się powodzić, gdybym naprawdę stał się donosicielem! Gdybym wytrwał w tym fachu, to ta "citra 603", która z trzema panami stoi przed moim domem i towarzyszy mi na każdym kroku, mogłaby zwozić mnie. To, co pan Oborský ujawnia jako brudną plamę na moim życiorysie, mogłoby pozostać w ukryciu i stanowić niemąłą ozdobę moich tajnych akt personalnych. Mógłbym mieć przyzwoite stanowisko, a nie zostać wyłany w ciągu jednej godziny nawet z podrzędnej posadki w Muzeum Narodowym. Przecież choćby pan prokurator Eduard Švach, który Marię Švermową naprawdę postawił do więzienia, jest teraz sekretarzem dziekanatu Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Karola i oczywiście członkiem KPCz. A pan doktor praw Urválek, który postawił na szubienicę jedenastu niewinnych ludzi, jest zastępczym pracownikiem prokuratury na zastępczym i dobrze zabezpieczonym odpoczynku. A co dopiero reżyserzy i pomocnicy reżyserów ówczesnych krwawych scen? Ci mają jeszcze po śmierci pomniki, a jeśli żyją - specjalne emerytury i wszystko, co się należy ludziom zastępczym.

Lecz o tym pan Oborský już w "Rudym Pravie" nie pisze. Widocznie nie życzą sobie tego reżyserzy, którzy dziś przydzielają chałtury swym wybrancom. Dlaczego właśnie tak? Ci gangsterzy, o których była mowa na wstępie, także nie mówią: "A teraz ogłosimy całą prawdę o tym napadzie na bank". O to przecież nie chodzi. Ujawni się to tylko, co trzeba. Że ten, kto z nimi zerwał, kto im przeszkadza, kiedyś też brat w tym udział. Że "stał na świecy".

I to już w artykule pana Oborskiego znowu mi się podoba. Mianowicie, że kiedy on i jego reżyserzy chcieli naprawdę dotkliwie mnie znieważać, musieli uciec się do okrzyku: "Nie wiercie mu, on także miał coś wspólnego z nami!"

Cóż argument to rzeczywiście plugawy. Ale ja wierzę, że nasi ludzie od dawna już myślą samodzielnie, posługując się własnym rozumem, a nie wskazówkami reżyserów. A więc sami w swych głowach rozważają to i osądzają.

Praga, 2 marca 1977 r.

Śmiertelna choroba

Pan profesor Patočka zmarł na śmiertelną chorobę. Nie mam na myśli grypy, która tej zimy szalała w Pradze, a po której pan profesor wstał zapewne zbyt wcześnie. Nie była to również choroba jego serca, którą znał i umiał z nią postępować. Mógłby sobie odpocząć i być wśród nas. Ale nie umarł także na udar mózgu, który ostatecznie był przyczyną jego śmierci. Do niego bowiem również dojść nie musiało. Na co więc naprawdę zmarł profesor Jan Patočka?

Profesor Patočka był mężczyzną wysokim i silnie zbudowanym. Jego twarz miała rysy twardego, kościstego wleśniaka, lecz jego oczy były łagodne, a mowa w dążeniu do precyzji powolna i staranna. Swe zdania, poszukujące prawdy, częstokroć kończył pełną temperamentu kropką ostatecznej pewności. Życie upływało mu w gruncie rzeczy na uboczu, znany był jedynie swoim uczniom, przyjaciółom i wtajemniczonymu kręgowi fachowców od filozofii. O jego filozofii nikt nie potrafił powiedzieć, ponieważ jest to dla mnie za trudne. Wiem tylko, że wiązała się z jednej strony z Husserlem i fenomenologią, o której ciągle nie wiem, czym jest, a z drugiej – bardziej oczywiście – z Komenskim i Masarykiem. Ale pisywał także aktualne eseje i studia, w których mówił o praktyce naszego życia społecznego, poruszając szerokie kręgi czytelników nie zajmujących się filozofią. Niestety, nie mogliśmy czytać ich często, ponieważ miał trudności z publikowaniem. Czasem pisywał tylko dla zagranicy albo anonimowo. W ciągu trzydziestu lat jego działalności pedagogicznej wolno mu było wykładać tylko około pięciu. Profesorem Uniwersytetu Karola został mianowany w dwadzieścia lat od chwili, gdy zgłoszono jego kandydaturę. W roku bieżącym w czerwcu skończyłby siedemdziesiątkę.

Na początku bieżącego roku nazwisko profesora Jana Patočki obiegło kraj i świat: gdy został jednym z rzeczników Kartę 77. I wszyscy zdumieliliśmy się, gdy przemówił: język, który przyniósł ze swego milczącego na tematy polityczne życia, był całkowicie inny niż ten, który słyszeliśmy z ust naszych co lepszych lub polepszonych działaczy: pełen oryginalnych argumentów, wyprowadzonych zapomnianymi metodami z czystej logiki, zdrowego rozsądku, powszechnych doświadczeń i z dobrej woli wobec przeciwnika. Do wadzy politycznej adresował te słowa ktoś, z kim ona dawno już zapomniata inteligentnie rozmawiać, gdy dopuściła do głosu dziennikarskich ciemniaków, kłamców i gwałcicieli.

Profesor Patočka ze swą ponadpaństwową filozofią nadal mógł skromnie istnieć i żyć. Nadal mógł działać w prywatnym kręgu swoich młodych uczniów i coraz liczniejszych czytelników. Mógł podpisywać tomy swoich ostatnich prac, których nie wolno było wydać po czesku. Filozof Patočka zaszkodził sobie ostatecznie tym, że dał się poznać jako obywatel, którego niemal przez całe życie nie dopuszczano do głosu, wobec czego wreszcie postanowił dopuścić się doń samemu. W ostatnich artykułach, pisanych w obronie Kartę 77, twierdził nadzwyczaj grzecznie i tolerancyjnie, że wszyscy chcemy być równi wobec prawa, jak odnotowano w ustawach, ale i poza ustawami: równi w przyrodzonym prawie do różnicowanego rozwoju jednostki. Mamy nie tylko prawo do wolności, ale również trudny obowiązek wolności i dyscypliny. Starszemu pokoleniu język ten przypominał okres młodości, gdy myśl czeska zajmowała się samodzielnie tematem socjalizmu i gdy jeszcze nie zarządzało, że nie ma tu nic do gadania. Dla pokolenia młodszego taki język był czymś niestęchanym i radośnie wstrząsającym. Toteż ministrowie nie chcieli go słuchać – z wyjątkiem jednego, ale ten był holenderski.

Byłem przy tym, gdy pan profesor szykował się na spotkanie z panem van der Stoepem. Zdumiało mnie, jak szybko ze swojego zielonego szlafroka przebrał się w ciemny, niedzielny garnitur – biała koszula, krawat, a nad nim zarumieniona, energiczna, w ostatnich tygodniach wyraźnie odmłodniała twarz. Powiedziałem: "Ależ panie profesorze, jest pan jeszcze chory!" – Wtedy widziałem go po raz ostatni. Z następnych dni życia obrabowały go przesłuchania. Podczas ostatniego z nich powiedział, że źle się czuje, i

prosił, by pozwolono mu udać się do domu. Śledczy sami byli zaniepokojeni jego stanem, ale tłumaczyli się przed nim, że nie mają uprawnień, by go wypuścić. Dopiero gdy zrobiono mu się jeszcze gorzej, uzyskali telefonicznie od jakiegoś przełożonego zgodę na zwolnienie. Następnego dnia profesor Patočka musiał iść do szpitala. Tam po kilku dniach zmarł na udar mózgu, na śmiertelną chorobę swobód obywatelskich, prawa i mądrości politycznej w naszej kochanej socjalistycznej Czechosłowacji.

Zmarł jako Czech w Europie. Pewne jest, że gdyby nie chciał tego, czego chciał, nie musiałby umrzeć. Przecież my, pozostali, także możemy wybrać. Jeżeli ciągle będziemy chcieli tego, czego chcemy, też wszyscy możemy umrzeć. Ponieważ taka śmierć to jest definitywny N M, jeśli chcemy, że- by nam wreszcie uwierzono, że N M ! Jeśli będzie musiało dojść aż do tego, to - powiadam - nie będziemy w Europie ostatni, których to spotyka.

Praga, 16 marca 1977 r.

Niemý pogrzb

Poświęcone tym, którym przemocą uniemożliwiono wzięcie w nim udziału

Będąc w Berlinie Wschodnim miałem możliwość przeczytać książkę wschodnio-niemieckiego pisarza Reinera Kunze "Wspaniałe lata", która wyszła w ubiegłym roku w Fischer-Verlag we Frankfurcie nad Menem, a w NRD krąży obecnie w maszynopisach. Jedna trzecia tej książki poświęcona jest Czechosłowacji, mianowicie temu nieszczęsnemu krajowi po sierpniu 1968 roku. Jeden z konkretnych tekstów, zatytułowany "Pogrzb", opisuje pożegnanie z Josefem Smrkowskim: policja zablokowała ulicę prowadzącą do krematorium na Motole i nawet samochody jadące w stronę Pilzna kierowała na długi objazd... Przemawiał X. Zezwolono mu mówić tylko pięć minut. Rzekł: "Dobra, starczy". Przed krematorium powiedzieli mu: "Tylko jedną minutę!" Rzekł: "Dobra, starczy". Potem nad trumną powiedział: "Josef Smrkowski zmarł. Proszę, by wszyscy powstali". A następnie: "Dziękuję wam". Równą jedną minutą... Opuszczając tłumnie krematorium ludzie nie widzieli drogi pod nogami. Tu i tam byli jeden - dwa stopnie, ci z przodu zawsze informowali tych za sobą: "Stopień" - i nikt się nie przewrócił.

Mottem tekstu Kunze jest zdanie zażywane przez niego od pewnego czasu: "To jest czas naszych pogrzebów".

Gdy w niedzielę wróciłem do Pragi, dowiedziałem się, że zmarł profesor Patočka.... Wcale nie pasowała mi ta wiadomość do spokojnego, niemal już wlośnennego wieczora, ale to była prawda. Chociaż prasa czechosłowacka nie wspominała o tym ni słowem.

We wtorek po południu zadzwonił telefon: "Pogrzb jest jutro o dziewiątej u Świętej Małgorzaty na Břevnovie".

Gdy w środę na krótko przed dziewiątą wsładałem do sto trzydziestki czwórki, w mgnieniu oka wyczułem, że nie jestem jedynym, który jedzie na pogrzeb. Było zupełnie inaczej niż jakiegokolwiek przeciętnego dnia w Pradze: w miarę jak autobus przejeżdżał przez miasto i wsładali następni uczestnicy pogrzebu, z twarzy pasażerów jakby znikła powszednia obojętność. Nie wyglądali na szczęśliwych, ale raptem nie było już widać tych zmęczonych, ośpiatych i strapienych szarych twarzy codziennych, zatłoczonych podróży. Jakby pojawił się ośrodek, jakiś punkt w czasie i przestrzeni, nadając kierunek myślom i gestom, i choć nikt nic nie mówił, w autobusie wytworzyła się atmosfera niewypowiedzianej solidarności.

Podjeżdżając pod Świętą Małgorzatę autobus minął policjantów zamykających główną ulicę. Było to absurdalne: sygnatarlusom Karty odmówiono prawa jeżdżenia samochodami osobowymi, ulica była zamknięta, a mimo to im dalej, tym więcej policjantów ze służby ruchu, w niewinnych białych czapczkach... Autobus był do połowy wypełniony, pasażerowie zupełnie jednoznaczni: większość napewno jedzie na cmentarz. Ale żaden nie wiedział dokładnie, gdzie trzeba wysiąść. Kiedy autobus stanął na właściwym przystanku, wszyscy popatrzyli na siebie, pierwszy raz podczas całej jazdy, kiwnęli głowami - i wysiedli: "Tak, to musi być tutaj".

I było. Tłumy ciągnące ze wszystkich stron ku Świętej Małgorzacie mijają rozstawionych strategicznie policjantów w mundurach - i w cywilu.

Szliśmy pod górę wzdłuż cmentarnego muru. Dołączali do nas coraz to nowi, idący w stronę cmentarza wprost przez pole i zbocze, przez ogród, wzdłuż stadionu motocyklowego "Czerwonej Gwiazdy" - Praga 6, Klub Sportowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych... Na błękitnym niebie gdzieś nad Motelem unosił się śmigłowiec.

Z góry musiał to być fascynujący widok. Drobnie, filigranowe figurki ludzi jak dośrodkowe promienie wedrujących w przedmiejskim krajobrazie po zieleniejącej trawie, pod nagłymi jeszcze drzewami, oświetlonymi słońcem, do jedynej otwartej bramy cmentarza. Gdyby tam w górze siedział ktoś inny, musiałoby to nasuwać mu na myśl wędrówki górskie.

Przed bramą cmentarza stały na statywach dwie kamery, szczytowe osiąga-

nięcia zachodniej techniki, i pracowali bez przerwy, wymierzone w dwa strumienie wolno kroczących ludzi. Obok nich stała grupa mężczyzn, którzy najwyraźniej mieli wojskowe stopnie, a w szarach, w swych mieszkaniach, pa-radne policyjne mundury. Niektórzy rajcowali i śmiali się. Przecież jest pięknie!

Żaden z przechodzących nie starał się zasłonić twarzy przed kamerami: nieomal tysiąc ludzi przeszło ukazując się im otwarcie i z godnością.

Wszystkich nas sfilmowano jeszcze raz, kamerą "Sony" w rękach dwóch cy-wilów między grobami. Skupiliśmy się wokół kaplicy. Było wpoł do dziesią-tej i połowa cmentarza była już zaludniona przez żywych. Było cicho, spo-kojnie, ludzie nie rozmawiali, milczące postacie stały niemal w bezruchu, tylko to tu, to tam skinieniem głowy witając swych znajomych. Potem tłum cicho się rozstał, z szacunkiem i pietyzmem przepuszczając rodzinę.

Za dziesiątą dziesiątą zaryczały za cmentarnym murem silniki wyścigowych motocykli. Huk pracujących na wysokich obrotach motorów bez tłumików głu-szył wszystkich i wszystko. Od Motolu nadleciał śmigłowiec i zaczął krą-żyć nad cmentarzem. Nikt nie poruszył się, nikt się nie odezwał, wszyscy wiedzieli; ludzie zacisnęli zęby i stali, nie dając się wyprowadzić z pod-niosłego nastroju.

Później nagle z głównej alejki zaczęto cofać się między groby, robiąc szerokie przejście dla dwóch starszawych księży, trumny, rodziny i przy-jaciół, do których na krótkiej trasie od kaplicy do grobu dotęczyli też wszyscy inni.

Nad otwartą mogiłą ksiądz otwierał usta, ale głos jakby z nich nie wy-chodził; wszędzie jedynie ryk motorów, uzupełniany od góry warkotem heli-koptera. Nie tylko nie można było zrozumieć, co ksiądz mówi, nawet domyś-lenie się było wykluczone. Potem ksiądz chyba śpiewał. Nie wiem napewno, sedzę tak po wyrozie Jego oczu. Słyszałem tylko wszechobecny hałas oraz widziałem panią w czerni stojącą koło trumny; płakała rozpaczliwie i sta-rata się nie zwracać uwagi na ten haniebny huk - na próżno. Widać było, że bliska jest załamania - lecz wytrwała. Ci, co stali przy trumnie, zaczęli się modlić. Widziałem, jak poruszają ustami, i myślę, że modlili się na-głos. Nikt nie próbował przekrzywić huku. Niewątpliwie wierzyli, że Bóg słyszy ich również poprzez ryczące motocykle Ministerstwa Spraw Wewnętrz-nych./--/

Na murze cmentarnym stali następni trzej z policji politycznej z kame-rą i uśmiechali się pogardliwie, kręcąc swój kryminalny film. Młodzieńki tajniaczek usiłował zatrzymać i odprowadzić dwóch młodych ludzi z apar-a-tem fotograficznym. Ludzie około zablokowali go własnymi ciałami i umoż-liwili tym dwóm zniknięcie w tłumie, chociaż każdy rozumiał, że tu nie ma ucieczki, że mogą na nich czekać przed cmentarną bramą albo gdziekolwiek...

Tłum zaczął przechodzić szeregi koło grobu, aby złożyć ostatni hołd profesorowi. Ktoś spróbował przemówić nad grobem, wszyscy zbili się cias-no wokół niego, aby słyszeć chociażby strzępki słów, lecz mogli tylko pa-rzeć na poruszające się wargi, na otwierane usta, spoza których n a p o-ł ó r nie dobywał się dźwięk. Ale znów wszyscy wiedzieli, że jeżeli gło-su nie słychać, bo jest zagłuszany, nie oznacza to jeszcze, że człowiek jest niemy. Chyba z tysiąc osób przeszło następnie koło grobu pod nadzo-r-em policyjnych kamer i każdy rzucił na trumnę garstkę ziemi. Gdy przecho-dzili ostatni, trumna była już do połowy zasypana.

/--/ Ryk motorów powoli cichł. Nie był już widac potrzebny. Ostatnie dziesiątki ludzi przechodzili nad grobem, wdychając powietrze skażone spa-linami.

Młodzieniec w czarnym swetrze i w dżinsach położył na kopczyku ziemi przy grobie profesora Patočki cierniową koronę.

Praga, 17 marca 1977 r.

Pogrzeb rzecznika.

Zamierzałem iść na pogrzeb, ale na ten sam termin dostałem wezwanie do pewnego urzędu. Jak na złość, powiedziałem sobie. Wstałem do urzędu pisemnie usprawiedliwienie, że idę na pogrzeb, a poza tym byłem zdecydowany uciec się do podstępów. Pogrzeb miał być o dziesiątej, lecz ja postanowiłem wyjść z domu niewiarygodnie wcześnie: już o szóstej rano. Tylko że urząd mnie przechytrzył: gdy tak niewiarygodnie wcześnie wyszedłem z domu, czekało na mnie auto: "tatra 603" znanego, odrażającego kształtu, we wstrętnym ciemnym kolorze.

W budynku zaprowadzono mnie do pokoju na parterze. Przywitali mnie dwaj panowie: jeden mniej więcej w moim wieku, nazwiska zapomniałem, drugi był bardzo młody i nazywał się Kučera - Jego nazwisko figurowało na wezwaniu. Starszy mężczyzna powiedział:

- Zaprosiliśmy pana, ponieważ jest ten pogrzeb. Nie będziemy robić tu panu żadnych przykrości, nawet nie będziemy mówić o Karcie, w ogóle nie musimy rozmawiać, jeśli to panu bardziej odpowiada. Może pan sobie czytać, jeśli akurat ma pan co, albo coś panu pożyczymy. Może pan także spać. Po pogrzebie puścimy pana do domu. Proszę! - zrobił zapraszający ruch w stronę fotela pod oknem, sam usadowił się w drugim. Młodego zachęcił, żeby usiadł za biurkiem:

- Ty sobie możesz studiować - rzekł mu ojcowiskim głosem i tonem.

Odwiesiłem mój czarny, pogrzebowy płaszcz, wyciągnąłem z kieszeni książkę, którą zamierzałem czytać w tramwaju, i usiadłem w fotelu. Jeszcze się zapytałem:

- A gdybym nie wyszedł z domu i nie poszedł ani do was, ani na pogrzeb?

- Myślelibyśmy, że pan po prostu odpoczywa, i już.

- Hm. Ale to przecież można było uzgodnić - powiedziałem.

- Ja też tak myślę - przytaknął ostrożnie. uśmiechnął się i dodał: - Na przyszły raz.

Był miły, zrównoważony człowiek, mniej więcej pięćdziesięcioletni, domyślałbym się w nim najpewniej ekonomisty lub technika. Nie maskował się możliwie najprzeciętniejszą odzieżą, przeciwnie, był ubrany z dużym poczuciem smaku. Mógł to być również kryminolog, czyli prawdziwy detektyw, wyjątkowo użyty w tym pracowitym dniu. Chodziło przecież o pogrzeb pierwszej klasy. Urodził się na południu Czech. Jego ojciec był robotnikiem leśnym. Skromne, wyraźnie szczęśliwe dzieciństwo upłynęło mu na łonie natury, pośród drzew i zwierząt, na przygodach i zabawach z kolegami narodowości czeskiej i niemieckiej. Potem stało się coś i kolegów rozdzieliła ściana chłodu. Do lasów przybyli czechostowaccy żołnierze i zajęli betonowe forty. Także ojciec został powołany do armii. I żołnierze, i ludność, pełni byli zapału, chcieli walczyć. Potem pewnego ranka pan nauczyciel wszedł do klasy, klasa wstała, nauczyciel przez chwilę milczał, nim powiedział: "No i nie mamy już republiki!" - i rozpłakał się. Zabór terenów nadgranicznych, przeprowadzkę w głąb kraju... i wszystko, co nastąpiło później, "ci znają już tylko z historii!" - machnął w stronę młodzieńca za potężnym biurkiem.

- Uczysz się? - przypomniał mu i rozpostart w powietrzu "Rudé právo".

Otworzyłem moją książkę. Było wpół do ósmej.

- Co też pięknego pan czyta? - spytał.

- "Jacy jesteśmy" Ferdinanda Peroutki - odpowiedziałem z zamiarem nie rozwijania tego tematu, lecz gdy młodzieniec z błyskiem zainteresowania unosił głowę z nad biurka, zmieniłem postanowienie: - To rozważania o charakterze narodu czeskiego, pisane w latach dwudziestych. Peroutka zastanawia się, czy odpowiada prawdzie to, co przyjęto uważać za nasze cechy narodowe. Na przykład czy jesteśmy humanitarni, nastroszeni pokojowo czy wojowniczo, w jakim stopniu tkwi w naszym charakterze skłonność do demokracji; potrzeba wolności, umiejętność poddania się dyscyplinie, pracowitość, chęć kształcenia się i tak dalej.

- Hm - rzekł mężczyzna.

Młodziak znowu pochylił się nad książką.

Z ulicy za oknem było słychać rozmowę szoferów, siedzących w pogotowiu za kierownicami. "Jardy nie widziałeś? Jakbyś go widział, no to mu powiedz..."

A ja akurat czytałem:

"Szukając w postępowaniu Czecha Jego żywej wiary łatwo stwierdzić, że pierwszą naszą żywą wiarą jest przekonanie, iż człowiekowi powinno się dobrze powodzić. Jest to wiara, która stanowi siłę napędową nowoczesnych narodów i żadne cechy słowiańskie, o których się mówi, nas od niej nie odwiódł. Także naszego najnowszego życia politycznego nie można zrozumieć bez znajomości tej żywej wiary".

Czytałem w skupieniu, aż dziw, to tu, to tam robiłem na marginesie znaczek. Zauważyłem, że chłonę tekst wyjątkowo szybko i płynnie niż zazwyczaj. Uprzejmy nadzór, spokój wynikający ze świadomości, że i tak nic innego robić nie można, i zapewniony czas na to, co robię - wszystko to budziło we mnie zapomniane poczucie radołolenia z systematycznego studiowania. Dlaczego właściwie sam nie miałbym zorganizować sobie tak czasu każdego przedpołudnia? Ta książka w rękę, ci dwaj ludzie ze mną, ten gmach ze swoimi dźwiękami i wszystkim, co - można się domyślać - w nim się odbywa, głosy i kroki na chodniku za szybą okna, świadomość głównego wydarzenia dzisiejszego dnia, wyobrażanie sobie, jak ono przebiega, doświadczenia z ostatnich włokących się powoli lat, przeżyłcia z ostatnich szybko bieżących tygodni - czyż nie był to laboratoryjnie kompleksowy zestaw materiałów, pomocy naukowych i instrumentów do studiów na ten właśnie temat: "Jacy jesteśmy"?

Za oknem rozległo się nagle trzaskanie wielu ciężkich samochodowych drzwi, tłumione starty z dobrym przyspieszeniem - i znów cisza. Drgnąłem: żebym się koniec końców na ten pogrzeb nie spóźnił! Było wprost do dziesiętej. Także mój rówieśnik popatrzył na zegarek, chociaż mógł mnie zapytać. Złożył gazetę i wyciągnął z teczek jakieś czasopismo. Zaczął rozwiązywać krzyżówkę.

"Masarykowski ideały czeskie są w większej lub mniejszej mierze ideałami ogólnoludzkimi. Jeśli Masaryk widzi typ czeski w odwadze myślenia, w konsekwencji życiowej, w humanitaryzmie oraz w energicznym zwalczaniu zła i przemocy - pisze Peroutka - to muszę powiedzieć, że nie ma narodu tak nędznego, by nie był zdolny uznawać tegoż ideału".

Przypominałem sobie, że także Jaspers mówił o rzekomym niemieckim charakterze narodowym powiała, że jest to nie oparta na niczym abstrakcja, która przybiera wygląd zależny od tego, do czego ją się akurat odnosi. I że to, co częstokroć wysnuwa się z charakteru narodów, powinno by się z większym już sensem wiązać z ich położeniem geograficznym. Czyli Anglicy przeniesieni do Niemiec postępowaliby jak Niemcy - mówi Jaspers, bądź też ja sam doszedłem już do tego pod jego wpływem. Prawda, że od tej pory trzymałem się już tego, stanowiło to dla mnie pewną pociechę. Od czasu do czasu pomagało mi także przeciwstawiać się dziennikarzom zachodnim: Ich lekceważącemu, obraźliwemu współczuciu dla nas lub taniej dumie z sytego bezpieczeństwa.

Natomiast Patočka - spojrziałem na zegarek i odłożyłem książkę na stół - wspomina gdzieś Herdera /tylko nie wiem już, czy się z nim zgadza, czy też ma jakieś zastrzeżenia/, uważającego, że państwa są wyrazem charakteru narodów.

Była za pięć dziesiąta, zdecydowałem się już poczekać, byłem na miejscu. Trumna płynęła z kaplicy w kierunku grobu. W tej chwili za cmentarnym murem ryknęły silniki motocykli, nad drzewami pojawił się helikopter i z niewłarogodnie jawnym zamysłem zaczął wypełniać cmentarz, trumnę, grób i dusze tysięcy ludzi komunistycznym warkotem... Na Boga, widzę, że zacząłem już mówić z nienawiścią, po raz pierwszy, wszyscy możecie to poświadczyć - wracam włączyć i usiłuję się poprawić: nadleciał helikopter sterowany przez niewolnika, aby dać wyraz pogardzie pana dla żywych i umarłych.

Tkanina do wyszywania na pięć liter? - powiedział starszy mężczyzna,

- Kanwa - odparł bystry młodziak.

"Jeśli Masaryk mówi: "Przemocą czy pokojem? Pługiem czy mieczem? Pokój, pługiem i pracą - oto odpowiedź czeskiego geniusza i historii", to

ta formułka zdaje się wyrażać ducha naszego rozwoju od początku XIX wieku aż po dzień uzyskania niepodległości. Kiedy jeden z przywódców narodowych umierał z głodu w dublińskim więzieniu, tłumy Irlandczyków stały i klęczały przed bramą, śpiewając pieśni religijne."

Jakiś człowiek stanął nad grobem i zaczął mówić, lecz nikt nie słyszał ani słowa. Ktoś ze starszego pokolenia wpadł na pomysł, żeby zaśpiewać teraz hymn. Ale w huku silników na ziemi i na niebie okazało się to niemożliwe.

"Dusza patetyczna nie znajdzie u nas tego, czego szuka. Przewrót 28 października /1918/ miał charakter niemal idylliczny. Gdyby przez cały ten dzień padał silny deszcz, rocznica przypadałaby zapewne dopiero na 29 października. Ruch komunistyczny, chociaż jest u nas większy, niż gdzie indziej, jest umiarkowany, jeśli chodzi o czyny, i zapewne dlatego właśnie jego zasięg nie zmniejsza się. Nasza burżuazja miałaby może ochotę na jakiś ruch faszystowski - pisze Peroutka - lecz absolutnie nie ma skłonności do tego życia na pół wojskowego."

- Koczownik na cztery.

- Awar.

"Kiedy Bakunin, zarośnięty i owiany prochem strzelniczym, przybył do Czech, wydał się Havlíčkowi wrogi i niezrozumiały."

Ludzie na drózkach pomiędzy krzyżami ustawiali się w rzędy, przechodząc nad grobem i rzucając na trumnę kwiaty oraz glinę. Urzędowni filmowcy i fotografowie wykonywali z tego dokumentację na dobre i na złe.

Za oknem dał się słyszeć wzmożony ruch: trzaskanie drzwiczek, kroki wielu ludzi. Była za kwadrans jedenasta. Ktoś zapukał do drzwi. Mój towarzysz wyszedł. Gdy wrócił, rzekł:

No to się to skończyło, może pan iść do domu.

Pobiegłem na aleję Narodową. Złapałem taksówkę. Pod kościołem Świętej Małgorzaty spotkałem ostatnich ludzi wracających z pogrzebu. W bramie cmentarza zostałem tylko wylegitymowany i sfotografowany, ale puszczono mnie dalej. Przez cichy i pusty gaj szedłem między krzyżami niemal w samą kąt.

A tam naprawdę była świeża mogiła. Z czego widać, że na pogrzeb nawet spóźnić się trudno. Spóźnić się można do żywego człowieka.

Praga, 17 marca 1977 r.

Przełożył Paweł Heartman, 1978

Anka Kowalska

ROZMOWY Z BRACMI

Ojcostwo

Temu co przyszedł zgarbił plecy milczał
nie trafił w papierosa płomykiem zapałki
oczy schował w powiekach i powiedział
wybacz

on ma
powiedział i zakaszał
synów
i tak z motyką na tę wielką ciemność
wybaczcie bracia

Temu powiedzieć że jesteśmy braćmi
nie jedynie w Chrystusie
ale właśnie w trwodze przed gęstnieniem ciemności

i że to dzieciom swoim
krzywicznym
i wnukom
powtórzy kiedyś swoje późne wybacz
wybaczcie
ja to dla was ja o was

gdy one
ślepa żrenicą wędrując po murach
będą się miały szczęśliwie jak krety

A zresztą może jemu to powiedzieć
to jak strzelić w tył głowy

świat mu się rozprysnie
a gdy czaszkę zablizni
wyprze się braterstwa

listopad 1977

Katharsis

W pewnym poemacie
w środek salonu i dysput o sztuce
upadła róża biała

i pochylono nad nią zachwycone czoła
i uciszono głosy wstępując w tę chwilę
jak w liryczne katharsis

Ale ci
gdy dzisiaj
w gorączce alkoholu i wolności słowa
rozhułanej w salonie od ściany do ściany

ci nie czekają róży
wystarczy drzwi zamknąć

Grzywy im jak lwom rosą
pęta rwą się na nich
jak na olbrzymie co ramieniem wzruszył
i nawet najskromniejszy
popatrz
jak brzmi dumnie

Ci z nich
którym w szufladach srebrnie śpią ordery

gardzą dziś orderami
 jeden rzekł w olśnieniu
 że pogardza sam sobą

Inni
 żujący na codzień zdźbto władzy
 splunęli na dywan
 wołni i zuchwali

A tak się rozumieją
 jak w miłosnym łożu
 ciało rozumie ciało:
 całym ciałem

albo jak bracia sjamscy
 stado sjamskich braci:
 ta sama krew i plazma
 to samo ech ja bym

I niebo wreszcie to samo nad nimi
 gdy się rozchodzą spłakani i czyści
 gwiazdy ech bracie
 i kac po katharsis
 i dzień powszedni
 i ruki pa szwam

listopad 1977

Weekend

Patrz
 pustoszeje pustynia
 samotnieją ostatni przechodnie

Uwolnieni od dyszla
 od jarzma od stów i dni co na wiatr
 uciekamy wpędzamy do jaskiń
 do pieczar do jam do gniazd
 bo nam z nieba zstępuje sobota
 a jutro ogromna niedziela

Patrz
 ona znów aksamitna
 on znowu jak stał nierdzewna
 jakby ich rydzeń nie zorał
 nie zużył nie stał na proch

Będą się dziś miłowali
 po obłęd po blask po łyż
 po odpuszczenie grzechów
 po zgon nienawiści

Tak jeszcze miłość
 jak Mojżesz
 umie z domu niewoli
 wywieść lud swój na przetrzeń
 pod gorejący krzak
 do stóp kamiennych tablic
 gdzie źródło bije ze skał
 gdzie martwy powstaje z martwych
 w ulewie niebieskiej manny

Tak jeszcze tylko braci urodzonych w czepku
 miłość wspiera
 i karmi i wraca im wzrok

Reszta unosi pod potęgą
w chude zarośla miast
inną przepustkę do raju
ćwiartki akt strzelisty

Tylko sobota jest wieczna
niedziela umiera młodo
więc spieszmy się bracia zstępujmy
do siebie w siebie i w głąb

gdzie wciąż bleleje w ciemnościach
prawda jak naga kość
co się najdłużej opiera
żuchwom i szczękom robactwa

listopad 1977

Pauza

Nie Tu nie ma wyboru To jest planeta ludzi
której nie wybieraleś spomiędzy galaktyk
Tutaj w kawałek gliny tchnięto twego ducha
tu się twój głos rozlega i tutaj ucichnie

Nas tutaj urodzili ci sami ojcowie
ta sama uprząż opłotła nam szyje
i w tej samej dolinie pod północnym niebem
dany nam bez wyboru jemy chleb i kamień

I nie wybierasz znaków które się zapisze
na nietrwałym piaskowcu żeś był odtąd - dotąd
ani tej chwili dreszczu z jakim się pojmuje
jedną jedyną życie którego już nigdy ---
i z jakim rozpoznajesz że w tej oto pauzie
pomiedzy odtąd - dotąd masz się zawrzeć z wszystkim

W tej pauzie śpi niemowlę dziecko bada płomień
człowiek gruntuje miłość nienawiść i trwogę
opłakuje straconych uprawia niewierność
kocha rodzi zabija odchodzi od zmysłów
śni gudożoży kłamie nie chce i pożąda
woła milczy przebacza i już czeka grabarz

My wszyscy stąd: niewolność równość i braterstwo
my wszyscy stąd: dyktator i kat i ofiara
ten co bez sił w tramwaju i ten w mercedesie
ten co został sprzedany i ten co go sprzedał
ten co krwawi pod patką i ten co ma patkę
my stąd Kość z kości bracia Tu nie ma wyboru

A zza węgła wieczności patrzy na nas oko
w które nawet nie wierząc wierzysz w przerażeniu
i spływa kropla potu po paciorkach kręgów
a ty zastony szarpiesz i zasuwasz ściany
a ty mówisz do kogoś do czegoś co milczy
co milczeniem ponagla domaga się żąda
mówisz ja nie potrafię nie mogę odmawiam
to niemożliwe krzyczysz ja nie mam wyboru

Tak my się niewolnicy boimy wolności
- jednej jaką nam dano na niewolnej ziemi
że przemoc wreszcie czcimy jak złotego cielca
wzywając ją w pokłonach by nas wyzwoliła
od zgrozy żeśmy przecież jeden wybór mieli:
być nawozem pod prawdę czy pod bałwochwalstwo
grudzień 1977

Anka Kowalska

CZARNA I LUMINACJA

/fragmenty powieści/

Zatem: siedziała w przedziale śpiąca, rozprażona, przytłamiona, czule rozradowana, ale przede wszystkim przerażona, podenerwowana, bo jak inaczej, skoro zupełnie zniecałkowała dla samej siebie, CO ZA WSTYD, została córką amerykańskiego szpiega.

Wprawdzie obywatelka Rosołowicz wyraziła się dosyć mgliście: - O Jezu, o Jezu - powiedziała chlipląc - jeszcze z niego zrobią amerykańskiego najmitę! - ale ona już dobrze wiedziała, co to znaczy.

Najmitów były dwa rodzaje.

Jeden żył w dawnych ciężkich, sanacyjnych czasach, które opisywała nie szczędząc pióra poetka Maria Konopnicka: był chłopotem/bez pieniędzy ziemi/, który z tobołkiem na plecach/albo bez tobołka/ szedł /wprost przed siebie/ i najmował się za kawałek czerstwego chleba do pracy /albo umierał/. Nad tym rodzajem najmitów, trzeba było co najmniej płakać.

Ala ten drugi rodzaj żyje teraz, w tych samych czasach, co i ona, i jest niczym innym jak zaczajonym w zaroślach imperializmu sprzedawczykiem, który OJCZYZNĘ sprzedaje WROGOWI. Jednym słowem jest szpiegiem na usługach kapitalistycznych podlegaczy wojennych.

O tym, że szpiegzy są, wiedziała doskonale: - Często chowa się w naszej świadomości fakt, że istnieje reakcyjny, defetystyczny szpieg w naszej rzeczywistości polskiej - powiedziała obywatelka profesorka Lepiszynska. I dodała: - Świetlana przyszłość światłana przyszłością. Jeszcze jeden nowy dom, jeszcze jednym nowym domem. Ale TY MŁODE POKOLENIE patrz pilnie i systematycznie w przyszłość i nie zezuj. Szukaj wroga! Odstaniaj jego sanacyjną przytłacz. Wytrącaj z jego dłoni religianką broń! Buduj przyszłość - to raz. Niech zawarczą motory stalowe - to dwa. Demaskuj wrogie ustrojowi socjalistycznemu elementy: szczury w ich ideologicznie wylenianych futrach - to trzy. Niech wam się wzniesie ręka a Ojczyzna stanie się wzorem wzrostu sytuacji gospodarczej i społecznej w porównaniu ze stanem, przedwojennym. Zapłoną bombki szczęścia w każdym robotniczo-chłopskim domu: oświećlią twarz Wielkiego Wodza Ludu Pracującego - SOSO, a wy w poczuciu spełnianego obowiązku z przedsmakiem się uśmiechniecie. Węszcie, czy ktoś nie wykrzywił twarzy w zatechnym przedwojennym uśmiechu: Likwidujcie wrogi komunizmowi i człowiekowi pracującemu analfabetyzm! Wojna trwa! Jak nas powiadamiają poeci: nie tak daleko stąd, nie tak daleko płyną statki upiory! A w statkach jak w puszcze Pandory /pierwsza kobieta, którą wykuto/ albo kołczanie Apolla/burżuazyjny, starożytny bóg wyroczni, zwany też Febem/ - zdradliwa treść: karabiny, bomby, granaty, miny i tanki i CO-COLA! Są jeszcze trusty, filie karteli. Jeszcze są banki w Honolulu. Patac i plażę, cztery garaże ma jeszcze Yanki w Honolulu! Jeszcze pączkują akcje, udziały i dywidendy w Honolulu! W zamglonych barach jazz i cygara i sherry brandy w Honolulu! Jeszcze policjant na każdym rogu strzeże bezprawia w Honolulu! Jeszcze się pluje gumą do żucia w twarze przechodniów w Honolulu/Honolulu - amerykańskie miasto na wyspie Oahu. Yanki - kapitałista. Jazz - pornograficzna dekadencja amerykańska parodia tańca. Coca-cola - narkotyki/. Przyszłości narodu polskiego - uwaga - uwaga: coca-cola, guma do żucia, stonka ziemniaczana, amerykański szpieg najmita - to twój wrogi, wrogowie twoich matek i ojców!

CZUJ - CZUJ - CZUJ!

CZUWAJ! - zawały wraz z całą klasą, głośno i pręźnie akcentując akcent na "aj".

I poszła do domu, żeby przygotować się do przemówienia-referatu, które to przemówienie-referat miała wygłosić na zebraniu szkolnego oddziału Młodych Harcerzy-Pionierów.

Nad stołicą stało słońce: czerwone, fioletowe, obrzękłe jak twarz grochowskiego pijaka. Fioletowymi plamami naświetlało to na prawo most, to na lewo most, a w dole płynącą Wisłę. I plażę z szarawymi zakosami zleżatego śniegu.

Zleżały śnieg pod stopami, mroźne powietrze. Stolica dyszy mroźnie, stolica się buduje.

A ona idzie tak: niby to się ślizga, dlaczego by nie? Ma przecież dopiero czternaście lat, i to niedokończona. I także niby to zwyczajnie idzie, i niby to zwyczajnie patrzy na twarze przechodniów, bo zezować to nie ona, to nie polska młodziś. Więc przygląda się nie zezem, ale jednak z ukosa, ukos to co innego niż zez, bo przecież może się zdarzyć, że właśnie tu, na tej ulicy, peryferyjnej, bo peryferyjnej, POJAWI się znieczeka SZPIEG!

Będzie miał wąsy i brodę/dla niepoznaki/ i mały aparat fotograficzny w ręce. Albo nie! Nie będzie miał wąsów i brody. Będzie miał tylko nieogolone, brzydowate, wyszarżate, zapadnięte policzki/dla niepoznaki/, jak porządny, pracowity robotnik wykwalifikowany. A aparat fotograficzny będzie miał umieszczony w jednym z guzików wyrudziatego, pocerowanego /dla niepoznaki/ paltu, takiego jakiego nosi polski robotnik, porządny, pracowity, wykwalifikowany albo niewykwalifikowany. Albo.

Niestety, na dzisiaj żadne "albo" się nie zdarzy, bo oto idzie już ulicą Stalingradzką /dawną Mallinową/, A na ulicy Stalingradzkiej stoi jej kamienica. To znaczy państwową znacjonalizowaną kamienicą, a w tej państwowej, znacjonalizowanej kamienicy jest jej mieszkanie. To znaczy jej ojca. To znaczy kwaterek: pokój, kuchnia, nieczynna łazienka. Potknęła się: no właśnie. Co jej się może zdarzyć na ulicy Stalingradzkiej innego? Gdzie tu jaki szpieg? Pełno tylko tych cholernych wadotów.

Poczuta głód. I wstręt: na obiad będzie znowu kasza ze stoniną i szklanka herbaty z sacharyną, a sacharyną z tuż-powojennych zapasów Janeczki: też się miała z czym sprowadzić! Z sacharyną!

Zatrzasnęła drzwi wejściowe i pokuśtykała na czwarte piętro.

W przedpokoju jak zwykle śmierdziało pleśnią.

Ojca jak zwykle jeszcze nie było.

Janeczka szyła.

Pokój był zastany skrawkami materiałów, farfocłami nitek.

Zdjęta granatowy paltocek, pociągnęła czerwonym nosem, położyła teczkę na parapecie okna w kuchni i usiadła przy stole przykrytym szarawą zatłuszczoną ceratą. Podkurczyła ziębnięte, przemoczone palce nog.

Janeczka w szlafroku, z rozkreconymi, strąkowatymi włosami, w przydep-tanych pantoflach, zaczęła ogrzewać kaszę i jednocześnie modlić się: to mieszała kopyścią w garnku, to przesuwiała między brudnymi palcami różnec.

No tak - no tak. Nie dość, że zimno, że twarz plecze mimo zimna jak ob-lana ukropem, nie dość, że ją coś boli, sama nie wie, co, ale coś, co sprawa, że ani rusz nie może sobie wyobrazić przygotowań do wygłoszenia przemówienia-referatu, nie dość, że nie może sobie w tej chwili wyobrazić żadnej bombki szczęścia, żadnego raj: krynicznego, prężnego, jasnego i proste go socjalistycznego, nie dość, że do kaszy nie ma dzisiaj stoniny, to jeszcze TA się modli!

A przecież już dawno-dawno temu obywatelka profesorka Lepiszyńska skasowała Boga i modliłty:

1/ Świat składa się z MATERII. MATERII i jeszcze raz MATERII.

2/ I nie ma żadnej DYKUSJII!

3/ Ani żadnego BOGA.

4/ Ani żadnej DUSZY.

5/ Bóstwa, Bóg, modlitwy, zaklęcia i dusze to tylko FATSZ i przeżytek wynikający z tego, że ludzkość MUSIĄTA przejść przez WIEKI ZACOFANIA, ciemnotę i ciemność. Przez wieki, w których tylko doktryna dynamicznego materializmu świeciła zrazu tylko nikłym ogarkiem, ale za to takim, który przemienił się w toku dzieł we wszechświatlającą żagiew, w krwawą dialektyczną jasność Rewolucji - Parowozu Dziejów - Chwała Jej Maszynistom! Cóż, że wrogie wiatry powieją - Chwała ptonącym Iskrom!

Janeczka i ona. A pomiędzy nimi mętne fioletowe-czerwone światło marca. I milczenie. Nie powiedziały sobie "dzień dobry", ani "jak się masz". Janeczka patrzy przez okno, a ona siedzi i MUSI się przyglądać włosowi na brodawce Janeczki. A brodawka na brodzie.

A włos na brodawce taki: wstętny, obelżywy, jak ta, którą niedawno obserwowała, trawka. Drżąca z zimna i żałości łydżyka wychylająca się z topniejącego śniegu na niewielkim skwerku.

Twarz piecze. COŚ boli i ona MUSI wrzasnąć?

- Bo przecież BOGA nie ma!

Janeczka drgnęła i wytrzeszczyła oczy: - CO?

- Bo BOGA nie ma. ZOSTAŁ SKASOWANY!!! Do DIABŁA!!!

Jej głos dźgnął Janeczkę jak jakaś zbitkana, jeszcze wojenna kula, i Janeczka rozrzuciła ramiona, a potem zgłębiła się w pół, a potem padła na kolana: wstępując się katedra; rażone piorunem drzewo; fortepian na bruk; ideo- at sięgający bruku. Padając przygryzła sobie język.

Poły szlafroka rozwiły się. Włosy opadły na twarz, a spomiędzy spo- pieleatych warg popłynęła ledwo dostrzegalna strużka krwi.

- Polsko Ludowa-mamo-mamusiu - co ja zrobiłam? - to pytanie przemkne- to nie przez jej mózg, ale przez rdzewiejące, zaciskające się ze strachu żyły. Zbladła. Twarz wykrzywił grymas, a z ust pociekła strużka śliny. Ze- sztywniała.

I tak zastał je ojciec: jedna klęcząca - krew na brodzie. Druga siedzą- ca - ślina, piana na ustach. Powietrze czarne od przypalającej się kaszy: odstawił garnek, otworzył okno, załamał żyłaste dłoń. I wtedy obie oży- ty.

- Antoni! Antoni! ona mi tu BOGA KASUJE! Ona mnie do grobu wpędza! - zapiszczała Janeczka clenko, jak przydeptana mysz.

A ona? Ona się zaczęła śmiać: - Orany. No nie. Nie mogę! Ona nie mogła przestać się śmiać, choć wcale się jej śmiać nie chciało. TO COŚ śmiało się za nią. - O rety. No nie. Nie mogę. - Złapała się za brzuch.

Ojciec podszedł do Janeczki. Podniósł ją. Powiedział do stojącej - WSTAŃ! - I to było nie do wiary, by stojący już człowiek mógł wstać, ale tak właśnie się stało. Janeczka stojąc, wstała: wyprostowała się. Wywyż - szyła.

A ona? Ona zamilkła i spojrzała ojcu w oczy. Mogła to zrobić, bo zdjęt okulary.

.....

Nie poszła na zebranie szkolnego oddziału Harcerzy-Pionierów. Nie wy- głosiła przemówienia-referatu, który punkt po punkcie, szczegółowo, pla- nowo, został omówiony z obywatelką profesorką Lepiszyńską. Wygłosić go miała z pamięci:

"Koledzy! Harcerze-Pionierzy! Tematem dzisiejszego spotkania, które po- winno przebiec w bratniej, pionierskiej, sięgającej najlepszych tradycji i wzorów, atmosferze, jest temat, z którym już napewno spotkaliście się na swojej słusznej drodze życiowej! Bo taki temat musi się i należy spotkać. To nasze powołanie, byśmy ten temat spotkali, bowiem w pierwszym szeregu idziemy walczących ludowych mas, wznosząc do góry i czoło i pięść, my no- we życie tworzymy i nowy ład, a ponad nami jak sztandar płynnie pieśń.

Tematem tym jest NAJGŁĘBSZA TREŚĆ REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO.

Co jest najgłębszą treścią Realizmu Socjalistycznego? - pytam. I po wni- kliwej analizie, a także z doświadczenia artystów naszej epoki, odpowia- da: otóż najgłębsza treść Realizmu Socjalistycznego polega na tym, żeby MAŁOWAĆ robotnika i chłopca zdrowego, i silnego, jak stoi przy maszynie i zdrowej i silnej, która nie jest mu obca, nie wyniszcza go i nie przeciw- stawia jako narzędzie wyzysku człowiek przez człowieka i odwrotnie. Przy maszynie, która nie czyni go obcym w najgłębszej pojętej procesie produkcji

Najgłębszą treścią Realizmu Socjalistycznego - kontynuuje - jest, żeby zdrowego chłopca i zdrowego robotnika połączonych słusznym i pozytywnym historycznie sojuszem robotniczo-chłopskim PRZEDSTAWIAĆ wśród rzeczy, któ- re wytworzył, i żeby rzeczy te były przedstawione tak, by od razu było wi- dać, że nie rządzą one wytwórcą jako tak zwany i szeroko znany w kapita- liźmie FETYSZYŻM TOWAROWY.

Koledzy! Harcerze-Pionierzy! Oto wiemy już na czym polega najgłębsza treść Realizmu Socjalistycznego, który jest jedną z największych zdobyczy

krajów Obozu Socjalistycznego.

Wzniesłmy zatem okrzyk - Niech żyje i rozkwita Realizm Socjalistyczny. Niech żyje! Niech żyje!

Precz z defetystycznym, dywersyjnym hasłem: sztuka dla sztuki!

Precz! Czuj-czuj-czuwaj!"

- No, no, no - obywatelka profesorka Lepiszyńska poklepała ją po plecach: no, no.

No; właściwie to nie umniejszając poklepywania po plecach, obywatelka profesorka Lepiszyńska mogłaby dostrzec w niej coś więcej, niż zwykłą uczennicę, która sumiennie potrafi przygotować referat.

Bo przecież, dla niej samej przynajmniej, jasnym jest, że nie jest wcale taką sobie zwyczajną uczennicą, ale taką, o której będą się kiedyś-kiedyś uczyły dzieci z podręczników. A w tych podręcznikach będzie im zadane "od-do". A wszystko co pomiędzy tym "od-do", będzie wyłączone o niej - Wielkiej Córce Narodu Polskiego.

Kiedyś-kiedyś cztertnastoletnie, takie jak ona teraz, dzieci, będą wpatrywały się z zachwytem w odbitą na papierze fotografię. Z takim samym zachwytem, z jakim ona teraz wpatruje się w, dajmy na to, fotografię Wielkiego Syna Narodu Polskiego - Konstantego Rokossowskiego, albo w fotografię Wielkiego Syna Narodu Polskiego - Feliksa Dzierżyńskiego - Budowniczego Nowego Świata. Świata robotników i chłopów. Czuj-czuj-czuwaj.

A przecież i oni chadzali sobie po planecie ziemi tacy mali-maluteczni, czy to w deszcz, czy to w śnieg, czy to w słoneczną pogodę. I nie od razu byli wyłącznie bohaterami, choć już od wczesnej młodości głęboko odczuwali wszelką krzywdę społeczną i nędzę.

Także i ten Największy pośród Największych, którego portret wisi nad głową obywatelki profesorki Lepiszyńskiej, którego oczy patrzą tak groźnie i jednocześnie tak łagodnie prosto na nią, chadzał sobie do szkoły, czy to w deszcz, czy to w słoneczną ujmującą pogodę i był taki skromny; miał czerwoną torbę na kajety i czerwony szalik; i żaden z jego nauczycieli nie podejrzewał, że TERAŻ... achi TERAŻ!

Teraz nawet pieśń o NIM ozłaca JEGO IMIĘ. Imię jasne jak zew. Imię wielkie jak świat, nasza flaga zwycięstwa, nasz

STALIN! Stalin - naród to nasz, lud co w przyszłość się rwie nad skaliste iglice, korony. Stalin - orli to lot, Stalin - radość i śpiew, Stalin - wola i umysł narodów!

O nie! Nie, żeby porównywała. Gdzieżby śmiała. Porównanie byłoby zwyczajnym świętokradztwem!

O nie! Chodzi tu tylko o tych, którzy siedzą sobie obok cztertnastoletniego człowieka i NIE.WIEDZĄ, że siedzą obok BOHATERA. Którym czasami chowa się w ich świadomości fakt, że bohaterów stwarzają okoliczności dziejowe. Przecież wystarczy żeby, co daj Boże, zaistniały okoliczności dziejowe, jakaś nowa wojna, daj Boże, czy co, by taka sobie zwyczajna uczennica przestała być zwyczajną uczennicą, patrz Zoja Kosmodemianskaja.

O! Profesorko Lepiszyńska - czekam na okoliczności, które mnie stworzą, budują i będę bohaterem. NA OKOLICZNOŚCI!

Wszak nawet żaba bez okoliczności nie ma tkanek międzykomórkowych. Iżak przecież dobrze zapamiętała wykład tejże samej obywatelki, która teraz zapomina i poklepuje po plecach, wykład wygłoszony na godzinie wychowawczej, którą przyszedł Achu nazywać godziną policyjną; niech sobie nazywa, raz - że policji w Polsce nie ma, tylko milicja, więc co to za obrazek, a dwa - to był głupi wariat od czasu, kiedy wymieniono stare pieniądze na nowe: bardziej odpowiadające żywotnym interesom narodu polskiego.

.....
Cicho sza, czy szut, szut - ale to był dziw nad dziwy - odpowiednie władze WYPUŚCIŁY Achę po roku i Achu przyszedł z powrotem do szkoły, bo gdzie? I znowu został wożnym z odpowiednią adnotacją - nieszkodliwy przystęp, zagwarantować mu pracę.

Obywatelka profesorka Lepiszyńska nie powiedziała nie, a grono nauczycieli po kątach mówiło - jednak ten reżim nie jest TAKI ŻŁY, ciii!

A dzieci za Achem wołały: Achu sra ze strachu na milicyjnym odwachu! I tak dalej, i jeszcze dalej, co przyspiewka to rytmiczniejsza. W za-

mian mógł sobie Achu nazywać godzinę wychowawczą godziną policyjną - durny, naiwny i bez jednej ręki, skąd miał wiedzieć, że na takiej właśnie godzinie wychowawczej wiano w serce dziewczyny, czternastoletniej dziewczyny, nadzieję, pewność, że zostanie Bohaterką? I że to właśnie obywatelka profesorka ją wlała? I że za to godzinę ową i samą obywatelkę profesorkę należy szanować? Czczyć? Cóż on zresztą mógł wiedzieć o obywatelach profesorach, na pewno nie spotkał ani jednego takiego jak Towarzyska Lepieszńska w mrocznych przedwojennych czasach, kiedy nauczyciele służyli interesom klasy posiadającej? Zresztą nie chodził przecież wcale do szkoły, biedny, czy ktośkolwiek mówił kiedykolwiek do niego tak jak mówiła do nich profesor Lepieszńska?

- Pamiętajcie młodociani koledzy, towarzysze in spe /w nadziei/, że jednym z waszych naczelnych obowiązków, jako przyszłych obywateli z dowodami osobistymi uprawniającymi do głosowania na wybranych uprzednio synów narodu polskiego, jest wzmoczenie poczucia: szpieczy, dywersanci i sabotażyści starają się jak mogą, by przeszkodzić w budowie socjalizmu, chociaż wszelkie historyczno-społeczne przesłanki prowadzą prosto i nieodwołalnie ku jego budowie. Socjalizm to statek, który wolno, równomiernie, choć jednocześnie rewolucyjnymi skokami płynie ku brzegom komunizmu, ale szpieczy, dywersanci i sabotażyści w swej śmiesznej i zbrodniczej nadziei działają szatając na prawo i lewo dolarami wetkniętymi im w zbrodniczą pieść przez światowy imperializm, który nie wyrzekł się apetytu, lub przez Wołną Europę - sprzedają stługuskę dogorywających ustrojów; i choć nikt nie słucha u nas tej szczekaczki, to jednak ona szczeka starając się ostatecznie Ducha Narodowego w pełni wyzwolonego z pęt klasowego myślenia i sprzecznych klasowych interesów. ALE.

Ale jest jedno ALE. Czy u wszystkich ludzi zamieszkujących nasz kraj jest ów Duch Narodowy czysty i bez skazy? - pytam i odpowiadam - NIE!

Nie wszyscy potrafią się zdecydowanie przeciwstawić demonicznemu, usypiającemu wpływowi dolara i wizji sytości i natychmiastowego zaspokojenia wszystkich swych fizjologicznych zachcianek.

To z tych właśnie ludzi, powinniśmy powstrzymać, zwierzać, rekrutować się pomagierzy kontrrewolucji, kontrsocjalizmu, kontrkomunizmu. To w nich właśnie rozplenią się ogniska choroby. To w nich tkwić będzie wirus. To oni stwarzają okoliczności, które są wrogiem naszemu ustrojowi; okoliczności, które mogą sprawić, że za nimi pójdą inni, przechodząc na łep wrogiej propagandy.

OKOLICZNOŚCI!

Wiadomo, że bez nich nawet żaba nie ma błon komórkowych! W swojej znakomitej pracy zatytułowanej "Twórcze znaczenie prac Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina dla rozwoju nauk przyrodniczych" znakomita radziecka uczona Olga Lepieszńska pisze: "przytoczę przykład ze swoich doświadczeń nad stwierdzeniem istnienia błon komórkowych. Większość uczonych negowała istnienie błon komórkowych w komórkach zwierzęcych i dlatego nie badano ich zupełnie. Uczenci ci uznali, że błonę komórkową mają tylko komórki roślinne. Mnie udało się znaleźć mechaniczne i chemiczne sposoby rozrywania tych błon; za pośrednictwem tych metod można wykazać obecność błon w komórkach zwierzęcych oraz badać ich rozwój i zmienność. Odkrycie to narobiło wiele szumu i stało się przyczyną wielkiej dyskusji. W latach dwudziestych zostałam wydelegowana za granicę do Berlina. Tam, w laboratorium Blumantala zaproponowano mi powtórzenie wszystkich moich doświadczeń nad wykryciem i udowodnieniem błon komórkowych w komórkach zwierzęcych. Począłem stosować swoją metodę, i - co za pech! - nic nie wychodzi, błony komórkowe nie ukazują się... Po wszechstronnej analizie i nieprzespanych nocach ustaliłam, co następuje - w Moskwie prowadziłam prace z krwią GŁODNYCH żab z zimowego miotu, a tutaj przyszło mi pracować na SYTYCH żabach z miotu jesiennego, które nakarmiono muchami...!"

ZATEM!

Zatem młodzi towarzysze in spe, coż z przytoczonych fragmentów cytatów wynika?

Zatem wynika z nich to, że bez odpowiednich okoliczności nawet żaby nie mają błon komórkowych. Syte, objedzone niemieckimi muchami - nie mają. Głod-

dne, radzieckie - mają! Nażarte niemieckie żaby przestały być podporą dla znakomitej uczonej; zaczęły się jej opierać!

Młodzi towarzysze! SYTY, najedzony imperialistyczną dolarową papką człówek przestaje być podporą naszej władzy ludowej! Zaczyna się jej opierać! Zatraca kościec moralny! BACZCIE WOKÓT czujnie! Ogniska podejrzanego sytości mogą być ogniskami antyludowej, antysocjalistycznej zarazy! Ośrodkami rozmiękczenia; źródłem zakażenia dwolistością burżuazyjnego sposobu myślenia, nihilizmem i ideałami sprzecznymi z ideałami postępowej polskiej klasy robotniczej. Czuj-czuj-czuwaj!

Ot i co. A to ci chytra, podła żaba. Zje - nie ma błon. Nie zje - ma. Już ona tam wykupuje te syte, te rozmiękczone, te bez kręgosłupa żaby, te Indywidua z kieszeniami napchanymi dolarami, dolarową papką zgniłozieloną. Już jej tam nikt na taką sytość nie nabierze, nie namówi, już ona tam zostanie największą, najzwinniejszą tapaczką żab, bohaterką, wielką córką narodu polskiego.

A swoją drogą, to ciekawe, jak takie Indywiduum bez kręgosłupa musi wyglądać: chyba ma na sobie drogie amerykańskie, z paczek, ciuchy, może bikiniarskie spodnie i buty na potrójnej przyszwle, skarpetki w paski, czub na głowie, a na ustach zwierzęcy uśmiech? E, chyba nie. Takie głupie to Indywiduum chyba nie jest - tak chodzą ubrani jedynie ci, którzy mogą pójść dopiero za Indywiduum przechodząc na lep wrogiej propagandy. Samo Indywiduum raczej, dla niepoznaki, chodzi ubrane w wytarte, wyszarżate ubranie, jak porządny, pracowity robotnik, i jak on ma włosy szczone do tyłu, a wychudłymi dla niepoznaki wargami pali sporty dla niepoznaki. Za to w domu może mieć ukryte guziczki. Naciśnie taki guziczek, a tu z ukrycia wyłania się SZYNKA, KABANOSY, TORTY i NARKOTYCZNA COCA-COLA, i AMERYKAŃSKIE PAPIEROŚY i PRAWDZIWA KAWA, i W OGÓLE, i SHERRY BRANDY i JAZZ, zupełnie jak w zamglonych barach. Także na deser GUMA DO ŻUCIA! A potem pstryk i wszystko się chowa dla niepoznaki. U Olka Kanl jest właściwie taki dom, gdzie wszystko się chowa, na przykład tapcza podnosi się do góry, żeby było więcej miejsca. A ze stolika, na którym się je, robi się półkę na książki, żeby było więcej miejsca. A jak się do niego przychodził, to się dostaje nawet kawę zbożową i chleb z leberką na stoliku, który był półką na książki, ale książki się zdejmują i wynosi do kuchni, a z półki robi się stolik. No, no. Ciekawe, Trzeba się czujnie przyjrzeć temu Olkowi Kanl, może ta cała leberka to jest właśnie taka rozmiękczająca sytość?

A swoją drogą to ciekawe jak wygląda taka PRAWDZIWA żaba, żywa najprawdziwsza obiektywnie istniejąca żaba? Jeszcze nie widział. Wprawdzie raz była nad Wisłą i bała się, że ją obskoczą kotem, ale nie obskoczyły. Ani jedna. Wszystko inne, owszem było. I fala skottuniona i mętna. I zakaz, pod odpowiedzialnością karną, kapieli. I szary piasek cuchnący szlamem. I krzaki cuchnące kałem. I niebo mętne i cuchnące burzą. I ciała ludzkie. Obrzydliwe. I ani jednej żaby. I dobrze.

OKOLICZNOŚCI!

One tam-gdzieś są: i głupio wam będzie, którzy teraz poklepujecie po plecach i mówicie - no, ho. Głupio będzie kiedyś - kiedyś obywatelce profesorze, która choć tyle wie i taka cała jest przekonana, to jednak nie widzi, że nie siedzą tutaj we dwie, w tym Nauczycielskim pokoju pod mądrym i spokojnym okiem Wodza, ale we trójkę: czternastoletnia dziewczyna, o której kiedyś będzie w cytatkach "od-do", obywatelka profesorowa, która teraz mówi "no-no" i BIOGRAF czternastoletniej dziewczyny. To on już teraz, trzymając rękę na pulsie wydarzeń zapisuje i komentuje to, co będzie kiedyś-kiedyś w "od-do".

Ciekawe! Och, jakie ciekawe, co teraz pisze o niej jej Biograf? Jak mu zajrzeć przez ramię?

Nie. To przecież niemożliwe, takie zagłądanie, i niełojalnie. Lepiej wrócić do referatu. Więc: a może by tak dodać na jego koniec jeszcze taki akapit? Realizm Socjalistyczny to radosna kielnia, radosny młot, radosny kłot, radosny pot? Radosny robotnik, radosny chłop, równaj krok?

.....
Ojciec przeczytał: bolesna wieść spo-wiła kirem żałoby flagi na warszawskich domach mieszkalnych i urzędach. Ranek wstał zasnuty mgłą, za-

płakany deszczem. Ludzie snuli się po ulicach smutni, przygnębieni. Kto nie słuchał komunikatu radiowego, nie potrzebował zadawać pytań. Żałosna prawda przebiła się z wszystkich twarzy.

- No nie - powiedział - "żałosna prawda", ktoś za to poleci karmić szczury na Rakowieckiej.

Co to była za owa "żałosna prawda" dowiedziała się dopiero po pogrzebie Ojca Postępowej Ludzkości, Wodza Ludu Pracującego Całego Świata, Woli i Serca Milionów, Największego z Największych, Sekretarza Komitetu Centralnego KPZR - Józefa STALINA.

To jego śmierć była ową "żałosną prawdą".

- To fascynujące - powiedział ojciec - że trzech największych ludojadów wszechczasów pochodziło z lumpenmieszczańskiej warstwy - Hitler, Mussolini, Stalin.

STALIN LUDOJADI I ziemia się nie zapada. I nie czernieją trawy, i nie zanika słońce i nadal świecą gwiazdy. I kołkiem ojcu język nie stanął w gardle. I ona nie umiera w boleściach. Odwrotnie - jest pełna życia, choć smutnego, choć ciężkiego.

- Maniu-Maniusiu cud - załkała w pokoju Marii Mazurkiewicz, serdecznej koleżanki - co ja mam robić?

Mania-Manusia cud, serdeczna koleżanka, powiodła czarnym okiem po pokoju, czystym, jasnym i prostym pokoju człowieka pracy: na białej ścianie udrapowana czerwona flaga. Po obu jej stronach portrety. Z jednej strony towarzysza Bierut. Po drugiej towarzysz Stalin. Pod flagą i portretami stolik, a na nim sierp i młotek. I jeszcze Krótki Kurs Historii WKP/b. Wstała, poszedła do okna i zastukała palcem w szybę. Na portrecie Stalina czarna opaska. Czarna szrama, a jeszcze tak niedawno żył i tak cudownie było razem z Manusią, Maszeńką-cud pisać wypracowanie szkolne o nim. Temat: Napisz dlaczego naród polski obchodzi szczególnie uroczystości rocznice urodzin J. Stalina.

Wypracowanie domowe pod tytułem dlaczego naród polski obchodzi szczególnie uroczystości rocznice urodzin J. Stalina. Odpowiedź: Ponieważ posiada on pozytywne cechy osobiste, jak: mądry, wytrwały, ogólnie wielki człowiek, ideowy, warto go naśladować, wzorować się na Nim. Ponieważ położył wielkie zasługi w walce o komunizm, w walce z wrogiem świata imperiaлизmem światowym. Ponieważ nadał kierunek rozwojowi dziejów historycznych, ponieważ jest wielkim i niezaprzeczalnym jedynym przywódcą klasy robotniczej, ponieważ dba o ludzi pracy jak najlepszy Ojciec i jeszcze lepiej, ponieważ jest filozofem i filologiem i naukowcem-geniuszem, ponieważ stworzył naukowy system naukowy, czyli pogląd na świat, ponieważ istnieje zagwarantowana przez Niego niepodległość Polski Ludowej, a nie musiała istnieć.

- Ty się od niego natychmiast odetni! - odezwała się wreszcie Masza-cud.

.....

Gdzie są te gigantyczne nożyce?

Następnego dnia chodziła ukradkiem za obywatelką profesorką Lepiszyńską. Jak jej to wszystko powiedzieć? Od czego zacząć to odcinanie, czy powietrze będzie pełne krwi, kap-kap? Mamo-mamusiu-Polsko Ludowa, przeżyj to wszystko na jutro, spakuje rzeczy i do internatu. Zaraz-zaraz, jakie rzeczy? Dlaczego ona nie ma RZECZY? Tylko jedne majtki barchanowe i jedne pocierowane cięśze na lato, i jedną koszulę, którą jej zastępuje piżamę i szlafrok, i jeden sweterek spłowiasty-granatowy, i jedną spódniczkę przeniesioną ze spodni ojca i bluzkę białą i taftową sukienkę od parady, trzewiki i wiśniowe półbuty i jeszcze fartuch z podszewki i wspaniałą chustę pionierską i to wszystko, kur de balans. Acha, i pasek do pończoch i pończochy, oczywiście. I dwie chusteczki do nosa. I czerwona kokardkę - nawet dwie czerwone kokardy. No i pióro, ołówek i te tam szkolne, potrzebne, owszem, rzeczy, książki, zeszyty, dziennik ucznia: nazwisko, imię, rok urodzenia, pochodzenie społeczne, imię ojca, nazwisko panińskie matki, miejsce urodzenia, data urodzenia. Dobrze i to, takie ma rzeczy i takie zabierze do internatu.

W te pędy do domu, do mieszkania, które już nie było domem.

W mieszkaniu, które kiedyś, jeszcze wczoraj, było nie było, było domem, płacz i zgrzytanie zębów - tak jakoś to zobaczyła. Tak jak gdyby było to

wypisane na ścianie: PŁACZ I ZGRZYTANIE ZĘBÓW.

- - No - pomyślała - ta Janeczka, jak już coś wymyśli: albo płacze, albo syczy, albo modli się, co za element!

Ale co tu robi obywatelka Rosołowicz? Dlaczego obywatelka z Janeczką obtapują się? I całują. I płaczą i całują się, tfu.

CO? JAK TO ARESZTOWANY? KTO? Niemożliwe! Przecież jeszcze nikomu nie powiedziałła, jeszcze się na dobre nie odcięła, ciach-ciach! Więc jak to możliwe, by ojca aresztowano, dlaczego?

Obywatelka Rosołowicz powiedziała dlaczego: NAJMITA. SZPIEG!

JEZUS MARIA!

Najmita-szpieg, a ona nie miała oczu, gdzie ona miała oczy, mamó-mamó-siu-Polsko Ludowa. Matko Boska Częstochowska. Czego szukała za każdym węgiem kamienicy? Kogo chciała wypatrzyć z ukosa, czuj-czuj-czuwaj? A tu szpieg pod samym nosem. I jaki sprytny: gdzie te lalki z wmontowanymi bombami zegarowymi? Nigdy nie miała żadnej lalki. Gdzie te DOLARY? Ciągłe kaskara, skwar! I sery, i marmolady buraczane. Gdzie ta syteść, która rozmiękcza kręgosłup moralny? Każdy by zgłupiał, gdyby popatrzył na tego zmęczonego człowieka z rękami uwalanymi fabrycznymi smarami, a co dopiero ona. Ona, która nie przyglądała się swojemu ojcu dłużej niż tego wymagał: patrz na mnie kiedy do ciebie mówię!

A to z niej bohaterka! Biografowi chyba się kiszkki przewróciły na nice. że też tylko raz się zdradził - ludojad - powiedział. I jeszcze coś o tej "żłotosnej prawdzie". Zareagowała prawidłowo. Wzniosła do góry pięść uzbrojoną w nożyce, ale za późno, za późno, za późno, życie skończone, tak pięknie zaczęte, takie życie, z takim prawidłowym pochodzeniem społecznym, choć sekunda-chwileczka, jak to jest właściwie z tym jej pochodzeniem społecznym?

.. .. .
-- - Co za historia, co za historia - biadała obywatelka Rosołowicz.

- A historia, historia: Historia pisana babskimi serdecznymi łzami - Janeczka krztusiła się i szlochwała. A kiedy przestała szlochać zarządziła: mała wyjedzie do dziadków, do Leśnego Brzegu, zaraz-natychmiast, Jezu, Jezus..

Proszę bardzo, niech będzie, i tak życie skończone, tak pięknie zaczęte młode życie, niech się dzieje co chce, niech ją wywożą do jakichś mitycznych dziadków, do jakiegos Leśnego Brzegu, gdzieś na peryferie historii, w geograficzny zautek, hyle prędzej, byle dalej od Mani, Maszeńki-cud, od obywatelki profesorki Lepiszyńskiej, nie zastrzyżona, by nadal patrzeć w ich oczy.

Zyta Gryszyń

DWA ROZDZIAŁY Z POWIEŚCI "CYRK"

XX. Listy do Robuchy

Wiśniewski, członek Komitetu Powiatowej w Tereniewie, czterdziestolatek o z lekką ponurą fizjognomią, w granatowym garniturze, i Mika, instruktor z Wydziału Ideologicznego tej komitetu, młodszy o jakieś dziesięć lat ryżowy grubas w sweterku koloru żółtek, usiedli na sali konferencyjnej i zaczynają uzgadniać szczegóły seminarium filozoficznego dla aktywu powiatu. Mika, który bezpośrednio odpowiada za seminarium, już wczoraj przygotował propozycje, ale wczoraj Wiśniewski był na odprawie w Komitecie Wojewódzkiej i nie miał czasu na rozmowę. Dziś zaś z samego rana Wiśniewski zajął do Instruktorów i powiedział "no, to chodź, usiądźmy", a że odstąpił swój pokój na pewną trudną rozmowę z ludźmi z zakładu, więc usiedli właśnie tu, w nie zajętej chwilowo sali konferencyjnej, na rogu stołu prezydenckiego. Mika odsunął paprotkę, przysunął popielniczkę, wyjął z kieszeni kartkę maszynopisu i położył przed Wiśniewskim. Na kartce podane zostały tematy prelekcji i proponowane nazwiska prelegentów.

- "Penetracja": Klimek - czyta Wiśniewski - dobra, "Rewizjonizm": Tomala, kurwa - odwraca się w stronę okna - co tu tak wieje?

Mika wstaje, przechodzi obok palmy stojącej w wielkiej donicy i przysmyka okno.

- Wieje, kurwa - potwierdza.

- Ten Tomala to znakomity facet - zauważa Wiśniewski.

Mika, który wrócił do stołu, podchwytuje:

- Przyjebał.

- Przyjebał - powtarza Wiśniewski i kontynuuje czytanie: "Dywersja":

Klimczak, poczekaj, stary, dywersja już była.

- Była penetracja.

- A to nie to samo?

- Nie, stary, penetracja to od "penetrować", a dywersja, to, wiesz, dywersant, dywersyjny...

- Dobra, "Demokracja Ideologiczna": Skrzypczak, skąd on jest?

- Z uniwersytetu, występował w telewizji, równy gość.

Przy temacie "Humanizm" na kartce przygotowanej przez Mikę figuruje zamiast nazwiska znak zapytania.

- Może - Mika referuje swoje wątpliwości - by dać tego Robocińskiego?

- Dawaj Robocińskiego - cieszy się Wiśniewski.

- Też - tłumaczy Mika - zalecają wciąganie wybitnych specjalistów.

- Dawaj Robocińskiego, potwierdza Wiśniewski - on zresztą tam, w śródmieściu, nie ma wcale takiej dobrej opinii...

- Skleroza.

- Boję się trochę, że będzie mówił nie na temat, tym bardziej, że, stary, on przecież nie jest od humanizmu, tylko od dobrej roboty.

- To co, dajmy spokój temu Robocińskiemu.

- Wiesz bracie, dajmy spokój temu Robocińskiemu.

- No to kogo do humanizmu?

- Klimczuk?

- Klimczuk ma Dialektykę/Klimczuk, jako autor świeżo wydanej książki "Dialektyka" - jak żywy" jest niewątpliwym specjalistą od Dialektyki/.

- Szkoda - martwi się Wiśniewski - że ten Tomala ma rewizjonizm, on by, bracie, zap... humanizm.

- Możemy zmienić...

- Wiesz, stary, zmieńmy, dajmy Tomali humanizm, wiesz, Tomala ma ten nerw. Skreśliam i piszę. Tylko, kurwa, żeby znów nie przyszedł schyłny. A ty wiesz, jaki Tomala miał numer: trzyma raz mowę do studentów, widząc, że wstawiony, i tam mu próbują podskakiwać, wiara się wkurwiła, a on "dzieci, chodźmy na piwko". I dostał oklaski.

Mika wybucha głośnym śmiechem, odchyła się do tyłu, odsuwa się z krzes-

słēm od stołu, rozsuwa kolana, kładzie rękę na narządach płciowych i od-
wzajemnia się własną dygresją:

- Nie widziałeś wczoraj Zenka...

- U Mariana?

- Tak, nie widziałeś Zenka, piłśmy, potem przyszedł Adamczyk, a tą
wiesz...

- Kawał dupy.

- Kawał dupy, przynieśli pół litra, wypiliśmy, o pierwszej w nocy Zenek
poszedł do siebie, przyniósł pół litra, Adamczyk poszedł o drugiej, zaraz
była trzecia, Zenek poszedł do łazienki, narzygał, usiadł i zasnął.

Na salę wchodzi gońiec, zbliża się do ustawionego pod oknem stosu paczek
z broszurami i bierze dwie paczki.

- Co bierzesz, "Prawdziwe oblicze Ameryki" czy "Rewolucję naukowo-tech-
niczną"? - zaniepokoił się Mika, któremu podlega kolportaż literatury.

- Amerykę.

- Dobra, idź.

- O której wyszedłeś? - pyta Wiśniewski.

- Zaraz po trzeciej, a on tam jeszcze spał.

- Dobra - Wiśniewski pochylił się znów nad kartką - komu w takim razie
damy rewizjonizm, może Klimczukowi?

- Nie: Klimczuk - Dialektyka.

- A prawda.

- Jedź dalej, może coś się wymyśli.

- "Materializm a idealizm": Grochala, w porządku, "Patriotyzm a Interna-
cjonalizm": Skrzypek...

- Poczekaj - przerywa Mika - a może by dać Grochali rewizjonizm?

- Tak, piszę, a Klimkowi materializm a idealizm...

- Klimek jest od penetracji.

- Tylko od penetracji?

- Tak, Klimek jest najlepszy w penetracji.

- Materializm a idealizm - penetracja - przymierza Wiśniewski - niby
sprawy pokrewne.

- Materializm a idealizm - dywersja: sprawy pokrewne, ale penetracja to,
stary...

- Rozumiem, rozumiem, a dywersję dałeś...

- Klimczukowi.

- No to dawajmy Klimczoka do materializmu a idealizmu.

- Pisz. Tylko teraz komu dywersję?

- Jedziemy dalej, może się wyklaruje, "Dialektyka - jak żywy": Klimczuk

... A choćby Klimczukowi.

Mika się zdenerwował:

- Klimczuk, spec od Dialektyki.

- A prawda, "Fideizm": Klimczak, zgadzam się, dajmy dywersję Klimczakowi

- Stary, nie wygłupiaj się, gdzie fideizm a gdzie dywersja?

- A fideizm to niby nie dywersja?

- No jak tak podejść...

- A jakbyś chciał podchodzić. Już piszemy: "Dywersja" - Klimczak. Acha,
i to koniec.

Wiśniewski wyprostowuje się na krześle i żartobliwie podsumowuje:

- No to, Mika do roboty.

- Chwileczkę - dziwi się Mika - a fideizm?

- Acha, fideizm, kurwa, poczekaj.

Wiśniewski nie może się zorientować w pokreślonej kartce. Mika przysuwa
kartkę ku sobie i patrzy, kto pozostał wolny.

- Jest: Klimczok miał dywersję, to wypadłoby, że Klimczok dostanie fi-
deizm, ale tu jest też nie obsadzony rewizjonizm.

- Rewizjonizm?

- Zabrałeś rewizjonizm Tomali i teraz, kurwa...

- Możemy zostawić Tomali rewizjonizm. Pisz.

- Pięknie, tylko kto zrobi humanizm?

- A choćby Klimczok?

- U mnie Klimczok miał dywersję.

- Klimczok - sentencjonuje Wiśniewski - spec od dywersji, przywrócić.

- Czekaj, czekaj, rewizjonizm właśnie że jest obsadzony! Wiśniewski, który już zupełnie przestał panować nad sytuacją, udaje zainteresowanie i patrzy pytająco.

- Grocha! Grocha!.. - Mika natężyła się - tylko, że u mnie było Grocha! "Materializm a Idealizm".

- I dobrze było - mówi Wiśniewski - przywracaj.

Mika przywraca, Wiśniewski bierze do ręki kartkę, przebiega wzrokiem po bazgrane tematy oraz nazwiska i podnosi się. A na kartce, którą Mika chowa do kieszeni, podane jest, prawie tak, jak było na początku, w jego projekcie, tylko bez "Humanizmu" wypaść w zamieszanu, ale nic się nie stało, bo Tezy zalecają elastyczność w doborze tematyki/, że Skrzypczak będzie mówił o demokracji idioidealnej, Skrzypek o patriotyzmie a internacjonalizmie, Tomala o rewizjonizmie, Grocha o materializmie a Idealizmie, Klimczak o fideizmie, Klimczuk o Dialektyce jak żywa, Klimczok o dywersji i Klimek o penetracji.

Ale nie jest widocznie dane Wiśniewskiemu i Mice realizować tak grunto-wnie opracowany program seminarium filozoficznego. Na stole przydzielonym rozlega się telefon. Wiśniewski podnosi słuchawkę i Mika już po pierwszych słowach Wiśniewskiego "tak jest", "tak jest", "tak jest, towarzyszu" domy-śla się, że telefon jest z samej Komitetu Główniej. "Oczywiście", "ma się rozumieć, towarzyszu", "tak, natychmiast", "jeszcze dziś", "robi się, to-warzyszu". Wiśniewski notuje coś pod dyktando, jeszcze raz powtarza "tak jest" i odkłada słuchawkę.

- Wszystko do dupy.

- Co? - dziwi się Mika.

- Wszystko. Trzeba przemodelować. Wszystko pod kątem ostatnich wydarzeń w Stolicy. Ale na to będzie jeszcze czas. Teraz, Mika, będą potrzebni lu-dzie pozytywni. Przedzwonisz na zakłady i niech będą tutaj zaraz.

- Akcja? - próbował się domyśleć Mika.

- Nie, podpisy - odpowiedział Wiśniewski.

Mika wrócił do swojego pokoju i zaczął po kolei wydzwaniać do najbar-dziej pozytywnych towarzyszków z przedsiębiorstw, zakładów i biur na tere-nie powiatu. Wykonał swoje zadanie sprawnie i już po godzinie w gabinecie Wiśniewskiego siedziała przodująca nauczycielka miejscowego liceum, magis-ter Jadowiga Sepulik. Wiśniewski podał jej rękę, posadził na krześle naprze-ciwnie swego biurka i twarz jego przybrała ów wyraz troski tak dobrze znany aktywowi powiatu a zapowiadający z reguły, że za chwilę zakomunikuje on coś niezbyt przyjemnego i sprawiającego kłopot: a to zaostrenie się walki idioidealnej, a to dalsze ściśnięcie mieszkań, a to konieczność odbycia ja-kichś prac społecznych w miejskiej ubikacji publicznej lub gnojowni spół-dzielni produkcyjnej. Sepulik zaś, która bardzo dobrze rozumiała ogrom tru-dności, z jakimi musi się borykać Wiśniewski, i zawsze pragnęła ulżyć mu w miarę swych skromnych możliwości, zrobiła ową minę pełnego zrozumienia, po-łączoną z potakującym kiwaniem głowy, jeszcze zanim rozmówca otworzył usta, minę, która wywoływała nieodparte wrażenie, że ona z góry wie, co jej się ma dopiero zakomunikować. Włec gdy Wiśniewski zaczął od swego zwykłego w takich wypadkach "Towarzyszczo, musicie nam pomóc", Sepulik już kiwała głową bardzo intensywnie.

- Rozumiem, Towarzyszu, ja już od rana wiedziałam, że...

Wiśniewski przejął jej.

- Napiszcie list w sprawie - tu Wiśniewski zajrzał do kartki i odczytał - Najmniejszego z Całego Świata. List do prasy centralnej.

- W sprawie Najmniejszego z Całego Świata? - upewniła się Sepulik.

- W sprawie Najmniejszego z Całego Świata - Wiśniewski jeszcze raz zaj-rzał do kartki i potwierdził - dobrze mówicie.

- Pochwalić? Napietnować? - zapytała Sepulik dostownie wisząc na ustach Wiśniewskiego swym spojrzeniem.

- Napietnować, oczywiście napietnować. Bezlitośnie, zgodnie z wolą mas nauczycielskich, a szczególnie kobiet - Wiśniewski zastanawiał się przez chwilę - kobiet pracujących, matek i dzieci, matek, znaczy się, z dzieckiem na ręku. Uderzyć.

- Tu, zaraz, na miejscu? - Sepulik rzuciła się otwierać torebkę, w któ-rej miała zeszyt i długopis.

- Pójdziecie do pokoju towarzysza Miki, drugie drzwi na prawo. W razie wątpliwości - pomoże, ukierunkuje. Dziękuję wam, Sępulik. Bardzo pomogliście mi.

Sępulik pożegnała się z Wiśniewskim i weszła do pokoju Miki, który polecił jej usiąść przy niskim stoliku w rogu i napisać projekt listu. Była dobrą polonistką, chwaloną przez panią dyrektor i wizytator, toteż zadanie, które otrzymała, wydało jej się stosunkowo łatwe i już po kwadransie podniosła się z fotela i położyła Mice na blurku kartkę zapętloną czystym wyraźnym piśmem:

W imieniu mas nauczycielskich, ze szczególnym uwzględnieniem kobiet pracujących w tym zawodzie, matek oraz dzieci a także matek z dziećmi na rękę z wielkim oburzeniem potępiam wroga i wysoce szkodliwą wobec Ojczyzny Marzeń i Snów działalność Najmniejszego z Catego Świata.

Sępulik Jadwiga

Mika przeczytał, zasepił się i zwrócił kartkę nauczycielce ze słowami:

- Stuszenie, Sępulik, prawidłowo, ale po was jako po wybitnej polonistce spodziewalibyśmy się czegoś więcej. Nie moglibyście to trochę rozbudować?

- Jasne, towarzyszek, już się robi, Rozbudować, mówicie, towarzyszek, więcej znaczy...?

- No rozbudować, to nie może być takie suche. Jak wam mówił Wiśniewski?

Sępulik, która czytała w gazecie komunikat o zajęciach chuligańskich w Stolicy, widziała w telewizji poświęconą tej sprawie migawkę filmową/grupę rozwydrzonych wyrostków katujących staruszkę/ i teraz domyśliła się oczywiście natychmiast, że osoba Najmniejszego z Catego Świata ma związek z tymi zajęciami, poczuła, że robi jej się gorąco.

- Ależ towarzyszek...

- Nie mówił?

- Nie mówił. Ale może w takim razie towarzyszek - Sępulik spojrzała Mice w oczy bardzo przymilnie. - może towarzyszek słowko...

Mika, który wiedział w tej kwestii tylko jedno, to mianowicie, że o treść telefonu z Centrali nie należy wypytywać bez potrzeby, i sam raczej liczył na to, że się czegoś bliższego dowle od Sępulik, zrozumiał, że musi się bronić, i naskoczył na kobietę:

- Jakto, Sępulik, to wy, nauczycielka, matka, matka z dzieckiem na rękę, w imieniu całego grona nauczycielskiego i nauczycielskich mas członkowskich, nie wiecie, co macie napisać w kraju, który tyle ucierpiał w czasie ostatniej wojny, takie ofiary poniósł przy boku Armii Kraju Miłującego Pokój, spalone wsie, zburzone miasta, wróg strzelający zza węgła jak do kaczki, pierwsze lata odbudowy, nigdy więcej wojny, Sępulik, nigdy więcej wojny, równym krokiem, każdy kto pragnie, aby dzieci mogły spokojnie zdobywać wiedzę w szkołach, młodzież cieszyć się życiem, prządkli praść, suwnicowi suwać, traktorzyści traktorzyć, murarze murować, pracownicy bezpieczeństwa żyć bezpiecznie, Sępulik, w braterskiej, niewzruszonej, wiecznej, na dobre i na złe miłości z kra, kra, kra..., no, Sępulik...

- Krajem Miłującym Pokój! - odgadyła Sępulik.

- Widzicie, wiecie, a udajecie, że macie braki, zaniedbania. Piszcie to wszystko teraz, Sępulik.

Sępulik znów usiadła przy małym stoliku i po dwudziestu minutach opracowała następującą drugą wersję listu:

Ja, przodująca nauczycielka w imieniu nauczycielskich mas członkowskich, matek, dzieci i matek z dziećmi na rękę, zdecydowanie odrzucam błędną postawę reprezentowaną przez Najmniejszego z Catego Świata. Wszyscy pamiętamy ogromnisze, jakich dokonał na naszej ziemi w czasie minionej wojny nasz odwieczny wróg. Wyzwoleni przez Niezwyciężoną Armię Kraju Miłującego Pokój nigdy nie pozwolimy, aby ktoś podniósł rękę na nasze największe zdobycze. Ja, jako nauczycielka, matka i matka z dzieckiem na rękę wiem najlepiej, ile trudu kosztuje naszą władzę Marzeń i Snów zapewnić narodowi lata pokojowej, twórczej pracy. Nie pozwolimy, by ktoś odebrał nam nasze zdobycze. Nasze dzieci muszą nadal zdobywać światło wiedzy, uczeni badać otaczający świat, artyści opisywać naszą wspólną drogę, prządkli praść, górnicy górniczyć, policjanci policzyć. Ręce precz od matki z dzieckiem na rękę.

Sępulik Jadwiga

Mika tym razem nie miał uwag, polecił Sepulik przepisać list na czysto, podziękować jej w imieniu Partii, a potem przez kilka godzin konsultował następnych towarzyszków z aktywu przybyłych na wezwanie i parę minut przed czwartą zaniósł Wiśniewskiemu tekturę i teczkę, w której było kilkanaście indywidualnych listów protestacyjnych. Wiśniewski sięgnął po teczkę, rzucił okiem na listy, pokłapał aprobującą głową i spojrzął na zegarek. Mika nie wychodził, wlecił się na krzesło, wreszcie odezwał się głosem takim, jakby wtrącał uwagę nie na temat:

- A ten Najmniejszy z Całego Świata, to dopiero, kurwa.

I patrzył uważnie na Wiśniewskiego. A Wiśniewski, który radby się o Najmniejszym z Całego Świata dowiedzieć czegoś od Miki, też zrobił zainteresowaną minę.

- Kurwa, mówisz?

- Zapadło milczenie.

- No to piszemy - odezwał się pierwszy Wiśniewski.

Przeliczyli listy, posegregowali na grupy, według rubryk - mężczyźni, kobiety, młodzież, renciści, inwalidzi - zaczęli redagować zwykłe sprawozdanie z dnia pracy przeznaczone dla Komitetu Wojewódzkiej, potem zaś jego wy ciąg bezpośrednio dla Centrali. Gdy wychodzili z gmachu, zaczęto się się robić szaro. W samochodzie w drodze do Złotziejówki Wiśniewski myślał sobie tak: "Świat się zmienia, coraz więcej niezrozumiałych zjawisk i słów, nawet wrogowie noszą jakieś dziwaczne nazwy. Najmniejszy z Całego Świata... Kto też to taki może być. Ilościowo to on może i Najmniejszy, ale jakościowo chyba wielki, potężny i niebezpieczny. Nie?"

Listy w sprawie Najmniejszego z Całego Świata zaczęły się ukazywać w gazetach, w programach radiowych i telewizyjnych. Przodująca nauczycielka Sepulik znalazła swój wraz ze zdjęciem już nazajutrz w dzienniku "Prawda Najprawdziwsza". Wydrukowany był na pierwszej stronie, obok licznych innych listów, pod wspólnym ogromnym tytułem "Cały naród - potępia chuligańskie wybryki Najmniejszego z Całego Świata - listy do towarzysza Ropuchy." Nauczycielka Sepulik kupiła gazetę w drodze do szkoły, przed pierwszą lekcją zdołała tylko rzucić okiem na treść pozostałych listów, ale po przerwie, w czasie której odebrała gratulacje od pani dyrektorki, jej zastępczyni oraz przedstawicielki młodzieżowego aktywu szkolnej komórki organizacji kobiecej, miała okienko i całą gazetę mogła przejrzeć dokładnie. Listy zajmowały trzy pierwsze strony i było ich bardzo dużo. Któż nie poparł towarzysza Ropuchę w tym spontanicznym odruchu. Pisał rektor Nestoruk i profesor Senioruk, pisali pracownicy Ministerstwa Niwelacji i Ministerstwa Reeducacji, szwaczki z Elany i przadki z Elkany, robotnicy z Siarkoskołu i chłopi z Psiej Wólki, uczniowie z wzorcowej szkoły wzornictwa filmowego i studenci wydziału filozoficznego Akademii Opiekuństwa Serdecznego, murarze ze Stolicy i metalowcy z Chłodnicy, pisał zastępowy mistrz sportu Defekcik i sprinterka Pic, pisały przedszkolaki z przedszkola wiodącego przy hucie Rdza i pensjonariusze oddziału reanimacji domu starców w Sierocinie, zastępowy artysta Brzeźkutek i pisarz Chałturzyk, pisali aktywiści Towarzystwa Krzewienia Inwalidztwa powiatu Garbuły i więźniowie z Centralnego wężenia imienia Dzierżymorskiego, zatrzymani w Izbie wytrzeźwień w Chłojkach i krowy z państwowego gospodarstwa rolnego w Deficytowle. Nigdy dotąd nauczycielka Sepulik nie miała tak pełnego poczucia więzi z całym społeczeństwem. I już w czasie tego okienka wpadła na pomysł, żeby te wartości tkwiące we wspólnym solidarnym działaniu dla dobra społeczeństwa wykorzystać dla celów wychowawczych. Pani dyrektorka, którą Sepulik zagadnęła w tej sprawie na przerwie, bardzo pochwaliła pomysł i na następną lekcję Sepulik weszła do klasy z miną oświeconą i skupioną. "Coś będzie" - pomyśleli zaraz uczniowie i rzeczywiście, nie pomylili się. Sepulik, gdy tylko zdyscyplinowała klasę i odebrała od gospodarza pisemne doniesienie na temat sprawowania się poszczególnych uczniów w czasie dwóch pierwszych lekcji i przerw, rozpostarła numer "Prawdy Najprawdziwszej", uniósła gazetę do góry, tak aby wszyscy mogli ją zobaczyć, i powiedziała:

- Popatrzcie.

Sepulik była nauczycielką wzorową. Stosowała ona w nauczaniu zalecane przez władze zwierzchnie środki audiowizualne, nigdy nie formułowała uogólnienia, zanim nie pokazała faktu, z którego ono - zgodnie z teorią - dialek-

tyki - wynika, i dlatego nie do pomyślenia byłoby dla niej nie odczekać teraz, aż uczniowie, nawet z najdalszych ławek, zobaczą na własne oczy przynajmniej wydrukowany ogromną czcionką tytuł. A gdy wszyscy zobaczyli! Już nie tylko tytuł, ale wśród fotografii u dołu strony, również jej zdjęcie i rozległ się ów tak dobrze jej znany chórally okrzyk podziwu, jakiego niezmierznie wydłużone "Aaaaaaa", wówczas zadała pierwsze pytanie kontrolne:

- Do kogo adresowane listy zawiera dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza"? Powie Pikulska.

- Do towarzysza Ropuchy.

- To samo pełnym zdaniem.

- Dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy.

- Dobrze, siadaj. A teraz: w jakiej sprawie listy do towarzysza Ropuchy zawiera dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza"? Głos.

- W sprawie potępienia narodu.

- Pełnym zdaniem

- Dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy w sprawie potępienia narodu.

- Jak, jak powiedziałeś, w jakiej sprawie?

- W sprawie potępienia narodu.

- Siadaj, Kto wie, w jakiej sprawie dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy?

Nikt nie wie, więc nauczycielka Sępulik jeszcze raz rozpostarła gazetę ku klasie.

- Pikulska? Proszę.

- W sprawie chuligańskich wybryków.

- Dobrze, tylko pełnym zdaniem

- Dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy w sprawie potępienia chuligańskich wybryków narodu.

- Siadaj Pikulska. - Czy w tej klasie - Sępulik nadała swemu głosowi odciętą goryczy - nie ma naprawdę jednego myślącego ucznia? Uwaga: pokazuję jeszcze raz.

Sępulik pokazała jeszcze raz gazetę, uczniowie wytrzeszczyli oczy na skomplikowany tytuł i Pikulska znowu podniosła rękę.

- Proszę.

- Dzisiejszy numer gazety "Prawda Najprawdziwsza" zawiera listy adresowane do towarzysza Ropuchy w sprawie potępienia przez cały naród chuligańskich wybryków tego no..., zaraz, zaraz....

Sępulik zerknęła na tytuł i podpowiedziała:

- ... Najmniejszego z Całego Świata. No, nareszcie.

A teraz cała klasa powtarza, trzy, cztery:

Dzi-siej-szy-numer-ga-ze-ty-Praw-da-Naj-praw-dziw-sza-za-wie-ra-tłis-ty-adre-so-wa-ne-do-to-wa-rzys-z-ka-Ro-pu-chy-w-spra-wie-po-tę-pie-nia-przez-cały-na-ród-chu-li-gań-skich-wy-bry-ków-Naj-mniej-sze-go-z-Ca-łe-go-Świa-tu.

- Dobrze, zaklaskaj. W ręce z radości Sępulik. - A teraz klasa uważa. Wszyscy zakładamy teczkę, w których gromadzić będziemy wycięte z gazety listy do towarzysza Ropuchy potępiające chuligańskie wybryki Najmniejszego z Całego Świata. A potem, na podstawie w ten sposób zgromadzonych materiałów źródłowych napiszemy wypracowanie. Uwaga, dyktuję temat pracy domowej.

Uczniowie otworzyli zeszyty, wpisać numer lekcji, datę i zaczęli notować temat pracy domowej.

W oparciu o wycięte z gazety listy do towarzysza Ropuchy potępiające chuligańskie wybryki Najmniejszego z Całego Świata napiszę, jak cały naród popiera towarzysza Ropuchę i potępia chuligańskie wybryki Najmniejszego z Całego Świata.

Pikulska podniosła rękę do góry.

- Słucham, Pikulska.

- Proszę Pani, to na jutro?

Sępulik była nauczycielką przodującą i nowoczesną. Nie zadawała ona wypracowania z dnia na dzień. Pragnęła, aby tekst wypracowania oparty był na

solidnej podstawie materiałowej. Była również przeciwniczką sztampowości, Werballizmu. Cała jej działalność dydaktyczna i wychowawcza polegała na zmuszaniu uczniów do samodzielności myślenia i na wykształcaniu w nich twórczej postawy wobec otaczającej rzeczywistości. Poza tym Sepulik była siłą wytrawną i na podstawie licznych doświadczeń z przeszłości wiedziała, że listy do towarzysza Ropuchy będą się ukazywać w gazetach również przez następnych kilka, a może nawet kilkanaście dni. Nie groziło więc klasie bynajmniej, że to będzie wypracowanie na jutro. Sepulik dała bardzo odległy, a w pewnym sensie nawet elastyczny termin, przypomniała klasie, że oczekuje przede wszystkim samodzielnych refleksji, spostrzeżeń, odczuć, a także nieszablonego, emocjonalnego podejścia do referowanego tematu, i w tym momencie z ostatniej ławki podniósł się Wysmótek, uczeń sprawiający nie od dziś poważne trudności wychowawcze.

- Proszę pani - zapytał Wysmótek - a kto to jest Najmniejszy z Całego Świata? Jak ja mam pisać, jak pani nie...

Nauczycielka Sepulik, jako siła kwalifikowana, dobrze przygotowana do pełnionych obowiązków, unosiła się w klasie rzadko, jedynie w związku z najbardziej karygodnymi uczniowskimi wykroczeniami przeciw regulaminowi szkolnemu. Dyscyplina, którą utrzymywała w klasie, była to dyscyplina świadoma, a autorytet, jakim się cieszyła wśród młodzieży, opierał się nie na stosowaniu kar, lecz na rzetelnej wiedzy, jaką posiadała, i na umiejętności współżycia z młodzieżą, wyrażającej się zrozumieniem dla jej problemów. Jednego, czego nie tolerowała Sepulik na swoich katedrach, to podejrzanego uśmiechu i prowokacyjne szepty. Nauczyciel początkujący, lekceważący swe obowiązki lub wręcz słaby nie dostrzega zwykle tych subtelnych fluidów złej woli, złośliwości, wrogości, które potrafią emanować z prowadzonej chyłkiem w ostatniej ławce rozmowy lub ze śmiechu jawnego, pozornie uzasadnionego sytuacją lekcyjną. Taki nauczyciel patrzy na te praktyki przez palce, skoncentrowany li tylko na realizacji programu i na merytorycznej stronie lekcji. Ale Sepulik nie daro uchodził w powiecie za pedagoga, który przekazując wiedzę przewidzianą programem nie zapomina również o drugiej, być może ważniejszej stronie medalu: o obowiązku wychowywania, wychowywania dla przyszłości, dla nauczania ustawicznego, kształcenia permanentnego, dla pracy, dla kultury, dla Partii. I dlatego Sepulik była na uśmiechu i prowokacyjne szepty uczulona szczególnie. Jej krzyk po przytłapaniu ucznia na gorącym uczynku szemrania znany był nie tylko klasie, ale i liczny osobom postronnym, którym zdarzało się akurat przechodzić korytarzem obok drzwi.

Jednak pytanie, które zadał Wysmótek, było to w oczywisty sposób coś więcej niż wrogi szept i prowokacyjne szemranie. Sepulik tak jak stała za swoim stołkiem, tak znieruchomiła, zanęmowała i na jej rumianej twarzy zaczęła się formować ten sam wyraz grozy, jakim kiedyś, przed laty zareagowała na obsłuskanie przez psa woźnej Missalowej stojącego na środku boiska posągu Ropuchy.

- Coś ty powiedział? - wydarła z siebie wreszcie słowa, w których ton grozy mieszał się z tonem wstrętu - coś ty powiedział? To Partiuła, ojczyzna Marzeń i Snów, Towarzyszek Ropucha, osobliście zapewnia ci szczęśliwe dzieciństwo, żłobek, przedszkole, żółko szpitalne, dom czasowy, dom starców, stołówkę, stadion, domy towarowe Centrum, teatry, kina, książki, zeszyty, gumki, ołówki, długopisy, tobie i twoim rodzicom, wszystko co masz, zawdzięczasz codziennemu nieustrudzonemu znojowi tysięcy najlepszych towarzyszków, robotników, chłopów i inteligentów, to władza Marzeń i Snów pozwala ci korzystać ze skarbnicy wiedzy całej ludzkości, uczy cię, wychowuje, dba o twój pion, oblicze moralne i wygląd zewnętrzny, a ty nie tylko nie masz do swojej Partii, do swojej władzy zaufania, ale wręcz sugerujesz, insynuujesz, robisz krecią robotę, wystygujesz się naszym przeciwnikom, podnosisz rękę przeciw swemu narodowi. Wista - ryknęła jeszcze głośniejszym głosem Sepulik - Wista płynie przez pola, lasy, i łąki, dziecią dzięki pokojowej polityce naszego kraju z Krajem Miłującym Pokój na czele, beztrosko bawią się w piaskownicy, włókniarka przedzie swe włókno na cześć setnej rocznicy urodzin Dialektyki, a ty, przebrzydły chłopcze, na to wszystko plusjesz, beczcesz i do swym cylizmem, kosmopolityzmem, i subiektywizmem, po to, żeby zbrukać to, co dla nas wszystkich jest najdroższe. Wista - chrypiła już wprost Sepulik - a

on, a ten... - tu podbiegła do Wismółka i zamachnęła się - ja nie pozwolę, żeby na mojej lekcji, wróg, wróg, wróg! I z płaczem wybiegła do pani dyrektora.

Uczeń Wismółek został wyrzucony ze szkoły, natomiast pozostali uczniowie, zgodnie z przewidywaniem nauczycielki Sępolik, mieli ze zbieraniem wyćinków robotę na co najmniej dziesięć dni.

XXII. Pisarz Ileo przemawia na sympozjum "Artyzm-Humanizm-Pokój"

Pisarz Ileo wszedł na mównicę i na sali zapadło owo pełne skupienia i życzliwego zainteresowania milczenie, jakim uczestnicy międzynarodowych sympozjów "Artyzm-Humanizm-Pokój" witali zawsze wystąpienia tego sędziwego twórcy z dalekiego kraju. Pisarz Ileo, opierający nienaganną francuszczyzną, erudyta, poruszający się swobodnie po szerokich obszarach sztuki europejskiej, świetny mówca łączący patos i liryzm humanistycznej refleksji z najlepszą próbą humorem, okraszający meritum poruszanej problematyki attycką szczyptą anegdoty, był bowiem dla większości uczestników sympozjum równieź i nade wszystko, ambasadorem tamtego świata, nieznanego im, lecz fascynującego egzotyką, żywotnością, potęgą, postępem realizowanym szorstkimi rękami ludzi psychicznie zdrowych i zdrowym entuzjazmem ogarniętych, ambasadorem przy tym pozbawionym śmiesznych przywar Sujkowa, intelektualisty z Kraju Miłującego Pokój, który czytał z kartki w swym narodowym języku i na wszystkich pytania odpowiadał nieodmiennie "nie! nie!", "nie! nada". Siwa głowa pisarza Ileo znieruchomiła, twarz jego, jeszcze przed chwilą ściętą grymasem napięcia, przybrała wyraz smutnej zadumy i pisarz Ileo przemówił:

- Pod błękitem, który królował dziełom Petrarri, Dantego i Michała Anioła, pod słońcem, które humanistyczną, ludzką treścią napełniało płoć Rafaela i Leonarda, w kraju, w którym biedak bosy prowadzi wciąż do wodopoju swego osiołka, a ruiny starożytnych budowli kryją płataninę ludzkich dramatów, w kraju, gdzie cyprys smukły strzela ku niebu jakby nie chciał oglądać padołu trosk człowieczych, staję oto, artysta z krainy dalekiej i pięknej, pięknością zmartwychwstała z ruin wprawdzie, ale także jeszcze świeżych i krwią żyjącego pokolenia przesyconych, spod nieba, na którym miast błękitu obłok gości życiodajny, by zrosić ziemię zorzaną przez tyralierę machin i wydać poezję, przesłanną trudem radosnym, bo wspólnym. Nad bosym właścicielem osiołka i nad huraganem zmian, który ogarnął połówę świata, zadumany szukam wśród wartości, które znam i pojmuję najlepiej, wartości najwyższej i znajduję ją nie tam, gdzie w jałowych dysputach ścierają się pedanci, nie tam, gdzie zaślepione tłumy pchają się do błyskotek wystawionych na targowisku, nie tam również, gdzie jednodniowi prorocy swój krzyk wznoszą pod niebiosa, lecz tam, skąd bije źródło naszego wspólnego owożenia: w człowieku.

Tak rozpoczął swe wystąpienie pisarz Ileo i jego wzrok, jeszcze przez chwilę dumnie a serdecznie pochylony nad znakomitą audytorium jako całością, ukojony widokiem postępowych intelektualistów i artystów przybyłych tu z całej Europy, żeby przytężyć swój głos do głosu narodów, chłonecy jakże dobrze znaną artystę atmosferę ciepła bijącą z amfiteatralnie ustawionych rzędów szczerline wypełnionej sali, zaczął raptem jakby czegoś lub raczej kogoś na tej sali szukać, kogoś pojedynczego, indywidualnego, intelektualisty lub artysty. Z daleka jego szczupła posągowa sylwetka z siwą czupryną zdobiącą kształtną głowę rasowego rzymszanina wyrażała nadal olimpijski spokój artysty, który troskając się o wartości ludzkie wznosi się zarazem wysoko ponad gwar i rejwach świata. Z pierwszych jednak rzędów można już było w jego wzroku dostrzec ową nerwowość mówcy towarzyszącą twarz słuchacza indywidualnego, twarz, która stałaby się sprawdzianem oddźwięku, egzaminatorem surowym i natchnieniem zarazem. "Artysta - napisze potem sprawozdawca wielkiego dziennika - zwykły jest, jak się zwierzy, wybierać sobie wśród słuchaczy jednego, aby się do niego zwracać bezpośrednio, patrzeć mu w oczy, co nadaje jego wystąpieniom ów niepowtarzalny klimat kameralności, intymności niemal tak rzadkiej w świecie zdehumanizowanej kultury masowej".

Sprawozdawca wielkiego dziennika użył wszakże jednego wyrazu nieprecyzyjnie. Czas mijał, wzrok artysty błąkał się po twarzach intelektualistów i

artystów, błąkał, błąkał i przystani znaleźć jak nie mógł, tak nie mógł. Obojętnie ześlizgnąwszy się po kufatej brzoźnie poety Carnero, specjalisty od ilości cielesnej oraz martyrologii dzieci i starców w księstwie Lichtenstein, musnąwszy zaledwie dostojne oblicze profesora Struzzo, który życie poświęcił cierpieniom wężniów politycznych w Szwecji, nie zatrzymawszy się nawet na moment na szarym ubranu pastora Focha zżeranego przez problem intolerancji religijnej we Włoszech, zlekceważwszy mądre czoło doktora Turkey'a, zadumanego nad filozofią egzystencjalną i losem żebraków w slumsach szwajcarskich, nie wzięwszy w ogóle pod uwagę prozaika Leprotino, od antypowieści i walki z militarystką w mieście Wenecja, eseistki Anny Maril Geier od literatury antywojennej i pokojowej pracy matek, profesora Froscha od Kanta i niewolnictwa w Norwegii, zaledwie kilka sekund życiowej serdeczności poświęciwszy zasiadającemu w prezydium intelektualistcie z Kraju Miłującego Pokój Sujkowowi /który jednak gestu nie zauważył, bo wyciągał właśnie piersiówkę/, myszkował po sali z taką determinacją, iż sprawozdawca wielkiej gazety zamiast napisać, że pisarz ileo kogoś w y b i e r a „powinien użyć raczej słowa s z u k a. A pisarz ileo mówił dalej tak:

- Człowiek jednak, żeby kułtywować należycie swój humanizm i zanurzać się w nim bez przeszkody, musi żyć pod niebem, którego nie przekreśla zło-wróżby zygak bombowca ani śmiertelność cygaro raklety. Ja, pielgrzym z kraju, który ucierpiał w czasie ostatniej wojny więcej niż jakikolwiek inny naród, może lepiej od niejednego z was znam bezmiar okrucieństw i cierpień, jakie niesie za sobą dziejowy kataklizm. Cicha polna grusza, o której tak pięknie pisze nasz poeta, drzewo naszego dzieciństwa, dziś mądrą ręką robotnika i chłopu wytrzeblona, bo znikła miedza, o którą tyle było w przeszłości między wieśniakami swarów, ta, co pamięta smak potu przeszłych pokoleń, cicha grusza, mówię, dziś już, a niech jej tam, niepotrzebna, więc opowie o tragicznym czasie wojny niż księga najmędrsza. I dziś w tę gruszę zapatrzony pod błękitem nieba obcego, wśród smutnych cyprysów; powtarzam słowa, bez których na nic się nie zdadzą strofy Petrarki i płótna Rafaela: pokój, pokój, pokój.

W tym momencie pisarz ileo powinien odchylić swoją kształtną głowę do tyłu i zrobić pauzę, aby dać możliwość rozwinięcia się oklaskom, a być może nawet owacji! Bardziej burzliwej, nie zrobił jednak tego, tylko, wprost przeciwnie, wychylił się do przodu i głosem, w którym wytrawne ucho mogło wychwycić jakąś nową zupełnie nutę ni to tremy, ni wzruszenia, ruszył jak z kopyta dalej, bo dostrzegł wreszcie Baćmagę. Baćmaga, oficjalnie pracownik konsulatu Kraju Marzeń i Snów w Wiecznym Mieście, a nieoficjalnie spec-pracownik Ministerstwa Opiekuństwa Serdecznego, czuwający nad spokojem, zdrowiem i życiem przebywających tu stałe oraz czasowo rodaków, niepozorny mężczyzna w średnim wieku, mimo upału w marynarce, siedział w ostatnim rzędzie blisko wyjścia i może dlatego pisarz ileo tak długo nie mógł go dostrzec. W klapie marynarki miał przypiętą plakietkę Sympozjum, którą otrzymał od organizatorów jako stały już i znany bywalec intelektualnych oraz artystycznych zgromadzeń międzynarodowych, a także członek honorowy Akademii, szczególnie zastrzeżony w dziele zaciekawiania Włazów intelektualnych i artystycznych między narodami. Baćmaga siedział z miną skupioną, wpatrując się w pisarza ileo i notując od czasu do czasu. I gdy przy słowach "pokój, pokój, pokój" pisarz ileo dostrzegł go wreszcie, poznał, a może jedynie swym nieomylnym instynktem r o z p o z n a ł, by zawiązać wzrokiem na jego niewyraźnym obliczu, nie spuścić go z oczu do końca wystąpienia i jemu, właśnie jemu, dedykować odtąd każde swe następne zlekka nabrzmiałe treścią czy wzruszeniem słowo, ten, w nienadmiernie entuzjastycznym rewanżu, jakby chciał powiedzieć "no, lepiej późno niż wcale", odchylił się nieco do tyłu, wydał wargi i przestał pisarzowi ileo spojrzenie wyrażające powściągliwą aprobatę. Ileo zaś, mistrz słowa mówionego, nawet jakby się przez moment zaplątał nieco, tak się tym Baćmagą wewnętrznie zachwycił i tak się swoją z nim komunikacją intymną wzruszył i tak, czy aby w jego oczach dobrze wypada, zdenerwował. Mówił bowiem dalej w te słowa:

Pokój to grusza. Grusza to pokój. Zadziwiony mądrością szwacki, która swym prządem gruszę u korzeni podcięła, i wzruszony mądrością drzewa, o którym nasz poeta, mówię, wzruszony, choć jej ułomności świadomy, a niech

tam szwaczka drzewo, podetnie i zetnie, przyszłym pokoleniom lżej będzie. Piętrzym sędziwy, nad gałęzią ściętą pochylony, nad którą niebo, dziś czyste a jeszcze wczoraj...

Tu przerwał pisarz Ileo, bowiem, w fizys Baćmagi wpatrzony, wypatrzeć, że ten mu jakieś znaki daje i słowo jakieś podpowiada, ustami kształt liter rysując. Tak więc cały zamieniony w słuch wychylił się do przodu niby cygaro rakiety, wpatrzył się w usta Baćmagi z intensywnością gotową spowodować pęknięcie naczyńka krwionośnego w mózgu i w błysku natchnienia mogącego przyprowadzić o zawal serca wchłonął w siebie słowo Baćmagi: "pod".

- Pod - powtórzył jak echo pisarz Ileo - po czym wyjął chusteczkę, otarł krople potu z wysokiego czoła, ujrzał jak Baćmaga wsadza sobie do ust palec, żeby stamtąd coś wydtubać i w jeszcze jednym tego dnia natchnieniu odgadnął ciąg dalszy:

- Pod gruszą. Nad gruszą, powiedziałam, i pod: tam niebo ojczyste krzyżem bombowca przekreślone, tu oni, dzielni chłopcy obozowisko rozbili, by wroga przepędzić hen i by ojczyznę zbudować nie byle jaką, nie taką, jaką była, pańską, lecz przez sunnicowych rządzoną i w Wielkim Sąsiedzie zakochaną. I, wierście mi, ci chłopcy, do których potem zły człowiek strzelał zza węgła, dziś czule nad każdym z nas pochyleni, przyjaciele sztuk i nauk, ci rośli młodzieńcy, którzy budzili kiedyś mój strach, gdy po raz pierwszy nocą zapukali do mego okna, a dziś są moimi przyjaciółmi i jeśli się z nimi posprzeczą, to o Szopena i Bacha, więc ci chłopcy, skromni mimo ogromu odpowiedzialności, która na nich ciąży, wyrozumiali, mimo tylu przejawów niewdzięczności ze strony ludzi małego ducha, czyż nie oni powinni stanowić dziś temat sonetu, obrazu, kantaty? Czym uniesienie religijne dla twórcy gotyckiej katedry, czym symfonia barw dla impersjonisty, tym chłopak spod gruszy dla artysty dwudziestego wieku. W naszym pięknym kraju, jak wam, drodzy koledzy, wiadomo, przejęliśmy się tą prawdą niezmiennie i już sam nie mogę sobie wyobrazić, jak by miało być inaczej, skoro prządka i dojarka żąda od nas takiego wtaśnię bohatera. Wy, twórcy z tej potowy światła, która jeszcze nie wydzwignęła się z przeszłości, rozumieć to doskonale, macie swoje przykre obowiazki wynikające z okropności nędzy, slumsów, bezrobocia, tortur, więzień i podstępów. Ale proszę was, w rozgardiaszu waszego smutnego, naznaczonego troską codziennego życia niech się znajdzie miejsce na myśl przynajmniej o chłopaku, skromnym chłopaku spod gruszy z dalekiego kraju, w którym obłok życiodajny sprzyja ziemi rodzącej wspólny, mądrze dzielony chleb.

Ileo skończył. Zszedł z mównicy, by zająć swe miejsce w prezydium, podczas gdy sala rozbrzmiewała hucznymi oklaskami, kiedy zaś owacja się skończyła, przewodniczący obradom tysy dramaturg Putois, nieprzejejdany przeciwnik konsumpcyjnego stylu życia, zaproponował rozpoczęcie dyskusji.

Pisarz Ileo, ostatni mówca tego przedpołudnia, miał przed sobą kilka znakomitych wystąpień, wśród których przemówienie pastora Foxa, będące jednym potężnym oskarżeniem systemu zmonopolizowanej państwowej religii katolickiej, gnębiącej, uciskającej i dyskryminującej w Kraju Wiecznego Miasta buddyzm i mahometanizm/czy ktoś - grzmiał Fox - zdobył się na odwagę porównania, ile jest w Wiecznym Mieście kościołów, a ile pagód i meczetów?/, zrobiło na zebranych wstrząsające wrażenie. Ale należało już do tradycji sympozycji "Artysta-Humanizm-Pokój", że w dniu, w którym przemawiał pisarz Ileo, inne, nawet najbardziej emocjonujące wystąpienia schodziły na dalszy plan i dyskusja koncentrowała się na tym co, powiedział on. Tak było i dzisiaj. Sędziwy profesor Struzzo o głos poprosił pierwszy:

- W swoim pięknym przemówieniu nasz drogi Leonard mówił bardzo interesująco o Petrarce i Rafaelu. Ja chciałbym się jednak upomnieć o Sofoklesa. Zapatrzeni w zdobycze awangardy zapominając zdajemy się o tym wielkim rozdziale kultury ludzkiej, który rozpoczął się tak niedaleko stąd, pod niebem niemal tym samym, Grecja... Dziś w kajdanach, okowach nędzy niemal jak Szwecja, niegdyś wolna, światu nadająca klerunek. Czyż chłopiec, o którym mówiłeś, Leonardzie, nie jest to ten sam, którego biały kształtne ciało uwiecznione zostało przez dłuto mistrza, by w proporcjach ludzkich i tak wiecznych zarazem utrwalić to, co w naszym rodzie człowieczym niezniszczalne? Pytam ja jednak ciebie również: Dlaczego w mundurze? Widziałem w gazecie fotografie tego chłopca, o którym zdaje się mówić chłacieś, przyoble-

czonego w uniform wojskowy albo policyjny zgola, jak siecze i tucze tłum niesforne jakis w miescie, które jest stolicą twego kraju. Wróćmy do tradycji antycznej: na golasa, Leonardzie, na golasa!

Perlisty śmiech pisarza Ileo ział się z krótką owacją audytorium, po czym na mównicę wszedł kudłaty poeta Carnero i jego ponura, kontrastująca z niemal powszechnym rozbawieniem fizjonomią, w połączeniu z palcem, którym wymachiwał w powietrzu, spowodowała, że uśmiech zniknął w twarzy pisarza Ileo.

- Ja - rozpoczął Carnero - który, jak wam wiadomo, poświęciłem życie martyrologii dzieci i starców w Księstwie Lichtenstein i wielokrotnie dawałem wyraz swojej sympatii dla Krajów Miłujących Pokój i dla samego Kraju Miłującego Pokój oczywiście, nie byłbym sobą, gdybym na dzisiejszym spotkaniu nie przypomniał, że na zdjęciach, które wydrukowała nasza prasa, widziałem, w tłumie dyscyplinowanym przez policję starców i dzieci.

Poeta Carnero rozejrzał się groźnym wzrokiem po sali, powiedział "skonńczyłem" i energicznym krokiem powrócił na swe miejsce.

Kilka niepewnych okłasków poderwało się z dalszych rzędów, po czym wszyscy zwrócili zwrok ku posągowej sylwetce pisarza Ileo i zamilkli w oczekiwaniu. Ten zaś przybrał swą twarz w jeden z najpiękniejszych uśmiechów i łagodnym głosem człowieka, który wiele wybaczyć potrafi, powiedział:

- Ach, ci dziennikarze....

Po czym natychmiast spojrzął na Baćmagę. Baćmaga jednak patrzył ostentacyjnie w bok, jakby chciał powiedzieć: "radź sobie, Ileo, jak potrafisz, ja słucham".

Tymczasem z mównicy rozlegał się już dźwięczny głos Anny Maril Geler:

- Gardzę prasą, która dyskryminuje kobiety, panny, młódkę, starą i matronę. Jakim przewodem pan Carnero występuje wobec naszego drogiego Leonarda Ileo nie będzie odpowiadał tutaj, skoro my już wiemy, kto stoi za kampanią oszczerstw, którą rozpętały tutejsze gazety przeciw jego krajowi zajętemu twórczą, pokojową pracą. Jak pan Carnero zapomnieli, to mu przypomnę: monopole. Tak, stoją i płacą. Wstyd, że takie rzeczy trzeba na tej sali przypominać.

Anna Maria Geler schodziła z mównicy przy akompaniamencie takiego zgiełku, że aż tysy przewodniczący Putois musiał wstać i uciśzyć zebranych. Nie na długo wszakże. Młody politolog Alouette, który niemal biegł do mównicy z ostatnich rzędów, zelektryzował audytorium na powrót:

- Niech mi pan powie - zwrócił się do pisarza Ileo jednym tylko zdaniem - czy to prawda, że w pańskim kraju jest cenzura?

Intelektualista Sujkow pochylił się ku przewodniczącemu Putois i zaczął mu coś szeptać do ucha, po czym ten waliąc pięścią w stół zagrzmiął ponownie:

- Przypominam, że spotkaliśmy się tu po to, żeby dyskutować nie o cenzurze, tylko o artyzmie, humanizmie i pokoju. Pokój, pokój, pokój. Pisarz Ileo nie będzie odpowiadał na prowokacyjne pytania.

- Ależ dlaczego - podniósł się głosy z sali - my chcemy wiedzieć, nie wierzymy naszym gazetom, a tu mamy świadka historii, Leonardzie, mów nam prawdę o swym kraju, mów.

Pisarz Ileo wpił się wzrokiem w nieprzeniknioną w dalszym ciągu twarz Baćmagi, przysunął sobie mikrofon, odczekał aż zrobiło się zupełnie cicho, i powiedział:

- Ależ z największą chęcią, kochani. Otóż, może was to zdziwi, a może zmartwi, cenzura u nas jest.

W tym momencie pisarz Ileo zamierzał, dla dodania mocy słowom, które miały nastąpić potem, zrobić dłuższą pauzę, ale wydawało mu się, że prawa ręka Baćmagi wciąż patrzącego gdzieś w bok zaczyna nieznacznie przesuwac się ku wewnętrznej kieszeni marynarki, więc pospieszył z dalszym ciągiem natychmiast:

- ... bo tak, jak pięknie pisał nasz poeta "Dzieci, oczyśćcie dom ze śmieci", tak należy to do naszych narodowych tradycji, że ludzie u nas z tą literaturę odrzucają, nie chcą jej czytać ani nawet widzieć na oczy; że cenzor, zanim zakaże, przeczyta, no, niech tam, ha, ha, ha, ha, ha.

Wielogłosowy śmiech zawtórował pisarzowi Ileo, że zaś Baćmaga cofnął z

wolna rękę, którą gdzieś sięgał, tymczasem jednak politolog Alouette dął się ze swego miejsca w końcu sali:

- A pałka, co, robi pałka w ręku tego chłopca spod gruszy, skoro, jak pan mówi, cały naród kocha cenzurę?

Intelektualista Sujkow zerwał się ze swego miejsca w prezydium i wielkim głosem zaczął krzyczeć:

- Pokój, humanizm, artyzm, wolność, braterstwo, solidarność, zrozumienie między narodami, pokój, pokój, pokój!

Artyści i intelektualiści zerwali się z miejsc, każdy coś krzyczał, gestykulował, przewodniczący Putois nadaremno wzywał do spokoju, aż wreszcie fa-la opadła i wszystkie spojrzenia skierowały się na powrót ku pisarzowi Ileo który dawał ręką znak, że chce odpowiedzieć. Był pogodny, rozluźniony i ci wśród zebranych, którzy go znali lepiej, już wiedzieli, że za chwilę pisarz Ileo zabłyśnie swym wybornym poczuciem humoru, które już tyle razy ratowało go z opresji:

- A jakiż, młody człowieku, byłby to chłopak bez pałki, gdybyś był dziełczyną, nie zadawałbyś mi takich pytań.

Na sali zapanowała cisza. Wszyscy znieruchomieli w swych fotelach. Znieruchomił również na swym fotelu Bačmaga. Podczas gdy jednak znieruchomienie pozostałych jakby ugruntuowało się, potężniało, przybierało postać konfuzji, zdumienia, znieruchomienie Bačmagi zdawało się jakby tajać, rozluźniać swe rozwiązania, pracownik pochylił się do przodu, kiwnął raz i drugi, na jego surowe oblicze wypłynął uśmiech zrozumienia i nagle jak nie ryknie na całą salę skowitem radości nieposkromionej:

- !!!!!!!!!!!!!

I aż zatupał nogami. Zwróciło się ku niemu kilka smutnych twarzy. Przewodniczący Putois podniósł się, rozłożył ręca w geście rezygnacji i zaczął wygłaszać formułę podziękowania:

- No to, skoro nie ma więcej chętnych, chciałbym podziękować wszystkim, w szczególności zaś naszemu drogiemu Leonardowi za jego piękno...

Tyle tylko zdążył powiedzieć, bowiem na sali szum podniósł się znowu i politolog Alouette zagrzynał tym razem z mównicy:

- Nie wyjdę stąd, zanim się nie dowiem o niedawnej masakrze w stolicy kraju Marzeń i Snów.

Poderwali się przewodniczący Putois, intelektualista Sujkow, pisarka Anna Maria Geier ze swoim monotonnym "humanizm, humanizm, humanizm, artyzm, artyzm, artyzm, pokój, pokój, pokój!", ale teraz już nikt ich nie słuchał i dyskusja, przemieniona raptem w wiec, zaczęła toczyć się w tempie nieposkromionym:

- Co się działo w cyrku?

- Czy to prawda, że w fotelach był prąd?

- Protestuję przeciw masakrze starców i dzieci w Księstwie Lichtenstein i w Kraju Marzeń i Snów.

- Dlaczego nasze gazety nie mówią całej prawdy?

- Podobno tam pod sklepami są kolejki?

- Precz z pożeraczami powietrza, powietrza dla robotników i chłopów!

- Kto zamknął dopływ powietrza?

Po czym na mównicę wskoczył politolog Alouette.

- Zgłaszam rezolucję:

"Potępiamy bestialską masakrę dokonaną na ludzkie drogie naszym sercom stolicy kraju Marzeń i Snów przez funkcjonariuszy Oplekuństwa Serdecznego".

Burza oklasków zerwała się tak potężna, że intelektualista Sujkow, osowiały, oklapnięty, postarzały o dziesięć lat, wyjął z marynarki piersiówkę i wychylił zawartość do dna. I wtedy audytorium zobaczyło na mównicy pisarza Ileo. Stał, skromnie schyliwszy głowę, z wyrazem dobrotliwego smutku na swym pięknym obliczu i cierpliwie czekał. Tumult na jego widok podniósł się okropny, kilka osób krzyczało, żeby zszedł z mównicy, sekundy mijały, a hałas nie ustępował, Ileo jednak stał na mównicy cierpliwie i w tym jego odważnym stanie na przekór całej sali, w tym jego czekaniu zminą cierpliwa aż do niemożliwości była i determinacja tak potężna, że każdy wiedział, iż Ileo czekać nie przestanie, i pokora jakaś ujmująca, tak jakby mówił "wiem, zastąpiłem sobie na to, rozumieć was, ale, popatrzcie, oto proszę was, dajcie mi jeszcze jedną szansę". I tak stał Ileo, i tak czekał,

I tak prosił, aż ustał hałas na sali i wszyscy zamilkli na moment w milczeniu uprzejmym choć niecierpliwym "no, mów, tylko się streszczaj, słuchamy".

Ileo zaczął mówić. Już jednak po jego pierwszych słowach ten i ów jeszcze przed sekundą napięty w oczekiwaniu, kiedy Ileo wreszcie mówić przestanie, i znieruchomiły w pozie niewygodnej, przypadkowej, tymczasowości i krótkość słuchania podkreślającej, zaczął swe ciało w fotelu rozmięszczać wygodniej, rozpierać się i rozwalać, i na dłuższe słuchanie się szykować, a wkrótce cała sala słuchała słów sędziwego twórcy z ciekawością coraz większą. Odezwwał się bowiem pisarz Ileo głosem tak specjalnym, tak innym niż wszystkie, które dotychczas z siebie na tej sali wydobył, tak intymnym jak-koś, tak osobliwym, tak konfidencjonalnym, jakby już nie Baćmagą pojedynczego, lecz właśnie wszystkich pozostałych, całe audytorium i każdego z osobna brał oto pod rękę i przechadzając się wyjawiał sekret, jeszcze przed chwilą dla wspólnego dobra skrywany, a teraz ujawniony w trybie nadzwyczajnym, w przypływie zaufania bezgranicznego, boć mówi przecież do wybranych, którym, a niech tam, można przecież powiedzieć więcej niż skłonni byliby pojąć mauluczy:

- Chcę wam powiedzieć - może nie powinienem tego mówić, ale przyparliście mnie do muru, więc wam to, jeśli drodzy koledzy pozwolicie, powiem - Jestem teraz z wami całym sercem jako artysta i jako obywatel i podzielał wasz gniew wobec przemocy, gdziekolwiek ona by nie nastąpiła. Pierwszy też swój podpis złożył pod rezolucją, której tak piękne słowa zaproponował przed chwilą pan Alouette, jeśli tylko uznacie, że tę rezolucję powinniśmy dzisiaj zaakceptować. Chciałbym wam jednak powiedzieć coś, czego być może nie powinienem ujawniać, a czego zapewne nie wiecie, bo nie podały tego dotychczas ani nasze, ani zdaje się wasze gazety. Otóż nie wiem, czy w dostatecznym stopniu zdajecie sobie sprawę, koledzy, jacy ludzie stoją obecnie u steru w naszym kraju. Powiem wam, pod warunkiem, że zachowacie to dla siebie i nie wydadcie mnie, bo chyba rozumiecie, jakim z tego powodu mógłbym mieć przykrości. To są - Ileo zniżył głos - moi drodzy, ludzie bardzo prości, powiedzmy to sobie szczerze: prostacy.

Po tych słowach Baćmaga, który od kilkunastu sekund wlepił w pisarza wzrok pełen zdumienia, zaczął się unosić nieznacznie ze swego fotela, Ileo jednak tego gestu nie zauważył i kontynuował swoją wypowiedź tak:

- Urodzeni w wyrafinowanej kulturze śródlęsnomorskiej, która, jak wam, drodzy koledzy, zapewne wiadomo, wyznaczyła kierunek również mojej edukacji od najwcześniejszego dzieciństwa, gdy pod czułym okiem gubernierów zdobywałem podstawy wszelkich nauk w dworku moich rodziców, nie miałeś być może okazji zetknięcia się z tą formacją ludzką i poznania tej mentalności, którą ja w swoim późniejszym pielgrzymowaniu przez życie miałem okazję, niestety, poznać tak dobrze. Dlatego zawierzęcie temu, co teraz powiem, w interesie mego bohaterskiego, tak unęczęnego przez historię narodu. Ci ludzie na atak sformułowany wprost reagują, niestety, w sposób czasem nieprawdopodobnie impulsywny i irracjonalny, wybaczone mi te słowa zbyt brutalne, ale i mnie trudno w tej chwili opanować wzburzenie: otóż oni, jak im powiedzieć, co się o nich myśli, będą się na mym narodzie po prostu mścić.

Baćmaga, z twarzą wykrzywioną grymasem determinacji, już niemal wstał ze swego fotela i teraz zwolna wkładał ręce do kieszeni spodni, Ileo jednak brnął bez opamiętania dalej:

- Nie chcę wprost myśleć o tym, co by się mogło stać w moim kraju, gdyby jego przywódców spotkało teraz jakieś zdenerwowanie, gdyby się rozżalili lub choćby nawet rozdrażnili.

- Czy - zawołała ze swego miejsca Anna Maria Geier - zagrożona by została sfera wartości najbardziej humanistycznych, najbardziej ludzkich?

- Obawiam się - odpowiedział Ileo - że tak, i że, powiem więcej, mogłaby ucierpieć przy okazji muzyka i poezja.

- Nie wolno do tego dopuścić! - ryknął ze swego miejsca prozaik Leprotino.

- I ja też tak sądzę - westchnął raczej niż powiedział Ileo - i dlatego zabrałem powtórnie głos, aby was, koledzy, do czegoś namówić. Czy nie udałoby się mianowicie sformułować pięknej rezolucji pana Alouette tak, żeby jej siłę i potęgę jeszcze zwiększyć, wzmocnić, uchytrzyć i żeby oni nie mogli potem w żaden sposób na moim narodzie się mścić zagrażając wartościom humanistycznym, a przy okazji muzyce i poezji? Na przykład tak:

Ręce Baćmaga stojącego w rozkroku przed swym fotelem wysywały się teraz nieznacznie z kleszeń spodni, Ileo jednak ciągnął niewzruszenie: "Pełni podziwu dla narodów kroczących ku jasnej przyszłości piętnujemy rządy wyzysku i ucisku".

- Brawo Ileo! - krzyknął pastor Fox.

- Znakomicie, wspaniale, jeszcze mocniej niż było przedtem! - rozlegały się okrzyki ze wszystkich rejonów sali.

- I przede wszystkim szerzej.

- Prawda - ucieszył się jak dziecko pisarz Ileo - to jest przecież o nich, ale oni o tym nie będą wiedzieli i nie będą mogli się rozżłościć.

I spojrzął triumfującym wzrokiem na Baćmagę. A Baćmaga stał w rozkroku z rozdziawioną gębą i ani drgnął, tylko patrzył na pisarza Ileo i patrzył.

No to - podniósł się ze swego miejsca przewodniczący Putois - kto z kolegów jest za rezolucją kolegi Alouette w brzmieniu zaproponowanym przez naszego drogiego Leonarda Ileo?

Las rąk trzelił w górę. Pisarz Ileo skromnie schylił głowę. I wtedy z jednego z ostatnich rzędów podniósł się ze swego miejsca młody politolog Alouette i zaczął się przeciskać ku wyjściu. A przeciskać się zaczął w taki sposób, że mimo iż ani rumoru nie czynił nadmiernego, ani miny nie zrobił wyjściowej ostentacyjnie, to wszyscy, którzy jego wychodzenie spostrzegali, odebrali je jako przeciw humanizmowi, artyzmowi i pokojowi wymierzone w sposób złośliwy i najpierw kilkadziesiąt, a po chwili kilkaset twarzy wyrażających niesmak największy i zwróconych w jego kierunku odprowadzało go, zdążającego śpiesznie ku drzwiom. W tym zaś momencie, gdy już prawie zniknął im z oczu, Baćmaga, który stał wyjścia najbliżej, raptem nogę błyskawicznym ruchem w bok wysunął. Politolog zarył nosem w podłogę. Ktoś nerwowo zachichotał. Młody człowiek podniósł się, otrząpął i zniknął w drzwiach.

A pisarz Ileo, na którego twarzy od kilku już sekund igrał uśmiešek zapowiadający rodzenie się wyborczego dowcipu, odczekał jeszcze chwilę, zwinął usta w ciup i konfidencjonalnie, jakby sekret najważniejszy ujawniał, wyszeptał całej sali na ucho:

- No, nie daliśmy żabojadowi zjeść naszej ropuchy.

Po czym rozległy się oklaski, niezbyt liczne, jako że nie wszyscy wiedzieli, że to Alouetta nazwano żabojadem, a jeszcze mniej pamiętało, iż pierwszy członek nazywa się Ropucha, zaś po dłuższej chwili Baćmaga, który z wolna podnosił ręce do twarzy, zwinął się raptem aż do podłogi i pod kopułę sali wbiło się jego spontaniczne, nieposkromione, radosne:

- Euuuuuuuuuuuu!

Przewodniczący Putois ogłosił zakończenie obrad, uczestnicy grupkami skierowali się ku wyjściu, a gdy, znalazłszy się już na dworze, u szczytu marmurowych schodów prowadzących w zgiełk ulicy, podeszli pod grad kamieni, zgniłych jaj i ludzkich odchodów, i rozjuszona wataha młodych z portretami małego, tysego człowieczka ze spiczastą bródką na czerwonych poręczkach runęła ku nim z wrzaskiem rewolucyjnym, by zębami, paznokciami, a także żyłkami i nawet pincetkami reedukować jajogłowych agentów czarnej reakcji, gdy na dostojnym korpusie profesora Struzzo usiadła okrakiem nastolatka jedną ręką wcierając śmierdzące jajko w przerzedzoną czuprynę, w drugiej trzymając księżeczkę, z której wyczytywała w kółko słowa "uczyć się, uczyć i jeszcze raz uczyć, tylko idiota nie ma wątpliwości", gdy broda poety Carnero odcięta od artysty rozsypała się po schodach, przeraźliwy krzyk Anny Maril Geier, z drzewem poręczczyka wetkniętym między uda, mieszał się ze stękami doktora Turkey'a, któremu gimnazjalista z tornistrem na plecach wyrwał obcążkami złoty ząb, a pisarz Ileo, który wraz z przewodniczącym Putois oraz intelektualistą Sujkowem opuszczał salę na samym końcu, zrobił krok do tyłu, by skryć się za potężnymi barami Sujkova/co na niewiele się zdało, bo jednocześnie Sujkow zrobił krok do tyłu, żeby się schować za Ileo/ i gdy już zniknął przed nimi tyśa głowa przewodniczącego Putois, a ku ich uszom, nosom, włosom, oczom, językom, i genitaliom wyciągnęły się oprządkowane dłonie młodych, rozległ się raptem zbiorowy

skowyt bólu, ręce przetrącone ciosom piorunującym opadły upuszczając narzędzia perswazji i Baćmaga, wyrósłszy między ilem a Sujkowem jak spod ziemi, chwycił ich w garść lewą i to potężnymi kopniakami roztrącając kudłatą hołotę, to używając trzymanej w prawej ręce pałki, to przyklękając na chwilę, by zastosować ukrytą w rękawie kieszonkową armatkę wodną, to nawet z automatu w nogawce, spodni zainstalowanego serie puszczać na postach, runął jak burza do przodu. Odskokczyli na bok lewacy, szpaler się utworzył z młodzieży robotą, jakiej jeszcze nie widzieli, zafascynowanej, ci zaś zeszli ze schodów, by za chwilę zniknąć w tłumie ulicy zalanej przedwieczornym słońcem pogodnej późnej wiosny.

Piotr Wierzbicki

Wanda Chylińska

ASSYRYJSKI EKSPERYMENT

Oczywiście przesadzają z tą wiertarką. Mam na myśli starą wiertarkę dentystyczną w ambulatorium tutejszych literatów i ich narzekania oraz strach przed przestarzałym podobno narzędziem. Sama dentystka natomiast jest bez wątplenia osobą ambitną, dobrze się wywiązuje ze swoich zadań i nie pragnie nikomu przysparzać cierpień. Za duże jest tu zresztą słowo "cierpienie", ci ludzie przesadzają bez wątpienia.

Sieć o wysokim sklepieniu podzielono przepierzeniem i tak siedzę od strony okna ja i prowadzę ich księgowość, a z drugiej strony pod żarówką oni w oczekiwaniu na swoją kolej do dentystki. Dwie do trzech osób, nie więcej, lecz dostatecznie dokuczliwych. Przepierzenie jest niewysokie, głośno płyną, trudno się skupić nad rachunkami. Odliczam zatem na straty te dwie godziny trzy razy w tygodniu, kiedy tu siedzą.

Czy to są ludzie, którzy przejdą do historii literatury, trudno przewidzieć. Zerkam czasem przez szparę w przepierzeniu, robię stenogram ich wypowiedzi dla rozrywki i własnego rozeznania, czy tylko dla zabicia czasu. Może udostępnię to hadaczom, ale dopiero po mojej śmierci. Może też pójdzie na śmietnik. Nie wiem. Co dziś w ogóle można wiedzieć.

Znajomi porównują mnie z panem Rzeckim z "Lalki" Prusa, a to dlatego, że sądzą jakoby pracował dla kogoś przerastającego moją miarę. Moji znajomi są w błędzie. Nie widzę tu Wokulskich. Natomiast oni sami cenią się wyżej.

Są podnieceni, za dużo myślą o wiertarce.

- Lubi to pan?

Poznaję je po głosach, to częste tutaj bywalczyńskie. Wiek robi swoje, żeby się psują. Ta, do której skierowano zapytanie, milczy. Lecz pierwsza nie daje za wygraną, notuje zatem.

- Za granicą są już wiertarki bezbolesne.

- Może są. W Paryżach.

- A nie, są już w powszechnym użyciu albo prawie powszechnym.

- O właśnie. Prawie. Nie dla każdego oczywiście. U nas też są.

- Dla wybranych.

- Tam dla bogatych, a u nas jednak dla w y b r a n y c h. To chyba lepiej.

Tym razem milknę pierwsza. Tak to się zwykle kończy, niedomówieniem. Nie stawiam kropkę nad i. Może i słusznie.

Po chwili jednak:

- Tak, ale czy w walce o byt zwyciężają najwartościowsi?

- No, a kto?

- Powiedzmy hitlerowcy.

- Ci przegrali.

- I dziś mają wiertarki bezbolesne.

- Jesteśmy społeczeństwem na dorobku. Poza tym nie dałabym pani wiertarki bezbolesnej nawet, gdyby to można zmieścić w preliminarzach budżetowych.

- Żeby dokuczyć?

- Żeby nauczyć dyscypliny.

- Energia stracona na niepotrzebny ból jest marnotrawstwem.

- Jakos wykonujemy plany. Znajduje się energia.

- Ale czy cała?

- Wystarczy. Oslabienia są widoczne gołym okiem.

Milczą obie. A potem deus ex machina: pacjent, który właśnie wyskoczył z gabinetu dentystki. To jeden z tych najmłodszych i obiecujących poetów, choć nie wiem co obiecują i komu. Wiertarka i jego wpadła w pasję. Słyszę:

- To skandal z tym assyryjskim eksperymentem w wieku techniki!

- Co ty masz na myśli, Stawus, uspokój się.

Stawusiem nazywa poetę pacjentka zadowolona z rzeczywistości, zaś mal-kontentka znajduje się teraz w gabinecie. Notuję dalej jak leci, ciekawie.

kawa czy coś z tego wyniknę.

» Nie podoba ci się wiertarka, chłopcze? A mnie się już zaczynały podobać twoje wiersze...

- Recenzuje je pani...

- Może i tak.

- Podobają się pani?...

- Nie o to chodzi. O tym się dowiesz w swoim czasie. Chodzi o to, że brak ci krzepy, chłopczyho.

- Może; Nie zależy mi na tym. Podobają się pani?...

- Już ci mówiłam. Pieszczoszek, chciałby jeszcze wiertarek bezbolesnych.

- W świecie rozwoju technicznego, chyba... no, nie znam się na tym zresztą.

- A widzisz. Nie znasz się jeszcze na wielu sprawach. Wiertarki, jakie są, ale są. Dla każdego. Dawniej nie było.

- Ciekawy punkt widzenia. Muszę zbadać, jak też w Assyrii leczono eebry.

- Nie leczono, kochany, nie leczono...

- Wrywano. Ale jak? Interesuje mnie Assyria, co pani pewnie dostrzegła w moich wierszach.

- A, dostrzegłam.

- Assur, bóg ludów koczowniczych, bóg wojny, mówi przez Assurbanipala, władcę świata. Mówi do Mat'ilu, króla Arpadu, do królika niewielkiego Arpadu tak mówi: Jeśli Mat'ilu wykroczy przeciwko mnie, Assurbanipalowi...

- Co to ma do rzeczy, drogi?

- Jeżeli Mat'ilu wykroczy przeciwko mnie, Assurbanipalowi, będzie uprowadzony z synami i córkami, oraz z całym swym ludem.

- Nie histeryzuj.

- I jako głowę tego barana obecnie się odcina, tak i głowę Mat'ilu się odetnie.

- No, widzisz. Władcy twardo rozmawiali przed wiekami. Z siłą i mądrze.

- Co to jest mądrość, wle pani?

- Co? Mądra siła. I ukorzenie się przed siłą. Niczego przewidziwszego nie wymyślił.

- Pani przecież mogłaby korzystać z wiertarek udoskonalonych technicznie... są chyba takie dla niektórych....

- No, przecież widział, że nie korzystam.

- Ma pani udział w mądrości siły w inny sposób. Zastanawiam się w jaki.

- Nie dziel włosy na czworo, chłopcze. Sprawy są proste i naturalne.

Mam udział.

- Ma pani. Jakiś fajny i chyba bardzo podniecający. Nie wiem, chociaż wyczuwam, jaki.

- A ty się boisz.

- To boli i diabli wiedzą po co.

- Boli? Dlaczego nie miało być boleć.

- Właśnie. Dlaczego.

- Z pacjentami trzeba brutalnie. Często grymaszą.

- Podobno, hej. Ale czy to są grymasy, nie wiem.

- Czas, żebyś wiedział.

- I dopiero wtedy pisać wiersze. Pragnę cię i pożądam, mądra siło, nagiń mnie, ulecz.

- To już coś.

- Podobają się pani moje wiersze?...

- Te przyszłe, tak.

- A ja sam?

- Tak jak wierszyki, ten przyszły.

Teraz urywa się dialog i następuje zmiana pacjentek. Ukontentowana do gabinetu, w poczekalni jest poeta z malkontentką. Notuję dalej.

- No, jak tam, zaliczył pan? Mam na myśli pana tomik.

- Chyba nie.

- Wiercą Jej... Wcale nieźle. O ile wiem, przednie szyjki. Dziś wiertarka jest bardziej znarowiona niż zwykle.

Jednak nie słychać krzyku. Potem poeta:

- Ona to lubi. Bolesność ją wprawia w trans.

Po chwili:

- Ścierwo.

Szepnął "ścierwo" czy nie? I ja się przestyszałem chyba. Wyszli już. Każde oddzielnie. Przechodzą pod moim oknem.

Przez chwilę jeszcze trwałem w bezruchu, zdawało mi się, że dochodzi do mnie szum wiertarki. W końcu machnąłem ręką. Co mnie obchodzi wiertarka? Od dawna noszę protezy i nam spokój.

Wanda Chylicka

DLACZEGO NAPISAŁEM "W POLSCE"

To smętna historia.

Utwór, który ukazał się w piątym "Zapisie" i stał się tym samym moim ogólnowiatowym debiutem, był napisany dużo wcześniej, bo w pierwszej połowie 76 r. i nosił tytuł "W Gdańsku". Mieszkając wtedy na strychu w Sopocie za 800 zł. miesięcznie, miałem 27 lat i jako artysta zarabiałem na życie targając meble w firmie przewozowej mojego obrotliwszego koleśka. Któregoś wieczoru uchlałem się z jednym poetą i jednym pisarzem i pokłóciłem się z nimi o wartość jednej takiej dennej mikropowieści, o zagubieniu metafizyczno-erotycznym autorki/Wyd.Lit., tyt. wypadł/. Od kieliszka do kieliszka i założyłem się, że w ciągu miesiąca napiszę mikropowieść-arcydzieło. Kiedy po dwóch dniach wytrzeźwiałem /kac mnie długo męczy/, z mety zabrałem się do. Temat leżał pod. Moje JA w metafizycznym dygocie, w kulturze same sprzeczności, w kraju syf, w Gdańsku wojna gruźlicowa. Pracowałem w atrakcyjnej literacko firmie przeprowadzkowej, w dodatku firma ta była perfidnie kapitalistyczna, a ja żyłem przecieł w socjalistycznym, by tak rzec kraju. Jako artysta i jako robotnik byłem klasą gniebioną, czułem to. Co prawda nie miałem świadomości klasowej, ale miałem szczątkowe poczucie solidarności z człowiekiem w ogóle - i to jest jedyna poważna świadomość klasowa, uważam. Dopatrzysz się zatem takiej sprzeczności jak wyzysk człowieka w państwie, hm, socjalistycznym, miałem już nieszczęśliwą literacką śrubę. Proza wylewała mi się oczami, ustami, uszami i nosem, ledwo nadążałem pisać. Po dwóch miesiącach skończyłem. Ten pisarz był stary i głupi, w dodatku od dwudziestu lat w ZLP, więc nic z niego nie wykapawałem. A ten poeta miał wielodniówkę, potem dostał skierowanie na kursy odwykowe, potem... i tak jakoś wyszło, że nie przeczytał. Ale miałem takiego koleśka krytyka, który nie tylko że nie pił, ale jeszcze w dodatku do ZLP nie należał. Przeczytał, przeczytał i mówi... mówi... Bomba! O Jezu, myślałem, że chce mnie zać - ale to taki specjalny superlatyw, wyjaśnił. No jak superlatyw, jak bomba, to trzeba wydrukować, co nie? i zaczęliśmy się starać.

I było tak:

On zna Strykowskiego w "Twórczości", mówi. No więc bach, tam, do niego. On długo się nie odzywał, ale kolega go parę razy za, więc ten w końcu od. Z krótkiej prozy jego listu trudno było wysnuć, czy brakuje mi po prostu literackiej klepki, czy też klepki są w porządku, tylko muszę jeszcze pobećdnąć, czy też w końcu po co pcham się do "Twórczości" z wywrotową prozą. W każdym razie maszynopis odesłano. Strykowski się wybronił, ja znowu poszedłem na deski. Uderzyliśmy wtedy do GTGP.

GTBP czyli Gdańskie Towarzystwo Grafomanów i Pieczeniarzy stłoczone w tym czasie mocno wokół etatów projektowanego kwartalnika "Punkt", o tak, Gdańskie Towarzystwo zajęło się moją sprawą. Świetnie, świetnie, bardzo dobrze, młody prozai. Wybrzeże, popieramy, jak najhardziej - a nie ma pan czegoś innego? Mówię, że mam, owszem, ale jeszcze gorsze polityczne świństwa /kłamstwo, zajmowałem się jeszcze wtedy naprawdę sztuką a nie polityką/. Mało co im te etaty z rak nie powypadały, jak to ustąszeli. Nie, nie, co pan, tu nie chodzi o politykę, wcale, my tak tylko, artystycznie proza wydaje się nie tego, nawet fragmentu. A poza tym opłaca się czasem nie mówić wszystkiego, po co zaraz, i tak biedna ta nasza kultura. robimy co możemy. Niech pan coś innego. Tu coś jakby artystycznie niewygrane.

Artystycznie niewygrane... No szlag by to trafił i cholera wzięła, nie wierzyłem, ale wzięła, człowiek panta rei - i zacząłem wątpić w swój ostatni utwór literacki. I już, już miałem rzucić literaturę, założyć swoją firmę przeprowadzkową, jak każdy normalny młody człowiek zając się oportunistem - kiedy nagle przychodzi wiadomość z Warszawy. Jakis obywatel niepowołany, zbliżony do kręgów miesięcznika "Nowy wyraz", tak mi pisał. Proza znakomita, groteskowe przedstawienie Rewolucji dokonanej, trochę przecinków za mało, ale w ogóle najlepsza jaką w ciągu ostatnich mniej więcej

dwóch lat... Tak mi pisał, mniej wleceć. No to już! - piszę do niego. To "już" trwało dwa miesiące, potem list przychodzi: a nie można by tak parę rzeczy odpuścić? tapownictwo w sferach urzędowych - odpuścić; imię Icek bo antysemityzm - odpuścić; słowo Rewolucja bo za często podejrzenie i ten kontekst - zaciemnić. No i te przecinki. Byłem wtedy daleko, kaowem w domu wczasowym /dzieci mówiły panie kakaowiec/, tamto było trupem - odpuścić. tapownictwo wykreśliłem. Z Icka zrobiłem Imka bo jak mi Bóg świadkiem żadnych semitów nie jestem wrogiem - ale jestem nieprzejednanym wrogiem antypolonów /i antysemitów też/. Słowo Rewolucja zaciemniłem na Przewrotnica. A przecinków nastawiałem ile wlezie. - Po miesiacu dostaje telegram: termier się wystraszył stop nic z tego stop przepraszam stop.

Stop.

Widzieliście kiedyś krajową figę? Ja ją od czterech lat oglądam, odkąd poszedłem z pierwszą książką do Wydawnictwa. Duża jest, duża, jak Pałac Kultury wysoka, szeroka jak ruskie tory, a od krwi naszej czerwona jak pluskiew. Jest niewzruszona jak instynkt życia zwierzecy i wypraha z artysty. Jak odwzorowanie społeczeństwa w nawiedzonym mózgu pozytywisty. Co robić?

Co robić.

Dusiłem się. Moim szczęściem i nieszczęściem - po prostu wyznacznikiem mojej tożsamości - to było że, cierpiąc na manię Ducha, poszedłem po raz pierwszy do wydawnictwa wtedy dopiero, kiedy zebrałem cały tom moich opowiadań. Kiedy miałem całe 25 lat. Chciałem - coś. Chciałem - "zadziwić". Chciałem po prostu być JA. Szedłem z jedną książką, potem z drugą, nie rozpuszczałem się. Ktoś coś za mnie wysyłał, nie umiałem poprowadzić tego interesu. Zatem odnowy, które mnie spotykały - skoro nie było publikacji tzw. drobnych - odcinały całkowicie kontakt z życiem literackim. Doszło do tego, że mając 28 lat, zajmując się literaturą poważnie od lat doładnie siedmiu, a od pięciu tylko literatura, publikacji nie miałem żadnej. Była to sytuacja z jednej strony korzystna - z drugiej tragiczna. Korzystna dlatego, że mogłem w szybszym tempie przewartościowywać to co napisałem. gdyż napisane nie uzyskiwało siły literackiego bytu, swoim poza mną istnieniem nie petryfikowało mnie - duża wolność. Z drugiej strony było to jednak tragiczne. Bowiem to wolność anarchiczna. A cenzura stała się moją obsesją. Domyślałem się, że nie tylko o cenzurę chodził, wszak parę z moich utworów mogłoby pójść - lecz chodził również o ogólną organizację życia tutaj, w tym życia kulturalnego, o to, że nikomu nie ośmiela się ryzykować nie tylko z cenzurą, ale i w ogóle ryzykować np. stronę artystyczną. Ale wtedy dla mojej świadomości tworzącej była to sprawa drugoplanowa, sprawa która stać się może - kiedyś - tematem twórczości. Mnie zaś chodziło o dziś. O mękę samego aktu tworzenia. Nie mając wtyczek, nie publikując, nie żyjąc w literackim świecie - nie wiedziałem co można, ile można. Będąc niepodłączony byłem wolny - ale i zdeorientowany. Pisać musiałem, siły artystyczne są jak siły fizyczne, nie zużyte odkładają się w chorobę. Pisząc częściej myślałem o cenzurze. Pisarz w naszym kraju - dopóki nie zadrze - cenzurę ma we krwi. Kiedy zadrze - w oczach. Im bardziej o niej myślałem, tym bardziej cenzura rozrastała się, do wymiarów w końcu monstrualnych. Doszło do tego, że składając do pisania widziałem cenzurę, tylko cenzurę i każde słowo które pisałem stawiałem w jej blasku. Nie mogłem pisać swobodnie, straciłem cały polot. Proza moja stała się azara, poważna, społecznikowska i symbolizująca. Proza moja straciła wdzięk. Cenzura stała się moim głównym wrogiem, moim głównym oporem, a ja jako artysta stałem się w końcu funkcją cenzury. Przestałem być artystą. W końcu przestałem pisać. Wtedy zaczęła zalewać mnie własna niewydalana treść.

Dusiłem się.

W tej sytuacji wyjechałem na wieś. Na wsi, w sercu puszczy zgorzeleckiej, jak głośno październik typu witamy, wetknęła w trawnik przed niejśnią piwa, postanowiłem co następuje. Postanowiłem, że w kraju w którym człowiekowi przędziwie nie wolno nic, w którym dzień w dzień, od rana z jedynek do wieczora z dziennikiem morduje się ducha i geometryzuje człowieka, można tylko uprawiać samodoskonalenie. Najpierw się wysamodoskonalę myślałem - a potem się zobaczy. Akcje te przeprowadziłem gruntownie i na wielu frontach. I tak - rzuciłem palenie. Jadłem tylko raz dziennie. I to tylko biało roślinne. Jak coś mi się we mnie nie spodobało, kazałem sobie, potem dwie głodować. I nie pić wody. Wyciąłem kij, kupiłem tenisówki

I chodziłem na leśne spacer - 10, 15 kilometrów dziennie. Kochałem przyrodę. Sadziłem ziemniaki, cebule, fasolę i bób. Siałem pietruszkę i koper. Hodowałem drób. Jedną kwokę posadziłem na jajach. Wyprowadziła - po trzech tygodniach - siedemnaście kurcząt. W międzyczasie indyckie podeptała Indyk z sąsiedztwa / a ona mu usładła, tak się mówi / - po czterech tygodniach wyprowadziła mi niezły młot ośmiolindkowy. Ja zaś, z czułością patrząc na płodność natury, ze wszystkich sił starałem się nie myśleć o kobietach / to za to o nich śniłem - żadne wyjście nie zajmować się kobietami /. Sielan - ka trwała już kilka miesięcy i byłem pełnym niezwyklej estetyki mistycznej szkieletem, kiedy którejś nocy klapło moje serce. Wtedy mnie jeden felczer w towarzystwie zgrabnych pielęgniarek zajądając smakowicie kromkę z masłem, szynką i rzodkiewką, raz i na zawsze uświłdomił. Ja zaś kątem mózgu przypomniałem jeszcze, że Budda też swego czasu nabrał się na eremityzm i też mało co nie wykitował. Uspokoilem się. Zjadłem duży kurczak z rożna i postanowiłem znowu pisać.

Ale - pisać. Trzeba wiedzieć najpierw co jest grane. W tym celu, twarde, po męsku, najedzony, odważny, od panienek już mi serce nie topotało, wystosowałem pismo do Putramenta/ to taki literat/. Tytuł postawiłem taki: "Do Jerzego Putramenta - Interpelacja artystyczna". A zaczynało się mniej więcej tak:

"Szanowny Panie. Jest Pan pisarzem polskim. Jednym z przywódców Związku Literatów. Redaktorem pisma literackiego. Członkiem Komitetu Centralnego. Posłem na Sejm. - Zatem człowiekiem odpowiedzialnym i realnie odpowiadającym za całokształt życia literackiego w moim kraju..."

Dalej następowały głębokie uzasadnienia, racjonalne interpretacje i argumenty z samych trzewi zdrowego społecznego rozsądku. Dalej pytania. Siedem bitych stron A4. Do tego podłączyłem manuskrypt mikropowieści "W Gdańsku".

Odpowiedzi nie było.

Nie było, nie było, a ja czułem wręcz organicznie jak mi rozwiązują się ręce. Czułem, że ręce moje rozrastają się jak dwa wielkie dęby, jak dwa wielkie grzmoty, jak dwa jerychońskie nadmoskiewskie pioruny - wziętem te ręce i tymi rękami przewertowałem Marksa, Engelsa, Lenina. Kochani, pudło! Te niepolotną mutę o misjonarskich intencjach nabrały nas i nabrały się same. Nabrały się na sacrum Społeczeństwa, Historii, Produkcji... To i przedtem co prawda wiedziałem, ale tylko na czuja - teraz już wiedziałem cerebrialnie. Teraz już nie pisałbym do Putramenta. Ani do Cartera. Ani do Kurta Waldheima. Wiedziałem do kogo mam pisać. Do jasnej cholery!

Tak jest, brata mnie jasna cholera i ciężki szlag mnie raz za razem trafiał. Szukałem odgromnika. Szukałem naczynia, w które mógłbym z tego wszystkiego się wy. W które mógłbym na to wszystko na. W które mógłbym na to wszystko się od, wy i ze.

Było pod ręką. "W Gdańsku". Wziętem ten tekst, wyrzuciłem metafizykę, filozofię i estetykę, wywaliłem eselastykę i kontestujący bełkot, gdzie trzeba postawiłem przecinki, więc tak wyczyściłem tę konstrukcję, ten narnek i - zwiłtowałem do tej skorupy całe to moje zaślepiające mnie odium, całą tę kataraktę, to wszystko co miałem do tego poronionego pomysłu ustrojowego, do głupkowato "przodującej" partii, do tego zbydlatego poniewoli społeczeństwa, do tego żafosnego "państwa" i do tego tam... tego tam... tego tam państwa oświeconego. Napisałem utwór na temat, na swoje wewnętrzne zamówienie, na swój wewnętrzny ratunkowy mus. Ograniczyłem, uporządkowałem, choć moim żywiołem jest logiczny luz a nie spójność a la Jasło Kałapuckin, zwięziłem pasmo, wypuentowałem, wystrzyżłem - i tym ostrzem przebiłem się na świat duchów wolnych. Poczułem się jakbym wyszedł z taj - na pod przysnć....

Nie jestem z tego utworu artystycznie zadowolony - proszę mi wierzyć, nie jest to poza - to nie jest moje prawdziwe JA. Wiele zostało za burtą. Ale tak widać musiało być. Nie można pchać się na estradę Ducha w kajdanach.

Dlatego napisałem "W Polsce".

Historia, którą opowiedziałem nie jest tylko moją historią. Jest to historia, wydaje mi się, tego co przydarzyło się ostatnio w ogóle polskiej

literaturze. O sobie zaś opowiadałem dlatego, że się na sobie najlepiej jeszcze znam. Ta Introwersja wynika nie tylko z mojego charakteru, nie tylko stąd, że sztuka jest pracą głównie w laboratorium własnego JA - ale stąd również, że w kraju, w którym twórców odizolowano od siebie, pozbawiając ich swobody w wymianie doświadczeń, likwidując tym samym potęgę dyskursywnego, wspólnego stwarzania ducha, w którym kultura wznosi się na garbach, na miedzianych czołach, na zasznurowanych ustach i na jurgieltnikach, w którym rzeczywiście myślący ludzie skazani są na bytowanie monadalne - w takim kraju własne JA stało się jedynym terenem suwerennych eksploracji twórczych, artystyczną i intelektualną oazą, naszą smutną samotną manufakturą.

A teraz wiedzieć musicie państwo, że od dwóch lat wszystko się w naszym kraju pokiełbało. Gęgacie stali się rewolucjonistami, dotychczasowi rewolucjoniści /typ Machejek/ ni stąd ni zowąd stali się gęgaczami, przy czym gęgąc zaczęli na gęgaczy, którzy przecież już nie są gęgaczami tylko rewolucjonistami /typ Kuroń/, w ogóle jaja - jeden tylko Gierek i Wyszynski pozostali na swoich miejscach, a nawet przysunęli z lekka fotele. W tej sytuacji mówić zaczęto o "literaturze niezależnej". Hasło to najściślej wiąże się z inicjatywą grupy osób, pisarzy, poetów, ktytyków, działaczy - wydających od początku 77 r. periodyk "Zapis". Do tej pory ukazało się pięć grubych numerów. Jakże są oddźwięki? Ano właśnie. Gnom wiemy co myśli. Pragmatycy polscy /typ Wielopolski/ gęgają, że to politycy wydają Zapis i że żadna tam literatura. A w ogóle Zapis to żydzi, zboczeńcy i ludzie skompromitowani. /Wielopolczycy nigdy nie będą skompromitowani, bo wtedy trzebaby 82% Polski skompromitować/. Z kolei gęgacze, parąd, rewolucjoniści - mówią: coś pięknego! cała polska literatura cudownie jak za dotknięciem różdżki czarodzielskiej /naszej! / zmartwychpowstała! No i są jeszcze różne takie przybłędy, które mają swoje zdanie....

Na niedawnym spotkaniu z redaktorami Zapisu, wobec zapelnionego do ostatniej kropki w podłodze Salonu Tadeusza Wałendowskiego pojawił się obrazoburca. Może być, że nastąpił przez ubycję, do siania dezintegracji niepozytywnej w młodych szeregach. Wyraził się on m.in. iż Zapis to wcale nie taki znowu nobel i owszem, on docenia, szanuje ale duży krzyk, hałas, Wielka Niezależność - a dla niego Zapis to "Twórczość" i "Węzi" stoł. Na sali powiało: Tadeuś Wałendowski, człowiek bywały, żonaśy, dwoje dzieci, zaraz kazał wleźć do Salonu, zrobił przerwę, nawet na papierosy wyjął zezwolenie - coż, kiedy ziarno zapadło. Zapadło, a musiało być płodne, skoro jego owocem są i te między innymi uwagi.

Ja też uważam, że Zapis to wcale nie takie wielkie halo, wielka ameryka i w ogóle duch w stanie artystycznego rezonansu. Ale prócz tego uważam, to mam jeszcze interpretacje. Mówię w porządku, Zapis, literatura niezależna, zielone światło, jest jaka jest, ma swój charakter i swój kierunek artykulacji - i pytam: a czego wy jeszcze chcecie? "Prawdziwej" sztuki? "Czystej" literatury? Pełni? Metafizyki? To wy myślicie, że dobra literatura z sezorowych protestów pisarzy się urodzi? Z życia towarzyskiego opozycji? Z waszego gęgania wielopolczyków? Ledwie rozkuto literaturze kajdany - a wy już każecie jej tańczyć? To nie do Zapisu miejsce pretensje nie do ludzi którzy ją robią, ale raczej przeniescie pretensje na tych, którzy po tamtej stronie skrobą, milczą, a nawet przyjmują blaszki na tasiemkach/ a choćby ostatnio Parnicki/ - chociaż człowiek o zdrowych zmysłach i elementarnej uczciwości nie może dziś nie wleźć.

Przed kilku dniami zmarł Zbigniew Żałuski, pisarz dworski. Nie wiem jaki on miał iloraz inteligencji, ale gdyby słyszał jakimi komentarzami przyjęto dokona jego śmierć, po prostu jego życie - spędziłby je chyba inaczej, naprawdę chyba inaczej....

Przed blisko miesiącem zmarł Stanisław Dygat. Ten nie miał wrogów. Żałowali go ludzie i żegnali, był ich. Wiem, że w ostatnich tygodniach, przed śmiercią rozmawiał z ludźmi z tej strony. Wiem, że nie odmówił pomocy finansowej, kiedy się do niego zwrócono w tej sprawie. Chciał chyba więcej. Pisać. Dotączyć. Dać jeszcze jeden odważnik na naszą szalę, swoje nazwisko, życie. Nie zdążył. Mówiono "szkoda", miał szansę na dobrą puentę! Ktoś powiedział "gdyby wiedział, że tak niedługo, na pewno by się nie zastanawiał". Umarł. I tak pozostał miłym Stasiem-literatem. To tylko.

Wy, którzy żyjecie, piszecie dla dworu, czy dla siebie chytkiem wymijając wilcze ścieżki, czy dla "ludzi" jak wam się wydaje, którzy przyjmujecie blaszkę milczkiem odprowadzając publiczne nabrzoństwa a w braku siły, w braku odwagi, w braku artystycznej tężyny gęgacie na to nowe, które w naszej literaturze się rodzi - pomyślcie o ludziach, którzy was w dniu śmierci po całej Polsce jednym zdaniem oceniają...

Dobrze, że się na Zapis, na tę literaturę gęga; ja też pogęguję. Ale przestańmy, do diabła, czekać na Orfeusza! Naszrśmy tępetyny i zrozummy, że tam, gdzie trzydzieści lat odchodziło permanentne gnojenie samej istoty ducha, zaległości nie odrobił pięć numerów Zapisu, jeden "Pulsu" i kilka periodyków. Polska literatura ścierpiał Dajcie jej czas - i warunki! - aby się rozprostowała. Aby zaczęła płasnąć / a kiedy zacznie, zrobi to napewno siedem razy lepiej niż ta, która nauczyła się ukrywać swoją chroniznę w "Twórczości" / . To do was, literaccy gęgacze.

A teraz do nas, do tych z tej strony. Nasza literatura zbyt mocno czuje się literaturą ofiary. Zbyt mocno stoi przed jej oczami kat. Paradoksalne, literatura "niezależna" okazuje się w swojej istocie zależna - ona wciąż jeszcze jest zdominowana swoją niezależnością, niezależnością od. A nie ma być literaturą niezależną, tylko po prostu literaturą. Krótko mówiąc: jest wolność słowa, nie ma wolności ducha. Literatura ta nie syć ducha. Ja wiem, że ona z ran ducha właśnie się wylizuje. Masuje krwawe pęta. Ale niepotrzebnie przy okazji jątrzy. Jeden z moich znajomych wleopolczyków tak się o niej wyraził. Kochany, to nie jest literatura. To samoluteński organ seksualny, w tym nie ma ciała. No i prawda. Posłużę się tu przykładem negatywnym...

Konwicki. "Kompleks polski" - trzeci numer Zapisu. Ta literatura wyróżnia się, ma swoją tożsamość. Można się czepląc, bez wątpienia - ale jest przynajmniej czego. Nie jest to książka stwórcza, gdyż duch który ją wyprodukował stwórczy nie jest - ale ma niezaprzeczony walor poznawczy. Ma swoją autonomię i nie jest już tylko funkcją antytotalitarnego odium / czego np. skrajnym przykładem są od jakiegoś czasu wiersze i eselistyka Stanisława Barańczaka /. Dlatego Konwicki. Dlatego, że fundamenty pod tę książkę budował on przez lata. Temat, który opowiedział, obwachiwał i macał, hipnotyzując czujnych woltyżerów, od kilkunastu przynajmniej lat. Wystarczy sięgnąć do jego poprzednich powieści. Konwicki nie był w tej sytuacji co nasza nowa literatura, nie musiał stwarzać języka. Wystarczyło tylko dopowiedzieć to, co w poprzednich książkach systematycznie niedopowiadał, odkładał. Wylało się przy tym trochę żółci i trochę brudów sienia / z brudami znowu Konwickiemu nie wyszło - ale może następnym razem?... / - ot, i wszystko. Ale Konwicki; a przecież w Zapisie i inni fachowcy pisali. Otóż Konwicki ma to do siebie, że odkał skończył z socjalistyczną ministranturą zajmuje się naogół i głównie w literaturze sobą. A własne JA artysty jest u nas naprawdę najbardziej niezawodną literacko formą / mówiłem o tym wyżej /. Zaś inni - inni zajmowali się literaturą. I dlatego zostali w dotkach. - Czytam te recenzje z "Kompleksu polskiego". Dymarski, Barańczak, Szaruga... Panowie, zostawcie te nawyki haglograficzne po tamtej stronie! Przestańcie trzymać się za ręce i odepchnijcie się trochę od siebie. "ajsil-niejil" będziecie, kiedy staniecie oddzielnie - to przecież literatura...

Jaka jest przyszłość literatury "niezależnej"? Ogromna - o ile stanie się literaturą. A jakie są na to nadzieje? Pomijając okoliczności największe nadzieje są w ludziach, którzy tu dopiero, na tym placu, wobec tego punktu odniesienia rodzic będą siebie i swój artystyczny język. Język który byłby nie rozkuwaniem kajdanów, wylewaniem żółci, robieniem złośliwych min, uderkami żężdżonych przez Historię i ich niewczesną eksploatacją ale taki, który będzie językiem stwarzającego się autentycznie i od zera ducha.

Może to utopia... Bowiem życie w Polsce leje się i tak pomimo, cieżkim, obojętnym nadwiślańskim korytem i nie predko ta autorewolucja nastąpi. Zaś literatura "niezależna" aby była żywa, aby nie stała się takim sobie odródkiem, kulturowym - mimo wszystko! - w kręgu osób wtajemniczonych, w czasie wolnym i w miarę możliwości, w odcięciu od głównego nurtu społecznego życia, aby stała się w pełnym tego słowa znaczeniu literaturą - musi

sobie zapewnić równowagę duchową. Z tym wiąże się i stabilizacja wydawnicza, i stabilizacja finansowa, i - bagatelą - modus vivendi z Gnomem. A w tej sprawie ostatniej skazani jesteśmy, panowie pisarze, na dzieje, znowu na układy. I zdaje się, że znowu, jak to w naszych dziejach, skończy się wszystko na jednostkach. Więc prosta rada, kto ma rozbuchane w środku palenisko, komu furczy żyta, kogo świerzbł mózg - niech nie namyśla się, niech się nie ogląda, niech szybko wskakuje do tej z nieba lux-torpedy jaka jest literatura niezależna, niech nabiera gazu, póki jej nie wykołaja. Reszta niech ogryza kości. Wiedzieć jednak wprzód trzeba; że aby udać się w tę podróż, być wolnym artystą, w tym kraju i dzisiaj - trzeba mieć końskie zdrowie. Ja np. rzuciłem palenie.

P.S. Znowu palę, cholera.

Korzeniowski

POLSKA ZNIJACZONA ALBO LODOWIEC Z GÓWNA

W latach 1945-55, a zwłaszcza między 1949-53 inżynieria dusz ludzkich opierała się na zaangażowaniu ideowym. Model manipulowania niesfornymi Polakami wymagał oprócz sprawdzonych środków represji policyjnej zewnętrznej, także i policjanta uwewnętrznionego w postaci proponowanego nowego wzorca wartości kulturowych. Tak nowy wzorzec kultury samopilnującej się zaprezentował słynny szczeciński zjazd literatów w 1949. Niepodobna jednak zaprzeczyć, że ów wzorzec kultury socrealistycznej w zamyśle jego wynalazców nie był wzorem rozdwojonym na teorię i na praktykę, przeciwnie - wymagał heroicznej konsekwencji, co umysły proste a niechętnie przeformułowały na znane określenie postawy bolszewickiej /"zaszkodzi choć nie ma w tym interesu"/. Pawła Korczagin znajdował wielu naśladowców denuncjujących tatusa lub mamusię na zebraniach zetempowskich. Tak hartowała się stal. Inni żyli przytłoczeni tym stalowym pancerzem. W każdym razie wypracowano system wartości, dla którego nie tylko warto było zabijać wrogów, ale, tak przynajmniej sądzili niektórzy, samemu ginać z czerwoną legitymacją przyciśniętą do serca.

Potem nastąpił okres rozprężenia i chaosu, kiedy wszystkie te z trudem wypracowane wartości zostały utopione w błocie, czyli Październik 1956. Po wielu latach wysiłku stanęliśmy jednak znowu na nowych pozycjach. Zobaczmy więc, na czym stoimy.

Gdy rozgromiono Nową Falę, a jej najwybitniejsi przedstawiciele Barańczak, Krynicki i Zagajewski zostali przymuszani pozbawieni możliwości wyprawiania się w druk, okazało się, że polityka kulturalna wytworzyła tymczasem zupełnie nowy, ale dość koherentny model manipulowania odbiorcą. Na czym polega ów model?

Oto traktuje kulturę jako przedmiot spożycia, coś co jest konsumowane i wydalone, co wypełnia puste wnętrza ludzkie jako sui generis neutralna pasta spożywcza zatykająca przewód pokarmowy, ale nie przetwarzana na energię życiową, a więc unerwiającą organizm. Twórczość staje się teraz produkcją materiałów zastępczych, imitacji, atrap do złudzenia naśladowanych oryginalne produkty. Jej celem jest zamulenie tej przestrzeni, w której mógłby się rozwinąć żywy dialog twórcy - odbiorcy, dialog między tym co wszczyna proces twórczy i tym co ów proces współtworząc podejmuje. Wypełniając ów obszar potencjalnego dialogu niby-twórczość paraliżuje i autora i odbiorcę. Jej celem lub /jeśli rezygnujemy z doszukiwania się diabelskiego spisku w mechanizmach historii/ rezultatem jest zniżanie uczestników kultury. Kultura zaś miast być dróżdżami poruszającymi ludzką zbiorowością i inspirującymi do różnego typu działań, zmienia się w gumę do żucia podawaną zgłodniałym. Oto więc mamy zalew płytko rozrywkowych, trzeciorzędnych filmów /zwłaszcza komedii/ z życia zachodniej middle class, oto sprowadzamy serie łagodnie gangsterskie, nieszkodliwe historyczne, niewinnie roznegliżowane. Oto tłumaczymy częściowo swobodne, umiarkowane liheretyńskie pamiętniki francuskich dworzan i dwórek, układamy antologię wierszy o muzyce, wierszy o matce, wierszy o pszczołce, wierszy, których nie chce nam się czytać, piszemy powieści, w których o nic nie chodzi, sztuki bez konfliktów, ksażki na przemiat.

Lub też kłtną szczególnego typu peryferie. Niektórzy poeci upodobałi sobie sielanki przyrodnicze, opiewają urok błęszczadzkich jesieni, wiośniocłopisarze szukają swolch bajecznych korzeni, wiejskiego rodowodu zakopanego pod jabłonią, udają się w fantastyczną podróż zaprogramowaną przez orbisowską science fiction. Jedni czynią tak dla uniku, inni z tchórzostwa - tworzą bibeloty, ozdobniki do tego, co jest i pozostaje niezmiennione, aby nie mówić o rzeczach, które widać w oczy, o tym co boli trzydzieści milionów Polaków. Sądzę, że peryferie powinny istnieć, ale wtedy gdy istnieje centrum. Jeśli zaś literatura pozbawiona zostaje centrum, udawania, że można przevegetować na peryferiach jest oszustwem wobec siebie, czytelników i potomności. Powtarzam, bez centrum zmienia się funkcja peryferii, stają

się one dopełnieniem /biegun publiczny i prywatny/, ale obszarem obłudnej młodości.

Nie dajmy się także z drugiej strony zwieść nawoływaniom o ideowość / i zaangażowanie / w literaturze i sztuce. Te hasła częściej wypowiadane niż słuchane i częściej wypisywane niż odczytywane wcale nie mają być przedmiotem jak się to mówi "wdrażania". Są za to suł generals lipservice sygnalizującym trwałość systemu, jego niezmiennność. Oto nasza doktryna trwa i jest wieczna, posiadając, oto nie zmieniliśmy ani litery w spuściźnie otrzymanej od mitycznych, brodatych klasyków, oto przechowujemy jak najwierniej ducha Ojców Kościoła. Ta trwałość i niezmiennność wręcz mityczną zapewnia szczególnego rodzaju poczucie bezpieczeństwa wszystkim korzystającym z dobrodziejstw statu quo, a pod adresem wykorzystywanych manifestuje groźną, niezłomną wieczność potężnego bastionu, który jest jako opoka. To, że owe deklaracje nie są wprowadzane w życie, wynika nie tylko ze słabości dyspozytora kultury, z wygaśnięcia jego sił vitalnych i spadku agresywności, ale z pewnej chytryści, o której zaraz powiem. Idzie bowiem o to, że ideowe zaangażowanie w kulturze, to znaczy gotowość poświęcenia dla wartości innych niż doraźne praktyczne, w gruncie rzeczy prowadzi do pewnej autonomii działania. Jednostka opętana wiarą w wartości niesprowadzalne do układów personalnych i doraźnych korzyści może okazać się wulniera ideom a nie osobom. Nie w pełni daje się więc manipulować. Nuż bowiem wpadnie w różne odchylenia i herezje, mogą jej też przychodzić do głowy interpretacje doktryny niezgodne z interesami określonego układu sił. Sterowanie ludźmi za pomocą doktryny okazało się niezbyt pewne, mniej pewne niż to, do czego prowadzi spersonalizowana więź międzyludzka, gdy poprostu Y służy X-owi nie pytając o racje i motywacje filozoficzne, stojąc na gruncie doraźnej praktyki. Można to zresztą różnie nazywać. W wersji cynicznej będzie to służba dla własnej korzyści, w wersji wysublimowanej "robienie co się da" w "warunkach jakie są". Myślę zresztą, że zastąpienie manipulacji doktrynalnej pewniejszą manipulacją na zasadzie więzi personalnej /lub grupowej/ wynika ze zmiany perspektywy czasowej. Pierwsza manipulacja zakłada "długie trwanie", "historię" etc., druga myśli wyłącznie o doraźnym skutku na najbliższe dwa tygodnie, perspektywa historyczna jest tutaj zacielona do wąsko pojętej biografii grupy rządzącej - après nous le déluge!

Ala nie na czym jeszcze polega chytryść, o której wspominałem wyżej? Otóż oprócz możliwości herezji i odszczepieństw, zaangażowanie doktrynalne nawet obłudne prowadzi także do swoltego wzbogacenia osobowości /różnorakie napięcia wewnętrzne typu cornelliowskiego/ u zarażonych doktryną, u przeciwników zaś budzi ostry sprzeciw, mobilizuje ich malkontenctwo, słowem polaryzuje postawy, budzi ruch "ideowo-moralny". dynamizuje zbiorowość miast łagodnie i niepostrzeżenie usypiać i ubezwłasnowolniać. Do tego celu zaś najskuteczniej prowadzi zniżanie ludzkich osobowości, odebranie im poza-doraźnej /poza-praktycznej/ perspektywy działania. Istotnym więc hasłem nowej polityki kulturalnej jest nie prowokować niczego. Ani ostrzejszych sprzeciwów, ani zbyt gorącej miłości, i miłosne zapęty bowiem okazane zmurszałej nazbyt damie mogą okazać się niebezpieczne. Życie przedłużaj jej tylko zrównoważenie i spokój. Włec też i rozogniony Władysław Machajek może liczyć co najwyżej na uśmiech współprzywolenia.

Abowiem skoro rozstrządamy wszystkie napięcia, skoro upiemy wszelkie inicjatywy, skomoramitujemy wszelkie prądy zmierzające do przekształcenia siebie, zbiorowości, świata i jego ustanowionego nieporządku, porwy żywione duchem niezgody na to co jest i w nas i wokół nas, wtedy osiągnąmy pełnię władzy nad ludzkim zbiorowiskiem zmienionym w zbiorowisko ostryg bez wrażeń lądujących na półmisku. Człowiek zniżaczony najłatwiej poddaje się manipulacji.

Otóż zazwyczaj kultura służyła walce ze zniżaniem człowieka, a w każdym razie była terenem walki sił prowadzących do jego ubezwłasnowolnienia i sił pragnących jego wolności, przy czym walka ta nie zawsze przebiegała między przejawami kultury, najczęściej toczyła się wewnątrz nich, wewnątrz dzieła sztuki jako jego wewnętrzne napięcie, wysiłek przekroczenia własnych ograniczeń, własnej ciasnoty. Tak sztuka była szkołą niezgody na miłość swoją i cudzą. Otóż dzisiaj na naszych oczach dokonuje się skanda-

liczne oszustwo. Jako kulturę bowiem /literaturę, sztukę etc./ prezentuje się to, co jest jej przeciwieństwem, ale przeciwieństwem bezpłodnym, nie prowokującym reakcji. Oto szynka z plastiku, chleb z gumy. Literatura-nie-literatura, sztuka-nieszuka, pisarze-niepisarze. Związek literatów, który zajmuje się przydzielaniem samochodów, czasów, wydaje zaświadczenia, lecz żyje... O bezżębna literaturo!

Tak wpijamy w rozlewiska kiczu. Ale nie jest to kicz barwny, nierzaz fascynujący swoją plebejskością jarmarczną, fantazją niekontrolowaną dobrym smakiem literatury wysokiej. Tak kicz stanowi nierzaz junackie przeciwieństwo oficjalnej sztuki, partnera, którego sprostności rzucane zza płotu pobudzają krew w jej żyłach. Kicz, który zamula nasze mózgi, odznacza się akademicką poprawnością, szczyli się kulturalnym poziomem. Jego trucizna kryje się w jego neutralnej młodości, w jego niezdolności do wywołania jakichkolwiek napięć.

Ale przecież pisarze podejmują współczesne tematy, dyskutują w swoich książkach o zaangażowaniu, nonkonformizmie, dramatach zawodowych i osobistych. Oto Tadeusz Hołuj z szaleńczą odwagą atakuje problem rewolucyjności młodzieńczej przeciwstawionej dojrzałemu zrównoważonemu starszemu pokoleniu. Bohater jednej z jego powiastek usiłuje porwać samolot, by nieść pomoc walczącemu Wietnamowi. Jego naiwny żar rewolucyjny spotyka się z ciepłą wyrozumiałością starszych. Jakże to prawdziwe i trafnie dobrane. Rzeki, oczywiście dla naszych dwudziestolatków jedynym doświadczeniem budzącym młodzieńczy bunt przeciw złu i niesprawiedliwości były w latach 68-70 bombardowania Wietnamu północnego przez amerykańskich imperialistów, żyjemy bowiem w kraju, który rozwiązał wszelkie zasadnicze sprzeczności i bytuje oto błogo w beczkasowej siłance młodej z rzadka przez grupki izolowanych wichrzycieli. Musimy więc importować zło aż z Chile czy z Wietnamu.

Tak zostaje ukradziony młodzieńczy nonkonformizm, oswojony, wpuszczony w kanat... Cóż za mistrzostwo zresztą w zamulaniu rzeczywistych dramatów, w rozbrajaniu i chytrym pod pozorami kultu - kompromitowaniu rzekomo wyznawanych wartości. Tak "partyzancka" frazeologia patriotyczna donrowadziła do oślinienia tradycji walki niepodległościowej z okupantem. Oto całe obszary zdeptane i stratomane przez cwanych pisarzy chętnych i żwawych w przechwytywaniu stypendiów na powieść, film czy serial nioszący patriotyczne braterstwo broni. Próbie kradzieży tego, co stanowi żywą wartość, towarzyszy zabieg - zgodny ze schizofrenicznym modelem naszej rzeczywistości - separacji. Oto strajki robotnicze w dwudziestoleciu są przejawem walki proletariatu o swoje prawa, nonkonformizm walczących zostaje jednak starannie odizolowany od tego, co obserwujemy dzisiaj: te dwie sfery nie korespondują ze sobą, są oddzielone murem. Podobnie walka mniejszości w USA o swoje prawa nie ma nic wspólnego z walką o prawa człowieka u nas. Cenzura we franklistowskiej Hiszpanii obrzucana jest błotem, cenzura u nas jest zbawienią poręczą chroniącą przed upadkiem w otchłań.

Powiedziałem wyżej, że okres stalinowski wierzył w manipulowanie zbiorowością poprzez ideologię, której realizacją była polityka. Ideologia zakłada dalekosiężne cele, "długie trwanie". Rezygnacja z ideologii jest więc niewiara w to, że świat potrwa dłużej niż dwa tygodnie. Zresztą odrzucamy ideologię, gdyż okazała się niebezpieczna /produkcja herezji itp./, na jej miejsce wprowadzamy materiał zastępczy, tak jak drukarz wprowadza błąk na miejsce brakujących liter. Funkcją tego materiału zastępczego jest niedopuszczanie do wytworzenia się jakiegokolwiek pozapraktycznego systemu wartości, paraliżowanie komórek mózgowych, obezwładnianie myśli obciążonej neutralnym balastem gazetowych frazesów. Gdyby ktoś wziął serio owe frazesy, mogłoby to okazać się bardzo niebezpieczne. Stąd umyślna senność naszego aparatu propagandy, jego zamysłem nie jest bynajmniej przekształcanie obywateli w żywo i inteligentnie myślących marksistów - uchować Boże! - ale markowanie ideologii - wypełnianie wszelkich nie zajętych doraźnymi sprawami życiowymi stref osobowości lekkim kłosem frazesów. Ideologia zastąpiona zostaje czystą polityką, to jest taktyką manipulowania ludźmi, nie w celu realizacji określonego systemu wartości - niejako bezosobowego, intersubiektywnego, "długo trwającego" - ale dla doraźnych korzyści grupy rządzącej. Jest to polityka wyzwolona ze służby o ideologii. Dawniej między interesami grupy rządzącej i manipulowaną zbiorowością rozciągał się obszar obronny -

ideologii. Ona stanowiła mur, za którym tkwiła grupa rządząca i jej interesy. Obecnie ten mur rozpadł się, pozostała sama tylko polityka, czyli doraźne zabiegi, prowizorka na tymczasem, łatanina, bricolage, desperacka gestykulacja, przekupstwo i szantaż, i jako ostatni ratunek możliwość terroru prowadząca do ostatecznej katastrofy.

Nie mamy więc żadnego pozytywnego programu kulturalnego/takim był soc-realizm/, mamy za to nijakość rozrywkowo-estetyzująco-nudziarską sztuki oficjalnej i cenzurę walącą drągłem w każdego motylka i komara. Rzeczywiście żyjemy przyciśnięci grubą warstwą lodowca. Ale jest to lodowiec z gówna.

Coda:

Kiedy podejmujemy decyzję pisania o rzeczach, o których dotychczas nie wolno było pisać, znajdujemy się w szczególnej sytuacji. Z jednej strony zrzućcie z barku wewnętrznego policjanta daje poczucie nagłej swobody, otwierają się bowiem nieprzewidziane możliwości wyrażu długiego tłumionych odczuć. Z drugiej jednak ów wybuch nie ułatwia chłodnej analizy, beznamietnego oglądu zjawisk, stowem tego co nazywamy postawą poznawczą. Najłatwiej wtedy wytałować się w negacji i w destrukcji, o tyle jałowej, o ile pozostałe na płaszczyźnie wyjściowej ustalonej przez pryncypialnik będąc tylko zmianą znaku wartości. Cała problematyka duszącego nas koszmaru nie zostaje wtedy podjęta, nie udaje się nam wyjść poza układ pytań i odpowiedzi już istniejących, poza - przeciwieństwo fałszywą - dotychczasową konceptualizację rzeczywistości. Utaśnieniu napiecie emocjonalne - wynikające z długiego okresu inhibicji - przyszkadza nowej konceptualizacji otaczającego nas światła.

Ala wydaje mi się, że taki wybuch emocji jest konieczny. Musi najpierw nastąpić odhlókowanie, wyładowanie napięć, abyśmy byli zdolni do chłodnej diagnozy, gdzież zresztą brać narzędzia potrzebne do jej wypracowania! Długo okres przymusowej hibernacji nie sprzyjał wytworzeniu pojęć dających się użyć do demityzującego opisu, a więc rozbrojenia tego, co chce się nam jawić jako "nieprzezroczysta konieczność", jako magia, transcendencja, hoskość, wobec której jesteśmy bezradni, powaleniu na kolana, przejęci sakralnym lękiem, gdy ślina cieknie nam na widok skórki od kłębasy podawanej na papatyku przez dobrotliwe groźne bóstwo.

Ala jest jeszcze jeden istotny czynnik, w pewnej mierze obezwładniający tego, kto podejmuje demityzujący opis idola. Otóż wkracza w pojedynkę na obszar mało eksplorowany, nie krepują go już żadne reguły opisu już wytworzone /bo jakże miały się wytworzyć w czasie hibernacji!/, ale też nie pomagają i nie prowadzą. Jest oto jak Adam po raz pierwszy nazywający świat, trudno się wlec dziwić, że kategorie, które wymyślał ad hoc, bywały mało subtelne, dość ogólnikowe, niepojętobłone. Zresztą świat, który przyszło mu opisywać, został wymyślony nie przez Pana Zastępców, ale przez milion sekretarzy powiatowych.

Jan Prokop

Ignacy Matuszewski

ZNIESIENIE CENZURY A LITERATURA PIĘKNA

/fragmenty/

Przez długie, długie lata nasza literatura piękna w Królestwie była do pewnego stopnia niemą. Knebel cenzury nie pozwalał na poruszanie i odzwierciedlanie artystyczne całego szeregu spraw, i to spraw, które wiazały się najsilniej z bytem całego społeczeństwa.

Autorowie, drukujący swoje książki za kordonem, nie wyczerpali nawet tysięcznej części materiału, który tkwił w życiu. Cenne artystycznie dzieła wybitnych nowelistów, powieściopisarzy i poetów wychodzące bez cenzury - dają zaledwie fragment tego, co prawdopodobnie, a nawet niewątpliwie weszłoby do literatury. A jeżeli który z pisarzy próbował wypowiedzieć cenzuralnie to, co było niecenzuralnym, musiał uciekać się do "okultystycznego", że tak powiem, sposobu wyrażania swych myśli i uczuć i kryć między wierszami wszystko, co stanowiło istotną treść dzieła. Czytelnicy czasem rozumieli, a czasem nie rozumieli, o co właściwie idzie, a nakład pracy w utworach tego typu przewyższał wysiłki artysty o całe niebo.

Moglibyśmy wskazać cały szereg dzieł pisanych tą metodą, ale wolimy poczekać na odpowiedniejszą chwilę. Nie trzeba dopomagać domysłowości cenzury i urzędu prokuratorskiego...

Nie o poszczególnych autorach wlec, pragnących jeżeli nie złamać, to przynajmniej uchylić nieco plecień milczenia włożoną im w usta, mówić bądźzimy, lecz o tym, co domagało się ujawnienia, a musiało pozostać w tajnikach udreńczonych mózgów i serc, wzdychając na próżno do wcielenia się w formy artystyczne.

Najgłośniejszy nacisk kładła cenzura na epokę porozbiorową dziejów Polski. Kościuszkę był do ostatniej chwili na indeksie, o Napoleonie i ks. Józefie Poniatowskim wolno było pisać o tyle, o ile się to nie wiązało zhyt ściśle z podnieconym nastrojem ducha narodowego w chwili ich działania na gruncie naszej ojczyzny. Na zewnętrzną stronę wypadków patrzano pod koniec przez palce, ale kto spróbował odtworzyć wewnętrzne sprężyny ruchu wolnościowego w kraju, przemianowanym bezprawnie na "Prywilejański", ten musiał albo milczeć, albo uciekać się do wspomnianych wyżej sposobów maskowania swych myśli za pomocą symbolów, niedomówień, domyslników etc. Szczere i otwarcie niepodobna było uplastycznić tego, co się widziało i czuło w głębi duszy.

A czasy późniejsze, bliższe nam? Epoka Królestwa Kongresowego, powstała 1 listopada, rządy ks. Paskiewicza - o wprowadzeniu tych momentów do dziedziny sztuki nie było nawet mowy. Rok 1863 również nie istniał dla cenzury. Pisać o Rządzie Narodowym, o "buntowszczykach" i ich psychologii, odtwarzać martyrologię skazańców i zesańców - równało się zbrodni stanu. Co z tak bogatego w pierwiastki duchowe i plastyczne materiału można by zrobić i co niewątpliwie będzie zrobione - tego chyba dowodzić nie potrzebuje. Dominujące postacie działaczy głównych, nastroj uczuciowy u mas obudzonych z długiego letargu, różniczkowanie się prądu, antagonizmy osobiste, tragiczne sceny, epizody, pomyłki etc.; ścieranie się romantycznego bohaterstwa z zimną trzeźwością - wszystko to prawie leży jeszcze odłogiem i czeka na godnych siebie Homerów, Szekspirów czy Balzaków.

x/ "Tygodnik Ilustrowany" 1906 nr.2. Przedruk w zbiorze "O sztuce i krytyce", PIW 1965.

Dziecko, dom i szkoła rządowa oraz konflikty, wynikające z konieczności kształcenia i nienawiści do metody oraz "gorliwych" przedstawicieli systemu, który poza rzekomą pedagogią ukrywał mniej lub więcej wyraźne tendencje polityczne. Dalej stosunek do urzędników i administracji, ogarniającej ogół i jednostki siecią bezprawia i samowoli. Kontrast pomiędzy życiem zewnętrznym narodu, płynącym na pozór gładko i wesoło, a życiem wewnętrznym, przpojonym żalem, skargami, goryczą i tęsknotą do innych warunków. Ciągła obawa i nieufność, a zarazem nieokreślona nadzieja i wiara w to, że prędzej czy później minie ponura noc i zajaśnieje zorza.

Bądź co bądź, nie ulega wątpliwości, że z chwilą zniesienia cenzury otworzy się dla pisarzy niezmiernie bogata skarbnica motywów nowych, głębokich, żywych, tragicznych, a dusza narodu polskiego odstoni się w całej pełni.

W swobodnej poezji i sztuce dojdziemy do poznania samych siebie - a to rzecz pierwszorzędnej wagi nie tylko dla jednostki, lecz i dla narodu, a zwłaszcza narodu pozbawionego samostności.

Ignacy Matuszewski

PRZEDMOWA DO SŁOWNIKA RACJONALNEGO 1/

Gdyby Hugo Steinhaus zajmował się tylko matematyką, to matematykom na całym świecie znany byłby nie mniej niż jest znany, ale tu w Polsce wleceją przyczyn, że non omnis...

Profesor Hugo Steinhaus zmarł w roku 1972. Jedną z ostatnich jego publikacji był artykuł "Na marginesie cybernetyki" /Znak 112, 1963/. Pewien krytyk literacki razwał go najpiękniej po polsku napisaną rzeczą, jaką wyszła drukiem w owym roku. Była to także mądra rzecz. Mądrych widać i dziś nie ma, gdy się rezejrzeć, ale kto jeszcze tak pisze? Autor miał takie pióro, że się je poznawało, jeśli nie po każdym zdaniu, to w dwóch kolejnych. Posługiwał się językiem polskim precyzyjnie, z precyzją niewymuszoną. Korzystał tylko z naturalnego bogactwa języka, unikał form papierowych, zbytku słów i nadtości. Napisał: Prawdziwy pisarz wykreśla ze swego manuskryptu każdy zbędny wyraz. Tym różni się od dziennikarza". Lubił lekko erchalzować. Co napisał, pociągało żywocią i kologem, a nie zgrzytało nigdy. Było w jego piśmierstwie tyle kunsztu, że czytelnik czuł się onieśmielony. Jego dowcip budził śmiech z gatunku poważnych śmiechów często z opóźnionym zapłonem. Tak śmiech można potem w sobie odtwarzać i przyjemność jest na długo. Tak się zaśmiejemy, gdy przeczytamy słynne hasło nr 11 2/ z niniejszego Słownika lub historiozoficzne 33 3/. Nasz frywolny uśmiech przy 13 4/ okupimy smutnym przy 122 5/.

Kto z serdeczną pasją wnika w znaczenie i brzmienie słów, ten lubi żart językowy. Jest to pieszczotliwe i granie z własną mową, a żart jest tym bardziej udany /udały - powiedziałaby Profesor, bo "udany", to na niby/, im lepiej się tę mowę zna, im bardziej się ją czuje jako część własnego istnienia. Przykłady każdy znajdzie, teraz i niedawno, i dawno, w Warszawie i w Czarnolesie. Myślą Słownika Racjonalnego jest układanie dwuznaczności w ten sposób, żeby sens najbardziej dostowny wymagał analizy i odkrycia, gdy sens umowy wynika odrazu z utartych potocznych i zwrotów. Kiedy przedmowa /bo tak w tym miejscu znać należało autora przedmowy/ nazwał stęhoskrzydłą komunikację Lotu w pierwszych latach po wojnie bujaniem gości, Profesor się ucieszył, bo sam nazwał ówczesną komunikację PKP kompletnym rozkładem jazdy kolejowej. Jeszcze bardziej się ucieszył, gdy pewien chłopiec na wiadomość o śmierci doświadczalnego pieska w sputniku rzekł: Teraz świat jest pod zdechłym psem.

Sprawy językowe służyły Profesorowi za temat żartów, ale w sprawach języka żartów z nim nie było. Uważał, że mają pierwszeństwo. Nic nie zdołało w jego oczach okupić lub usprawiedliwić polszczyzny błędnej, ciężkiej, chybionej. Był w tych rzeczach nieustępliwy i umiał wymusić posłuch. Listy adresowane Steinhausowi Hugo odsyłał nieotworzone i tak ten chwast wokół pieli, że Uniwersytet Wrocławski za strachu wydał alfabetyczny spis personelu z imionami na pierwszy miejsc.

W swoim niedrukowanym felietonie Kilka słów o kilku słowach Hugo Steinhaus sztydził z wyrazów, które wykroczyły poza swój prawowity obszar semantyczny i na nieswoim terenie panoszą się bezwzględnie, jak "cały szereg" w znaczeniu "dużo", jak "względnie" zamiast "lub", "ubrać palto", rodem podobno z Galiacji, i warszawskie, z rosyjskiego wzięte "a" w zdaniu "nie ten to

1/ H. Steinhaus /Wydawnictwo Ossolineum we Wrocławiu, w druku/

2/ Kule u nogi - Ziemia. - Numery pozycji uległy zmianie w obróbce wydawniczej,

3/ Hasło wieku maszyn - zęb za zęb.

4/ Kobieta nienasycona - stokrotka.

5/ Ostatni rozdział podręcznika dobrego tonu - savoir mourir.

zrobił, a tamten". Felleton nie rozpada się jednak na kilka osobnych potępień, ale zmierza ku syntezie lub syntezom. Z tego, co Profesor tam napisał i co nieraz mówił, bije przede wszystkim odraza do sztucznych wielostownych zwrotów, które wypierają najwyklesze określenia. Owe "na terenie Warszawy" zamiast "w Warszawie", "na temat" /n.t./ zamiast "o", "w związku z tym" zamiast "dlatego" /dodajmy "w związku z czym" zamiast "wiec"/, "na przestrzeni dwóch lat", eleganckie "mam wrażenie" zamiast pospolitego "zdaje mi się"! Czy ktoś jeszcze mówi "w zeszłym roku"? W gazetach jest już tylko "ubiegłym", o jedną sylabę dłużej, o ileż poważniej! Ale to nie wygrało naprawdę. To język na pokaz. A gdy się przystuchać, ustyszy się "w tamtym roku", co jednak może także oznaczać rok 10-y ante Christum czyli p.n.e. /Profesor mawiał, że ci, co wymyślili p.n.e., powinni pisać p.w.e. - przed naszą erą/. Kto pokaże w gazecie słowo "wskutek"? Zwyciężył wynik. W wyniku gradobicia zmarniały zasiewy. A jednak - wskutek długich narad wszyscy bywają zmęczeni, ale za to w ich wyniku może zapaść mądra uchwała. Ktoś zapewne wiedziony pedanterią semantyczną ponad możliwości żywego języka, użył słowa "specjalistyczny". Miał rację czy dwa, a słowo "specjalny" zniknęło ze szpalt i z urzędowej mowy. Fonetyczny rusycyzm "jakby nie było" /jakby nie było słowa jakkolwiek/ straszył już przed wojną. Teraz przypominano sobie o "jakkolwiek", ale nie zapomniano o "nie" z rosyjskiej części "ni" i słychać coraz częściej "jakikolwiek by on nie był". Może się doczekamy "jakikolwiek bądź by nie był", bo to jeszcze dłuższe. Kiedyś zobaczyłem w warszawskim tramwaju wezwanie do pasażerów, żeby nie przeszkadzali załodze w spożyciu posiłku śniadaniowego /Mądzia, daj mi posiłek śniadaniowy/. A język etykiety? Jako pierwszy bym patkę...

Styl ludzi, dla których pisanie jest czynnością uroczystą, i popyt na patos u ludzi, którzy chcieliby uczynić uroczystość ze wszystkiego, odrywa zgodnie język oficjalny od mówionego, prznie co oficjalny wzbogaca się pozornie, a mówiony uchożej naprawdę.

Akcentuacje to osobna sprawa. Dla fizyki i polityki znajdują się jeszcze okoliczności łagodzące, ale byliśmy, robiliśmy, to zamach na melodię języka, źródło wstrętnych rymów, barbarzyństwo, które powinna ciepłi przede wszystkim telewizja i przede wszystkim u siebie.

Na liberalną doktrynę językoznawców, że język jest zjawiskiem przyrodniczym, więc podlega tylko obserwacji, ale nie ocenie, Profesor odpowiadał, że studiowanie obyczajów mieszkańców Wyps Salomona nie zastąpi dziesięciorga przykazań. Czy ludzie najbardziej powołani do czuwania i przestrzegania mają tylko w milczeniu rejestrować, że zamiast "wystawa" pisze się "ekspozycja", a "dynamiczny" zamiast "szybki"? Chyba, że ich to obchodzi tyle, co zesztoroczny śnieg.

W języku można nieskończyć, o własnym oczywiście. W matematyce albo się ma rację albo się jej nie ma, a w tych sprawach grają emocje. Grały i u Profesora, i to silnie, ale oparte na głębokim poznaniu języka polskiego i na znajomości kilku innych, układały się w racjonalną całość. Trudno ją opisać abstrakcyjnymi zasadami, łatwo wytłumaczyć na przykładach. To właśnie czynimy. I sądzimy, że Mistrz wysłuchałby życzliwie ekstrapolacji /dywagacji/, na które sobie tu pozwalamy.

Hugo Steinhaus miał ustalony pogląd na to, kto jest uprawniony do tworzenia nowych wyrazów: lud, artyści i dzieci. Gorąco zaprzeczył, gdy prowokacyjnie pytałem, czy także uczeni. Trudno by ustuchać Profesora, bo zupełnie nie wiadomo, kto jest dzisiaj ludem, nigdy nie było wiadomo, kto jest artystą, a dzieci uczą się naszych błędów dodając swoje własne obrzydliwości leksykalne. Swoim "tu pisze" zaraziły całą Polskę. Raz zapytałem mego syna, czy wie, co znaczy "strzelać się". Wiedział oczywiście: on się strzela, on się pluje, on się rzuca śniegiem. Prócz sympatycznego pislorka, który jednak nie ma szans w mowie dorosłych, niewiele ciekawych neologizmów mają dla nas dzieci na zbyciu. Za to klą na k., zanim jeszcze dowiedzą się po katach, co to znaczy kobieta, chociaż już przed tym musiały dawać laurki na dzieło kobiet pani i mamie/najlepiej z małym Edypkiem/.

Do kobiet Profesor odnosił się bez większego zaufania /"Mamy dużo do brych lekarek. Nie świadczy to o wysokim poziomie kobiet, tylko o niskim stanie medycyny"/. Liczył im chromosomy z niekorzystnym dla nich wynikiem.

Dla mnie to było za trudne, ale wiem, że jeśli 2/3 uczniów w liceach ogólnokształcących stanowią dziewczęta, to jest źle. Oznaki czci dla kobiet odpowiadają naszym obyczajom. Ma to wpływ na język. W lansadach zapomina się o tym, że zbiorowość dwupłciową określa się w rodzaju męskim. Stąd "proszę koleżeństwa", "obywatelki i obywatele". Czy wolno jeszcze mówić że jest nas w kraju 34 miliony Polaków? Można by kurtuazję przenieść na czasowników: ludzie byli i byli. Ta rycerskość właściciela nie sięga dnia powszedniego, kiedy pan dyrektor każe sekretarce napisać list do towarzyszek sekretarza, a konduktorka sprzedaje bilet panu profesorowi.

Profesor nie uznawał nazwisk żeńskich bez żeńskich końcówek. Pani się tak nie nazywa - mówił na egzaminie przestraszonej studentce, która przedstawiała się Nowak. Jednakże tu argumenty sprawiedliwości przemawiają przeciwko tradycjom języka. Pani Wąsowicz może nie chcieć ujawniać wciąż i bez potrzeby swego stanu cywilnego, gdy pani Wąsowska nie jest do tego zmuszona.

O kobietach i miłości Steinhaus napisał wiele bons mots. Niektóre z nich przywodzą na myśl maksymę, że stateczny ma być sam poeta... Prudencji nie znosił, jak i wszelkiego zakłamania. Man darf nicht das vor keuschen Ohren nennen, was keusche Herzen nicht antbehren können - to Mefisto. A Steinhaus: Czy miłość fizyczna czy duchowa? Jak to rozstrzygnąć, skoro miłość fizyczna jest najważniejszą potrzebą duszy?

Demokratyczna, a raczej demotroplna orientacja językowa przywodziła Steinhaus do wniosków, które łatwo mogły wzbudzić sprzeciw. - Zgadza się na stróżak - powiedział mi kiedyś/tak chłopi w Galicji nazywali siennik/. Dobre było dla niego wszystko, co rodzi się na dole. Takiego słowa NIE pytał o paszport. Nieufny tylko wobec nowotworów uczzonej mowy, niechętny obcym konstrukcjom kopiowanym przez lekceważenie własnego języka, akceptował sztamaży, heble i bory. Nie zrywał się na uprzykrzony wyraz "fajny", nie cieszył go dworzec, banhof był dla niego równie dobry. Ale za to klika słów o kilku słowach kończy się tak: "W szeregu wypadkach zaszyty na przestrzeni naszej historii lat ostatnich na odcinku młodzieżowym zjawiska, odnośnie których wypowiedzi na zewnątrz tego odcinka względnie na wewnątrz platformy ideologicznej wymagają..." itd.; a w tym zdaniu bez końca nie ma, jak pisze autor, ani jednej polskiej konstrukcji, ani za grosz sensu, a większość zwrotów jest żywcem przeniesiona z niemieckiego.

Nie chcielibyśmy spać na stróżakach ani śpieszyć się na banhof i woli mi strug od hebla. Ale rozróżnienie jest trafne: co innego martwa polska imitacja języka obcych urzędów, a co innego wiekowy osad sąsiedzkiej niemieczyny. Można dobrze mówić po polsku w szlafroku i szlafmicy i źle w podomce i trzewiczkach. Niedawno telewizja polska potępiła słowo "szlaban". A jak mamy mówić? Może drogą drogową? Dla niektórych brzydko mówić po polsku, to używać "brzydkich słów" /używajmy byle z sensem/, dla innych znowu, to używać słów "obcych". Na modę "retro" posypały się drwiny, gdy potworne rajstopy przylgnęły od razu do ust całego społeczeństwa i nikt nie protestował. Jacyś anonimowi słowlanofile językowi orzekli, że dziecku trudniej będzie zapamiętać, że 2 plus 3 jest 5 niż koślawe zdanie "2 dodać 3 równa się 5". Ten rodzaj puryzmu został już dawno odrzucony w Polsce i gdzieś indziej/w Niemczech panował w pewnych epokach prawdziwy furor teutonicus językowy/, ale wciąż się odzywa. Podzieliłem się kiedyś z Profesorem uwagą, że język polski jest jedyny, w którym cała ma rodzimą nazwę. - Nie ma się czym chwalić - odpowiedział. Dworował z lekarzy, że sarmaci ze swoją ciepłotą zmiast temperatury, ze swoją płonicą i błonicą, których podobieństwo może wyrządzić szkodę społeczną. Słowlanofilom i germanofobom językowym należałoby wydać walkę. Oczywiście pod warunkiem, że będzie rycerska, z szacunkiem dla dziachetnych intencji i z uszanowaniem honoru. I niech sobie tu poskreślają niestowiańskie słowa.

W motatkach Profesora, z których tu coś nie coś odtworzyliśmy, znajduje się zaskakujące zdanie "Uczyłem się polszczyzny u wielkiego Niemca, który uczył się niemieckiego od swojego nauczyciela łaciny". Z dalszych słów wynika, że ten nauczyciel polszczyzny to wiedeńczyk Karol Kraus. Czy w ogóle umiał po polsku autor ostatnich dni ludzkości? Zapewne nie, ale umiał po niemiecku. Na każdej stronicy swego dzieła wyszydza i przedrzeźnia rozmaite rodzaje złej niemieczyny, którą papie i zgrzyta wiedeński inteligent, pruski oficer, cesarsko-królewski urzędnik, niedorozwinięty książę krwi.

Książka jest niesceniczną tragikomedią z dziejów pierwszej wojny światowej, przeżywaną na tyłach w Austrii i w Niemczech. Jest manifestem pogardy dla austriackiego koftuństwa, dla niemieckiej soldateski, dla okrucieństwa czynów i myśli, dla patriotycznych paskarzy i stużalczej prasy. Kraus nie może oddzielić tego świata od jego złej mowy. Widzi w niej znak śmiertelnej choroby. To właśnie była dla Steinhaua cosa nostra. We własnej niemieczyźnie Krausa, bogatej i zwartej, czuł wartość absolutną. Taki język nazywał muskularnym.

"Ucz się po polsku od Krausa" - to byłaby zbyt kłopotliwa recepta na dzisiejsze czasy. Ale nie brak wzorów rodzimych. Spreżysta wierna mowa polska, umiejająca razić i bronić, sprzyja prawdzie. Do matactwa nadaje się mniej, bo język łatwo łamie się na fałszu i spiętrza nad próżnią. A jeśli nie mamy racji, pozostanie tylko apel o trochę serca dla języka, którego dzięki i szelost idzie za nami przez tych lat kilkadziesiąt. Pan je miał, Panie Profesorze!

Stanisław Hartman

FILOZOFIA DZIEJÓW A TEORIA SPOŁECZNA

II. Spór o teorię rozwoju

1. Rola teorii rozwoju w naukach społecznych.

Można stosując współczesne wyrafinowane metody krytycznej analizy i wy-
mogi metodologii badań zakwestionować wszystko, cokolwiek dotąd w naukach
społecznych powiedziano, wykazać, że żadne pojęcie nie jest dostatecznie ja-
sno zdefiniowane, żadne twierdzenie nie daje się w zadawalający sposób uza-
sadnić, granice wszelkich uogólnień są chwiejne, a wszystkie koncepcje i te-
orie budowane są na grząskim gruncie metafizycznych dowolności. Świadomość
tej sytuacji jest powszechna i wielu badaczy szuka wyjścia w unorzędowaniu
 naukowego warsztatu, poddaniu wszystkich jego narzędzi surowerowi enżaminowi.
Niestety, wszystkie dotychczasowe przykłady tego ktytycznego redykalizmu
nie wniósły do nauk społecznych żadnych mogących budzić nadzieję elementów.
Im bardziej wysterylizowane z możliwych błędów i dowolności stają się nar-
zędzia, tym mniej okazują się adekwatne do materiału dostarczanego przez
życie społeczne - jakby na potwierdzenie paradoksu poety, że "zbliżając
się do prawdy oddalamy się od rzeczywistości" 1/.

Dobrym przykładem takiej logicznej puryfikacji są wyjęczki w stronę
 nauk społecznych wybitnego logika i metodologa K. Poppera 2/. Na tej samej
linii leżą modne /od czasów Maxa Wehlera/ tendencje do budowania abstrakcyj-
nych modeli. Ponieważ układy i procesy zachodzące w systemach społecznych
są zbyt skomplikowane i zakłócone przez inercje trudno uchwytne czyn-
ników ubocznych, przeto dla wyjaśnienia buduje się "czyste" modele, mające
wyjaśnić funkcjonowanie systemów i rolę tych czynników, które uważamy za
główne. Można na to odpowiedzieć, że abstrakcyjne modele rzeczywistości utra-
wiają zrozumienie modeli - natomiast zagadką pozostanie stosunek między mo-
delem a empiryczną rzeczywistością i zawsze grozi niebezpieczeństwo, że pa-
trząc na zjawiska społeczne przez pryzmat modelu obracamy się w sferze fik-
cji.

Jakkolwiek zrozumiała i godna poparcia byłaby tendencja do uściślenia
 nauk społecznych, oczyszczenia ich z filozoficznych, ideologicznych i czy-
sto literackich dowolności - pogodzić się trzeba, że nigdy pojęcia w tej
dziedzinie wiedzy nie mogą osiągnąć jasności i jednoznaczności zadawalającej
logiką, a dążenia tego rodzaju - niezależnie od nieosiągalności - zawsze
będą kryty w sobie tendencje do negowania rzeczywistości społecznej jako ta-
kiej.

Punktem wyjściowym dla nauk społecznych jest zjawisko rozwoju tzn.
stwierdzalny empirycznie fakt, że społeczeństwa w toku swej egzystencji po-
dlegają jakimś zmianom, zachodzą w nich jakieś procesy tworzące ich histo-
rię, przy czym procesy te mają wyraźnie odmienny charakter od obserwowanych
w świecie przyrody, tzn. od przyrodniczej ewolucji. Gdyby w społeczeństwach
nie zachodziły specyficzne procesy rozwoju, nie istniałyby i nauki społecz-
ne, a socjologia byłaby po prostu działem nauk przyrodniczych, jakim obec-
nie jest "socjologia" mrówek czy termitów.

Przyjmując jednak ten punkt wyjściowy, musimy mieć świadomość, że nie
jest on wygodny z powodu niejasności, wieloznaczności i szeregu innych ob-
ciążań pojęcia "rozwoju". Jego współczesne zrozumienie jako przejawu dyna-
micznych tendencji tkwiących w społecznych systemach rozpowszechniło się
dopiero w XIX w., a każde upływające dziesięciolecie ujawniało coraz to nowe

1/ St. J. Lec, Myśli nieuczesane

2/ Por.: Open Society, oraz Misery of Historicism. Niezależnie od wartości
krytycznych analiz uderzająca jest jałowość i naiwność jego pozytywnych
propozycji.

dowody złożoności tego zjawiska, odkrywało więcej zagadek i tajemnic niż przynosiło rozwiązań. Problem rozwoju okazał się magicznym kołem, którego nauki społeczne nie są w stanie przekroczyć. Zniechęcone nieudanymi próbami, usiłują obejść zagadnienie, punktem wyjścia uczynić społeczeństwo istniejące, dostępne bezpośredniemu oglądowi, które można fotografować, przełczyć, poddawać wszelkim operacjom klasyfikującym. Pojęcie rozwoju, którego korzenie tkwią w mrokach niedostępnych bezpośredniemu poznaniu, należy zastąpić śledzeniem aktualnie zachodzących zmian i tendencji, które pozwalają nam wykrywać badania typu statystycznego.

Impuls do odejścia od kategorii historyczno-przyczynowych w kierunku koncepcji synchronicznych przyszedł głównie ze strony socjologii amerykańskiej /funkcjonalizm/, która ma wszystkie powody do unikania historii. Wszak jest cywilizacją przeszczepioną i wszystkie korzenie współczesnych zjawisk prowadzi na obcy grunt, jednocześnie zaś specyficzność form, jakie przybrał rozwój społeczny na tym kontynencie, nie zachęca do szukania analogii i pokrewieństwa z macierzystym europejskim pniem.

Kwestionuje się samo pojęcie rozwoju, argumentując, że jest ono obciążone tradycją filozoficzną metafizyki, zawiera teleologiczne założenie - rozwój oznacza dążenie do jakiegoś z góry wytkniętego celu, że ponadto opiera się na wartościowaniu, bowiem rozwój ma być przechodzeniem ze stanu "niżej" do "gorszego" do "wyższego" i "lepszego". Żadnego zaś z tych założeń nauce przyjmować nie wolno, ponieważ nie mamy żadnych podstaw do twierdzenia, że społeczeństwa dążą do jakiegoś celu, nie istnieją również kryteria oceny poszczególnych stanów, a sądy wartościujące nie mogą być zdaniem nauki. Możemy jedynie mówić o konkretnej, empirycznie stwierdzalnej zmianie zachodzącej w społecznym systemie. Termin "zmiana" jest wolny od wszelkich obciążeń, nie zawiera mogących budzić wątpliwość implikacji. Przykładów tego rodzaju wymijania kłopotów wynikających z pojęcia "rozwój" literatura zachodnia dostarcza wiele. Jest to niestety wyjście fikcyjne. Opiera się ono na założeniu, że określona zmiana można rozpatrywać jako fakt wyodrębniony i wyizolowany z diachronicznego kontekstu, który możemy rozumieć nie dociekając jego związków z poprzednimi stanami. Metodologiczna ostrożność prowadzi tu do oczywistego nonsensu i jaskrawej niezgodności z całym doświadczeniem. Mówiąc o zmianie jeszcze w społecznym systemie /jeśli zmiana ta nie ma charakteru losowego przypadku, jak trzęsienie ziemi/, musimy przyjąć, że wiąże się ona z jakimiś poprzedzającymi ją zmianami, że związek ten określamy jako przyczynowy i jego wykrycie jest zadaniem badacza. Każda analizowana zmiana narzuca nam domniemanie powiązanego ze sobą cyklu czy łańcucha zmian stanowiących jakiś proces, którego ujawnienie i zbadanie jest głównym zadaniem nauk społecznych. Zastąpienie "rozwój" "zmianą" pociąga za sobą dalekosiężne następstwa. Powoduje, że uwaga badacza skupia się na poszczególnych dających się wyodrębnić faktach i grupach pokrewnych faktów, natomiast społeczeństwo jako spójna całość, zorganizowany system, przestaje być przedmiotem badań, przestaje być w ogóle kategorią socjologiczną - staje się pojęciem z pogranicza filozofii i literatury, czymś zbyt amorficznym, aby mogło się znaleźć na warsztacie badacza.^{1/}

Argumentów przeciwko pojęciu "rozwój" nie można traktować poważnie. Zarzut obciążenia teleologią jest echem dawnych sporów pokutujących jeszcze w filozofii - jeśli rozwój musi oznaczać dążenie do "celu", dlaczego zmiana miałaby być "bezczelowa"? Bezzasadny jest również zarzut wartościowa-

1/ Szczególnie w szkole amerykańskiej wyraźny jest proces odchodzenia socjologii od pojęcia społeczeństwa. Początkowo rezerwowano dla niego specjalną dyscyplinę "makrosocjologię", ostatecznie również i makrosocjologia przestaje zajmować się społeczeństwem. Znany teoretyk A. Etzioni jako przykład problemów makrosocjologicznych wymienia takie jak klasy społeczne, organizacje, a nawet wielkie przedsiębiorstwa jak General Motors. /Por. Jego: Toward a Macrosociology, w/ J.S. Doleman, A. Etzioni, J. Porter, Macrosociology, Research and Theory, 1970/.

nia. Nie tylko w potocznym języku, ale i w terminologii wielu praktycznych dyscyplin, "rozwój" oznacza każdy cykl zmian niezależnie od możliwych ocen /np. "rozwój dziecka", "rozwój choroby", "rozwój alkoholizmu" itp./.

Bez pojęcia procesu jako ciągu zależnych od siebie zmian nie istnieje pojęcie społeczeństwa - proces rozwoju czy zmian stanowi bowiem konstytutywną cechę systemów społecznych L/. Obrona pojęcia rozwoju jest obroną nauki o społeczeństwie przed coraz wyraźniejszymi tendencjami likwidatorskimi. Powstaje bowiem sytuacja, w której społeczeństwo jako funkcjonujący system coraz bardziej zostawia się ideologicznemu i politycznemu znachorstwu, nauka zaś zadawała się analizą poszczególnych wycinków. Sięgając do nieco brutalnego porównania, to tak jakby w jatce mięsnej wystawiono pochwłartowane kawałki mitologicznego zwierzęcia, którego w całości nikt nigdy nie oglądał, nie znamy jego kształtów, nie wiemy, czym się żywi, jak się porusza, skacze czy pęta, i jaką funkcję spełniają wystawione na pokaz fragmenty.

Jedynie koncepcja rozwoju może nam ukazać społeczeństwo jako całość i co najważniejsze otworzyć perspektywę na jego historię, stworzyć alternatywę dla filozoficznych spekulacji.

2. Sprzeczności teorii rozwoju.

Antoni Marks i Engels nie stawiali sobie zadania systematycznego wykładu teorii rozwoju. Ich teoretyczna refleksja, podobnie jak sięganie do historycznych doświadczeń, miała charakter fragmentaryczny, dyktowany potrzebą wyjaśnienia głównego problemu, jakim były współcześnie zachodzące procesy. Także i następne prawie stulecie nie odczuwało potrzeby krytycznego u-systematyzowania podstawowych twierdzeń, co umożliwiłoby sprawdzenie, w jakiej mierze odpowiadają one dwóm podstawowym warunkom teorii: kompletności i zasadności. Całe piśmiennictwo wokół tego problemu pozostawało w ramach ogólnej koncepcji rozwoju, która całkowicie zaspokajała potrzeby ideologii. W tej właśnie dziedzinie rozgrywały się wszystkie dyskusje i polemiki, natomiast wyraźny był zastój i niedorozwój w dziedzinie teorii i krytycznych analiz społecznych procesów, gdzie zadowalano się sumarycznymi odniesieniami do ogólnych tez filozofii dziejów. To też próby, jakie w tej dziedzinie podjęto w ostatnim okresie, dość liczne w Polsce i/, zastygają na bliższą analizę.

Naczelnym założeniem marksowskiej teorii społecznej jest twierdzenie o zależności wszystkich elementów społecznego życia od sposobu zaspokajania bytowych potrzeb społecznych, co określa się jako sposób produkcji. "Sposób produkcji życia materialnego warunkuje społeczny, polityczny i duchowy proces życia w ogólności. Nie świadomość ludzi określa ich byt, lecz przeciwnie, ich byt społeczny określa ich świadomość". Przytaczając tę fundamentalną marksowską tezę zwróćmy uwagę, że występuje ona tutaj w podwójnej roli. Jest, z jednej strony, aksjomatem ontologicznym stanowiącym podstawę filozoficznej koncepcji dziejów. Równocześnie zaś w ramach teorii społecznej teza ta jest wstępnym uogólnieniem na temat stosunków zachodzących między dwiema sferami zjawisk społecznych, jest roboczą hipotezą podlegającą weryfikacji przez doświadczenie.

Znakomita większość /a bodaj wszystkie/ rozważań na ten temat nie różniła tych zasadniczo odmiennych znaczeń, jakie teza ta przyjmuje w różnych kontekstach. Z reguły jej aksjomatyczny /filozoficzny/ charakter rozciąga się także na teren badań społecznych, w wyniku czego powstaje paradoksalna sytuacja: jeśli bowiem teoria przyjmie to jako aksjomat, wszelka analiza społeczna musi sprowadzić się do traktowania analizowanych zjawisk jako potwierdzenia tego, co zostało z góry założone. Tak właśnie pseudobadawczy proces można ilustrować dowolnymi przykładami.

1/ Źródlicowanie form rozwoju omawiamy niżej, Tu podkreślamy tylko, że nawet w najbardziej zakrzepłych w tradycyjnych formach społeczeństwach zachodzą jakies procesy zmian.

Do pozycji wymienionych w I części dodać należy najobszerniejszy wykład w pracy: J.J. Wiatr, Marksistowska teoria rozwoju społecznego, Warszawa, 1973.

Wyjaśnijmy, że nie idzie tu o podważanie założeń materializmu historycznego, ani o wyrzekanie się przez badacza zjawisk społecznych materialistycznej filozofii. Idzie o rzecz bardziej elementarną: o to, aby badaniom społecznym nie narzucać warunków, które ex definitione badania naukowe unieemożliwiają. 1/

Koncepcja rozwoju zawarta w przedmowie do "Przyczynka" jest w intencji Marksa konkluzją wynikającą z bogatego materiału empirycznego, jakiego dostarczyły dzieje Europy. Myśl europejska co najmniej od początku XIX w. przywykła traktować rozwój społeczny jako zjawisko naturalne, obserwatorom nawet nie myślącym kategoriami materialistycznymi narzucało się zjawisko wzrostu sił wytwórczych i postępu technicznego, dostrzegalne były / acz nie zawsze zrozumiałe / konsekwencje tego zachodzące we wszystkich dziedzinach życia. Trudno było sobie wyobrazić, aby ten trend rozwojowy mógł ustać - raczej każdy osiągnięty szczebel rozwoju zapowiadał dalsze jego przyspieszenie. To też konieczność rozwoju sił wytwórczych stała się kamieniem węgielnym marksistowskiej koncepcji dziejów. Z założenia tego wynikały wszystkie dalsze następstwa: zmiany w układzie wewnątrzspołecznych stosunków, permanentnie pojawiająca się sprzeczność między stosunkami dyktowanymi przez siły wytwórcze a ustrojowymi formami prowadząca do rewolucyjnych zmian ustrojowych.

Ogólne ramy marksistowskiej koncepcji wytrzymamy i do dziś wytrzymują konfrontację z przebiegiem procesów przynajmniej w tej części świata, w której najwcześniej pojawiło się zjawisko kapitalizmu - tzn. w zasiegu cywilizacji zachodniej. Jednakże bliższa analiza samego teoretycznego schematu i jego konfrontacja z empirycznym materiałem, nieporównanie bogatszym niż mógł rozporządzać wiek XIX, ujawnia szereg zasadniczych luk i nieadekwatności. Rozpatrzenia wymagają trzy problemy: 1/ problem czynnika motorycznego rozwoju, 2/ problem jedno czy wielotorowości rozwoju, 3/ problem przejścia do formacji socjalistycznej.

1. Wszystkie teorie dotyczące ewolucji i rozwoju cierpią na chorobę "początku" - jeśli wszystko zaczęło się "ab ovo", skąd wzięło się pierwsze jajo? Dla nauk biologicznych jest to zjawisko interesujące, ale w istocie zewnętrzne. Sposób powstania pierwszej żywej komórki nie ma wpływu na strukturę tych nauk, i charakter jej twierdzeń. Nie możemy tego powieścić o naukach społecznych. Jeśli stwierdzamy, że społeczeństwa podlegają rozwojowi, jakie czynniki to powodują, skoro nie możemy tego przypisać siłom i prawom przyrody?

Naczelnym założeniem marksistowskiej teorii jest "prawo postępującego rozwoju sił wytwórczych", tzn. konstytutywną cechą sił wytwórczych jest, iż muszą się zmieniać ilościowo i jakościowo, wzrastać i doskonalić się pod względem technicznej sprawności. Siły wytwórcze zaś to wg. definicji praca ludzka plus środki /narzędzia/ produkcji. Przypisując im cechę konieczności rozwoju, wywołujemy pytanie, który z tych składników jest nosicielem tej cechy? Jeśli odrzucimy możliwość, aby cechą tą obdarzone były narzędzia produkcji, pozostaje wniosek, że konieczność zmian narzędzi jest przyrodzoną cechą ludzkiej pracy.

1/ Wyrazem takiego pomieszczenia pojęć jest podkreślenie "Integralnego" charakteru marksizmu, co ma oznaczać utożsamienie też filozofii z twierdzeniami teorii społecznej. "Materialistycznego pojmowania dziejów nie można oderwać od tego światopoglądowego źródła" /Lange/. "Zasada integralnego charakteru marksizmu, w szczególności zaś wyływająca z niego zasada jedności marksistowskiej teorii rozwoju społecznego i filozofii marksistowskiej, należy do podstawowych założeń całego systemu teoretycznego marksizmu" /Wiater/. Jeżeli założeń światopoglądowych i naukowych nie można od siebie odrywać - to tym bardziej nie wolno ich utożsamiać. Jedne i drugie przyjmuje się na zupełnie innych zasadach, wyrażają one inny sens i pełnią odmienne funkcje. Dla przyjęcia światopoglądu wystarczy "przeświadczenie" o jego prawdziwości, natomiast twierdzenia naukowej teorii trzeba udowodnić.

Teoretycy szukający odpowiedzi na to pytanie usiłują uniknąć podobnej niewygodnej konkluzji. Lange np. pisze: "pierwotnym bodźcem decydującym o rozwoju społecznym... są nie stosunki ekonomiczne, ani nawet ta ich część, jaką stanowią stosunki produkcji. Bodźcem tym jest dialektyczny proces wzajemnego oddziaływania człowieka i otaczającego go materialnego świata, czyli rozwój społecznych sił wytwórczych" /49/. Zdanie to zastępuje pojęcie "ludzka praca" przez "dialektyczny proces wzajemnego oddziaływania człowieka i otaczającego świata" - w intencji podzielenia zasługi rozwijania sił wytwórczych między człowieka i przyrodę. Niewątpliwie człowiek żyjący poza przyrodą nie mógłby rozwijać sił wytwórczych, w tym sensie zdanie to jest całkowicie prawdziwe. Ale to uwikłanie się z postawionym pytaniem.

Gdybyśmy chcieli ludzkiej pracy /bądź też: "dialektycznemu procesowi wzajemnego oddziaływania między człowiekiem i przyrodą"/ przypisać cechy konieczności rozwijania społecznych sił wytwórczych, staniemy wobec trudnego zadania wytlumaczenia społecznych dziełog człowieka. Od swego pojawienia się człowiek pracował i mimo to, jak wskazują wykopaliskowe ślady, we wczesnych fazach społecznego życia te same narzędzia i ta sama technika pracy utrzymywały się dziesiątki tysięcy lat, a w późniejszych przez wiele tysięcy. Już w historycznych czasach społeczeństwa tworzące wykształcone i stosunkowo wysokie cywilizacje posługiwały się w ciągu tysięcy lat niemal niezmieniaczami narzędziami, co ciekawsz, przy stosunkowo wysokim równocześnie rozwoju sztuki inżynierskiej /systemy trygacyjne, piramidy, wschodnia świątynia /? Nie mamy tedy podstaw do twierdzenia, że cechą pracy ludzkiej /czy "dialektycznego procesu"/ jest konieczna zmiana, doskonalenie narzędzi pracy. Jeśli cecha ta występuje, przejawia się ona nie jako konieczność, lecz raczej jako zjawisko incydentalne, ujawnia się w historii dosyć kapryśnie - i w czasie i w przestrzeni. Skłania to do przypuszczenia, że doskonalenie narzędzi produkcji zależy jeszcze od jakichś czynników, dzięki którym praca ludzka może przejawiać cechy nowatorstwa.

Poza tym - na ogół wszyscy, poczynając od Marksa, podkreślają, że jedną z podstawowych cech pracy jest rutyna, dążenie do opanowania techniki skutecznego posługiwania się istniejącymi narzędziami. Robotnik w procesie pracy - pisze Marks - "urzędującym zarazem swoim cel, który jest mu znany, który jest dla niego prawem określającym sposób jego działania i któremu musi podporządkować swoją wolę.../ Obok wysiłku pracujących organów przez cały czas trwania pracy potrzebna jest celowa wola objawiająca się jako uwaga, a potrzebna jest tym bardziej, im mniej praca ta... pociąga ku sobie robotnika, im mniej przeto jest dlań, jako gra jego własnych sił fizycznych i duchowych". /Kapitał t. I s. 189, podkr. oryg./. Marks podkreśla rutynistyczny, konserwatywny charakter pracy, wskazując, że tej rutynie podporządkowuje się także świadomość robotnika. Mamy tu jednakże delikatną aluzję, że praca może być także "ponętą grą sił fizycznych i duchowych" - być może i w tych sytuacjach siły duchowe stają się czynnikiem kreatywnym. W takim razie szukać rozwiązania problemu należałoby nie w pracy w potoczny rozumieniu, kiedy świadomość podporządkowuje się przyjętym regułom - lecz w sytuacjach, kiedy świadomość przeciwstawia się utrwalonemu mechanizmowi, rutynie, kiedy rodzi koncepcję nowatorską.

W konkluzji musimy stwierdzić, że "prawo postępującego rozwoju sił wytwórczych" w nadanym mu przez współczesnych interpretatorów znaczeniu może być uważane za uogólnienie doświadczeń jednego historycznego okresu w określonym rejonie świata i nie da się przyjąć jako ogólne prawo socjologiczne. Ponadto nie daje ono odpowiedzi, co jest źródłem rozwojowych impulsów. Znałezienie podstawowego motorycznego czynnika /czy czynników/, który tworzył dzieje ludzkości, kształtował w historycznym procesie tak bogatą mozaikę systemów społecznych - w tym także doprowadził do współczesnej cywilizacji industrialnej - pozostało problemem otwartym.

1/ Analiza tkanin, w które spowijano mumie, wskazuje, że w ciągu kilku tysięcy lat nie ulegała w Egipcie zmianie technika tkactwa. Por. F.M. Reichelheim, An Ancient Economic History, Leliden 1958

2. Problem jedno- czy wielotorowości rozwoju. Tęgo niezwykle złożonego i dotąd słabo przeanalizowanego problemu chcemy dotknąć tylko w jednym punkcie związanym z konsekwencjami naczelnej tezy marksowskiej teorii rozwoju. Twierdzenie o koniecznym charakterze rozwoju sił wytwórczych pociąga za sobą dalsze konieczności: zmianę wytwórczych stosunków, a następnie dostosowanie do nich ustrojowych form społecznego życia. Działają tu dwa prawa: "prawo koniecznej zgodności stosunków produkcji z charakterem sił wytwórczych" oraz "prawo koniecznej zgodności nadbudowy z bazą ekonomiczną" /Lange, s. 29, 34/. Mówiąc o "koniecznej zgodności" w obydwu przypadkach sugerujemy, że istnieje jakiś idealny wzorzec, według którego danemu charakterowi sił wytwórczych odpowiada jakiś określony typ stosunków produkcji i określone bazy odpowiada tylko jedna określona nadbudowa. Odtąd takiej zgodności ani istnienia idealnego wzorca doświadczalnie potwierdzić się nie da. Istniejące tu korelacje mają charakter znacznie luźniejszy, co uderzające jest szczególnie w drugim przypadku - zgodności między bazą a nadbudową: na analogicznej czy zbliżonej bazie ekonomicznej mogą się kształtować bardzo zróżnicowane formy ustrojowe. Teza o koniecznej zgodności zawiera jeszcze inną, logiczną sprzeczność: przy założeniu koniecznego rozwoju sił wytwórczych osiągnięcie zgodności między bazą a nadbudową jest niemożliwe - w chwili bowiem, kiedy utrwalają się formy ustrojowe, siły wytwórcze już posunęły się dalej, powstała sprzeczność, która będzie się pogłębiała. Istnienie stałej nieadekwatności wynika z samego założenia. Toteż właściwszym sformułowaniem oddającym przebieg tego procesu byłoby: "prawo nieuchronnej sprzeczności" między ekonomiczną bazą a ustrojową nadbudową - oczywiście w systemach dynamicznych przy mniej więcej ciągłym rozwoju sił wytwórczych.

Mówiąc o empirycznych podstawach przytoczonych uogólnień /"prawo" mamy na myśli historyczne procesy zachodzące w obrębie zachodniej cywilizacji, szczególnie od przejścia między feudalizmem i kapitalizmem. Absolutyzacji tego wzoru sprzyjały niewątpliwie i darwinowski odkrycia przyrodniczej ewolucji, które na teren społeczny przeniesione zostały w osobiście wypaczonej postaci. Wyobrażono sobie mianowicie, że wszystkie formy społeczne przechodzą przez te same stadia, przekształcając się po jednej ewolucyjnej linii, gdzie jak w przyrodzie początkiem jest pierwotna komórka, a końcem arcytwór jakim jest człowiek. Echem tego były ewolucyjne koncepcje socjologów i antropologów drugiej poł. XIX w. /Morgan/.

Niezależnie od zastrzeżeń jakie mogą budzić uogólnienia doświadczeń europejskich stwierdzić trzeba, że nie dadzą się one rozciągnąć na inne cywilizacyjne obszary. Nigdzie poza Europą i jej amerykańskim przeszczerpem nie da się stwierdzić samodzielnych, homogenicznych przejawów tego rodzaju ewolucji. Stare cywilizacje wschodniej i południowej Azji, Chiny, Indii, które o kilka tysięcy lat wyprzedziły dzisiejsze rozwinięte kraje Europy, nie przejawiały tego rodzaju tendencji. Europejski punkt widzenia uprościł sobie zagadnienie traktując rozbieżności z obowiązującym wzorcem jako przeszkodę, które o kilka tysięcy lat wyprzedziły dzisiejsze rozwinięte kraje Europy, nie przejawiały tego rodzaju tendencji. Europejski punkt widzenia uprościł sobie zagadnienie traktując rozbieżności z obowiązującym wzorcem jako przeszkodę, które o kilka tysięcy lat wyprzedziły dzisiejsze rozwinięte kraje Europy, nie przejawiały tego rodzaju tendencji. Europejski punkt widzenia uprościł sobie zagadnienie traktując rozbieżności z obowiązującym wzorcem jako przeszkodę, które o kilka tysięcy lat wyprzedziły dzisiejsze rozwinięte kraje Europy, nie przejawiały tego rodzaju tendencji.

Wprawdzie współcześnie cały świat wszedł w okres, którego uderzającą cechą jest tendencja do upodobnienia form ustrojowych, do swolistej standaryzacji rozwoju, ogólnie mówiąc w kierunku industrializacji. To jednakże nie może być argumentem za jednolitym charakterem rozwoju, jest to bowiem

kierunek narzucony potężną presją ekonomiczną, militarną, ideologiczną, której w żaden sposób nie można podciągnąć pod ewolucyjne tendencje i która wykracza także poza to, co w rozwoju cywilizacji uważa się za zapożyczenie, "dyfuzję" wzorów kulturowych. Cywilizacja industrialna ze swoim fantastycznym rozwojem sił wytwórczych i osiągnięciami techniki jest niezwykle agresywna /nie tylko jako świadomy kolonializm/ i każde jej zetknięcie z innymi cywilizacjami prowadzi do głębokich wstrząsów, rozkładu starych systemów w warunkach, gdy nie powstały żadne przesłanki nowych.

Wytapiające się tu zagadnienie jedno czy wielotorowości rozwoju ma podstawowe znaczenie nie tylko dla socjologicznych teorii i koncepcji rozwoju ogółu. W epoce, kiedy kraje Azji, Afryki, Oceanii - społeczeństwa i plemiona o najrozmaitszych systemach społecznych, kulturach, znajdujące się w różnych fazach krystalizacji swej wewnętrznej struktury, stały się pełnoprawnymi członkami wielkiej rodziny narodów, kiedy stały się wobec konfrontacji ze światem zachodnim - zrozumienie tego problemu winno mieć także ważne znaczenie praktyczne.

W świetle rozporządzalnego materiału empirycznego twierdzenia o koniecznym charakterze rozwoju środków produkcji i wynikającym stąd koniecznym następstwie formacji nie dadzą się utrzymać jako ogólne prawa socjologiczne. Co więcej, uogólnienie takie byłoby sprzeczne z poglądem samego Marksa, który dynamiczny charakter przypisywał tylko kapitalistycznemu sposobowi produkcji przeciwstawiając go wszystkim poprzednim systemom czy formacjom.

Aby uporać się z tą trudnością, próbowano wprowadzać dodatkowe czynniki modyfikujące przebieg procesów w stosunku do "czystego modelu". Ludwik Krzywicki wprowadził pojęcie "podłoża historycznego", którego oddziaływanie powoduje tak poważne zróżnicowanie przebiegu rozwojowych procesów. "O kategorii tej "wchodzą najodmienniejsze składniki: urządzenia polityczne i prawne, poglądy etyczne i estetyczne, wierzenia i systemy filozoficzne, zwyczajnie życia codziennego, nawet usposobienie nasze i temperament". "Żyjemy wiekami ubiegłymi skrupowani/.../ Cokolwiek stwierdzonoby o naszej niezależności, jesteśmy niewolnikami dziańców i pradziańców". /Studia socjolog./.

Koncepcja Krzywickiego przyjęta została przez polskich teoretyków /Langé, Topolski, Wiatr/, jest ona niewątpliwie interesująca. Poła "podłoża historycznego" nie da się zakwestionować, tylko, że wnioski stąd nie tylko że nie podtrzymują samej teorii, lecz przeciwnie - kwestionują jej podstawowe założenia. Skoro podłoże historyczne może w zasadniczy sposób modyfikować przebieg rozwoju, może go hamować, a nawet całkowicie na długie okresy zatrzymać - zakwestionowaniu ulega naczelną tezę o koniecznym rozwoju sił wytwórczych. Siły wytwórcze stają się zmienną zależną od innych czynników i to w dodatku trudnych do sprecyzowania, rządzących się jakimiś innymi prawami. Oprócz nieokreśloności pojęcia to w interpretacji Krzywickiego ma jeszcze jedną wadę. Podłożu historycznemu przypisuje on rolę bierną, hamującą rozwój, konserwującą stan istniejący. W tym sensie koncepcja ta nie da się utrzymać w świetle historycznych doświadczeń. Nie ma tak zakonserwowanego systemu, w którym nie dokonywałyby się jakieś zmiany, nie zachodziła jakaś ewolucja i to przede wszystkim w tej sferze objętej pojęciem historycznego podłoża. W dalszym ciągu postaramy się wskazać, iż właśnie pod tą tajemniczą ogólnikowo określoną kategorią kryją się czynniki wywierające dynamiczny wpływ na społeczne procesy.

3. W formach nadanych przez współczesnych interpretatorów marksistowską teorią rozwoju doznaje zasadniczego załamania przy przejściu do formacji socjalistycznej. Wszystkie poprzednie przejścia dokonywały się w ten sposób, że rozwój sił wytwórczych zmienił stosunki produkcji, te rozsadzały stare formy ustrojowe, doprowadzały w konsekwencji do ustanowienia nowej formacji - nowa formacja dojrzała w łonie starej. Otóż przy przejściu do formacji socjalistycznej - wg. dość powszechnie akceptowanego twierdzenia - zasada ta przestaje obowiązywać, przejście to dokonuje się według całkowicie odmiennej, odwróconej zasady, tutaj "nadbudowa wyprzedza chronologicznie ekonomiczną bazę socjalizmu". 1/

1/ Por. Wiatr, s. 132. W dalszym ciągu Wiatr pisze: "Tak więc powstanie formacji socjalistycznej dokonuje się w sposób różny od drogi formowania się poprzednich ustrojów. Cecha szczególną powstania tej formy są zmiany w

Teza ta jest konkluzją toczącej się od dawna dyskusji nad "strategią i taktyką" przechodzenia do socjalizmu i zawiera zaskakujące implikacje. Wynika z niej bowiem, że u bram ustroju socjalistycznego ustaje działanie wszystkich podstawowych praw rządzących ekonomicznym i społecznym rozwojem, traci ważność cała marksovska teoria. Do tego momentu był określał świadomość, tu rola się odwróciła - świadomość zaczyna określać byt. Można powiedzieć, że marksovska "materialistyczna dialektyka" znów wróciła do heglowskiej pozycji, tzn. "stała na głowie".

Poza argumentami, jakie można przeciwko tej koncepcji wysunąć, trzeba stwierdzić, że teza jakoby system socjalistyczny nie mógł dojrzewać w łonie systemu kapitalistycznego, jest jaskrawo sprzeczna ze stanowiskiem Marksa. Można przytoczyć dziesiątki jego wypowiedzi określających warunki, jakie muszą być spełnione w systemie kapitalistycznym, aby przejście do socjalizmu było możliwe, a także ostrzeżenia przed konsekwencjami, jeśli rewolucja społeczna wyprzedzi dojrzałość warunków do niej.

Motywy tej karkołomnej sofistyki jest chęć wyjaśnienia faktu, że formacja socjalistyczna powstała i nadal ma tendencje do powstawania w krajach, które warunków przewidywanych przez Marksa nie spełniły, tzn. nie przeszły przez rozwinięty kapitalizm. Posłużono się w tym celu metodą polegającą na pozostawieniu marksovskiej terminologii ale nadając jej całkowicie odmienne wręcz przeciwstawne treści.

W chwili obecnej, u początku ostatniej ćwierci XX stulecia zagadnienie ustroju socjalistycznego i "strategii" przechodzenia do niego jest jednym z naczynych problemów społecznej i politycznej praktyki - i winno stać się również jednym z węzłowych zagadnień teorii rozwoju. Bogate empirycznie dane, jakich dostarczyła historia krajów socjalistycznych, stawiają mnóstwo niezwykle zawiłych problemów. Nie wydaje się jednak, aby jedynym ratunkiem była ucieczka do idealistycznych koncepcji Hegla, aby dla zrozumienia zachodzących w tych krajach procesów trzeba było odrzucić marksovski historyczny materializm.

/ / nadbudowie wyprzedzające zmiany w bazie, które z kolei poprzedzają uformowanie się nowych sił wytwórczych dostosowanych... do wymogów nowej formacji."

Władysław Biedkowski.

SUMMA CZESŁAWA MIŁOSZA

Epoka nasza czyli zgon,
Ogromna Die Likwidation...

/ "Traktat Moralny" /

1 Z początku książka Miłosza / przytłoczyła mnie, oszołomiła, uczyniła bezradnym. Szczęśliwy przypadek zrzucił, że byłem jednym z pierwszych jej krajowych czytelników; jeśli nie wykorzystałem okazji i nie spełniłem od razu swojej recenzenckiej powinności, to dlatego, że przed powtórną lekturą czułem potrzebę zaczerpnięcia oddechu. Nablężanie oddechu trwało jednak niespodziewanie długo: kilka miesięcy. W ciągu tego czasu na świecie wydarzyło się paręset nowych porwań i terrorystycznych zamachów, przetoczyło się parę lokalnych wojen przy bratnim współudziale obcych doradców wojskowych, ludzkość przeżyła bez oporu potężną porcję nowych kłamstw, obywatele krajów demokratycznych maszerowali przez ten czas w nieustannych pochodach, domagając się rządów silnej ręki, a mieszkańcy państw totalitarnych stali jak zwykle w kolejkach, marząc o choćby minimalnym odrośnięciu rubry. Nasza obłędna epoka trwała w swoim obłędzie: również na naszym zacisznym podwórku, gdzie sam miałem możność obserwować między innymi, jak milicja obywatelska traktuje gazem łzawiącym obywateli, którzy w prywatnym mieszkaniu chcieli wystąpić wykładu o historii swego kraju. W zamęcie tych miesięcy /tak jakby nasze czasy znały choć tydzień wojny na zametu/ trudno było pisać o książce, której pełne objęcie wymaga nie tylko większej niż zwykle umysłowej pracy, ale i wyjątkowo dogłębnego przemysłu nie samego siebie, własnej postawy wobec wszystkiego, o czym tu mowa. W dodatku jest to książka, która rozważa co prawda właśnie obłęd naszej epoki i jego przyczyny, ale dokonuje tego w sposób niezmiernie nietypowy: przeczynam już liczne głosy niechęci i nawet oburzenia tych krajowych czytelników, którzy, biorąc z zapałem do ręki "nowego Miłosza", natkną się niespodziewanie na dywagacje o Swedenborgu, gnostykach i Kahale. Jak to, my tu się borykamy z tak konkretnymi problemami, robimy co możemy, aby zwalczyć nonsensy swojego czasu, a nasz największy poeta nie podaje nam ręki?

To nie tak, Miłosz jak zawsze podaje nam rękę. Jest coś, co pozwala mu łączyć wyzłewy piekła Swedenborga z tymi gazami przemocy i absurdu, od których co dzień łzawią nasze oczy. Jeśli powiedziałem, że książka ta przetrwała z początku i czyni bezradnym - miałem tylko na myśli ogrom jej wewnętrznej formatu, skalę stawianych przez nią pytań; jako ściśle powiązanie duchowego autoportretu pisarza z wizją naszej cywilizacji i jej najcięższych dylematów, "Ziemia Ulro" nie ma, sądzą, równych sobie partnerów w polskiej literaturze, poza może tylko "Dziennikami" Gombrowicza. Ale, imponując nie spotykaną erudycją, oryginalnością stylu myślenia, swobodą poszukiwań - jest zarazem bezcenna pomocą w zrozumieniu nie tylko samego Miłosza i jego twórczości; również w zrozumieniu nas samych, naszego miejsca na ziemi, naszej tradycji i naszej rysującej się mgliście przyszłości. Zwłaszcza tu i teraz, w dzisiejszej Polsce.

2

Podjęmuję się nietatwego i niewdzięcznego zadania opowiedzenia, po części własnymi, po części zapożyczonymi słowami, o co w "Ziemiu Ulro" chodzi. Zadanie nietatwe, bo tok myśli wije się tu meandrami i odpywa w liczne dygresje, łącząc ze sobą z pozoru dowolne stulecia i kultury, swobodnie lawirując pomiędzy faktami autobiograficznymi a refleksjami na temat lektur; i zarazem zadanie niewdzięczne, gdyż taki właśnie sposób snucia myśli decyduje o artystycznej znakomitości książki, wszelkie streszczenie zatem będzie nie tylko uproszczeniem, ale i odarciem eseju Miłosza z całego literackiego uroku. A przecież streścić trzeba: choćby z tego prostego względu, że książkę w krajowej księgarni kupić nie można, ale także i dlatego, że logiczny p

rzadek myśli nie pokrywa się tu - jak to w eseju bywa - z porządkiem jej przedstawiania i pewnego rodzaju rekonstrukcją poglądów autora jest niezbedna, jeśli chce się z nimi dyskutować.

Najpierw - skąd tytuł. Ulro to krajna, która w późnych wierszach Williama Blake'a symbolizuje obszar "duchowych cierpień, jakie znosił i musi znosić człowiek okaleczony": to "krajna wydziedziczenia/.../ gdzie człowiek zmienia się w cyfrę wymienną i co gorsza, dla siebie samego, w swojej świadomości, przestaje być czymś więcej niż cyfra wymienna". Umysł wydziedziczony - oto cecha człowieka nowoczesnej epoki: "umysł wydziedziczony w sensie ontologicznym, wewnętrznie rozdarty, równocześnie przekonany, że człowiek jest niczym w ogromie wrogłego universum i, ponieważ dotkliwie rani to ludzka duma, przypisując człowiekowi najwyższe znaczenie".

Ale korzenie naszej epoki tkwią w wieku Oświecenia. Wówczas to, według metafory Miłosza, ludzkość wśląda jakby do niewłaściwego pocługu, ponieważ - dopiero orientując się, że zawlózł on ją w strony, których wcale nie oczekiwała. Wiek Oświecenia, wiek triumfu Nauki i Rozumu, który swoje źródła ma w nazwiskach Racona, Locke'a i Newtona, był początkiem zasadniczego rozszczęnienia tego, co pierwotnie stanowiło jedność: rozdwojenia na ziemny, abstrakcyjny świat praw nauki i świat wewnętrzny człowieka. Wówczas to przygotowany został grunt dla procesu, nazwanego później przez Brzozowskiego "romantycznym przesileniem kultury europejskiej", procesu trwającego do dziś dzień. Całe dzieje europejskiego piśmiennictwa poświeceniowego sprowadza Miłosz do, z jednej strony, nieprzeliczonej rzeszy autorów, którzy zajmowali się utwierdzaniem murów krajny Ulro, lub co najwyżej poszukiwali z niej na oślep wyjścia, z drugiej zaś - do kilku nazwisk twórców swolódce "nawiedzonych", którzy, włączając w swoją proroczą wizję, burzyli mury Ulro /niektórzy jeszcze przed ich ostatecznym sformowaniem/, choć byli w tym przez współczesnych kompletnie nie zrozumiani.

Dobór tych nazwisk może zaskakiwać: zbytnio jesteśmy przyzwyczajeni do sztywnych historycznoliterackich i filozoficznych podziałów. Emmanuel Swedenborg, William Blake, Adam Mickiewicz, Fiodor Dostojewski, Oskar W. Miłosz. Dziełami tych pisarzy i myślicieli Miłosz zajmuje się najobszerniej, jako swymi wielkimi przygodami duchowymi w prywatnych zmaganiach z prawami krajny Ulro. Jak sam pisze, jeśli nie liczyć Mickiewicza, niewiele im zawdzięcza z punktu widzenia literackiej techniki, zwłaszcza, że niektórzy studiował gruntowniej dopiero w późniejszym okresie życia: wszyscy natomiast są dla niego ważni w sensie wpływu intelektualnego. Nicia, która łączy te kolejne wpławy, jest stały watek światopoglądu Miłosza: "antropocentryzm i niechęć do Natury".

Zaczniemy od tej drugiej sprawy. Mówiąc o swojej niechęci do Natury, ma Miłosz na myśli fakt, że był zawsze "ekstremalnym pesymistą", że na zasadzie trwałej sprzeczności współczuje w nim zachwyt nad pięknem tego świata z obrzydzeniem dla okrutnych praw, które nim rządzą. Nie jest w stanie widzieć w Naturze przemysłowego i harmonijnego mechanizmu, jak czynili to delfci wieku Oświecenia, ani też azytu chroniącego przed kłopotami cywilizacji, jak od czasów Rousseau czynił to romantyzm. Pozostaje więc dla niego aktualne staro pytanie: jak można naszemu istnieniu na ziemi powiedzieć "tak"?

Wyjściem jest antropocentryzm rozumiany tak, jak pojmowali to wszyscy wspomniani wyżej burzyciele murów Ulro: jako Idea Boga-Człowieka. Bóg jako nie-ludzki i obojętny Wielki Zegarmistrz: taka była wizja oświeconych deistów i to ona stanowiła fundament "umysłu wydziedziczonego". Pierwszy Swedenborg, później Blake dostrzegli, że jedynym wyjściem jest człowieczeństwo Boga jako podstawa religii. "Nie-ludzkość świata - pisze Miłosz - czyli jego obojętność na potrzeby naszego serca może być złagodzona jeżeli Bóg otrzyma rysy ludzkie. Wtedy możemy porozumiewać się z nim niejako ponad głową świata. Chrystus czyli Słowo, Logos, występuje więc jako najwyższy sedzia i władca, Pantokrator". Mówiąc inaczej, pojęcie miłości Boga do Stworzenia mogłoby nam się wydawać - na podstawie historycznych i osobistych doświadczeń - podejrzane i wątpliwe, gdyby nie fakt, że "Bóg stwarzając świat przyjmował tym samym kształt ludzki i godził się umrzeć śmiercią torturowanego więźnia. Tam gdzie nie ma czasu, nie ma kolejności wydarzeń i Golgota jest równoczesna z chwilą aktu Stworcy".

Swedenborg, jak powiedzieliśmy, był pierwszym, który zareagował na "0-

brzydliwość spustoszenia", jaka pozostała po ciosach zadanych chrześcijaństwu przez scjentyzm. Jedyłą obronę przed newtonowską wizją "nieskończonej liczby planet wirujących w nieskończonej i absolutnej przestrzeni" widział w wyznaczeniu centralnego miejsca Boskiemu Cztowieczeństwu. Podobnie jak Blake, protestując przeciw triumfom Uriżena /Rozum/ ale także i przeciw Kościołowi i religii pojętej jako system zakazów i represji, mówił o "Bogu-Człowieku, tj. Chrystusie jako Bogu Jedynym". Podobnie Mickiewicz, w którego twórczości Miłosz, wbrew przyjętym podziałom, widzi linie ciągłe i rozwojową logikę od "Dziadów", poprzez "Pana Tadeusza", aż po "Zdania i Uwagi". Podobnie Dostojewski, ze swoim wielokrotnie przywołanym przez Miłosza oświadczeniem, iż gdyby miał wybierać między Chrystusem a prawdą /tj. "obiektywną" prawdą nauki/, wybrałby Chrystusa. /Miłosz oczywiście dobrze zdaje sobie sprawę ze specyfiki wieku XIX i silnie podkreśla, że i u Mickiewicza i u Dostojewskiego swoiste dla każdego z nich postacie mesjanizmu, "zatarcie granic pomiędzy religią i ideą narodowości", stanowił herezję wobec chrześcijańskiego poglądu na świat, tak samo zresztą, jak - z innych przyczyn - popularna w okresie romantyzmu wiara w metempsychozę/. Podobnie wreszcie Oskar W. Miłosz w swoich mało znanych a głęboko w "Ziemii Ulro" rozumianych i interpretowanych "poematach metafizycznych". Wszyscy ci natychnieli prorocy, z których każdy przeszedł w swoim życiu przez doświadczenie mistycznej iluminacji, za swoją misję uważali protest przeciw utopii Rozumu i Postępu: protestowali jednak, co ważne, nie przez powoływanie do życia konserwatywnej kontrutopii i nie przez odwoływanie się do romantycznej taktyki "Wiary przeciwstawionej rozumowi"; protestowali natomiast poprzez tworzenie "zupełnie innego obrazu człowieka i świata, niż ten jaki ofiarowuje nam nauka oświeceniowa i jej pochodne po dziś dzień". Pomocą w tym dziele była dla nich potęga Wyobraźni, w dziełach poetyckich i w metafizycznych traktatach ożywiająca nowymi treściami i obrazami splotały język teologii.

Trafiamy w ten sposób w wiek dwudziesty, którym rządził już bez żadnych wątpliwości "logika przyspieszonego rozpadu". W stuleciu tym Miłosz dostrzega liczne objawy generalnej klęski tego, co nazywał laickim humanizmem. Doktryny, wywodzące się z Oświecenia, deformują się dziś w hasło "prawa jednostki do szczęścia czyli do spożywania"; mechanistyczny determinizm "praw postępu" zdejmuje z jednostki wszelką odpowiedzialność i czyni ją anonimowym elementem statystycznej masy. To też w krajach zachodnich hasła laickiego humanizmu odnosiły sukcesy dopóki funkcjonowała jeszcze - siłą rozpędu - religijna "etyka powściągliwości, wyrzeczeń i poświęceń". Ponieważ zaś kres jej nastąpił w XIX stuleciu, nowym pokoleniom w erze "permissive society" pozostaje jedynie próżnia, "dotkliwość wydziedziczenia". Dlatego też laicki humanizm, zjadany od wewnątrz przez swoją pustkę, korzy się wobec nosicieli rewolucyjnych haseł. Nie każdego intelektualistę Zachodu - powiada Miłosz - stać na taką odwagę i uczciwość, jaka cechuje Becketta, który, nie pozostawiając nam i sobie żadnych złudzeń, zaświadczył istnieniu owej pustki. Częściej zapełniają ją surrogaty: ideologie, hasła, "izmy", co najwyżej powierzchowny okultyzm, zastępczo zaspakajający nasze potrzeby metafizyczne.

Na tym tle Miłosz próbuje ulokować samego siebie, odpowiedzieć na postawione w pierwszych już słowach książki pytania: "Kim byłem i "Kim jestem teraz". Jak sam pisze: "Mieszkałem w Ulro na długo przed tym nim dowiedziałem się od Blake'a jak się ta kraina nazywa, ale nie godziłem się na takie miejsce pobytu. To znaczy wahałem się, jak inni, zespół pojęć i wyobrażeń mojego stulecia, nawet postępując się nimi czynnie, w pisaniu, a zarazem uważałem to wszystko za fałsz zapowiadający katastrofę". Mowa o wileńskiej młodości Miłosza, kiedy to wpływ ducha czasów zamykał poeetę w państwie Uriżena, gdzie za ważne wolno poczytywać tylko to, co ogólne, społeczne, statystyczne itd." Sama wyobraźnia poetycka nie wystarczyła, aby wyrwać się z kręgu dogmatów epoki: "byłoby ze mną całkiem źle, gdybym nie został wychowany w obrządku rzymsko-katolickim. Gdyż obrządek ten wyzwala w nas częstkę kobłą, bierność gotową na przyjęcie Chrystusa albo poetyckiego natch-

nienia - Blake poprawiłby „albo” na „czyli” ”.

U podstaw poezji Miłosza leżą zatem dwa czynniki: pierwszy to fakt, że jako młody człowiek został „porażony odgadnięciem wymiaru w jakim odbywają się wydarzenia/.../ stulecia, że jest to conajmniej jak koniec świata antycznego”; drugi to wychowanie w obrządku katolickim, i w dodatku wychowanie na „mistycznej Litwie”, szczególnie dobrze konserwującej archaiczne formy religijności. Te dwa wpływy we wzajemnym zderzeniu tworzą pogląd na historię, który stanowi jak gdyby odpowiednik „pesymistyczno-ekstatycznego” stosunku do Natury: tworzą mianowicie katastrofizm, ale katastrofizm „eschatologiczny”. Miłosz wielokrotnie z naciskiem podkreśla, że jest przeciw „radykalizmowi nicości”, jaki oferuje współczesna „czarna” literatura, i, jakkolwiek pochwała odwagę i konsekwencję Becketta, nigdy nie zamierza iść w jego ślady. Jego własny katastrofizm na czym innym polega: „Katastrofa w poezji i w sztuce chrześcijańskiej zawsze spełnia tę samą funkcję: pozwala nam przyjąć ten świat nie w imię jego porządku, skoro ten został zakłócony, ale w imię nadziei, że/.../ nastąpi/.../ powrót doładu”. Sztuka chrześcijańska musi bowiem odzworowywać podstawową potrzebę i istotę ludzkiej wyobraźni, jaką jest „rebelia przeciwko Naturze w imię wielkiej nadziei”.

Tu, już pod koniec książki, następuje arcyciekawa „wycieczka w stronę ateistyczną”. Mając się za manichejczyka, Miłosz uważa za bliskich sobie wszystkich tych, którzy konsekwentnie rozróżniają dobro i zło, choćby byli ateistami. Takim był Gombrowicz - „ateista prawdziwy”, zwłaszcza tam, gdzie „istnienie pojmował jako Bóg”. Znacznie częściej jest ateizm fałszywy, ateizm „ludzki, którzy nie wierzą w Boga ale uwierzyli, zwłaszcza wskutek historycznych doświadczeń, w diabła” i nawet „wyciągnęli z tego konsekwencje, postanawiając z nim pracować, bo tylko on zwycięża, czyli powtarzając wybór zrobiony przez Wielkiego Inkwizytora Dostojewskiego”. Natomiast „prawdziwy ateista jest, myślę, rzadkim ptakiem”. Dlaczego? Nie obejdzie się tu bez dłuższego cytatu: „Jak najbardziej rygorystyczna etyka obowiązuje prawdziwego ateistę, bo jego bliźni nie otrzyma żadnej pośmiertnej rekompensaty i w swoim krótkim pobycie na ziemi zdany jest na łaskę i niełaskę innych ludzi. Nic, żadne najwznioślejsze hasła, żadna prawda, żaden odległy cel nie mogą usprawiedliwić dreczenia poszczególnego człowieka. Dlatego też dla prawdziwego ateisty rosyjski komunizm jest winien zbrodni zaiste straszliwych, zarówno tortur fizycznych, jakim poddał miliony bezbronnym ludzkim istnieniom, jak tortur duchowych, a są nimi strach, wyrzekanie się pod wpływem strachu zwykłych odruchów moralnych i udziału w religijnych obrzędach. Właśnie przekładając religię, która dla ateisty jest godnym podziwu tworem ludzkiej wyobraźni i skutecznym środkiem łagodzącym dotkliwość życia i śmierci, komunizm ujawnił się jako system anty-ludzki”.

Prawdziwy ateizm jest jednak rzadki, bo jest ciężarem; i Miłosz otwarcie wyznaje, że dla niego byłoby to ciężar nie do zniesienia. „Moralnie, nic nie przemawia moim zdaniem za chrześcijanami i przeciw ateistom /.../. Rzekłbym nawet, że jeżeli kogoś stać na to żeby być ateistą, powinien nim być”. Stąd podziw Miłosza dla Gombrowicza. On sam był jednak od początku na tyle rozdarty wewnętrznie przez „zupełny pesymizm i razem zachwyt” nad światem, że uświadamiał sobie zawsze, iż „zaśnię bez Boskiej Pomocy”. Utwierdzony w tym przez przykład wspomnianych wyżej poetów i myślicieli, przez pisma współczesnych manichejczyków w rodzaju Simone Weil i teorie takie jak C.G. Junga z jego uznanie naturalności potrzeby religijnej w człowieku, zdając sobie przy tym sprawę, iż wobec współczesnej słabości symboliki chrześcijańskiej rolę zastępczą spełniają często „różne izmy, które występują jako nowi okrutni bogowie” - Miłosz podejmuje próbę generalnej obrony religii. Religii nawet w jej formach najbardziej powierzchownych, takich jak zwyczajowy udział we wspólnym obrzędzie. „Struktury społeczne, które w jakiejś mierze chronią człowieka od popadania w skrajne zło, zastugu-

ją na szacunek./.../ Jeżeli człowiek jest homo ritualis, zalet obrzędu, który wprowadza w wymiar sakralności, nie wolno lekceważyć". Nie tylko więc obrona religii, ale obrona katolicyzmu w jego polskim wydaniu; choć bowiem Miłosz nigdy nie potrafił "ułożyć kolana przed boginią, której na imię polskość", to jednak konkluduje: "Myśnię, że katolicyzm, nawet przy znacznie zmniejszonej liczbie wiernych, będzie w Polsce gruntem albo przynajmniej tłem wszelkich umysłowych przedsięwzięć, i że w nim zawiera się obeltnica polskiej kulturalnej oryginalności". Na tej zasadzie opiera się wiara autora "Ziem Ulro" w "cywilizację odnowioną", która zapewne nie nastanie za naszego życia, przecież jednak bez nadziei na nią nie możemy się obejść.

3

Odartem myślowy szkielet książki Miłosza nie tylko ze skóry literackiego stylu, ale i z mięsa dodatkowych dygresji, ubocznych refleksji, erudycyjnych wycieczek. Pomijając już nawet warstwę w "Ziem Ulro" najważniejszą - duchowej autobiografii poety - powiedzieć trzeba, że ten zwleżył tom nabitý jest zagadnieniami, z których na dobrą sprawę każde mogłoby rozwinąć się w odrębną książkę. Tyle tego i z dziedzin tak różnych: znakomita analiza porównawcza "ateizmu Gombrowicza i ateizmu Przybosa"; rozmyślania nad Goethem i jego "Wojną Trzydziestoletnią przeciwko Newtonowi"; fenomenalne, pionierskie interpretacje "Dziadów" i "Braci Karamazow"; umiejscowienie Dostojewskiego na tle zachodniej wyobraźni religijnej; refleksje nad rolą społeczną poety-profeta; cały watek historii chrześcijaństwa ze szczególnym uwzględnieniem nurtów manichejskich; wreszcie szczegółowa problematyka systemów metafizycznych Swedenborga, Blake'a, O.W. Miłosza. A wymieniać tylko rzeczy dla mnie jako czytelnika najbardziej nowe lub uderzające odkrywczością interpretacyjnego pomysłu. Dosyć tego, aby nabawić się kompleksów. Nie bez racji powiada Miłosz: "Walcz o prawo do używania swego umysłu poza przyjętymi w Polsce rubrykami". Wobec tego ogromnego pola wiedzy i wobec swobody myśli, poruszającej się bez przeszkód ponad tradycyjnymi miedziami i parkanami, krytyk literacki staje w gruncie rzeczy dość bezradny.

Ale przecież nie jest to książka pisana dla krytyków literackich. Zapomnę więc na chwilę, że nim jestem, i spróbuję powiedzieć, jakie myśli budzi "Ziemia Ulro" we mnie jako po prostu w swoim czytelniku. Choć i tu czuję pewną bezradność. Trzeba bowiem zacząć od tego, że jestem zawstydzająco typowym przykładem mieszkańca Krainy Ulro. Urodzony o epokę później niż autor książki, wychowywałem się już w świecie planowo i konsekwentnie odzieranym z wartości metafizycznych; mój umysł mógł do pewnego momentu stanowić klasyczny okaz duchowego wydziedziczenia. Błądząc po omacku, szukając wartości, które wypełniłyby pustkę, sięgałem z początku po rozmaite zastępcze "izmy", odrzucając je, gdy tylko objawiły swą antyludzką i fałsz. A wokół siebie miałem - jak my wszyscy - świat, który odpychał swoim bezsenssem i okrucieństwem, świat, na który nie sposób było po prostu i bez zastrzeżeń się zgodzić. Czym mogłem uznać swoją mimo-wszystko-zgodę na ten świat? Niestety nie wiara, bowiem jej taska była i jest mi do dzisiaj odmówiona, z przyczyn, które - jak zawsze chyba z w takich wypadkach - nie dadzą się jednoznacznie wskazać. Byłem i jestem bliższy raczej postaci, którą w książce Miłosza symbolizuje Gombrowicz. Tyle, że nie określałbym się jako "prawdziwy ateista" /w Polsce powojennej słowo "ateista" nabrało zbyt agresywnego i prostackiego odcienia emocjonalnego/, a raczej jako agnostyk. Swoją sytuację poznawczą wobec nadprzyrodzonego porządku, który być może włada tym światem, mógłbym określić tylko jako niewiedzę czy niepewność, nieufną wobec rozwiązań racjonalistycznych ale i nie dającą się zastąpić przez wiarę. Trochę tak jak w wierszu Miłosza:

Gdybym miał przedstawić czym jest dla mnie świat
wziąłbym chomika albo jeża albo kreta,
posadziłbym go na fotelu wieczorem w teatrze

i przytykając ucho do mokrego pyszczka
słuchałbym co mówi o świetle reflektorów,
o dźwiękach muzyki i ruchach baletu.

~ "Po ziemi naszej"/

"Jeżeli kogoś stać na to, żeby być ateistą..." Ależ nikogo na to nie "stać", brak wiary to, sądzę, kalectwo, którego się nie wybiera; z drugiej strony wiara nie jest protezą, którą można sobie sprawić, aby kalectwo przestało doskwierać.

Poza tym jednym zastrzeżeniem uważa Miłosz, że co nazywa "prawdziwym ateizmem", wydają się niezwykle celne. Właśnie: nie mając dla swych postępów religijnej sankcji, człowiek niewierzący powinien tym usilnie jej światłomiej trzymać się etyki, w której centrum stoi jednostka ludzka, drugi człowiek, mój bliźni. Paradoks, ale głęboko prawdziwy: etyka chrześcijańska w całej pełni obowiązuje agnostyka, takiego agnostyka, któremu niedostępnie jest Objawienie, ale który mimo to chce być człowiekiem dobrym i czyniącym dobro wedle swolich ludzkich możliwości. Powtórzmy raz jeszcze: "Nic, żadne najwznioślejsze hasła, żadna prawda, żaden odległy cel nie mogą usprawiedliwić dręczenia poszczególnego człowieka". Mimo wszystko nie tak ma to być ludźmi, którzy nawet bez udziału wiary potrafili uczynić to zasadą swego postępowania i nie czują się zwolnieni z odpowiedzialności przed "nieznanym trybunałem" /jak to nazwał inny polski pisarz/, choćby to miał być tylko trybunał indywidualnego sumienia.

Może więc nie wszyscy "talacy humaniści" zasługują na wrzucenie do wspólnego Judaszowego worka? Może nie zawsze ich postawa sprowadza się do obrony "prawa jednostki do szczęścia czyli do spożywania"? Naocho to siebie widzą coraz więcej ludzi, którzy walczą o prawa jednostki rozumiane znacznie szerzej /co wynika z samej natury ustroju, któremu się przeciwstawiają a który odbiera jednostce nie tylko "prawo do spożywania" przecież/. A jednak nie wszyscy z nich są wierzący. Prawda: wśród niewierzących, takich jak ja, wielu powołuje się na Ewangelię jako na wzór etyczny i stara się w myśl jej zasad postępować. Miłosz jednak musiałby postawić ich po drugiej stronie. Jak sam bowiem pisze, sprawa etyki nie ma tu nic do rzeczy, "moralnie nic nie przemawia/... za chrześcijanami i przeciw ateistom"; o wspólnocie decyduje wiara, a przynajmniej - wspólny udział w obrzędzie.

Z tym ostatnim właśnie w książce Miłosza nie potrafie się zgodzić. Prawda, że "zalet obrzędu /.../ nie wolno lekceważyć", że - aby raz jeszcze zacytować to zdanie - "struktury społeczne, które w jakiejś mierze chronią człowieka od popadania w skrajne zło, zasługują na szacunek". A jednak otchtań dzieli w moich oczach obyczaj chrześcijaństwa od udziału w nabożeństwach od pełnego uświadomienia sobie obowiązków chrześcijanina wobec bliźnich. Czy obrzęd naprawdę jednoczy silnie niż wspólne, ponad i poza obrzędami istniejące przekonanie, że "nic nie usprawiedliwia dręczenia poszczególnego człowieka"? Gdzie właściwie przebiega ta najważniejsza linia podziału?

Podobna sprawa z krytyką uroszczeń Rozumu. Zgoda na nią, jeśli po przeciwnej stronie stoi Wychraźnia; jeśli krytyka dotyczy zawężenia horyzontów i jałowego determinizmu, w który wpędzała nas przez stulecia bezmyślnie adorowana "prawda nauki". Ale Rozum można też czynić wartością opóźniczą wobec masowych, irracjonalnych psychoz, jakich nie brakowało za czasów Locke'a /autora "Listu o tolerancji"/, do dziś, jak styszę, nie wydanego w ZSRR i krążącego tam w samizdacie/ i jakich nie brakowało tym bardziej w wieku dwudziestym. Być może, iż w skomplikowanym, fałszywym procesie metamorfoz to, co dziś jest irracjonalną demencją, ma swoje korzenie w krytycyzmie wieku Oświecenia: cała książka Miłosza stara się udowodnić ten paradoks i czyni to w sposób tak przekonujący, że nie czuję się na siłach z nią polemizować. Inną jednak sprawą są genetyczne związki, a inną - współczesna zderzenia tych dwu postaw: mnie się zdaje, że przeciw szatom nacjonalizmu, rasizmu,

totalitaryzmu, przeciw krzywdzeniu jednostki i łamaniu praw ludzkich protestowali w naszym stuleciu nie tylko chrześcijanie, ale również bezwyznanowi liberałowie o wyraźnie racjonalistycznym rodowodzie. I bywały to nierzadko protesty słyszane szeroko i skutecznie. Antoni Słonimski, George Orwell, Andriej Sacharow - te parę przykładów wystarczy. Że niektórzy z nich stopniowo zbliżali się do chrześcijaństwa - to tylko potwierdzający moją tezę dowód bliskości, nie obcości, obu postaw, postawy chrześcijanina i postawy "laickiego humanisty".

Nie znaczy to, abym sam był programowym racjonalistą: Miłosza obrońcą Wyobraźni przemawia do mnie żywo i na tyle jestem wyzwolony z pęt arystotelesowskiej logiki, iż potrafię doskonale rozumieć, jak Blake mówił jednocześnie utrzymywać, że ziemia jest płaska, i wiedzieć, że "naprawdę" tak nie jest. O względności wszelkich "wiecznych" i obiektywnych praw nauki" przekonała zresztą człowieka dwudziestego wieku sama nauka /poczynając od teorii Einsteina, która, jak czytamy w "Ziemli Ulro", silnie oddziaływała m.in. na system metafizyczny O.W. Miłosza/. Chodzi mi raczej o coś zupełnie innego. Wydało mi się po prostu, że najważniejszy podział postaw, jakie zajmują ludzie wobec niewątpliwego obrotu naszej epoki, przebiega nie wzdłuż tej linii granicznej, która dzieli chrześcijan od "laickich humanistów": przebiega raczej w poprzek tej linii, dzieląc nas na tych, którzy bronią ludzkiej jednostki w imię zasad chrześcijańskich /mniej, czy pojmowanych jako objawienie wiary, czy jako świadomie wybierany etyczny kodeks/, i tych, którzy wyzywają jednostkę z jej praw w imię jakiegokolwiek ideologii, religii, ustroju czy utopii.

Przypuszczam zresztą, że ta niezbyt nowa koncepcja nie jest wcale tak bardzo sprzeczna z ideą "Ziemli Ulro". Przemawiałaby za tym w każdym razie ta końcowa partia książki, w której Miłosz suneruje jedność celów etycznych chrześcijanina i "prawdziwego ateisty". Jeżeli tak jest, wówczas zastanawia mnie inna sprawa. W takim ujęciu wiara byłaby po prostu zdegradowana do roli deski ratunku, którą postępuje się człowiek, zdający sobie sprawę, iż "zginie bez Roskiej pomocy". Wiara jako świadomie wybrany środek samoobrony - ujęcie to wysocy nieortodoksyjne i przypuszczam, że od tej strony rozpatrywana "Ziemia Ulro" - wzbudzi zastrzeżenia. Upprzedza je zresztą sam Miłosz, pisząc: "Taki człowiek jak ja /.../ słyszy w sobie głos oskarżający go o niewystarczalność własnego istnienia jako prawdziwą przyczynę jego wewnętrznych manipulacji, czyli o zmuszanie się do wiary przy braku wiary prawdziwej. I słysząc stale ten głos, musi odpowiadać jakby mentalnym wzruszeniem ramion: no to co?".

Słusznie: na takie postawienie sprawy można tylko odpowiedzieć wzruszeniem ramion. Bo nie o czyimkolwiek indywidualnym wyborze wolno tu dyskutować. Jeżeli wiara pomaga człowiekowi w jego trwaniu, w oplanianiu się naciskowi okrucieństwa i bezsensu, w twórczości - pytanie o istocie i genezę tej wiary może interesować co najwyżej dociekliwego spowiednika. W takim jednak ujęciu jak u Miłosza - to jest wtedy, gdy wiara zostaje sprzężona i w pewnym sensie utożsamiona z Wyobraźnią - przeciwstawienie wierzącego i "prawdziwego ateisty" staje się jeszcze bardziej problematyczne i nielotne. "Prawdziwego ateisty", tak jak go Miłosz rozumie, nie można sobie bowiem wyobrazić bez dominującego w nim poczucia Sensu, który mimo wszystko jest, wbrew całej okropności Natury i bezsensu postępów ludzkich, musi w świecie istnieć. To "mimo wszystko" wskazuje, że nie ma tu mowy o jakimś heglizmzie z jego zasadą "wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne". Przeciwnie, w zewnętrznym świecie niemal wszystko może się "prawdziwemu ateście" wydawać absurdałne, jego poczucie Sensu może mieć zatem czysto hipotetyczny charakter: inaczej mówiąc, może również stanowić rodzaj mentalnej podpórki, która o tyle jest niezbędna, że bez niej jednostka musiałaby runąć albo w samounicestwienie, albo w prymitywny nihilizm. Gdyby więc nawet wszystko przemawiało przeciw obecności Sensu na tym świecie, należałoby sobie ten Sens stworzyć. Nie może to być wszakże sens dowolnie zadekretowany, jak chcieliby - żeby przywołać określe-

nie Kołakowskiego - "chłimera nietzscheańska czy sartrowska". W każdym wypadku musi to być Sens zaświadczony i uwarunkowany istnieniem innych ludzi, bliźniego, którego cierpienie jest jedyną sprawdzalną miarą. A skoro tak, doprawdy nie ma wielkiej różnicy pomiędzy wierzącym chrześcijaninem a "prawdziwym ateistą".

4

Przestaje stukać w klawisze maszyny. Zza ścian dobiega mnie głos telewizyjnego spikera: porwanie Aldo Moro, zwycięstwa Kubańczyków w Etiopii, nowa rzeź na granicy Kambodży i Wietnamu, oświadczenie komunistów portugalskich, dalszy pomyślny rozwój, szczerza i przyjazna atmosfera. Zgon naszej epoki przedłuża się. Daleko jeszcze do "nowej powszechnej harmonii", do "wleku wiary i siły". "Gdzież jest, poeto, ocalenie?...". Odkładam "Ziemie Ulro" i - jakbym sięgał po poprzedni tom tego samego dzieła - otwieram wiersze Miłosza, aby przypomnieć sobie jeszcze raz znajome słowa:

Epoka nasza czyli zgon,
Ogromna Die Likwidation....

.

I płyniesz w tym społecznym fakcie,
Jak orzech w Nilu katarakcie.
Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina bieg od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach.
I, jak zwykł mawiać już ktoś inny,
Możesz, wleć wpyń na bieg lawiny.
Łagodź jej dzikość, okrucieństwo,
Do tego też potrzebne męstwo.
A chociaż nowoczesne państwo
Na służbę grzmi samarytańską,
Zbyt wieleśmy widzieli zbrodni,
Byśmy się dobra wyrzec mogli
I mówiąc: krew jest dzisiaj tania -
Zasiać spokojnie do śniadania,
Albo konieczność widząc bredni
Uznawać je za chleb powszedni.
A więc pamiętaj - w trudną porę
Marzeń masz być ambasadorem...

Stanisław Barańczak

1/ Czesław Miłosz: Ziemie Ulro. Przedmowa ks. Józefa Sadzika. Instytut Literacki, Paryż 1977, ss. 221. "Biblioteka Kultury" tom 280.

SZTUCZNE ODDYCHANIE 1/

Stanisławowi Barańczakowi

1

Ma trzydzieści trzy lata.

Pewnego dnia budził się w klatce pokoju hotelowego. Zza ścian, spod podłogi, znad sufitu, przez okno dochodziły do niego słowa piosenek nakazujących bądź pokorną uległość i spokój /zza prawej ściany/, bądź bezkrytyczny posłuch /zza okna/; opisujących beznadziejność jakichkolwiek prób zmiany /zza lewej ściany, spod podłogi, znad sufitu/. Słuchał radia z radosnymi prognoząmi oraz informacjami o życiu kraju i nieszczęściach na świecie. Porządkuje swoje papiery osobiste, je zaimprowizowany obiad, korzysta z toalety.

Obudziło go pytanie wyrzucone nagle na powierzchnię świadomości:

- Kim jestem?

Zastanawia się nad sobą, nad swoim życiem. Nie dziwi się sobie, nie dziwi się nikomu. Jest zmęczony. Droga krzyżowa, która przeszła, jest drogą zwyczajną. Zwyczajną drogą człowieka żyjącego tu i teraz. Nie jest to droga ani bolesna, ani okrutna. Z tym można żyć. Krzyż, który dziwny, jest niemal nieodczuwalny. Ciężar jednak daje znać o sobie nagle i niezwykle ostro. To ciężar słów, które wokół siebie słyszy i słowa, które próbuje z siebie wyrzucić, a które przemieniają się w krzyk:

możesz się nagle obudzić i poczuć, że wciąż
jesteś pomiędzy: pomiędzy rodzinnym obładem
a zebraniem partyjnym; pomiędzy prześcieradłem
dziennika, który piszesz w nocy, a którąś dziennika
który kupujesz rano; pomiędzy prawą ręką, która
wali w stół pięścią, a lewą, która się podnosi
jak na sznurku, aby głosować za; pomiędzy ramionami
nieustannego krzyża, który niesiesz
we własnym ciele;
krzyż ci na drogę,
krzyż ci nad grobem,
krzyż ci w nagrodę,
krzyż, z którym się czasem budzisz

I nic ponad krzyż tego krzyku: - kim jestem?

Nieokreśloność, niejawność jego istnienia, istnienia równie koniecznego, co zbędnego, zatopionego i roztopionego w szarej, nierozróżnialnej magmie codzienności; otóż nieokreśloność tego życia domaga się w pewnym momencie wyjaśnienia.

Świadomość dopomina się o swoje prawa.

Pozbawiony własnej tożsamości, niewyróżnialny i anonimowy, żyjący w ciągłym lęku przed natarczowością tego pytania - kim jestem? - rezygnuje z odpowiedzi:

I trudno się dziwić,

że w lęku o bezpieczeństwo i higienę prawdy
zastania nierzadko oczy drodzy: zwykły gest
człowieka zmęczonego;

że, zatykając uszy, nie zwraca uwagi
gdy zamiast "szczęście jednostki", ktoś mówi
"szczęście w jedność"; że próbuje
wtopić się w ową jedność, łatwą wlermość, łatwą blermość,
łatwowlermość; choć przeciw jedności protestują słabo
jego dwoliste oczy, płuca, ręce

Stanisław Barańczak: "Sztuczne oddychanie", Maszynopis, 1975.

I półkule mózgowe;
I trudno mu się dziwić, że zamiast podnieść pięść,
woli wykonać jeszcze jedno
zmęczone
machnięcie ręką

Lecz mimo wszystko rodzi się w nim bunt. Postanawia nagle, zmęczony śmiertelnie, skończyć z dotychczasowym życiem. Czyli: skończyć z życiem, na inne bowiem nie ma żadnej nadziei. Ta jedna decyzja należy napewno tylko do niego: jest jego prawem, z którego, w imię zachowania własnej tożsamości, postanawia skorzystać. To jego ostateczne "nie", jego totalna odmowa uczestniczenia dalej w tym świecie, który go otacza i który nie daje żadnej nadziei na własne życie. Ta odmowa ma stać się pełna - i jedynie tu możliwa - afirmacją własnej indywidualności:

Z perspektywy ulicy wygląda to chyba dość zagadkowo: osobnik wchodzący na zewnętrzny parapet okna, przemyka je za sobą, jak gdyby zamierzał odgrodzić sobie powrót do wnętrza pokoju. Na tle krzyżowej ramy okna, wsparty rękami o framugę, wygląda jak rozpięty na krzyżu albo jak poddany sztucznemu oddychaniu. Zachodzące słońce odbija się czerwonym blaskiem w szybie nad jego głową. Zaraz skoczy. Zaraz rozkrzyżuje go beton chodnika. Tłum gapiów gestnieje, słychać historyczne płaski. Zaraz skoczy.

Nie skacze.

Maćka dłońmi poza sobą, otwiera okno na powrót, niezgrabnie, na drżących nogach zsuwa się do środka. Zamyka okno i wybucha płaczem. Pada na łóżko szlochając. Rozkłada bezwładnie ręce. Leży rozkrzyżowany. Szlocha.

2.

to on zatrzymuje się na krawędzi chodnika z przerażeniem i fascynacją obserwując rytmiczną, solenną młóckę pałek, ich gumowy wzlot nad głowami młodzików uciekających w stronę najbliższego kościoła lub uniwersytetu i to on uśmiecha się do chłłł do stojącego obok przechodnia /ta chuliganeria raz trzeba z nimi zrobić porządek/. gdy szczeniak w studenckiej czapce wiał się bezwładnie jak worek zboża na klepisko pakownej karetki; to jego widać na zdjęciu w gazecie /ZAKŁÓGA ZAKŁADU PROTESTUJE PRZECIWIW/, gdy stoi pod lewą połówką transparentu PRECZ Z KNOWANIANIAMI PISARZE DO, to jego właśnie twarz nic nie wyraża poza ukrytą w kąciłkach ust elastyczną władzą nie ma sensu się wygłupiać nie pójdziesz ty pójdziesz kto inny a tobie jeszcze z premił potracą

Nie ma imienia ani nazwiska: N.N.

Anonimowy Chrystus naszych czasów, który jednak Chrystusem nie zostanie, bo "nie ma sensu się wygłupiać". Jeden z nas. Tu i teraz. W Polsce. Bezwolny, ubezwłasnowolniony, bojący się życia i śmierci, absolutnie bezsilny człowiek, który nie może być sobą, który też nie chce być tym, kim jest. Ocknął się nagle przerażony i porażony oczywistością pytania, na które, chcąc żyć jak dotąd, nie może odpowiedzieć. Konieczność odpowiedzi nie pozwala mu jednak przejść nad tym pytaniem do porządku dziennego, przemilczeć go, uważać, że nigdy nie zostało postawione.

On już wie, kim jest i tej wiedzy nic już nie może wymazać. Wie również, że wszelki bunt przeciw światu, w którym mu przyszło żyć, jest buntem bezcelowym, że zostanie stłumiony, nim zdąży się rozwinąć.

Wie, że żyje w systemie, którego istota polega na odebraniu ludziom prawa do wydawania niezależnych sądów, do samorealizacji i obrony własnego szczęścia. Wie, że siły, którym chce się przeciwstawić, są zbyt wielkie, by jego sprzeciw miał jakikolwiek sens poza wyrazem bezsilnego buntu, który uznany zostanie co najwyżej za rodzaj choroby psychicznej. Lecz wie również, że:

Niedługo po wojnie 1914-1918 powstały pierwsze

państwa faszystowskie. W tych państwach

słońce wschodziło i zachodziło o normalnej porze

dachy domostw i wzgórz zieloną spadziastą /.../ npromieniając

w państwach tych wielu było

ludzi zwyczajnych i ludzi dobrych i takich którzy

nie wiedzieli o niczym i którym

nie przychodziło na myśl i którzy

nie czuli się współwinowajcami i którzy

nie mieli z tym nic wspólnego i którzy nawet

nie czytali gazet lub też czytali niedbale zajeci

myślni o tym że trzeba naprawić

przeciekający dach oddać

buty do szewca oświadczyć się wypić

kufel piwa wymieszać farby zapalić świeczkę i którzy

naprawdę nie dostrzegali strachu w oczach sasiada nie

stęszeli drżenia w głosie pytającego o drogę nie

dostrzegali różnicy nie stęszeli

głosu w sobie albo skoro

domyślali się czegoś nie mogli nic zrobić i pocieszali się

mówiąc My przynajmniej

nie robimy nic złego żyjemy jak żyliśmy zawsze

co było prawdą

A jednak były to państwa faszystowskie 1/

On również "nie może nic zrobić", lecz wie, do czego ta niemożność może doprowadzić. Wie czym był faszyzm i czuje, że świat, w którym żyje, choć może nie jest światem faszystowskim, uruchamia mechanizmy podobne. Wie, że jego życie jest upaństwowione, że upaństwowiona jest każda sfera bytu społecznego. Nie odczuwa nienawiści, tylko strach, strach, który w nim się rozrasta dławiąc słowa buntu lub choćby tylko protestu.

Odczuwa jednocześnie konieczność tego protestu, konieczność przełamania druzgocącego, młodziącego nacisku powoli narastającej przemocy. Nie chce się pogodzić z nieunikloną koniecznością utraty własnej osobowości i nadziei wolności. "Łatwa wierność" i "łatwa bierność" tylko z pozoru są łatwe - przystosowanie się do nich wówczas, gdy się wie, o co w tym wszystkim chodzi, gdy wiadomo, że jest to podstawowy warunek istnienia systemu zmierzającego do zdławienia człowieczeństwa, przystosowanie to staje się wtedy zadaniem ponad siły. Prawdziwy jednak dramat rozpoczyna się z chwili, gdy nie można znaleźć sposobu przewyższenia tej sytuacji, gdy nawet nie można ocalić własnej godności: ocalić we własnych oczach. System humanistycznych wartości rozspyna się wówczas właśnie dlatego, iż człowiek nie może znaleźć sposobu jego ocalenia, że silniejsze od obowiązku jego obrony staje się poczucie strachu. "Lęk - pisze Antoni Kepiński - działa dezintegrująco na czynności psychiczne; pod jego wpływem traci się orientację w świecie otaczającym, system wartości ulega rozchwianiu, formy zachowania stają się impulsywne i nieraz przypadkowe" 2/.

Reakcja N.N. staje się zatem oczywista: próba samobójstwa wynika z pierwszego odruchu - z chęci ucieczki przed zagrożeniem, które nagle stało się dojmującym obecnym. Jest to jednak ucieczka, w której trzeba przełamać jeszcze jedną granicę - lęku przed śmiercią. Niemożność jej przekroczenia przy jednoczesnej niemożności życia w świecie zagrażającym zniszczeniem najistotniejszych wartości ludzkich prowadzi do załamania. Lecz w końcu, prędzej czy później narodzić się musi pytanie: co dalej?

Jedno z wyjść proponują słowa piosenki dobiegające zza okna:

Nie myśl tyle nie stój z boku ośle

Trzeba razem równym krokiem i na oślep

Ramię w ramię szturmować do bram
Kto nie jest z nami ten jest przeciw nam

3.

Wybór tej drogi jest nie do przyjęcia. I choć większość ludzi świadomie lub nieświadomie, czasami ulegając wierze, iż działa w imię historycznej konieczności / wiara rolenająca na tym, że nie człowiek ma tworzyć historie, lecz że historia tworzy człowieka/, która okres terroru i zniewolenia czyni czyszcem poprzedzającym zaorządzenie arkadyjskiego porządku, ulega owemu przykazaniu, to przecież nie powinni mu się poddawać wszyscy, zwłaszcza ci, którzy wiedzą jak w świecie terroru i zniewolenia ulegają zniszczeniu te wartości, w imię których ów terror wprowadzono. "Sztuczne oddychanie" to poemat, w którym jak dotychczas poezja "pokolenia 68" osiągnęła punkt graniczny: dalej w tej poetyce chyba pójść się nie da. Dowodzą tego zresztą późniejsze wiersze autora. Tutaj też poezja ta osiągnęła najpełniejszy, najdoskonalszy kształt artystyczny będąc zarazem wypowiedzią w imieniu "milczacej większości", wypowiedzią dającą dojść do głosu temu wszystkiemu, co przemilczane, a co stanowi treść myśli często ukrywanych nawet przed sobą.

"Poezja rewolucjonistów - pisał swego czasu Miłosz - stoi na ogół wyżej niż poezja artystów kameralnych, bo treść bliska pragnieniom ludzkim wyzwala słowa z powłoków przejściowej literackiej mody"^{3/}. W tym właśnie sensie jest to poezja rewolucyjna: konkretne, ostre widzenie otaczającej rzeczywistości zerwane jest tutaj z dążeniem do przeyycieństwa schematów, w których na ogół zamyka się jej - również artystyczny - obraz:

Mówić językiem, w którym słowo "bezpieczeństwo"
budzi dreszcz grozy, słowo "prawda" jest
tytułem gazety, słowa "wolność" i
"demokracja" podlegają służbowo
generatowi policji;
jak to się stało, żeśmy się zaczęli
w to bawić? W te łgarzki słów? W te kalambury,
przejrzyczenia, odwrócenia sensu,
w te lingwistyczna poezje?

Dopowiedzmy do końca: słowo "bezpieczeństwo" budzi dreszcz grozy, bo kojarzy się z policją polityczną - Służbą Bezpieczeństwa; słowo "prawda" jest tytułem moskiewskiej gazety, która dość skutecznie potrafiła przed prawdą ochronić; słowa "wolność" i "demokracja" - pomilmy konkretną aluzję - ze szczególną podejrzliwością traktowane są przez cenzurę. Ta poezja ekspozuje zagrożenie języka, w którym jesteśmy zanurzeni, który nas zniewala, zacierając sensy i znaczenia /"szczęście jednostki" - "szczęście w jedności"/, znieczula nasze poczucie krytycyzmu. Spostrzeżenie tego zagrożenia pozwala w owych "przejrzyczeniach" /"Kraj Rad - "Raj Krat"/, "odwróceniach sensu", w owej grze językowej ukazać rozpad świata wartości humanistycznych, ukazać wyptukanie rzeczywistych znaczeń takich pojęć jak "prawda", "demokracja", "sprawiedliwość", "wolność", pojęć w języku oficjalnym niejednokrotnie całkowicie przelnaczonej: "słuszna prawda", "prawdziwa wolność", "sprawiedliwość klasowa", "demokracja socjalistyczna". Te łgarzki słów są grą o bycie albo nie być świadomości niezafatyzowanej oszukańczą grą pozorów, pozwalają uruchomić wyobraźnię, stworzyć dystans wobec języka, który nas codziennie atakuje swymi gładkimi formułkami maskującymi rzeczywistość, w której przyszło nam żyć.

Oczywiście - poemat nie formułuje i formułować nie może żadnego rozwiązania: "Nóż kraje, ponlewa dwie skośne płaszczyzny stykają się ze sobą i łaczą w ostrze. Z poezją ma się sprawa troszeczkę inaczej: przy zastosowaniu podobnej zasady musimy jej zarazem zaprzeczyć; siatka znaków w poemacie oraz siatka jego napięć nachylają się - co prawda ku sobie, ale nie mogą się ze sobą zetknąć, co stwarza przy niedokonanej/ niewykonanej, niewykonanej/ tendencji do zetknięcia się nowe napięcia, które daje dziełu skuteczność estetyczną. Niemożność doprowadzenia rozgrywki do końca jest źródłem zarówno tragizmu, jak i komizmu: podstawowych kategorii estetycznych; a więc ostrością poematu jest niemożność wytworzenia ostrza. Czy jest to to samo,

co bezradność? Nie, to chyba nie to samo, co bezradność. To jest nunc stans poematu" 4/.

W "Sztucznym oddychaniu" owych zmierzających ku sobie napieć jest wiele: tragedia istnienia zmierza ku spleciu z autoironią, komizm gry językowej nakłada się na zgoła nie zabawny obraz rzeczywistości jaką opisuje, dystans poetyckiego opisu zderza się z bolesną bezpośredniością przeżycia. Wszystko to pobudza dynamikę odbioru: czytelnik z biernego obserwatora staje się aktywnym uczestnikiem tekstu, jego bohaterem. Zaczyna grać - tu zwłaszcza - podwójną rolę narratora i bohatera. Wiele, że różnica jest tylko różnica formalną, jednakże zdaje sobie sprawę z tego, iż poemat pisany w pierwszej osobie byłby artystycznym fałszem. Podwójna dwójność ról /czytelnik-bohater, narrator-bohater, czytelnik-narrator/, ich wymiennosc pozwala mu znaleźć dystans wobec samego siebie, pobudza prace wyobraźni, pozwala odnaleźć siebie.

Wewnętrzna dynamika tekstu wyzwala zarazem aktywność odbioru nakazuje formułowanie własnych sądów - w ten sposób odbiór poematu staje się dialogiem i sam tekst zatracca charakter monologu stając się wypowiedzią otwartą, wychyloną ku głosom zewnętrznym. To właśnie stanowi - obok mistrzostwa gry językowej - o artystycznej wartości "Sztucznego oddychania".

4.

Trudno mi pisać o tym tekście. Po pierwszym czytaniu i wielu dyskusjach z przyjaciółmi, na których tekst ten zrobił kolosalne wrażenie, byłem przekonany, iż pozostawia on czytelnika bez złudzeń, że odbiera mu wiara i nadzieję. Pozostawiający człowieka bez egzystencjonalnych oraz metafizycznych wartości, pozbawiający go wszelkich szans poemat ten zdawał się - nie tylko zresztą mnie - kamieniem przywiązany do stóp tonacego. Tak jednak przecież nie jest: właśnie mój sprzeciw wobec tej lektury stał się punktem wyjścia do ponownego odczytania. Dzisiaj, po kilku próbach pokonania oporu tekstu - z których tylko częściowo zdałem sprawę w tym szkicu - myślę, że "Sztuczne oddychanie" można i należy odczytywać jako apel nawołujący do skonstruowania własnego systemu wartości, systemu, który by pozwolił sprzeciwić się zniewalaniu świadomości. Jest apelem o zachowanie, a może już nawet odzyskanie ludzkiej godności.

Jedyne, co człowiek rzeczywiście może dać światu, to on sam - bez względu na to, ilu przy tym będzie świadków: sam jest świadkiem swojego życia i musi mu nadać rzeczywistą wartość. Pierwszym krokiem winno być odrzucenie jakże dzisiaj pociągającej pokusy zaparcia się siebie. Inaczej myśląc powtarzać będziemy w nieskończoność pytania bohatera poematu Barańczaka:

czy zawsze można mieć aż takia szczęście, aby
jakis sąd ostateczny zadał nam pytanie,
na które można odpowiedzieć tylko "tak" lub "nie"?
Dlaczego ten sąd, który co dzień się odbywa,
nigdy nie ostateczny, pośpieszny, znużony,
nie słucha nawet dobrze moich odpowiedzi,
ziewa i pokasztuje, gdy ja - jakim swoje
"chwała", "może", "tak, ale...", "raczej nie"? Dlaczego
nawet mnie nie przynagla, gdy w końcu już milknę,
bojąc się rzec cokolwiek? I czemu
tak pospolity jest ten proces, że
nawet ciekawsza publiczność wychodzi
albo zasypia - i nikt nie doceni,
nie zapamięta nikt mojej odmowy,
mojego "nie"? To nie tragiczna scena,
to duszna sala gdzie drzewia sędziowie
i złote pytki drżą w promieniu słońca,
co z rzadka zajrzy przez niemyte szyby.

Zaś czekając na chwilę decyzji - zawsze wciąż jeszcze nie tą chwilę - możemy się ocknać uświadamiając sobie nagle, jak bohater wiersza Krzysztofa Karaska, iż żyjemy życiem pozornym:

Udaje, że żyję. Wiem, że to oszustwo,
oszustwo tego oszustwa,
że żyję. Umarłem już dawno,

-
- 1/ Wiktor Woroszyński: "Państwa faszystowskie" /w:/ "Wybór wierszy", Czytelnik, Warszawa 1974, s. 122-3.
 - 2/ Antoni Kepiński: "Lęk", PZWL, Warszawa 1977, s. 243.
 - 3/ Czesław Miłosz: "Zniewolony umysł", Instytut Literacki, Paryż 1953, s. 223.
 - 4/ Witold Wirpsza: "Gra znaczeń", PIW, Warszawa 1965, s. 256.
 - 5/ Krzysztof Karaszk: "Rewolucjonista przy kłosku z piwem" /w:/ "Drozd i inne wiersze", Iskry, Warszawa 1972, s. 35.
-

Leszek Szeruga

W całościowej recenzji z Ewolucji czy Rewolucji musiałoby się ^{mieścić} znaleźć dla szkicowego, ale świetnego rozdziału I o historii, o początkach i pochodzeniu systemu. Trzeba by też uwzględnić ogólne rozważania o ustroju, własności, państwie i jego wewnętrznym uorganizowaniu /rozdział II/. W tej części Tarniewski wiele wysiłku wkłada w "wyczyszczenie" i zaprezentowanie podstawowych pojęć używanych później w opisach i analizach. Podstawowa i najlepsza - moim zdaniem - część tej książki, to rozdziały od III do V. Szkicuje w nich Autor sposób uorganizowania społeczeństwa, zasady i reguły obowiązującego tu ładu społecznego, charakteryzuje rządzących i rządzonych, próbuje diagnozy świadomości społecznej. Stosunkowo najmniej jest tutaj nużących czasem precyzacji i ustaleń pojęciowych, a stosunkowo najwięcej udanych prób "tapania systemu na gorących uczynkach". Książkę kończą rozważania o przemianach: dziedzicach i kierunkach przemian, ich "motorach i hamulcach", dla których układami odniesienia są procesy demokratyzacji, liberalizacji, pluralizacji i - dalej - wymiar racjonalności systemu. Tarniewski pokazuje potencjalne możliwości organizacji społecznej i zrealizowane już postaci systemów tzw. demokracji ludowych.

1. Odnowa języka

Tarniewski wprowadza szereg pojęć, które prawdopodobnie przestały funkcjonować w polszczyźnie młodego inteligenta polskiego. Takie restytuowanie pojęć wymaga wysiłku od czytelnika, ale trud ten ontaca się. Jego sensowność i jego wagę trudno przecenić. Po pierwsze, jest to trud demaskowania i niszczenia pojęciowych oraz językowych krektw, czyszczenia zarówno pojęć jak i skądni, a więc języka, którym i w którym wyniadamy się. Po drugie - jest to trud wyposażania nas w znaczenia pierwotne. Tarniewski wyprowadza nas poza utarte, bezmyślne i automatycznie działające przyzwyczajenia językowe. Wolność nie musi oznaczać "uświadomionej konieczności". Po intensywnym używaniu i nadużywaniu tego przeciwstawienia pojęcie wolności obecnie w świadomości potocznej jest zszarżate i nic nie znaczące. Natomiast przeciwstawione przymusowi uzyskuje trafność, potrafi coś ukazać, odeśtać do czegoś, co funkcjonujące w oficjalnej publicystyce przeciwstawienie "wolność-konieczność" starannie maskuje. Instytucje demokratyczne - by dać inny przykład - są niemal zupełnie zapoznane. Na marginesach naszej świadomości snują się zbitki pojęciowe o "centralizmie demokratycznym", który jest proletariacki i jedynie słuszny, podczas gdy wszelka inna demokracja służy interesom burżuazji. A demokracja po prostu - na czym polega? Elementarne sensy stanowione przez Tarniewskiego mają w sytuacji zawłaszczania języka przez propagandę siłę rewelacji, wywołują efekt "otóż to". Takim elementarnym sensem demokracji jest wpływ ogółu obywateli i ich kontrola nad nią, z jednej strony, a z drugiej - kierowanie się przez rządy zdaniem większości. Demokracja to liczne, wypracowane w zbiorowym doświadczeniu instytucje mające ten wpływ, tę kontrolę i to liczenie się ułatwiać i zabezpieczać. Ich funkcjonowanie tworzy pewien typ kultury politycznej i świadomości społecznej; kształci człowieka nie rezygnującego z własnych praw, przedstawiającego swoje - szeroko rozumiane - interesy, uczestniczącego w życiu publicznym.

Nie chodzi mi tu o przedstawienie po kolei pojęciowych i językowych analiz Tarniewskiego. Ale książka ta jasno pokazuje erozję naszego języka i jego zużycie przez język propagandy. Kto jeszcze spontanicznie, bez ana-

1/ Marek Tarniewski: "Ewolucja czy rewolucja", Instytut Literacki, Paryż 1975, ss. 275. Biblioteka Kultury t. 254.

Książka ta przed jej wydrukowaniem była znana w kraju pod tytułem: "Nowy ustrój i ewolucja".

litycznego wysiłku rozróżnia upaństwowienie od uspołecznienia? Czyż nie uwierzyliśmy, że państwo daje nam pracę i zarobki? I jeszcze do nas dokłada? A prawo, czy umiemy je jeszcze wnikliwie czytać i rozumieć? Lektura książki Tarniewskiego, to w pewnym sensie ratowanie naszego języka.

II. Wątek marksistowski

Chciałbym tu poczynić także uwagi o "marksistowskim wątku" książki Tarniewskiego, który ze względu na właściwą treść książki ma charakter poniekąd marginesowy. Trzeba by tu wyróżnić marksizm jaki znamy w Polsce z podręczników materializmu historycznego i dialektycznego, ze szkoły, z wykładów tzw. filozofii marksistowskiej, wreszcie marksizm upowszechniany natrętnie przez wszelkiego rodzaju oficjalną propagandę, marksizm prostych haseł, zawołań typu "byt określa świadomość", praw koniecznych zgodności i dialektycznych sprzeczności z przechodzeniem ilości w jakości itd. itp. Kto tego nie przerabiał? Kto nie nabrał do tych haseł dystansu i niechęci?

Ale też czasem bywa, że przez marksizm rozumie się zespół poglądów na sprawy społeczne zawarty w oryginalnych pismach Marksa (nie w streszczeniach omówieniach, cytatach/ oraz jego wybitnych interpretatorów i kontynuatorów / np. Gramsci, Lukács, Goldman, Althusser, by wymienić tylko niektórych/. Tak rozumiany marksizm jest głównie przedmiotem studiów, krytyk naukowych, rozmaitych ocen w krajach, gdzie myśl nie jest poddana ciśnieniu i ograniczeniom narzuconym przez aparat państwowy. Tak rozumianym marksizmem zajmują się w Polsce nieliczni.

Społecznie funkcjonujące wyobrażenia o marksizmie i emocjonalne nań reakcje związane są z pierwszym wyróżnionym tu typem. Zwłaszcza w kręgach młodej inteligencji liberalnej istnieje już tradycja ironizowania i szydzenia z tak rozumianego marksizmu, a nawet jego twórczego rozwijania/ ilość nie przechodzi w jakość tylko w bylejakąść itp./. Tarniewski takiemu przedstawieniu wychodził jakby naprzeciw i utrwala je. Marksizm w drugim wymienionym tu rozumieniu zdaje się go po prostu nie interesować i nie zajmuje się nim. To czego mi brak w tej książce, to wyraźnego stwierdzenia tego właśnie. Rozwiedka łatwo jest poddać krytyce wypaczone i zdegenerowane formy myślenia. Tylko, że jest to dopiero pierwszy krok, to jakby oczyszczenie przedpola. Jednak ten pierwszy krok zbyt często jest zarazem ostatnim, po którym nic nie następuje.

Niedawnym przykładem wyjścia poza rozpowszechnione stereotypowe reakcje wobec filozofii marksistowskiej może być pierwszy tom Głównych nurtów marksizmu L. Kołakowskiego. Ryby dobrze, gdyby opozycyjne dyskusje nad marksizmem przyjmowały w punkcie wyjścia poziom narzucony przez L. Kołakowskiego. Postępujmy niezamierzonym prawdopodobnie przez obu Autorów dialogu:

M. Tarniewski: "Jak pisał Karol Marks, "żarna dają nam społeczeństwo panów feudalnych, młyn parowy - społeczeństwo kapitalistów przemysłowych"/ "Nedza filozofii"/. Ponieważ Marks mało zajmował się przyszłością, więc nie zastanawiał się nad tym, jaka maszyna "daje nam" społeczeństwo socjalistów i komunistów". /s.43/.

L. Kołakowski: "Kiedy Marks powiada/ w Nedzy filozofii/ żarna "dają" nam społeczeństwo feudalne, a młyn parowy - społeczeństwo kapitalistyczne, to jasne jest, że formuł takich nie można rozumieć dosłownie; żarna bowiem "dają" jedynie mąkę, podobnie zresztą jak młyn parowy i żarna mogą współistnieć w jednym społeczeństwie, które samo może mieć bądź cechy raczej feudalne, bądź raczej kapitalistyczne", - i parę zdań dalej poświeconych analogicznym sformułowaniom Engelsa: "Byłoby jednak krytyką typu policyjnego szukanie w takich formułach właściwego sensu doktryny". /s.370/.

III. Świadomość społeczna

Warta osobnej uwagi wydaje mi się diagnoza świadomości społecznej i "mapa" ideologii pomieszczona w rozdziale V. Warta oonieważ stan świadomości społecznej jest niezwykle ważny, a bywał niekiedy wręcz decydujący dla działania ludzi w społeczeństwie i funkcjonowania społeczeństwa. Tarniewski swoimi rozważaniami zapełnia dotkliwą lukę w naszych wyobrażeniach na ten

temat i jest to bezdyskusyjna, niczym niepodważalna zastęga.

Tarniewski kreśli przekonująco obraz społeczeństwa w stanie powolnego rozpadu: rwą się więzi między ludźmi i więzy ogólnospołeczne, zanika poczucie wspólnoty i solidarność z innymi. Izolacja, obojętność, pomieszana z lękiem wrogość, organizowane przez nowy ustrój zanomnieni tradycji, to są /były na początku lat 70-tych/ zjawiska w świadomości potocznej dominujące i postawy najczęstsze. Taka świadomość jest zapleczem dla ideologii, zanikiem a ideologicznym.

Istniejące w Polsce Ideologie Tarniewski próbuje - za Amalikiem - przedstawić i scharakteryzować na schemacie koła. Próbuje, co więcej, określić je jako modyfikacje Ideologii wyróżnionych i opisanych przez Amalika, jako ich polskie odmiany /czasem skarłate, czasem - przeciwnie - zdrowsze i mocniejsze niż ich rosyjskie odpowiedniki/. Pierwszy zabieg nie może budzić wątpliwości: Amalik, a za nim Tarniewski swoimi analizami przekonuje, że jednowymiarowe schematy Ideologicznych zróżnicowań są daleko niewystarczające. Istniejących Ideologii nie da się uporządkować wzdłuż jednej prostej ze względu na malejącą intensywność jednej cechy i rosnącą drugiej, ze względu np. na "prawicowość-lewicowość". Różnią się one bowiem ze względu na więcej niż jedną cechę. Zatem ze względu na niektóre właściwości dwie Ideologie mogą być do siebie podobne, a ze względu na inne - przeciwstawne. Wreszcie, niektóre wymiary Ideologicznych zróżnicowań mogą hipotetycznie rozważanych tu Ideologii nie dotyczyć. Co więcej, jednowymiarowe schematy typu: Ideologie lewicowe - prawicowe, miękkie - twarde, otwarte - zamknięte, nie nakładają się na siebie, ale krzyżują się i zaciebiają. Nie jest tak, że Ideologie lewicowe, są zarazem miękkie, otwarte itd., ale jest tak, że istnieją i miękkie i twarde Ideologie lewicowe.

W schemacie Amalika cały środek koła zajmują Ideologia konformistyczno-reformistyczna. Jest ona centralna w tym sensie, że styka się ze wszystkimi pozostałymi Ideologiami, które Amalik rozmieścił dookoła niej, na jej obrzeżach. Jest ona również centralna w tym sensie, że jest potoczna i słowsunkowo masowo spotykana. Pozostałe są wytworzone i wyznawane przez grunki intelektualistów /zatem przez grupy w pewnym sensie marginalne/ i skrajne/. Wymienię je dla porządku: są to oficjalny marksizm-leninizm, który sąsiaduje z oficjalnym nacjonalizmem, a ten z neostowianofilstwem; neostowianofilstwo graniczy z Ideologią chrześcijańską, z kolei ona sąsiaduje z Ideologią liberalną; Ideologia liberalna sąsiaduje z "prawdziwym marksizmem-leninizmem", który graniczy z oficjalnym marksizmem-leninizmem. Taka mapa Ideologii można z kolei charakteryzować ze względu na tradycyjne wymiary Ideologiczne, analizować wzajemne związki tych Ideologii, bliskości i pokrewieństwa, oddalenia i różnice.

Trzeba przyznać, że wypada to bardzo zgrabnie. Ale czy jest to trafny opis rosyjskiego życia Ideologicznego?

Wątpliwości te zyskują na sile, gdy od "koła Amalika" przechodzimy do "koła Tarniewskiego". Spróbujmy przekonać się, czy schemat Amalika jest w ogóle dla warunków polskich do utrzymania. Zacząć by trzeba od Ideologii oficjalnych - od marksizmu-leninizmu i nacjonalizmu. Ponieważ kształt Ideologii oficjalnych decyduje się na zewnątrz, a w każdym razie z zewnątrz jest kontrolowany i regulowany, dlatego też są one w Polsce racjonalne i ułomne. Dalej: zamiast "prawdziwego marksizmu-leninizmu" Tarniewski dostrzeżę w Polsce całe spectrum: od stalinizmu poczynając poprzez tendencje lewicowe do różnych postaci socjalizmu. Najbliższy Ideologii liberalnej /której istnienia Tarniewski nie zaznacza w Polsce/ jest tzw. socjalizm żoliborski, sformułowany przez Intelligencję i głównie przez nią reprezentowany. Liberalizm na mapie Amalika sąsiadował z Ideologią chrześcijańską. Tarniewski pisze o chrześcijaństwie po prostu. Zauważa jednocześnie, że wiara nie przesądza o wyborze Ideologii: mamy przecież wśród katolików i Właz i Pax, mamy też apolityczną większość, o której Tarniewski pisze, że wybiera postawę konformistyczno-reformistyczną. Między Ideologią chrześcijańską a oficjalnym nacjonalizmem Amalik umieszcza neostowianofilstwo, Tarniewski zaś wartości narodowe, które - gdy przybierają postać nieswoilenistyczną i raczej nieoficjalną - stają się dla Tarniewskiego po prostu patriotyzmem. Ale, zastrzega Autor, patriotyzmy bywały i bywają różne. Różnie realistyczne, dążące do stworzenia podstaw narodowej egzystencji i

bardziej romantyczne, rozbudzające sumienia. Co więcej, patriotyzm jest nie tylko wewnętrznie zróżnicowany, ale nie może być uważany za przeciwstawny ideologii socjalistycznej /jak na wykresie Amalrika stowianofilstwo było przeciwstawne wobec "prawdziwego marksizmu-leninizmu"/, która na ogół nie była obojętna na sprawy i wartości narodowe. Żeby analogia z "kołem Amalrika" była pełna, wartości narodowe musiałyby saskadować z oficjalnym nacjonalizmem - koło zamknęłoby się. Jego środek zajmowałaby oczywiście ideologia konformistyczno-reformistyczna ozdobiona tradycją pracy organicznej, jakimś patriotyzmem, jakąś religijnością, czasem akcentująca postulat rewindykacji krzywd, obecny i w innych ideologiach /np. w ideologii socjalistycznej/.

Z tego przydługiego może streszczenia wynika dość przekonująco, że Amalrikowski schemat dostosowany do polskich warunków przez Tarniewskiego traci swoją wyrazistość i elegancję. Sprzeciw może budzić dokonany przez Autora wybór poszczególnych ideologii oraz ich rozmieszczenie. Czy w naszej ideologicznej rzeczywistości istnieje coś takiego jak maolizm? A mijałowska odmiana stalinizmu? A jeśli nawet, to dlaczego została ona umieszczona między oficjalnym marksizmem-leninizmem a "resztą" ideologii lewicowych i socjalistycznych, gdy pod pewnymi względami doktryna oficjalna jest bliższa owej "reszcie" niż doktryna mijałowców. A czy Pax umieszczony przez Tarniewskiego w "segnencie" chrześcijańskim sąsiadującym z liberalizmem jest z tym liberalizmem jakkolwiek spokrewniony? Ktoś jakby nie chciał się uformować i zamknąć.

Nie chodzi tylko o nieadekwatność schematu. Mapa Amalrika jest być może mapą ideologii. Mapa Tarniewskiego jest mapą wartości obecnych i żywych w świadomości społeczeństwa polskiego. Ale wartości, choćby dla danej grupy społecznej najdonioślejsze, choćby nawet motywujące do działania na ich rzecz nie są jeszcze ideologiami. Wokół tych wartości można zbudować drastycznie różne ideologie. Za przykład niech posłużą wspomniane już ugrupowania katolickie Pax i Właz.

Co zatem jest ideologia? Nie ma sensu wdawać się tu w precyzyjne definicje. Mówiąc swobodnie byłaby to wizja czy koncepcja świata społecznego, która:

- po pierwsze, porządkuje doświadczenia członków określonej grupy społecznej, dostarcza ogólniejszych ram i kategorii, w których członkowie tej grupy interpretują i rozumieją swoje doświadczenie.

- po drugie, wskazuje cele /a często i środki prowadzące do nich/, które na gruncie owej wizji uzasadniają się i usensowniają, i które z kolei uzasadniają i usensowniają społeczne działania członków tej grupy.

Uwzględnionym przez Tarniewskiego ideologiom cechą ideologiczności rozumianej jak wyżej /związek z doświadczeniami określonej grupy społecznej i formułowanie celów/ przysługuje w różnym stopniu: w przypadku wartości narodowych czy chrześcijańskich w minimalnym. Nic też dziwnego, że tak anemicznie wypadają opisywane ideologiczne zróżnicowania grupowe, np. chłopci okazują się przywiązani do katolicyzmu, wartości narodowych, i wrażliwi na nadużycia wolności w dziedzinie gospodarczej.

Można by Autora bronić: być może to rzeczywistość ideologiczna jest anemiczna, nie zaś jego charakterystyki. Na rzeczywistość - zgoda, jest anemiczna i bez życia. Ale ta sfera rzeczywistości, o którą mu chodzi, sfera przekonań i ideologii, jest szczególnie wrażliwa na zmiany warunków zewnętrznych. Gdyby uległy one zmianie, gdyby stała się możliwa artykulacja interesów i przekonań oraz krystalizacja światopoglądów i ideologii - jaka wtedy okazałaby się rzeczywistość? Czy ktoś Tarniewskiego pomaga nam w myśleniu o ideologiach? Czy pomógłby nam ono w myśleniu o ideologiach możliwych, takich, które pod pewnymi warunkami miałyby szanse w społeczeństwie polskim zaistnieć? Nie sądzę, a to dlatego, że nie jest ono w istocie mapą ideologii, lecz mapą wartości.

Pomoc pogłębimy tylko analiza ideologii okresu międzywojennego połączone z analizą przekształceń społecznych i stopnia zniszczenia pewnych ideologii. Dałaby nam one wyobrażenie o tym, czy i które z ideologii okresu międzywojennego mają szansę przetrwania i z jakimi modyfikacjami. Trzeba by też zastanowić się, jak interferują rozmaite treści szeroko rozumianej tradycji polskiej /obyczajów społecznych, mentalności, kultury politycznej/ z

treściami, które niesie ze sobą nowy ustrój.

Taką analizę trzeba by uzupełnić analizą grup społecznych, powstających i funkcjonujących w warunkach nowego ustroju. Czy mimo wszeobecnego przeszkód w artykulacji nie wytworzyły one nowych ideologii wyrażających ich doświadczenia, interesy i cele? Jaki może być ich zasięg, jaka trwałość? Ale wszystko to są problemy wykraczające daleko poza omawianą książkę.

IV. Pojęcia a rzeczywistość "nowego ustroju".

Na zakończenie warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden problem. Autor *Ewolucji, czy rewolucji* mówi wyraźnie, że za swoje zadanie uważał opis nowego ustroju, stwierdzenie, precyzyjne na tyle, na ile jest to w ogóle możliwe, jak się rzeczy mają. Również wtedy, gdy mówi o funkcjonowaniu monopartyjnego ustroju etatystycznego, czy też o zmianach, którym on ulegał, czyni to w formie opisu, świadomie wystrzegając się formułowania "praw", "tendencji" itp. Pisz: "W tej pracy zajmowaliśmy się diagnozą, dość szeroko zresztą rozumianą, bo obejmującą zmiany, a więc sięgającą także w przeszłość" /str. 269/. Gdy zdarza mu się analizować cudze sformułowania pretendujące do miana teoretycznych uogólnień, dąży do pokazania ich fikcyjności /co mu się zazwyczaj udaje/. Tzw. "problematyka teoretyczna", t.j. próby budowania i zestawiania praw i uogólnień, odnotowana jest jedynie w dwóch krótkich paragrafach /Różne punkty widzenia, s. 142; Trudności teoretyczne, s. 232/.

Osobiście odczuwam brak refleksji teoretycznej nad zagadnieniami nowego ustroju w ogóle i w tej książce. Przypadłyby się oddzielny rozdział choćby rekapitulacji istniejących już prób teoretycznego uogólnienia do zagadnień nowego ustroju. Wspomnę tu choćby próby W. Rieńkowskiego, czy wydane po 1972 roku/ kiedy to Tarniewski napisał swoją książkę/ książki M. Hirszwilca, W. Narojka, W. Arusa.

Opisowość książki Tarniewskiego jest specyficznego rodzaju. Otóż jest to, by tak rzec, opisowość analityczno-informacyjna. Obiektywny opis winien mieć za swoją podstawę słatkę pojęć jasno określonych i używanych konsekwentnie w ustalonym sensie w toku całego wywodu. Ten warunek zrealizował autor w sposób doprowadzony do perfekcji. Dobrze zdaję sprawę z matrycy podstawowych pojęć tytuły poszczególnych paragrafów: państwo, własność, centralizm, elita, a klasa, stanowienie praw i stosowanie prawa, tytuł do władzy, konflikt, demokracja, wolność, różnorodność itd. Zestaw podstawowych pojęć jest uniwersalny, równie dobrze można by ich użyć do opisu liberalnych demokracji zachodnich. Dopiero wewnątrz każdego rozdziału pojawiają się informacje, które dostarczają differentia specyfika nowego ustroju: wszędzie istnieje elita, tylko w nowym ustroju mechanizmy selekcji są mniej doskonałe; każda władza rozporządza jakimś tytułem do władzy, tylko tytuł władzy w naszym kraju w większej mierze opiera się na przemocy i nadużyciu; każda produkcja ma cel, tylko cel ten w monopartyjnym ustroju etatystycznym jest i musi być mniej racjonalny niż w liberalnych demokracjach itd. itp. Kryje się za tym przeświadczenie, że nowy ustrój/ ustrój szeroko pojmowany/ może być analizowany w kategoriach wypracowanych w ramach kultury zachodnioeuropejskiej. Cały aparat pojęciowy wywodzi się z tej tradycji. Zresztą Tarniewski, choć pośrednio, stwierdza to wyraźnie: "Socjalizm nie jest ustrojem, który byłby specyficzny pod każdym względem". /s. 82/.

Jednak sposób wyodrębnienia jednostek analizy i zasób podstawowych pojęć przesądza o czymś. A mianowicie: prawo, wolność, partia, ideologia, legitymizacja władzy itp. ukazują się jako zdegenerowane postaci swych istniejących gdzieś indziej "normalnych" odpowiedników. Stąd pojęcia zaprojektowane jako tylko sprawozdawcze nie są czysto opisowe, ponieważ zawsze są uzupełniane o skale oceniające wplecione w narrację. Weźmy przykład partii: przecież w nowym ustroju nie jest to partia "normalna" znana z liberalnych demokracji, ale jest to partia "nowego typu" z centralizmem demokratycznym i monolitycznością. Poza tym, ponieważ jest partią jedną i rządzącą, to

nabiera nowych cech, których "partia" modelowa nie posiada. W toku narracji wychodzi na jaw oś wartościująca, a konkluzja mogłoby być stwierdzenie: partia nie jest właściwie "partią". Takie "opisowe demaskowanie" nie jest w moim przekonaniu efektywne. Potrzebne są nowe pojęcia, nowy język, aby ujawnił się w nim właściwy sens detonowanych zjawisk. W przypadku partii takim nowym pojęciem mającym wręcz walory odkrycia jest pojęcie umowy o partyjność /świetny paragraf na s.163-165/, które nie daje się przenieść na grunt zachodnich liberalnych demokracji /bo nie znajduje tam odpowiednika w rzeczywistości społecznej/. Takich nowych pojęć chwytających specyficzne, jakościowo nowe zjawiska jest - moim zdaniem - za mało. Umowa o Partyjność jest jednym z nielicznych wyjątków.

Powraca tu problem specyficzności socjalizmu. To, że socjalizm nie jest ustrojem specyficznym pod każdym względem, jest bezdyskusyjne. Jednak nie wydaje mi się, by jedna skala pojęć i ocena, choćby skala nawet o bardzo wielu stopniach, udało się ogarnąć zjawiska ustrojowe Europy Zachodniej i Wschodniej. Nowy ustroj wytworzył zjawiska jakościowo nowe, które domagają się właściwej im pojęciowości. Opisywanie tych zjawisk jako swego rodzaju odstępstwa od modelu zastania je raczej niż odkrywa przed nami. Mimo opisu zostawia nas bezradnymi, bo tylko - by tak rzec - "prawdziwe" pojęcie ma moc operacyjną w stosunku do rzeczywistości. Odkrycie takich pojęć właściwych nowemu ustrojowi jest pierwszym krokiem umożliwiającym niezgodę na tę rzeczywistość w skali społecznej, taką niezgodę, która ma konsekwencje, daje się bowiem przełożyć na język postaw i zachowań. Nowy język ma poza tym znaczenie terapeutyczne: to, że jesteśmy jakoś tam podobni do Zachodu to przynajmniej w części złuda. Odrzucenie tej złudy pomaga znaleźć się wobec rzeczywistości nowego ustroju.

Jest kwestią dyskusyjną, jaki zakres przypada w nowym ustroju na zjawiska jakościowo nowe. A jeszcze czym innym jest pytanie o stopień, w jakim, w sprzyjających warunkach, po kolejnym ruchu historii, będziemy mogli sprostać zachodniej pojęciowości ustrojowej i implikowanym przez nią standardom. I w jakim stopniu tego właśnie będziemy chcieli.

WALKA, PONIEWIERKA I GORYCZ

W nr 41 wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu "Zeszytów Historycznych" ukazał się obszerny, niemal 200 stron liczący tekst wspomnień Kazimierza Pużaka. Obejmuje on dramatyczny okres ponad sześciu lat, od 31 VIII 1939 r. do 8 XI 1945 r. Tekst ma pewne luki i zniekształcenia, trudno zaś powiedzieć, czy wynikały one już z pośpiechu w spisywaniu wspomnień, czy też z trudności w odczytywaniu zniszczonego wobec obawy represji rękopisu. Historykom przybyło jednak ważne źródło, o którego istnieniu od dawna było zresztą wiadomo.

Kazimierz Pużak należał do tych, którym dane było przeżyć w szczególności skrajnej formie losy Polaków XX wieku. Urodzony w 1883 r., już podczas rewolucji 1905 r. znalazł się wśród wybitnych młodych działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej. Po rozłamie w tej partii działał w PPS-Frakcji Rewolucyjnej, a po aresztowaniu w 1911 r. skazany został na 8 lat więzienia w twierdzy Schlösserburga i dożywotnie zesłanie. Bramy więzienne otworzyły się przed nim w 1917 r., po rewolucji lutowej w Rosji. Był jednym z kierowników organizacji PPS w Rosji przez lata 1917-1918. Z bolszewikami nie zgadzał się wówczas, jak i zawsze później, ale jako polski przywódca socjalistyczny utrzymywał z nimi kontakty, spotykał się z Trockim, prawdopodobnie także z Leninem.

W II Rzeczypospolitej Pużak był przez wszystkie lata jednym z liderów Polskiej Partii Socjalistycznej. Wewnątrz partii klasyfikowano go różnie, naprzód bliżej lewicy kierownictwa, potem w centrum, wreszcie w drugiej połowie lat trzydziestych raczej na prawicy. Od 1921 r. sprawował kierownictwo całego aparatu organizacyjnego partii, jako jej sekretarz generalny. Swą pozycję zawdzięczał dużej sprawności działania, oskarżano go nie raz o bezwzględność i biurokracizm, napewno też nie należał do częstych wśród socjalistów głośkich taktów poszukujących kompromisu między różnymi frakcjami partyjnymi. Należał do tych, którzy głęboko byli przekonani o swych racjach. Niewątpliwie pomagała mu przyjaźń polityczna z o wiele bardziej elastycznym Zygmuntem Zarembą. Obaj wśród dążeń PPS na pierwszym miejscu stawiali walkę o niepodległość, a później obronę tej niepodległości, potem sprawę demokracji, wreszcie sprawę dążeń społecznych, mających w przyszłości torować drogę do demokratycznych przeobrażeń specjalistycznych.

Kazimierz Pużak należał do kierowniczego grona Polski Podziemnej w latach okupacji hitlerowskiej. Jeszcze podczas obrony Warszawy w 1939 r. wraz z Zarembą i Niedziałkowskim koordynował działalność PPS, po przejściu do konspiracji na początku 1940 r. był jednym z inicjatorów powstania WRN - Wolności, Równości, Niepodległości. Wraz z Zarembą i Arciszewskim stał na jej czele. Był przedstawicielem socjalistów w Politycznym Komitecie Porozumiewawczym, reprezentującym głównie partię podziemną, a później w jego kontynuacji - Krajowej Reprezentacji Politycznej. Kiedy miejsce tych instytucji zajął prowizoryczny parlament podziemny - Rada Jedności Narodowej - Pużaka wybrano na jej przewodniczącego. W tym charakterze działał on także podczas Powstania Warszawskiego.

W marcu 1945 r., już po wypędzeniu Niemców z ziem polskich, z przedstawicielami podziemnego państwa nawiązali kontakt oficerowie radzieccy, rzekomo reprezentanci organów wojskowych. Były to owe słynne pertraktacje, które prowadziły miały do ujawnienia się i podjęcia rozmów politycznych na podstawie porozumień jałtańskich między wielkimi mocarstwami. W trakcie tych pertraktacji, jak wiadomo, aresztowani zostali podstępnie ostatni dowódca Armii Krajowej gen. Kukliński, delegat rządu na kraj Jankowski i jego zastępcy oraz grono członków Rady Jedności Narodowej.

Przewiezieni do Moskwy przywódcy Polski Podziemnej poddani zostali wielotygodniowemu śledztwu, zaś w czerwcu 1945 r. odbył się haniebny proces szesnastu, w którym oskarżonym imputowano prowadzenie działalności dywersyjnej przeciw wojskom sowieckim, a nawet wręcz współpracę z hitlerows-

kinii Niemcami. Wyrok, jak na inscenizowany proces, w którym nie zważając na zaprzeczania oskarżonych, "udowodniono" im winę przy pomocy prowokatorów i załamanych represjami więźniów, były niewspółmiernie niskie. Jednak pięciu skazano na 5 do 10 lat, wśród nich Okulickiego, który zakończył później życie w więzieniu. Pozostali oskarżeni zostali skazani na niskie wyroki, trzech uniewinniono. Pużak otrzymał karę półtora roku więzienia.

Większość skazanych w ciągu 1945 r. po odbyciu kary lub w rezultacie indywidualnej amnestii przekazana została do Polski. Wśród nich znalazł się w listopadzie Pużak. W kraju Pużak brał nadal udział w nielegalnej działalności socjalistycznej. W 1948 r. został ponownie aresztowany i skazany w tzw. procesie WRN. Tegorocznego więzienia, kiedy miał już za sobą Schuselburg z czasów carskich i sowiecką tubiankę, nie przeżył. Zmarł w Rawiczu 3 kwietnia 1950 r. Grób Pużaka znajduje się na warszawskich Powązkach.

Wspomnienia Pużaka nie są łatwą lekturą. Zawierają jednak ogromny materiał informacyjny dotyczący funkcjonowania władz WRN i władz Polski Podziemnej. Zapisy są często skrótowe, nieraz dla zrozumienia wymagają znakomitej wiedzy o epoce. Szczególna wartość przypisać można obszernym fragmentom dotyczącym aresztowania w 1945 r., śledztwa w procesie szesnastu, atmosfery więzienia radzieckiego i samego procesu. Jest to jedno z najbardziej wstrząsających oskarżeń sowieckiej perfidii, a zarazem przyczynek do tragedii polskiego podziemia; kiedy dobiegała końca II wojna światowa, ci, którzy ponad pięć lat kierowali z niespotykaną ofiarnością i odwagą oporem społeczeństw przeciw hitlerowskiej okupacji, znaleźli się w więzieniu "sojusznika", prześladowani i szkalowani.

Kazimierz Pużak był człowiekiem o nieunietej postawie osobistej, a zarazem bezwzględny przeciwnikiem wszelkiego kompromisu z siłą, jaką w 1945 reprezentowały w Polsce Sowiety oraz odwołująca się do ich poparcia PPR. Pisał swe wspomnienia w 1946 r. i na początku 1947 r., pełen nienawiści i gorczy. To ogromny walor, autentyczność jego relacji. Ostrzegabym jednak przed bezkrytycznym przyjmowaniem jego ocen, dotyczących cudzych motywów działania i cudzej etyki. Charakterystyczna dla Pużaka bezkompromisowość w połączeniu z goryczą ostatnich już - jak się okazało - lat życia pozostała w wspomnieniach wyraźne ślady.

Na spojrzeniu Pużaka ciąży antagonizm z lat młodości, np. wrogość wobec endeków i ONR, ale nieporównanie silniej - wrogość nie tylko już do komunistów, lecz wszystkich, którzy w latach 1945-1946 szukali dla Polski wyjścia drogą kompromisu z PPR. Dotyczyło to wielu socjalistów, choćby w mienianych przez Pużaka - Żuławskiego, Zdanowskiego, Stańczyka, Kuryłowicza, Wachowicza, Kłuszyńskiego, Kryglera. Dotyczyło en bloc ludowców i Stronnictwa Pracy. Dotyczyło pogardliwie traktowanych przezeń "podstawników", niemal więc agentów komunistycznych - wielkich uczonych Adama Krzyżanowskiego i Stanisława Kutrzeby. Pużak wrogości swej nie krył, a na domiar nie szczędził określeń lub wręcz oskarżeń kwestionujących moralne oblicze owych przeciwników.

Wielu z nich całą swą późniejszą działalnością zaprzeczyło podejrzaniom Pużaka. Rzecz nie w tym zresztą, by dzielić tu racje polityczne, które skłaniały do wyboru różnych dróg ocalenia Polski przed sowietyzacją. Gorycz Pużaka w czasie, kiedy pisał swe wspomnienia, jest aż nadto zrozumiała. Podziwiając jego postawę osobistą, nie sposób jednak wyrzucić każdego, który decydował się działać inaczej, poza nawet chlubnych tradycji politycznych społeczeństwa polskiego.

Stanisław Warecki

ŚWIADECTWO MIMO WOLI

Przed kilku miesiącami ukazała się książka Natalii Rieszetowskiej "Sołżenicyn - realia i mistyfikacje" / tytuł oryginału rosyjskiego "W sporie so wremieniem" /. Przetoczył Szymon Marych, redagował Tadeusz Świrski, opracowanie graficzne Ryszarda Świątochowskiego. Na książkę tę, potraktowaną jako pewnego rodzaju normalny czy typowy produkt systemu, nie warto by zwracać uwagi. Jest ona jednak produktem wyjątkowym.

Na wstępie krótka informacja o autorce. Natalia Rieszetowska jest byłą żoną Aleksandra Sołżenicyna. Czytelnikom "Pierwszego Kręgu" może kojarzyć się z Nadią, żoną Nierżyna. Pamiętając postać Nadii, wiedząc jak wiele przeżyła za czasów stalinowskich, można wyrazić zdumienie, że nie załamata się wtedy, ale właśnie teraz, kiedy metody łapania ludzkich charakterów złagodniały. Należy jednak pamiętać, że chodzi o Aleksandra Sołżenicyna. Tylko dlatego Natalia Rieszetowska mogła znaleźć się w sytuacji ponad jej siły. Pamiętając o tym można wyrazić przypuszczenie, że to nie autorce, ale raczej sytuacji zawdzięczamy powstanie książki.

Czytelnik Rieszetowskiej łatwo przekona się, że zastosowano metodę znaną i zawsze stosowaną w kampaniach propagandowych: maksymalnego oczernienia przeciwnika, choć trzeba przyznać, że starano się oczerniać możliwie taktownie i dyskretnie. Niemal od pierwszej do ostatniej strony wyławiamy z tekstu informacje o złym charakterze i złych postępkach Aleksandra Isajewicza, jak pisze autorka /lub zdrobniła San/, przy czym ciężar zarzutów jest różny: od dziecka chorobliwie ambitny, męczący jako uczeń i przykry jako kolega /str.7/, aresztant składający donosy na swoich przyjaciół, nawet na żonę /str. 84-89/, antysemita /str.135/, leniwy włóczęga /str.136/, brygadzysta umiający się urządzać, sprytnie wykorzystujący swoje umiejętności /str.94 i 152/, człowiek pozbawiony przyjaciół, narzucający swoje zdanie otoczeniu /str.228/. I czytelnik łatwo nabiera nieufności do tych wszystkich rewelacji, wiedząc z doświadczenia, że jeśli przeciwnika miesza się z białym, a jednocześnie nie daje żadnej szansy przeprowadzenia publicznej obrony, to prawda ma z tym wszystkim mało wspólnego. Z punktu widzenia oczerniających, prawda jest zresztą nieistotna.

Można oczywiście mieć wątpliwości, co powie czytelnik niedostatecznie zorientowany, kim jest Aleksander Sołżenicyn? Czytelnik naiwny, skłonny każde drukowane słowo traktować serio? Może o takich czytelników chodziło? Nie wiadomo. Normalny czytelnik z łatwością dostrzeże i wyłowić z tekstu innego typu informacje. Te, które tworzą sylwetkę Aleksandra Sołżenicyna na pewno niezgodną z intencjami wydawców. Skazany na ośmioletni pobyt w łagrach, człowiek ten potrafił interesować się życiem poza obozem, uczyć, prowadzić notatki, myśleć o przyszłych książkach. Chory /z podejrzeniem nowotworu/, opuszczony przez żonę, po wyjściu z obozu skazany na przymusowe osiedlenie w obcym Kazachstanie - zachował postawę człowieka nieugiętego. Portret Autora "Pierwszego Kręgu" namalowany czarną farbą nie zastąpił autentycznej fotografii.

W tym miejscu doszliśmy do sprawy najważniejszej, jak sądzę, przy próbie oceny "W sporze so wremieniem". Myślę o mimowolnych, przypominających bityski światła w mrocznym wnętrzu, świadectwach prawdy o czasach stalinizmu i ludziach, którzy tworzyli tamtą epokę. Ta prawda, wbrew woli wydawców pojawia się na wielu stronach książki zadziwiając czytelnika. Oto opis

-
- 1/ Krajowa Agencja Wydawnicza, RSW "Prasa-Książka-Ruch", Warszawa 1977.
 - 2/ Zastępą Ryszarda Świątochowskiego jest ozdobienie okładki specjalnie dobranym, nie wzbudzającym sympatii czytelników zdjęciem Aleksandra Sołżenicyna.

losu pewnego małżeństwa: mąż skazany na dziesięć lat; w oczekiwaniu, jak pisze autorka "na prawdziwe życie z Andrejem", żona "zorganizowała sobie zastępcę z innym człowiekiem"/str.116/, "Robiła Jednak wszystko, aby ułatwić życie więźniowi. Wysyłała paczki/.../ Pisała listy: "Ciebie kocham najbardziej ze wszystkich na świecie. Gdy tylko zawołasz wszystko rzucę i przyjdę do Ciebie". Jednak dopóki człowiek znajduje się za kratą - nie można go zawołać, tym bardziej, że nie uzyskano nawet zgody na widzenie. Wciąż można pociągać tę jeszcze młodą, ładną, energiczną kobietę, że ulegając prawom natury szukała ukojenia w ramionach innego mężczyzny./.../ Kiedy natomist dowiedziała się, że jej mąż po odbyciu kary został zwolniony ze względu na zły stan zdrowia, to natychmiast pojechała i przywiozła ze sobą do Moskwy chorego, wynędzniałego człowieka, zmienionego nie do poznania, po prostu szkielet. A czy ta kobieta od początku jego pobytu w więzieniu i obozie nie rzuciłaby Moskwy i nie pojechała do Połny, gdyby pozwolono jej mieszkać tam razem z Andrejem? O jej odwadze, sprycie, a nawet bezczelności najlepiej świadczy fakt, kiedy po uzyskaniu wiadomości, że jej mąż znajduje się w Połnie, nie uzyskała zgody na widzenie, śmiało podeszła do pracujących więźniów, pokazała im fotografię Andrieja i dzięki wskazówkom więźniów, a nawet strażników doszła w końcu do miejsca, gdzie pracował jej mąż/.../ Innym razem ze swego domowego telefonu w Moskwie zamówiła rozmowę z Połną. Wymieniła odpowiedni numer telefonu podobozu, nazwisko rozmówcy... Widocznie był to wypadek bez precedensu, gdyż mąż zawołał do telefonu. "Andrej? Wiera, ty...?" Po jego zwolnieniu przeżył razem 16 lat.

Niewiele zdań, za to dużo informacji. Okazuje się, że można było zostać skazanym bez prawa widzenia się z rodziną /warto dodać, że z innego ustępu, na str.76, wiemy, że można było otrzymać wyrok z prawem lub bez prawa do korespondencji, z innego - na str. 146 - że listy mógł więźniowie wysyłać tylko dwa razy do roku/; zły stan zdrowia oznaczał "człowieka zmienionego nie do poznania, po prostu szkielet"; dążenie kobiety do zobaczenia skazanego męża można niekiedy nazwać zachowaniem bezczelnym, a wspomniany wypadek zamówienia z domowego telefonu rozmowy z obozem był wypadkiem bez precedensu.

Opisując kontakty z mężem-więźniem, Riegetowska pisze: "Nie mogę posyłać paczek od siebie. Riezań to nie Moskwa i na mojej uczelni natychmiast wszyscy by się o tym dowiedzieli./.../ Wszystkie troski i kłopoty z tym związane z poświęceniem bierze na siebie ciocia Nina, mieszkająca w Rostowie./.../ Sanią otrzymuje co miesiąc cukier, stoninę, suchary, tytoń, czasami nawet masło, kłobasę, cebulę i czosnek. W paczkach jest nie tylko żywność. Walonki, płacaki, wełniane skarpetki, rękawice, i wiele najróżniejszych drobiazgów: drewniana tyłka, pasta do zębów, Igły z niciami, gąbka, plastikowe naczynko, kałamarz z atramentem. Nadejście paczki za każdym razem było dla Sani wielkim świętem. Nie mógł pisać więcej niż dwa listy rocznie, ale zezwalano więźniom na pocztówki, potwierdzające odbiór przesyłki." /str. 145-146/.

Autorka na ogół unika ujemnej oceny przeszłości. Żle ocenia Sotżenicy-na, który nie potrafił szybko o przeszłości zapomnieć/str.225/. Powtarzające się opisy nienormalnych, niehumanitarnych warunków wydają się beznamietne, jakby - zdaniem autorki - tamten świat, tamte czasy, nie były niczym niezwykłym. I tylko czytelnikom pozostaje ocena i wnioski: żona musiała ukrywać przed otoczeniem fakt pobytu męża w obozie, paczki trzeba było wysyłać ukradkiem. O tym, czego więźniom brakowało, świadczy zawartość paczek. Nadejście każdej, to święto. Pisać można było dwa razy do roku, ale /przez wyjątkowego humanitaryzmu /: "zezwalano więźniom na pocztówki potwierdzające odbiór przesyłki".

Z krótkich wtrąconych zdań, z dygresji, dowiadujemy się o sprawach, o których głucho w oficjalnych publikacjach. Np. o narodowościach więźniów w łagrach: /Jego brzygada ma skład urozmaicony. Poza Rosjanami pracują w niej Ukraińcy, Łotysze, Estończycy, nawet Polak i Węgier." /str.152/. O pomocy amerykańskiej w czasie wojny: "Poza amerykańską grzałką mam jeszcze amerykańskie butki, wspaniałe, mama dostała je na talony." /str.56/. W innych miejscach świadectwa tragicomiczne, jak choćby opis zwolnienia z pracy z powodu nie zamkniętego łufelka/str.128/: "Następnego dnia zastępca Kotboziwa do spraw gospodarczych wytknął mi, że wychodząc z pracy nie zamknę-

Łam lufcik. Całkiem możliwe. Ale przecież nie wyszłam ostatnia. W gabinecie Koboziewa byli jeszcze ludzie. Mój pokój jest przejściowy i ten, który wychodził ostatni, powinien był zamknąć lufcik. W dodatku okno jest przecież zakratowane. Odpowiedziano mi, że wleczorem laboratorium kontrolowane było przez funkcjonariuszy tajnej kancelarii, którzy potraktowali to bardzo poważnie. Natychmiast poszłam do szefa tajnej kancelarii, który powiedział, że istotnie, wpłynął do niego odpowiedni raport. Wyjaśniłam mu całą sytuację. Wystuchał mnie w milczeniu. Uznałam, że dał się przekonać i uspokojona wróciłam do siebie./.../ A tu nagle 6 czerwca, nie wierząc własnym oczom, otrzymałam pismo, zwalnające mnie z pracy na Uniwersytecie Moskiewskim "za niedbały stosunek do pracy, wyrażający się w tym, że opuszczając laboratorium zostawiłam otwarte okno i drzwi."

Motyw humoru mimo woli pojawia się w książce często. Oto historia pewnego Węgra/str.152/: "Sania poczuła do Janosa dużą sympatię. Stopniowo poznała jego krótki życiorys, gdyż był to wówczas człowiek bardzo młody, niemal chłopiec, który pewnie dlatego szybko i dość dobrze nauczył się mówić po rosyjsku. Kiedy Rozsasowi odczytano wyrok w nieznanym mu wówczas języku, liczył sobie zaledwie osiemnaście lat. I chociaż Janos został na długo oderwany od swojej ojczyzny, nie było w nim nic z zapiekłej nienawiści. Zawsze uważał się po prostu za ofiarę wojny. Żyjąc w otoczeniu Rosjan, coraz bardziej się do nich przywłażywał. A szczególnie pokochał i ocenił Rosjan wtedy, gdy uznał, że swe życie zawdzięcza pewnej pielęgniarce. W trudnych powojennych latach Janos pracował przy wyrebie lasu, i zaczął powoli "wysilać". Trafił do lazaretu, gdzie wycieńczonymi opiekowały się dwie pielęgniarki. Ze szczególnym poświęceniem pracowała siostra Dusia, traktująca Janosa po macierzyńsku./.../ Pod koniec 1953 roku Janos został zrehabilitowany i wrócił do kraju, na Węgry, gdzie zaczął pracować jako księgowy. Po roku ożenił się. Obecnie ma dwóch synów i córkę. Wydawałoby się, że nic mu nie brakuje do szczęścia. Ale nie... Janosowi brakuje tych dalekich przyjaciół, z którymi dzielił kiedyś lata gorzkie, lecz młode. Urządził więc u siebie w mieszkaniu kąpiel, który nazywa "matą Rosjan". Przechowuje w nim płyty z pieśniami rosyjskimi, rosyjskie książki. W swojej bibliotece ma komplet rosyjskich klasyków./.../ Najbardziej lubi śpiewać rosyjską "Trojkę". Kiedy jednak zaczyna śpiewać po rosyjsku, ból ścisną mu serce, że nie zobaczy już swych dawnych rosyjskich przyjaciół, których pokochał "za dobroć".

Nowy typ nostalgii: tęsknota do życia w łagrach. Niezrealizowany ideał czasów stalinowskich: wypuszczeni z obozów zgłaszają się ponownie, ponieważ tęsknią. Tylko kto w to uwierzy? Może ktoś, komu liczni Rozsasowie w Polsce, na Węgrzech, na Litwie i w Czechosłowacji opowiedzą o swoich przeżyciach?

Opisując moment uświadomienia sobie za co aresztowano męża, autorka pisze: "Zostali aresztowani obaj. Aresztowani z powodu listów, pisanych do siebie - myślałam, trzymając w ręku plik kopert. Doиграли się swoimi żarcikami."/str.72/ "Żarciki" w tamtych czasach kosztowały drogę: "... w noccekalni MBW na Moście Kuźnickim powiedziano mi: "Osiem lat obozu pracy po-prawczej". - A czy będzie można pisać? - zapytałam natychmiast. Już to wydawało mi się pociechą. - Tak. Z prawem do korespondencji."/str.76/.

Ostatecznie jednak nigdy w łagu tych ośmiu lat nie było tak źle. Autorka wielokrotnie stara się o tym przypominać: "Nikt nie zmusza do pracy. Karmiłam całkiem znośnie." "Sanatorium bu-Tiur" - tak te znaki widnieją na wieszalnej białej szafce."/str.72/ "W przerwie obiadowej wyleguje się na trawie na dziedzińcu lub śpi na swojej przycz. Wleczorem i rano spaceruje, najczęściej pod ulubionymi lipami. W dni wolne od pracy spędza na powietrzu trzy do czterech godzin, gra w siatkówkę."/str.98/ "I oto zima - pierwsza "ekibastuska" zima - nareszcie się kończy./.../ Sania ma twarz szczupłą, lecz świeżą i rumianą - "to dobroczynny wpływ tych stepowych, mroźnych wiatrów"./str.147/.

O co wlecz chodziło Aleksandrowi Isajewiczowi, skoro mógł "wylegiwać się i grać w siatkówkę", spać na pościeli z nadrukiem "Sanatorium bu-Tiur", poznawać "dobroczynny wpływ stepowych wiatrów"? Czy nie przeholował czasem w "Pierwszym kręgu" i "Archipelagu Gułag"? Natalia Rieszetowska nie jest konsekwentna. Na stronie 150 znajdujemy następujący ustęp: "Dla Sani

nastąpiła siódma więzienna wiosna. Dopóki trwała ciężka zima, było nawet lepiej, gdyż Sania miał bliski i bardzo ważny cel - za wszelką cenę przeżyć tę zimę". Niezwykła szczerość: "za wszelką cenę przeżyć zimę"! Sądząc, że to groźne zdanie dostatecznie jasno odświeża czytelnikom tradycyjny los mieszkańców Archipelagu Gułag. Aleksander Isaiewicz nie przeholował na pewno.

Ukazywanie się książki Rieszetowskiej jest ewenementem. Ponieważ zastosowano w niej metodę dostatecznie skompromitowaną w oczach czytelników/maksymalnego oczernienia/ - sukcesu propagandowego nie osiągnięto na pewno. Co więcej: w książce umieszczono mnóstwo informacji o czasach stalinowskich, o łagrach, i więzieniach, o mentalności ludzi tworzących tamtą epokę. Dlatego można powiedzieć, że dano w ten sposób świadectwo Prawdzie. A chociaż świadectwo wystawiono niechętnie, jakby mimo woli, zważywszy na wystawców, ma ono wyjątkowe znaczenie. W rezultacie, "W sporze so wremieniem" wydaje się wielkim propagandowym potknięciem. Po prostu niewypałem, który wymknął się spod surowej kontroli wydawców.

Kazimierz Orłowski

BYĆ DOCENTEM, SEKRETARZEM I POETĄ....

Na łamach warszawskiej "Kultury" z 19 lutego 1978 zadebiutował jako poeta sekretarz KW PZPR do spraw nauki, doc. dr hab. Krzysztof Kruszewski. Zdarzenie to zasługuje na szczególną uwagę i to w kilku odmiennych porządkach, przy czym - podkreślimy - walory stricte poetyckie twórczości docenta nie są tu sprawą najważniejszą.

Donotujmy, że sama postać Kruszewskiego jest na tle naszego szarego życia bardzo oryginalna; jest to bodaj pierwszy w historii PRL docent mianowany sekretarzem, w przeciwieństwie oczywiście do sekretarzy mianowanych magistrami, docentami czy nawet profesorami zwyczajnymi. Praca docenta-sekretarza jest trudna i odpowiedzialna: to jemu przecież podlega warszawskie środowisko naukowe i to pod jego rządami rozwinął się i nadal rozwija społeczny ruch naukowy nieoficjalnie nazywany latającym uniwersytetem, oficjalnie zaś Towarzystwem Kursów Naukowych.

To nie kto inny, lecz właśnie docent Kruszewski na licznych zebraniach z pracownikami naukowymi PAN-u czy warszawskich uczelni, a także w rozmowach w cztery oczy z poszczególnymi uczonymi ostrzega przed samowolnym sięganiem po wiedzę, grozi konsekwencjami, nawołuje do postuszeństwa, nie ukrywajmy, że jest to praca niewdzięczna.

I właśnie nie kto inny, tylko docent Kruszewski w wolnych chwilach pisze wiersze, z których dwa świeżo opublikował, a w najbliższym czasie - jak dowiadujemy się z kół dobrze poinformowanych - wyda cały tomik. "Polsce tradycji pisanie wierszy przez polityków w zasadzie nie ma/może jeden Wier- niawa, ale on znowu nie był docentem, tylko generałem/, historia notuje jednak takie przykłady, żeby wspomnieć powiedzmy Juliusza Cezara czy Mao Tse-Tunga.

Wydaże mi się, że jeśli docent-sekretarz bierze się do pisania wierszy, to znaczy, że czegoś mu w życiu nie dostaje, że nie potrafi zrealizować się w pełni ani w roli docenta, ani sekretarza. Jest chyba tak, że Kruszewski ma ogromną potrzebę przekazania ludziom jakiejś prawdy i poszukuje najlepszej dla tego przekazu formy, przerzucając się od uniwersyteckiej katedry do partyjnej mównicy czy wreszcie komunikatu poetyckiego.

Przyjrzyjmy się prawdom, jakie komunikuje nam w swoich wierszach. Przepsz je w całości:

Rozmowy z żywym

Podziękowanie drzewom -
na pierwszych mchach chata stoi;
las gospodarzy bogactw,
niedobrym przystępu broni,
myślim rozważnej nadeje zieleności.

Podziękowanie drzewom -
trwają w lednym dzyku,
a kiedy padną,
to dopóty żyją
aż z wykrotów wytryśnie nowa zieleność.

Podziękowanie samotnemu drzewu -
zwłastunowi kroczącego lasu,
ofierze plorunów i zakochanych kozików -
ono nie odejdzie;
chyba umarła, chyba, że doczeka wkoło zieleności.

Podziękowanie drzewom -
z ziemi korzeniami zieleność czerpią
i zielenią ziemią.

Przekrzywiają się wszystkim
i wszystkiemu;

dostępny to sposób
na indywidualność.

Każdy grymas pracowicie
studiują w lustrze,
aż się z twarzy zrośnie,
aż w genach zawrze.

Ptakom niebieskim
wyrwają pióra -

woskiem lepia w skrzydła
do średniego lotu,

by uciec od ziemi
a uniknąć stołca.

Oczywiście las czy dokładniej drzewa bywają w poezji używane w znaczeniach bardzo różnych, zbadajmy przeto, za cóż to dziękuje drzewom docent-sekretarz. Przede wszystkim ustalmy, że chodzi tu o drzewa w ogóle, nie zaś o jakieś drzewo szczególne, pojedyncze; poeta ceni to co wspólne, typowe, a nie to co indywidualne i dlatego w drugiej strofie porównuje las do oddziału żołnierzy.

Cóż więc wspaniałego widzi w zuniformalizowanych drzewach zmęczony nerwowym życiem docent? Czy może to, co w swojej lilpie widział były sekretarz króla Zygmunta Augusta, który jednak docentem nigdy nie był i w leśnym zaciszu puszczając wodze swojej indywidualności? Oczywiście nie. Docent fraszkami zajmować się nie będzie. Stwierdza natomiast wstępnie gospodarczą przydatność lasu, żeby z kolei wyeksponować tę jego cechę, którą ceni najwyżej: stabilność. Las stoi w miejscu, porządnie wrosnięty korzeniami w ziemię, i nie ma powodu do obaw, stać będzie solidnie w wyznaczonym mu miejscu, bo nawet jeśli drzewo padnie, wyrosną obok inne.

Docent musi ciągle zadawać się z dialektyką: wykładać ją studentom na uniwersytecie, uwzględniać w rozmaitych oficjalnych wypowiedziach, tak że w wierszach swoich składa najwyższy hrdę właśnie zaprzeczeniu dialektycznej zmienności: trwania. Kto nie był naraz docentem i sekretarzem, nie zrozumie łatwo, jak wielkim osiągnięciem dla takiego człowieka jest trwanie właśnie, ile wymaga ono codziennych zabiegów i wybiegów, ile kosztuje zdrowia i nerwów.

Trwanie okazuje się celem tak wielkim, że względu na koszty, które trzeba płać, że nie wiekszo nawet nie daje się pomyśleć; więcej - w ogóle coraz trudniej myśleć jest o czym innym niż o sposobach trwania zapewniających.

I naile, z tego wszystkiego, poetyckie olśnienie drzewem, któremu tak łatwo trwać, które trwa samo przez się. A docent? Ile jeszcze czasu zdoła wytrwać? Przecież - jak widać z tytułu wiersza - ma syna, któremu chciałby przekazać własci zdobyte drogi łupów wojennych czy pańskich nadań. Ale czy to się uda?

Najlepiej być drzewem, stać na swoim miejscu, nie wychylać się, kiedy inni się nie wychylają, chyba, że w wypadku silnego wiatru, ale wtedy z całym lasem. Zresztą to będzie tylko wychylenie się pozorne: machanie gałęziami, robienie szumu, wrażenia ruchu i - stanie w miejscu. Tak trzeba żyć. Tak docent pedagogiki uczy swojego syna. Tak uczy nas wszystkich.

Gdy pierwszy wiersz jest programem pozytywnym, drugi stanowi drugocząca i zjadliwą krytykę. Jej przedmiotem jest ruch. W ruchu jako takim kryje się niebezpieczeństwo zmiany status quo i dlatego docent woli drzewa niż ruch. Drzewa, jak pamiętam, porównane do żołnierzy, w mundurach, w sztyku, na baczność. A czym jest w takim razie indywidualność? Proste. Przekrzywianiem się. Żołnierz w przekrzywionej czapce. Żołnierz z oberwanym guzikiem. Żołnierz z brodą. Nieporządek. Niesubordynacja. Wyrównać zgodnie z instrukcją. Nie robić min. Nie przeglądać się w lustrze./der Spiegel/. Nie rwać się do lotu. Do latania są ptaki, a człowiek ma znać swoje miejsce i stać na ziemi. To są wartości. To są ideały. Ruch zakłóca porządek. Indywidualność

zakłóca typowość. Docentowi psuje się harmonijny, spokojny obraz lasu.

Zakończenie wiersza stanowi atak na Dedala, który wzbudza w docencie odrzę wszystkie swe cechy: przede wszystkim narusza ustalony porządek "ptakom niebieskim wyrwyją pióra", a do tego skutecznie - jest na tyle rożny /docent pewnie uważa, że chytry/, iż potrafi skonstruować sprawne skrzydła i - o zgrozo! - użyć ich zgodnie z przeznaczeniem, do latania. Niezależność, intelekt, wola, rozważa zespolone w jedno - czy można nomyśleć zestawienie bardziej przerażające dla kogoś, kto za ideał uważa drewniane stanie w miejscu? Dedalowej świadomości docent nie chce ani dla siebie, ani dla swojego syna, ani dla nikogo. Świadomość to grzech pierworodny. Jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego. Dobre jest drzewo, bo rośnie, żyje i wydaje owoce samo świadomością nie obciążone. Docent chce nam zapewnić raj. Więcej, my już jesteśmy w raju, a docent pilnuje, żeby nie dohleraf się do jabłtek. Docenta po to partia postawiła na stanowisku, żeby szatański TKMowski wąż nie kusił studenta jabłkiem świadomości. Leniej trwać w roślinnej wegetacji drzewa.

Towarzyszu Kruszewski, czy wyszcie aby o czymś nie zapomnieli? Wy prze-
stańcie lepiej pisać te wiersze, ale przeczytajcie sobie spokojnie leniej
jakąś książkę, może być nawet cienkie - na przykład "18 Brumaire'a" albo ja-
kiś tomik Mickiewicza. A już najlepiej coś z Szekspira. Bo jest tak, że i
na tym swoim ukochanym lesie możecie się zawieść. Rył już taki, co wiarę w
swoją pozycję opierał na stabilności lasu. A las też może podejść pod komitet.
Las Birnam.

Jan Walc

Oświata niezależna

Od początku roku akademickiego 1977/78 rozpoczęła się w Warszawie, w prywatnych mieszkaniach, niezależna działalność samokształceniowa. Grupy studentów i absolwentów wyższych uczelni słuchały wykładów z najnowszej historii Polski, z historii myśli społecznej, z problemów gospodarczych Polski współczesnej. Wykłady dotyczyły także powojennych polemik ideologicznych oraz przemian współczesnej literatury polskiej. Nie jest to akcja zupełnie nowa. Prywatne wykłady i seminaria prowadzono po roku 1968, prowadzono je także wcześniej. Nowością jest rozszerzający się stale zasięg tej akcji oświatowej i znaczna frekwencja na zajęciach. Wykłady i zajęcia seminaryjne odbywają się również poza Warszawą, często przy tym prowadzą je prelegenci dojeżdżający z innych ośrodków.

Na początku 1978 roku grono osób - uczonych i artystów - ogłosiło deklarację, stwierdzającą na wstępie:

"Niżej podpisani powołujemy do życia Towarzystwo Kursów Naukowych.

Inicjatywa ta pragniemy wyjść na przeciw dążeniom do poszerzania, wzbogacania i uzupełniania wiedzy, które ożywiły się od pewnego czasu w kręgach młodzieży studenckiej i młodej inteligencji w Polsce."

Założyciele Towarzystwa Kursów Naukowych wyjaśniają dalej:

"Niedostatki wykształcenia oficjalnego oraz polityczne i ideologiczne ograniczenia wolności nauki znane były i krytykowane od wieków. Chcąc im zaradzić społeczeństwo tworzyło i tworzy instytucje oraz formy nauczania i samokształcenia poza systemami oświaty oficjalnej. Również dzieje nauki i oświaty polskiej mają w tym względzie świetne tradycje wielu towarzystw naukowych, "uniwersytetu latającego", "poradnika dla samouków" czy Wolnej Wszechnicy Polskiej w okresie międzywojennym.

Świadomi tej tradycji oraz współczesnych potrzeb, występujemy z naszą inicjatywą mającą na celu pomoc wszystkim, którzy poprzez samokształcenie pragną wzbogacić swą wiedzę. W miarę swych możliwości, chcemy służyć radą, informacją oraz pomocą dydaktyczną i naukową każdemu, kto zechce się do nas o to zwrócić. Komisja Programowa, która wyłaniały, weźmie na siebie merytoryczną odpowiedzialność za poziom i programy tej działalności, jej metody i kierunki, swobodę dyskusji i dociekań.

Zaczątkiem tej działalności jest praca grup samokształceniowych, które w bieżącym roku akademickim studiują i studiować będą wybrane zagadnienia historii, socjologii, ekonomii, literaturoznawstwa, filozofii i pedagogiki. Zajęcia te są powszechnie dostępne i bezpłatne. Uczestniczą w nich studenci i absolwenci wszystkich niemal kierunków studiów oraz pracujący bezinteresownie wykładowcy. Mimo, że udział w samokształceniu nie daje żadnych praw i nie zapewnia dyplomu, zainteresowanie młodzieży jest znaczne, co potwierdza społeczna potrzeba takiej działalności."

W następnych tygodniach deklarację założycielską TKN zaakceptowały dalsze osoby. Oto aktualny skład Towarzystwa Kursów Naukowych: Stefan Amsterdamski, Stanisław Barańczak, Władysław Bartoszewski, Władysław Bieńkowski, Jacek Rocheński, Marian Brandys, Alina Brodzka, Hanna Buczyńska-Gawęz, Tomasz Burek, Andrzej Celinski, Mirosława Chmiecówna, Bohdan Cywiński, Izydora Dąbka, Roman Duda, Maria Dzięwicka, Kornel Filipowicz, Wacław Gajewski, Polestaw Gleinewicht, Michał Głowiński, Antoni Gotubiew, Konrad Górski, Joanna Guze, Stanisław Hartman, Aleksander Hauke-Ligowski - O.P., Aleksander Jabłoński, Maria Janlon, Aldona Jawłowska, Jerzy Jedlicki, Jakub Karpiński, Adam Kersten, Jan Kiełanowski, Andrzej Kijowski, Tadeusz Konwiciński, Tadeusz Kowalik, Waldemar Kuczyński, Władysław Kunicki-Goldfinger, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Edward Łukawer, Hanna Malewska, Marian Małowski, Tadeusz Mazowiecki, Adam Michnik, Halina Nikołajska, Zygmunt Mycielski, Irena Nowakowa, Seweryn Pollak, Stanisław Rodziński, Janina Rutkowska, Barbara Skarga, Irena Stawińska, Adam Stanowski, Krystyna Starczewska, Julian Strykowski, Jan Józef Szczepański, Zdzisław Szpakowski, Wiktoria Szymborska, Marek Tabin, Karol Tarnowski, Andrzej Tyszkowski, Henryk Wereszycki, Andrzej

Werner, Krzysztof Wolicki, ks. Stanisław Wołoszyn, Wiktor Woroszyński, Maria Woslek, Jacek Woźniakowski, Adam Zagajewski, Czesław Zgorzelski, Tadeusz Zipser.

W drugim semestrze roku akademickiego 1977/78 w Warszawie odbywały się następujące wykłady:

Stefan Amsterdamski - Społeczne problemy nauki współczesnej; Władysław Bartoszewski - Historia polityczna Polski/lata 1918-1945/; Tomasz Burek - Literatura jako wyraz świadomości społecznej; Bohdan Cywiński - Sprawa polska w myśli politycznej i w mentalności społecznej epoki zaborów; Jerzy Jedlicki - Ideologie społeczne i polityczne od Rewolucji Francuskiej do II wojny światowej; Tadeusz Kowalik - Historia godpodarcza i historia myśli ekonomicznej Polski współczesnej; Jacek Kuroń - społeczeństwo a wychowanie; Adam Stanisowski - Społeczne problemy wychowania; Jan Strzelecki - Przegląd wielkich dyskusji pierwszego XV-lecia powojennego; Andrzej Werner - Ideowe oblicze polskiego kina; Wiktor Woroszyński - Wybrane zjawiska i problemy nowszej literatury rosyjskiej.

Wykłady w Warszawie odbywały się na ogół bez przeszkód. Inaczej wyglądała sytuacja w Krakowie, Poznaniu i innych miastach, gdzie siły MO i Służby Bezpieczeństwa kilkakrotnie utrudniały lub uniemożliwiały odbycie się wykładów. Komisja Programowa TKN wydała w tej sprawie oświadczenie z dnia 4 marca 1978. Powołując się na ratyfikowany przez Radę Państwa PRL Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych, w którym mowa m.in. o "prawie każdego człowieka do swobodnego wyrażania opinii oraz do poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania wszelkich informacji i poglądów", a także o "prawie do spokojnego zgromadzania się", Rada Programowa stwierdza, że "kursy TKN działają pod ochroną wymienionych artykułów Paktu, realizując promulgowane w nich prawa, uznając w pełni i respektując nałożone warunki". Tymczasem, jak czytamy dalej w oświadczeniu, "praca grup samokształceniowych - czy to objętych patronatem naszego Towarzystwa, czy to powstałych niezależnie od niego - spotyka się z różnymi formami przeciwdziałania i nękania ze strony władz administracyjnych i porządkowych. Osoby uczęszczające swych mieszkań na wykłady i seminaria spotykają się ze strony urzędników Wydziału Spraw Wewnętrznych m.st.Warszawy z groźbą wniesienia spraw do kolegium orzekającego oraz pozbawienia ich praw do zajmowanego mieszkania. Jest to groźba bezprzykładna, a jej realizacja byłaby pozbawiona wszelkiej podstawy prawnej. Sam fakt postępowania się takimi groźbami obraża państwową i stwarza zagrożenie elementarnych praw ludzkich. Jeden z wykładów TKN w ciągu dwóch tygodni był pięciokrotnie zatrzymywany na ulicy przez MO i przetrzymywany w areszcie bez uzasadnienia; dwukrotnie funkcjonariusze pobili go dotkliwie, nie szczędząc też zniewag i groźb. Słuchacze udający się na zajęcia lub opuszczający je byli legitymowani na ulicy, a ich nazwiska były spisywane, pomimo iż swoim zachowaniem nie dawali do tego najmniejszego powodu. W Krakowie milicja przerwała wykład, a w Sopocie zajęcia grupy seminaryjnej; w obu wypadkach użyto gazu łzawiącego."

Kończąc fragment oświadczenia brzmiał: "Nie wiemy, do czego zmierza i co chce wywołać ta akcja organów mających za zadanie strzec porządku publicznego i bezpieczeństwa państwa. Ani wykładowcy, ani uczestniczący w pracy samokształceniowej młodzież porządku i bezpieczeństwa nie naruszają. Wszelkie kursy objęte patronatem Towarzystwa pracują w spokoju i powadze. Towarzystwo czuwa nad tym i troszczyć się o to nie przestanie. Wszelkie opisane działania represyjne powodują stan napięcia dając tym podstawy do obaw o możliwe niebezpieczne następstwa. Kursy objęte patronatem TKN będą kontynuowane zgodnie z ustalonymi programami. Wszystkich uczestników wzywamy do zachowania w każdej sytuacji całkowitego opanowania, zaś do kompetentnych władz apelujemy o powstrzymanie nieopatrnych działań oraz o poszanowanie spokoju i powagi, w jakiej praca samokształceniowa się odbywa."

Episkopat Polski o kłopotowaniu kultury

W ogłoszonym 10 marca b.r. komunikacie o 162 Konferencji Episkopatu Polski/która obradowała 8 i 9 marca w Warszawie/ czytamy m.in. "Rozpatrując szereg ostatnich deklaracji czynników politycznych na tle niektórych

faktów, Biskupi wyrazili przekonanie, że w obecnej sytuacji kraju władze polityczne i państwowe podejmą takie kroki, które szanując prawa obywatelskie zagwarantowane w Konstytucji i potwierdzone w dokumentach międzynarodowych - mogłyby doprowadzić do przezwyciężenia trudności, jakie nawarstwiły się w ostatnim czasie. Biskupi są przekonani, że obywatele pragną kierować się dobrem kraju i Ojczyzny, chcą skupić swoje siły dla służby Narodowi; wymaga to jednak odpowiednich warunków społecznych i politycznych umożliwiających wyzwoleń tychże energii obywatelskich. Należy wieksiżym zaufaniem darzyć obywateli, aby pozyskać ich zaufanie i poświęcenie dla kraju. W Narodzie jest dość siły, aby pokonać trudności, które pojawiają się w jego życiu, zwłaszcza na odcinku życia gospodarczego i zawodowego."

W jednym zaś z dalszych fragmentów: "Konferencja wyraża dezaprobatę dla wszelkich poczyniń, które krepują ducha ludzkiego tworzącego swobodnie wartości kultury. Stąd też godnym ubolewania jest fakt ograniczania twórczości naukowej, badawczej, artystycznej, religijnej przez cenzurę państwa. Istnienie tej cenzury o tak szerokim zakresie interwencji jest szkodliwym nieporozumieniem. Kościół będzie popierał takie inicjatywy, które dążą do ukazania kultury, wytworów ducha ludzkiego, historii Narodu w formie autentycznej, bo Naród ma prawo do obiektywnej prawdy o sobie."

Solidarność

Francuski Komitet Intelektualistów na rzecz Europy Wolności CIEL wyraził solidarność z działalnością Uniwersytetu Łatającego. Komitet zaprotastował przeciw represjonowaniu akcji samokształceniowej, zadeklarował chęć pomocy i współpracy z TKH. Członkami Komitetu są m.in.: Raymond Aron, Arrabal, Alexandre Astruc, Jean-Marie Benoist, Jean-Louis Barrault, Michel Crozier, Jean-Marie Domenach, François Fejtő, Jean Fourastié, Paul Goma, Pierre Hassner, Eugène Ionesco, Julia Kristeva, Claude Mauriac, Jean d'Ormesson, André Pieyre de Mandiargues, Krzysztof Pomian, Jean François Revel, Emmanuelle Riva, Jules Roy, Artur Rubinstein, Piotr Śtonimski, Aleksander Smolar, Paweł Tigris.

Profesor Janusz Groszkowski, były przewodniczący Frontu Jedności Narodu, wystosował na rece profesora Jana Kleśniewskiego list, w którym popiera TNN witać z uznaniem tę inicjatywę.

Włeczőr "Zapisu" u Walendowskich

W mieszkaniu państwa Anny Erdman i Tadeusza Walendowskiego odbyły się kolejne włeczory literackie, w których wystąpili m.in. Jan Kelus, ponownie Jacek Kłeyff, Stefan Kisielewski, Tadeusz Korzeniewski, Kazimierz Orłoś, Seweryn Pollak i Leszek Szaruga. Włeczór 8 lutego 1978 poświęcony był spotkaniu z autorami i redaktorami "Zapisu". Na wstępie Stanisław Barańczak mówił o problemach, kłopotach i zamierzeniach zespołu przygotowującego kolejne numery. Z głosów w dyskusji na odnotowanie zasługują zwłaszcza dwa - Lesław Maleszki, studenta polonistyki z Krakowa, oraz Bohdana Chwedeńczuka, filozofa z Warszawy. Maleszka uznał "Zapis" za "istotną szansę" dla literatury krajowej jako jej "optymalny układ odniesienia". Próbując scharakteryzować numery pisma, jakie ukazywały się do tego czasu, stwierdził, że np. w pierwszym "nie przypadkowo tak różne utwory spinał motyw gwałtu... gwałt bowiem stanowił metaforę świata, w którym ZAPIS" jawił się jako krzyk protestu." Dla drugiego z kolei numeru Maleszka przyjął metaforę listu: "List jest próbą samookreślenia się, aktem wodrobnienia w słowie, odpowiedzią rzuconą zawłaszczającemu wszystko językowi, jest alternatywą prawdy jednostki, prawdy twórcy, przeciwstawioną gwałtowi i jego apologetom... Oczywiście nie chodzi tu tylko o listy w znaczeniu dosłownym. Pamietniki, biografie, wspomnienia, wyznania... listy poetyckie, listy w przeszłość czy do anonimowych oponentów..." W numerze czwartym dyskutant dostrzegł kontynuację obu wątków: wielopostaciowego gwałtu i motywu konfesyjnego. "Jest też taki temat - mówił dalej - dla mnie szczególnie interesujący, który przewija się w kolejnych numerach ZAPISU: myślenie o problemie narodu, dziedzictwa kulturowego, potrzeby jego przetrwania i jego niezafałszowanego obrazu... Temat ten powraca też we frapujących dygresjach i wyznaniach ostatniej powieści T. Konwickiego..."

"ZAPIS to więcej niż pismo - zakończył Małeska swoją wypowiedź. - To również ci, którzy nocą stukają na maszynach, którzy kręcą korbą powielacza/daj Boże lepszą technikę i bardziej czytelne egzemplarze/, rozwoją pismo do wielu miast, sprzedają je i pożyczają, szukają schowków na wypadek rewizji. Każdy egzemplarz z biegiem czasu obrasta we własną fabułę, kryjącą w sobie epizody godne opowiadania przegodowego... Dla mojego pokolenia ZAPIS jest nie tylko przygodą stricte literacką. Jest też pewną formą uczestniczenia w wolności, jest dowodem i wezwaniem zarazem do niezgody na codzienny fałsz i drętwotę języka. Entuzjazm towarzyszący temu pismu jest czymś zdumiewającym przez swój kontrast z sytuacją wcześniejszą, w której literatura - jak się zdawało - skazana jest na powolne konanie."

Uwagi Bohdana Chwedeńczuka nosiły charakter bardzo krytyczny zarówno w stosunku do "Zapisu", jak do całej "kultury niezależnej". Oto fragmenty jego autoryzowanej wypowiedzi:

"... w dotychczasowym "Zapisie" /1-5/ nie znalazłem tekstu literackiego, który by mnie porwał, który dałby wielkie przeżycie, który byłby poznawczo ważny, prawdziwie odkrywczy /wyjątek stanowi, moim zdaniem, interesujący, choć nie pozbawiony mielizn, debiut z numeru 5, opowieść Tadeusza Korzeniewskiego "W Polsce"/. Nie znalazłem też tekstu publicystycznego, który wykraczałby zdecydowanie poza obiegowe i banalne prawdy, który podejmowałby analizę, dawałby wgląd w rzeczywistość Polski czy choćby w jakiś jej fragment, który starałby się w badawczej, a nie tylko napedzanej przez emocje refleksji uchwycić osobliwości ustroju tego typu, jaki tu mamy /za wyjątki w tym gatunku gotów bym uznać odpowiedź, jaka Jacek Rochowski udzielił w drugim numerze "Zapisu" prof. Janowi Szczepańskiemu oraz tekst Anny Chmielewskiej, "Kampania", z numeru czwartego/. I zarzut ogólniejszy: "Zapis" jest dotąd pismem bez wyraźnej, jednolitej osobowości, choć ostatnie numery rodzą nadzieję, że powoli ukształtuje własną twarz.

Andrzej Kijowski pisze gdzieś w zbiorze "Niedrukowane", że po jednej i drugiej stronie /po stronie władzy i po stronie, umownie mówiąc, opozycji/ nie ma wielkich wzlotów i myśli. Jak widać, przedstawiona tu ocena kultury niezależnej stanowi w istocie konkretyzacje tego spostrzeżenia.... Otóż chcę powiedzieć, że dopóki kultura niezależna będzie wyznaczać prawie bez reszty /jak to, moim zdaniem, dzieje się dotychczas/ obraz świata zornizowany wokół przeciwstawienia władza-antywładza, dopóki będzie ją wleźlić ten doraźny i ciasny horyzont, dopóty będzie ona na miarę owego przeciwstawienia i owego horyzontu, dopóty będzie wleć ciasna, powierchowna i jałowa. Autentycznie niezależna kultura sama wytycza sobie swoje obszary zainteresowań, horyzonty, cele, sama obiera sobie swych partnerów i przeciwników, nie pozwala natomiast, by o jej obsesjach, aspiracjach i zadaniach decydował przeciwnik, który w ostatniej instancji ma do zaproponowania tylko antykulturę. Sytuację, którą mam tu na uwadze, można też opisać, odwołując się do znanego rozróżnienia wolności negatywnej/wolności od czegoś/ i pozytywnej/wolności do czegoś/. Kultura niezależna zdobywa na razie wolność negatywną, ale owo coś, od czego jest to wolność, ciągle jeszcze rzuca na nią swój paraliżujący cień".

Protesty instytucji społecznych przeciw cenzurze

Jak już podawaliśmy, liczne instytucje, zrzeszenia i poszczególne osoby w kraju otrzymały egzemplarze wydanej przez Niezależną Oficynę Wydawniczą publikacji "Z księgi zapisów GUKPIW" /obecnie wydanej również, w obszerniejszej postaci, pt. "Czarna księga cenzury PRL", przez kwartalnik emigracyjny "Aneks"/. Niektórzy adresaci, po przestudiowaniu tych niecodziennych materiałów, odczuli potrzebę dania wyrazu swoim niepokojom o sytuację w kulturze polskiej. Wiadomo nam przynajmniej o trzech takich inicjatywach /co nie znaczy, że nie było innych/. Tak wleć Polski Pencilub wystąpił list do premiera Jaroszewicza, pod którym podpisali się wszyscy obecni w Warszawie członkowie zarządu, z prezesem Janem Parandowskim na czele. Odpowiedzi pismem i ustnie udzielił Pencilubowi kierownik Ministerstwa Kultury Janusz Wilhelm, m.in. zapowiadając powołanie nowego ciała, w którym obok urzędników zasiadaliby również twórcy kultury i do którego można by się odwoływać od decyzji GUKPIW. Nie wyjaśnił jednak, czy głos byłby w spra-

wach konfliktowych decydujący.

Drugie pismo do prezesa Rady Ministrów wystąpił Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Socjologowie od dawna już występowali do władz Polskiej Akademii Nauk i innych instytucji, zwracając uwagę na utrudnienia, jakich przysparza im w pracy działalność cenzury, uniemożliwiająca publikację rzetelnych sprawozdań z wyników badań społecznych i utrudniająca obieg informacji o współczesnej rzeczywistości społecznej. W ostatnim piśmie ZG PTS, ponawiając swoje protesty, zapytywał o autentyczność księgi zaписów, która została jednocześnie przesłana premierowi jako załącznik. Formą odpowiedzi premiera było upoważnienie sekretarza naukowego PAN do przeprowadzenia rozmowy z Zarządem Głównym PTS. Rozmowa ta nie dostarczyła jednak zadowolających wyjaśnień na tematy, o których traktował list.

Trzecie wreszcie pismo w tej sprawie zostało wysłane przez prezesa Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Nie wiemy, czy doczekano się ono choćby pośredniej odpowiedzi.

Prymas Polski o cenzurze

"Tygodnik Powszechny" nr 7 /datowany 12 lutego 1978/ zamieścił autoryzowany tekst homilii, wygłoszonej 6 stycznia w bazylice archikatedralnej przez Stefana kardynała Wyszyńskiego. Podajemy fragment dotyczący cenzury:

"Tego, co jest tu niezbędne, co wynika z postępowania Kościoła: "Idźcie i nauczajcie wszystkie narody" - "Coście usłyszeli w Izbie, mówcie i przekazujcie na dachach" /Mt. 10, 27/ - tego wymaga także całe życie społeczne. Wymaga ono jawności i wolności opinii społecznej. Dlatego trzeba uniknąć wszelkiej alienacji w zakresie tworzenia opinii publicznej, zwłaszcza przez nadmierne rozbudowanie cenzury, pod pozorem ochrony tajemnic państwowych. W rzeczywistości, nakłada ona okulary na oczy ludzi, dezinformuje ich, a co gorsza, zwalnia od odpowiedzialności za Naród. Bardzo często ludzie nie znają prawdy, nie wiedzą jak sprawy stoją i wskutek tego nie poczuwają się do odpowiedzialności w dziedzinie życia społecznego, gospodarczego czy moralnego. Gdybyśmy np. milczeli o istotnym stanie życia rodzinnego, oddawali byśmy złą przysługę Narodowi. Podobnie i w wielu innych dziedzinach. Stąd tak ważną jest rzeczą, aby człowiek mógł widzieć rzeczywistość, dokładnie ją rozpoznać i wziąć za nią, w wymiarze swoich zadań, odpowiedzialność."

A cenzura swoje

W grudniowych numerach "Tygodnika Powszechnego" z ub.r. cenzura zdjęła: 3 felietony Kisielewskiego "Podrecznik stanął na głowie", "Mowa służby", "Po tegorocznej kampanii" oraz fragmenty felietonu "Terejowe święto", 2 felietony Piotra Wierzbickiego "Publicystyka śliniaczkowa" i "Felieton wzorowy", felieton Andrzeja Kijowskiego "Cicho zwierzęta" oraz fragmenty wywiadu Jerzego Turowicza z kardynałem Królem, fragmenty eseju Wojciecha Karpińskiego pt. "Jeździec miedziany", fragmenty Brandaettera, fragmenty eseju Tadeusza Chrzanowskiego "Kultura polska, jej wloty i upadki" oraz nekrolog zawiadamiający o mszy św. za żołnierzy AK obwodu "Rozbratni", "Rzemiosło", "Woda".

W styczniu zdjęto w tym samym piśmie m.in. komunikat Konferencji Plenarnej Episkopatu, fragmenty Oredzia Ojca Św. Pawła VI na XI Światowy Dzień Pokoju oraz sprawozdanie Pawła Śpiwka z sesji warszawskiego KIK-u poświęconej prawom człowieka; skonfiskowano także felieton Kisielewskiego "Jedność czy polityczność".

W "Kulturze" zdjęto: część listów Marii Dąbrowskiej do Kazimierza Wierzyńskiego: reportaże Barbary Topieńskiej o Żabkach.

W "Literaturze" zdjęto dwa reportaże Małgorzaty Szejnert: "Wybór robotnika roku" oraz reportaż o komentarzach w Zaduszki.

W trzecim numerze "Życia literackiego" z 15 stycznia został w całości skonfiskowany felieton Olgierda Terleckiego "Przedwczesne wykreowanie" zawierający krytyczne uwagi o serialu "Polskie drogi". Autor zauważył m.in. że tylko raz, w jednym z ostatnich odcinków, użyto nazwy Armia Krajowa w związku ze sceną przedstawiającą aresztowanie Komendanta Głównego AK gen. Grot-Roweckiego. Sławne bitwy Batalionów Chłopskich pod Wojdą i Zaborem przypisane zostały partyzantom komunistycznej.

W "Wieżi" zdjęto w roku bieżącym: wiersz Krystyny Kwiatkowskiej "Nie jestem żadną rewolucjonistką", Jerzego Krzysztonia głoszący o Pallotynach i dział "Konfrontacji", szkic Jacka Wejrocha o "Polskich drogach", polemikę Tadeusza Mazowieckiego z Mieczysławem F. Rakowskim. Z numeru drugiego "Wieżi" w którym zamieszczono referaty z sesji o prawach człowieka, przeprowadzonej w KIK-u w listopadzie ubiegłego roku, usunięto obszernie fragmenty z tekstu Jerzego Jedlickiego "Antynomie liberalnej koncepcji wolności", pozbawiając go sensu/w rezultacie musiał zostać wycofany/, zaś w tekście Jakuba Karpińskiego skonfiskowano cały fragment mówiący o postanowieniach zawartych w Akcie Końcowym konferencji w Helsinkach, jak również informacje o charakterze paktów praw obywatelskich /tzn. że paktów te mają być przestrzegane poczynając od momentu w którym stają się obowiązujące w danym państwie/. Skreślono również informacje, że paktów praw gospodarczych mają na celu dążenie do realizacji tych paktów i że nakładają one powinnośc podejmowania kroków w tym kierunku.

W "Twórczości" nr 3 zdjęto recenzję Sergiusza Sterny-Wachowiaka z tomu poezji Wiktora Woroszyńskiego wydanego przez klub studencki "Od nowa" w Poznaniu.

"Teksty" Numer 5/6 z 1977 opóźniony już o 5 miesięcy z powodu poprzednich pociągnięć cenzury/ został w całości rozsypany. Zdjęto między innymi artykuły: Stefana Amsterdamskiego o wartościowaniu w nauce; W. Boleckiego o związku nowatorstwa formalnego i etyki; Krzysztofa Dychliaka "Od programoburstwa do programotwórstwa"; J. Stępnia o recepcji "Świata nieprzedstawionego"; E. Balcerzana "Strategia agitatora"; A. K. Waśkiewicza o konkursach literackich.

Wybory delegatów na zjazd ZLP

We wszystkich oddziałach Związku Literatów Polskich odbyły się wybory na XX zjazd tej organizacji, który ma się odbyć 7-8 kwietnia b.r. w Katowicach. Najwięcej delegatów - bo aż siedemdziesięciu pięciu - wybierała Warszawa, czternastu - Kraków, pozostałe zaś oddziały - mniej, proporcjonalnie do ilości członków. Zgodnie z ustaloną od lat procedura, zarząd oddziału rozsyła na jakiś czas przed walnym zebraniem proponowaną, przez siebie listę kandydatów na delegatów, następnie zaś członkowie ZLP mają określony termin na zgłoszenie dodatkowych kandydatur, przy czym do wpisania kandydata na listę potrzeba dziesięciu popierających go podpisów, które nie mogą się powtarzać/tzn. każdy członek ZLP może poprzeć tylko jednego nowego kandydata, a do wystawienia dajmy na to, dziesięciu kandydatów potrzeba aż stu podpisów/. Procedura ta funkcjonowała i tym razem, jednakże - w Warszawie - w nieco dziwny sposób, o czym następnie mówili się na walnym zebraniu. Otóż, jak się okazało, lista zarządu wcześniej została podana do wiadomości członkom podstawowej organizacji partyjnej, bezpartyjnym literatom odmawiano w sekretariacie Związku jej udostępnienia, chociaż znajdowała się już tam w zaadresowanych do nich kopertach. Jednocześnie organizacja partyjna sama przystąpiła do zbierania podpisów pod licznymi dodatkowymi kandydaturami, obligując swoich członków do popierania wskazanych osób oraz "drenując" podpisy części zdeзорientowanych bezpartyjnych. W ten sposób, kiedy po kilku dniach do wszystkich dotarła lista oficjalna i stało się jawne, jak wielu godnych wyboru kolegów na niej zabrakło, dodatkowe wysunięcie pożądaných przez społeczność literacką kandydatur stało się wielce utrudnione.

Mimo wszystko, wkładając w to wiele wysiłku, zebrano podpisy pod kilkunastu jeszcze nazwiskami, które w oznaczonym terminie wpisano na ogólną listę. W tajnych wyborach dn. 7 marca b.r. wszystkie te osoby zostały wybrane delegatami/m.in. Jerzy Krzysztoń, Marek Nowakowski, Władysław Bartoszewski, Artur Miedzyrzeczki, Julia Hartwig, Seweryn Pollak, Andrzej Szczypiorski, Tomasz Burek, Janusz Maciejewski, Witold Dąbrowski, Joanna Guze, Wiktor Woroszyński, Jerzy Ficowski - obok znajdujących się już wcześniej na liście Mieczysława Jastruna, Pawła Hertza, Anny Kamieńskiej, Andrzeja Brauna, Jerzego S. Sity, Mariana Grzeczaka, Camilla Mondral, Anny Trzeciakowskiej, Jerzego Zagórskiego i innych/. Jerzy Putrament znalazł się na ostatnim miejscu wśród wybranych, inni zaś oficjalnie lansowani kandydaci - jak Włodzimierz Sokorski, Aleksander Minkowski, Wojciech Żukrowski, Roman Bratny, Michał

Rusinek i Jan Maria Gisges - przepadli. Tak zostało jeszcze raz potwierdzone to, o czym w doskonałym przemówieniu na walnym zebraniu powiedział Andrzej Szczypiorski, że członkowie ZLP nie znoszą w życiu związkowym arbitralności, braku równouprawnienia dla różnych poglądów i postaw, dyktatu i kaprysu zorganizowanej siły. Również w Krakowie nie wybrano takich delegatów jak Władysław Machejek i Tadeusz Hołuj, wybrano natomiast m.in. Kornela Filipowicza, Jana Józefa Szczepańskiego, Leszka Elekrowicza, Wiesławę Szymborską i Jacka Woźniakowskiego. W Poznaniu kandydaci wysunięci z sali - Egon Nagąnowski i Przemysław Bystrzycki - wyparli dwóch z pośród plejdy konkurentów z oficjalnej listy. Podobnie było w Gdańsku. Inaczej - w Łodzi, Katowicach i kilku mniejszych ośrodkach, gdzie związki twórcze ulegają przemożnemu wpływowi miejscowej administracji. W sumie nie wydaje się miło wszystko, żeby na zjeździe można było liczyć na przewagę delegatów niezależnych nad uzależnionymi od partii i jej przybudówek; ale wyniki wyborów warszawskich, krakowskich i paru innych mówią o rzeczywistych nastrojach szerokiej rzeszy związkowych i mają określone znaczenie moralne.

Na warszawskim zebraniu przedstawiciele PZPR usiłował też narzucić uchwałę wzywającą do zakazu bomby neutronowej; zgromadzenie przeradgało w wniosek i uchwaliło protest przeciwko wszelkiej broni masowej zagłady.

Sprawy wewnętrzne Związku Literatów - pod ochroną cenzury

W jednym z ostatnich felietonów Wiktora Woroszyńskiego w "Wlezi" cenzura skonfiskowała przytoczone w tekście /nie da się ukryć, że ironicznie/ fragmenty "Informatora Związku Literatów Polskich" nr 38-39 za rok 1976/1977. Oto fragment enigmatycznego sprawozdania z posiedzenia plenarnego ZG ZLP 22.X.1976 /wszystkie podkreślenia-felietonisty/: "Na początku zebrania prezes Jarosław Iwaszkiewicz poinformował o WIELU SPRAWACH NURTUJĄCYCH ostatnio środowisko literackie oraz o rozmowach i stałych kontaktach Zarządu Głównego ZLP z władzami politycznymi i państwowymi w celu załatwienia i wyjaśnienia RÓŻNYCH PROBLEMÓW". I z posiedzenia plenarnego 28.1.1977: "Centralnym punktem zebrania była szeroka informacja złożona przez prezesa Jarosława Iwaszkiewicza, dotycząca prac prezydium ZG ZLP, a następnie TYCH SPRAW, KTÓRE W OSTATNIM CZASIE NURTUJĄ pisarzy oraz instancje naszego Związku. Prezes J. Iwaszkiewicz m.in. stwierdził, że Zarządowi Głównemu znane są WSZYSTKIE SPRAWY, KTÓRYMI ŻYJE środowisko literackie, czasem nawet więcej, niż należałoby się spodziewać. Stąd też podejmuje on WIELE DZIAŁAŃ zmierzających do załatwienia lub złagodzenia RÓŻNYCH PROBLEMÓW, a efekty te są wymierne i łatwe do sprawdzenia. Zarząd też napotyka w swoim działaniu na OKREŚLONE TRUDNOŚCI, wynikające m.in. z faktu, że nie zawsze towarzyszy tym przedsięwzięciom zrozumienie niektórych CZŁONKÓW ZLP".

W tym samym czasie w felietonie Jerzego Andrzejewskiego na łamach "Literatury" cenzura przepuściła wprawdzie wyrazy ubolewania, że Komisja Kwalifikacyjna ZG ZLP nie przyjęła do Związku pewnego ewidentnie utalentowanego młodego pisarza, ale konfiskacie uległo już zdanie następne: że sprawą tą powinien się zająć XX Zjazd w Katowicach....

Z policyjnego punktu widzenia

W miesięczniku "Znak" /nr 11-12, 1977/ ukazał się przekład Ewangelii św. Marka pisma Czesława Miłosza. Jest to wydarzenie wielkiej miary. Dwumiesięcznik Instytutu Badań Literackich "Teksty" od kilku lat publikuje kompetentne studia o Gombrowiczu. Prace obydwu autorów cytuje się coraz częściej. Piszę się wtedy: Gombrowicz, Dziennik, t.I., Paryż, 1957 /nie podając wydawcy/. Zaszyfrowany autor "Traktatu moralnego" zmienia się powoli po prostu w Czesława Miłosza. Jakś amerykański socjolog mógłby dopatrzeć się w tym znamionie liberalizacji, oznak nieco rozumniejszej polityki wobec kultury polskiej, a szczególnie wobec autorów polskich publikujących za granicą. Ale socjolog amerykański wnioskowałby pochopnie. 31 marca 1978 do mieszkania Jakuba Karpińskiego wkroczyli funkcjonariusze MO i SB, którzy

przeprowadzili rewizję/zwana obecnie przeszukanie/. Protokół rewizji stwierdza, że zabrano następujące książki Czesława Miłosza: "Traktat poetycki", "Rodzinna Europa", "Człowiek wśród skorpionów", "Widzenia nad zatoką San Francisko", "Miasto bez imienia", trzy tomy "Dzienników Gombrowicza", "Pozmowy z Gombrowiczem" Dominika de Roux, oraz dwa wydania "Kosmosu" po polsku i po francusku /sprzedawane w warszawskiej księgarni obcojęzycznej/. Poza tym rewidenty z Komendy Stołecznej MO wynieśli z mieszkania Jakuba Karnińskiego kilkanaście tomów prac naukowych z dziedziny historii najnowszej i nauk politycznych w językach angielskim, francuskim i polskim, takich jak "Piłsudski's Coup d'Etat" Rotschilda, zbiór prac "The Russian Revolution and Polish Victory", praca Tuckera "The Soviet Political Mind", "Le marxisme soviétique" itp. Niektóre z tych prac były omawiane w polskich czasopiśmie socjologicznych i historycznych. I znów ktoś mógłby pochopnie pomyśleć, że recenzowanie prac zagranicznych w polskiej literaturze naukowej jest znamięciem liberalizacji. Tak może byłoby, gdyby przebieg rewizji można było przypisać wyłącznie głupocie zwykłych milicyjnych funkcjonariuszy, którzy przecież nie są zobowiązani do rozszyfrowywania subtelności "liberalizacyjnej" polityki władz. Czy jednak polityka ta nie jest raczej po prostu dwutorowa, lub wielotorowa? Tu i ówdzie wolno dla przyzwyczajenia coś zacytować, tu i ówdzie coś się opublikuje. Ale point de reverses! Panowie literaci i naukowcy żadnych marzeń.

Historia cichociemnych - zakazana

Zamieszkały w Poznaniu pisarz Przemysław Bystrzycki - w czasie minionej wojny spadochroniarz Armii Krajowej, "cichociemny" - od dwudziestu lat zabiega o wydanie książki pt. "Znak cichociemnych", poświęconej walkom, w których uczestniczył był wraz z całą swą bohaterską formacją. Doprowadzenie do tej publikacji uważa za spoczywający na nim "bezwzględny nakaz moralny, dług wobec poległych, obowiązek wobec żyjących". Żadne starania jednak nie odnoszą skutku; nawet listy do Edwarda Gierka, na które Bystrzycki w ogóle nie otrzymuje odpowiedzi. Ostatni taki list wysłał w grudniu ub.r., wraz z popierającym go apelem dwudziestu pięciu zamieszkałych w kraju byłych cichociemnych, co do jednego kawalerów Wirtuti Militari/jak i sam Bystrzycki/. Odpis przestał wraz z osobnym listem prezesowi Związku Literatów Polskich, Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Na to również nie otrzymał odpowiedzi. Odmowy ogłoszenia książki o cichociemnych nigdy nie próbowano uzasadnić, ale zakaz, jakim została dotknięta, ciągle jest ważny...

Represyjne zwolnienie z pracy

Z dniem 1 lutego zwolniono z pracy Lecha Dymarskiego. Umowa zawarta uprzednio między nim a Telewizyjną Wytwórnią Filmową "Poltel" przewidywała zatrudnienie do 31 sierpnia b.r. Dymarski jest absolwentem polonistyki Uniwersytetu Poznańskiego, debutował jako poeta w "Zapisie" nr 2, w numerze czwartym zamieścił recenzję z "Kompleksu polskiego" Tadeusza Konwickiego, a w piątym - omówienie czasopisma "Spotkania".

Wymuszone zakończenie cennej działalności

Donosiliśmy w poprzedniej kronice o różnorodnych imprezach kulturalnych, odbywających się w Krakowie, w duszpasterstwie akademickim przy parafii Najświętszego Salwatora/klasztor s.s. Norbertanek/, 8 marca b.r. zamknęły został cykl wykładów o filozofii Martina Heideggera /prowadził je ks. prof. Józef Tischer i dr. Karol Tarnowski/. Inne imprezy ostatniego okresu /sty-czeń-luty/ - to dyskusja o filmie "Śmierć prezydenta", wieczory autorskie Stanisława Lema, Stanisława Barańczaka i Viktora Woroszyńskiego, spotkanie z redakcją "Węzi", pierwszy wykład /Andrzeja Wielowieyskiego/ z projektowanego cyklu socjologicznego i pierwsze dwa wykłady /Zdzisława Szpakowskiego i Jerzego Turowicza/ z projektowanego cyklu historycznego. Na tym, niestety zakończyła się działalność tego typu w duszpasterstwie akademickim u s.s. Norbertanek. Ostatni wykład Heideggerowski był w ogóle ostatnią imprezą na

Salwatorze. Stało się tak w wyniku wzmożonego nacisku władz administracyjnych i innych, którym gospodarze parafii nie mogli się oprzeć. Organizatorzy krakowskich imprez kulturalnych wyrażają jednak nadzieję, że działalność ta będzie kontynuowana w przyszłości.

Spotkania z poezją w Klubie Inteligencji Katolickiej

W warszawskim KIK-u, w ramach sekcji kultury, odbyły się w styczniu-marcu 1978 wieczory poezji: Osipa Mandelsztama, Zbigniewa Herberta, Jana Twardowskiego i poezji żydowskiej /w tłumaczeniu Jerzego Ficowskiego, Anny Kamieńskiej, Czesława Miłosza i Antoniego Słonimskiego/.

Wieczory literackie w całej Polsce

Maciej Rayzacher wystąpił z wieczorami Osipa Mandelsztama w Krakowie /w mieszkaniu prywatnym - staraniem Studenckiego Komitetu Solidarności, oraz w Piwnicy pod Baranami/, a także w Poznaniu, gdzie słowo wstępne wygłosił Stanisław Barańczak. Ten sam aktor recytował wiersze Czesława Miłosza w to-dzi, w ramach spotkania Niezależnego Klubu Dyskusyjnego. Jednocześnie odbyła się premiera opracowanej przez Rayzachera taśmy magnetofonowej "Czesław Miłosz", zawierającej rozmowę o Miłoszu z Jerzym Andrzejewskim oraz wiersze Miłosza w wykonaniu samego poety, Haliny Mikołajskiej i Macieja Rayzachera. Kilka wierszy śpiewa, akompaniując sobie na gitarze, Stanisław Kławe /muzyka własna/. W Krakowie, w mieszkaniu prywatnym i w Piwnicy pod Baranami, odbyły się także wieczory poezji śpiewanej Jana Kelusa.

Drugi numer "Pulsu"

"Puls" nosi podtytuł "nieregularny kwartalnik literacki", trudno wlec wnosić pretensje, że pomiędzy pierwszym a drugim numerem upłynęło prawie pół roku; zwłaszcza, że ten drugi numer jest od pierwszego obszerniejszy i naprawdę interesujący. Otwierają go wiersze /właściwie piosenki/ niedawno zmarłego Aleksandra Galicza w przekładach Stanisława Barańczaka, Jacka Błereżina i Wiktora Woroszyńskiego. Pozostałe wiersze w numerze są pióra Jacka Błereżina, Lecha Dymarskiego i Zdzisława Jaskuły, próza - Jacka Bocheńskiego /rozdział powieści o Tyberluszu, której inny rozdział drukowaliśmy w Zapisie nr1/, Tadeusza Korzeniewskiego i Leszka Szarugi. Szczególnie doniosły tekst - to "Prawa człowieka a kultura", referat wygłoszony przez Jacka Woźniakowskiego na sesji KIK-u "Chrześcijaństwo wobec praw człowieka" /fragmenty tego referatu przytoczyliśmy w poprzedniej kronice/. Adam Michnik udostępnił "Pulsowi" esej pt. "Poeta epoki paskiewiczowskiej", Stanisław Barańczak - wstęp do katalogu wystawy polskiej na weneckim Biennale 77 pt. "Fasada i tytuł", Kisiel - jeden ze swoich skonfliktowanych felietonów. Tadeusz Walendowski pisze o telewizji, anonimowy autor o wżyciu prezydenta Cartera w Polsce, Szaruga recenzuje "Kompleks Polski" Konwickiego, Marian Klecha - książkę "Kościół, lewica, dialog" Michnika. Jacek Błereżin ujawnił pазur felietonisty w tekście pt. "Głupstwo rządowe i głupstwo antyrządowe". W edycji bibliofilskiej umieszczono fotografie Bartosza Pletzaka, przedstawiające Tadeusza Konwickiego, Zdzisława Jaskułę i Janusza Szpońskiego.

Bardzo dobre "spotkanie"

W poprzednim "Zapisie" omawialiśmy pierwszy numer "Spotkań" - niezależnego pisma młodych katolików, wydawanego w Lublinie poza zasięgiem cenzury. "Spotkania" redagują Zdzisław Bradel, Janusz Krupski i Stefan Szczęśliwski. Drugi numer "Spotkań" ukazał się z odświeżeniem, ponieważ Służba Bezpieczeństwa w trakcie rewizji u jednego z redaktorów zabrała matrycę z przygotowanymi do numeru materiałami. Pracę nad numerem trzeba było podjąć na nowo, przy czym część materiałów nie dało się już zrekonstruować i zastąpiono je innymi - z "archiwum myśli ludzkiej", jak to określa nota redakcyjna. Te materiały zastępuje - fragmenty "Dziennika myśli" Lwa Szestowa i esej Henri Barresa "Polityka według Jacquesa Maritaina" - są zresztą też nader interesujące i dotyczą kręgu zagadnień chętnie penetrowanych przez młody zespół lubelski. W ogóle, mimo niefortunnego przygody z SB, drugi numer "Spotkań" jest bardzo dobry i świadczy, podobnie jak pierwszy, o powa-

dze, rzetelności i poczuciu odpowiedzialności animatorów tego przedsięwzięcia. Najbardziej reprezentatywne materiały w numerze to: "Rozważenia ewangeliczne" Witolda Zdziechowskiego / kontynuacja podobnych refleksji o praktycznej etyce chrześcijańskiej z numeru poprzedniego/, "Homilia na Nowy Rok" ks. Stanisława Mańkowskiego oraz "Chrześcijaństwo wobec walki o sprawiedliwość" O. Ludwika M. Wiśniewskiego O.P. "Czy chrześcijaństwo, z racji swego chrześcijaństwa, mają obowiązek angażować się w doczesność?" - zabija autor. - Czy chrześcijaństwo są odpowiedzialni za wykorzenienie niesprawiedliwości i zła? Czy mają oni obowiązek wkroczyć na arenę, gdzie toczy się walka o ludzkie wartości i ludzkie prawa?" Po rozważeniu w sposób głęboki i wielostronny różnych punktów widzenia i argumentów za lub przeciw angażowaniu się chrześcijan w walkę o ziemską sprawiedliwość i tzw. "politykę"/te ostatnie zaś argumenty często też nie są błahe i łatwe do zblucia/, Ojciec Ludwik odpowiada m.in.: "Nie można mieszać wyzwolenia doczesnego z wyzwoleniem, eschatologicznym - Królestwem Bożym... Ale chociaż zbawienie niepomierzenie przekracza wyzwolenie doczesne, to jednak nie ma tu i nie może być separacji. Gdybyśmy, oczekując na Absolut, zrezygnowali z uciążliwych wysiłków i zmagali aby realizować sprawiedliwość już tutaj, byłoby to zdrada naszego postannictwa... Chrześcijaństwo jest dla ludzkości znakiem nadziei na przyszłość przez to, że już tutaj na ziemi wykazuje swą wartość w tworzeniu królestwa miłości i sprawiedliwości. Jeżeli będziemy chronić tylko i wyłącznie ciasno pojęte życie wewnętrzne, niczego nie uchronimy. Takie życie wewnętrzne, które nie widzi biedy i poniżenia innych ludzi, wcześniej czy później stanie się karykaturą..."

Ponadto numer przynosi garść wierszy, fragment krótkiej prozy, felieton polityczny Piotra Krasnego, przedruk wywiadu Leszka Kołakowskiego udzielonego pismu "Die Zeit", rozmaite dokumenty i wiadomości. Z dokumentów wymienimy protest Rady Przewodniczącej Komisji Turystyki i Sportu ZG SZSP przeciwko bezzasadnej zmianie nazw miejscowości w południowo-wschodniej części Polski oraz Interpelację poselską w tej sprawie prof. Ryszarda Bendera. Wiadomość o owej zmianie nazw około dwustu wsi w czterech województwach - nazw rdzennych, a często historycznych, na banalne i wymyślone - podawaliśmy w poprzedniej kronice "Zapisu". Niestety, nic nie wiadomo o jakichkolwiek reakcjach oficjalnych na głosy rozważań i sprzeciwu, w tej liczbie na Interpelację posła Bendera.

Również lwaszkielwicz.przeciw.przechrzczeniu.Młodowic.na.Walterowo.

W sprawie, o której wyżej, wypowiada się w "Twórczości" nr 1/styczeń 1978/, protestując i bardzo ironizując, sam Jarosław Iwaszkiewicz. Przemiłcza jednak skrupulatnie główną intencję zmian: chęć usunięcia z tych terenów - przy pomocy takiej poaż się Boże "polonizacji" - ostatnich śladów po mieszkającej tu kiedyś ludności ukraińskiej. Ciekawe, czy dyskretna interwencja Prezesa Związku Literatów Polskich odniosła skutek...

Znowu."zapłuty.karzeł.reakcji"?

Zmarły 5 marca b.r. pułkownik Zbigniew Załuski, i sekretarz podstawowej organizacji partyjnej przy Związku Literatów Polskich w Warszawie, tuż przed śmiercią udzielił wywiadu tygodnikowi "Literatura" /nr 9 datowany 2.III.1978/. Napomykając m.in. o "dramacie roku 44", publicysta utrzymywał, że "wpisywanie tego dramatu w ciąg tragedii polskich XVIII i XX /chyba miało być: XIX - przyp. nasz./ wieku jest fałszerstwem", że "choć ten sam Dewajtis szumił nad ludźmi roku 44 - to szumił nową melodią: melodią algierskiej palmy czy krzewów angolańskiego buszu"

"Mówiąc jeszcze prościej - ciągnął Załuski w następnym akapicie - np. w Rojstach /tytuł młodzieńczej księżki Konwického o wileńskiej AK - przyp. nasz./ wyczutem nie koniec epopei Sierakowskich, ale początek plastykierów z OAS". OAS, jak wiadomo, była terrorystyczna organizacja, utworzona przez kolonistów i wojskowych francuskich w Afryce Północnej celem niedopuszczenia do oderwania od Francji Algieru. Z przytoczonego tu porównania ma zatem wynikać, że i Armia Krajowa na Wileńszczyźnie istniała nie dla walki z okupantem, lecz dla utrzymania przy Polsce "kolonialnego stanu posiadania"...

O autorze "Rojstów" Załuski oświadczył, iż "w latach tragedii narodowej zaczął strzelać i za późno, i nie w tę stronę, co trzeba"?? I czyniąc aluzję do ostatniej książki pisarza - powieści pt. "Kompleks Polski" /Zapis nr 3/: "Czy to jest kompleks polski, czy po prostu godny współczucia dramat osobisty, przeradzający się w literacką dewiację?"

Już po śmierci Załuskiego zawtórował mu w stałej rubryce "Życia literackiego" /nr 11 z dn. 12.III.1978/ M.A.Styksiński/Józef Maśliński/, nie przytaczając wprawdzie zdania o OAS, ale karcąc nie wymienionego z nazwiska pisarza, że "domniemywany" kompleks polski wmawia "narodowi rewolucyjnie odnowionemu, na zupełnie innym historycznym etapie"...

Likwidacja zespołu filmowego

W dwóch poprzednich numerach "Zapisu" pisaliśmy stosunkowo obszernie o ciężkiej - z winy Ministerstwa Kultury i Sztuki - sytuacji w kinematografii polskiej. M.in. donosiliśmy o zarządzanej przez ówczesnego, obecnie już nie żyjącego, kierownika Ministerstwa, Janusza Wilhelmiego, nieoficjalnej weryfikacji zespołów filmowych. W rezultacie owej weryfikacji z dnem 1 lutego b.r. rozwiązany został jeden z czołowych zespołów - "Pryzmat" - którego kierownikiem artystycznym był Aleksander Ścibor-Rylski, a kierownikiem literackim Tadeusz Konwicki. W zespole "Pryzmat" wyprodukowano w ostatnich czasach m.in. trzy filmy nie dopuszczone do rozpowszechniania: "Indeks" Janusza Kijowskiego/uchodzący za najwybitniejszy debiut trzydziestolecia/, "Pałace Hotel" Ewy Kruk, według scenariusza Stanisława Dygata oraz "Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz" Bareji według scenariusza Stanisława Tyma. Również w tym zespole krecono "Na srebrnym globie" Andrzeja Żuławskiego, ale w połowie produkcji na rozkaz resortu przerwano zdjęcia. Dawniej w "Przymacie" powstał m.in. "Mazepa" Holoubka, "Dagny" Sandoya /w koprodukcji z Norwegami/ oraz kilka seriali telewizyjnych, w tej liczbie "Lalka" Ryszarda Bera i... "Polskie drogi" Morgensterna.

"Śmierć studenta" na taśmie filmowej

W Polsce nakręcony został film "Śmierć studenta", dotyczący okoliczności śmierci Stanisława Pyjasa w maju ub.r. i związanych z tym wydarzeń. Jest to film dokumentalny, produkcji TV Helsinki, scenariusz i realizacja: Jarmo Jaaskelainen, zdjęcia: Piotr Kwiatkowski, czas projekcji 50 minut. Pokaz filmu odbył się już w Finlandii, a także w Polsce - w Interpresie, który wykonywał był usługa dla fińskiego producenta w trakcie zdjęć. Film pokazuje m.in. demonstrację studentów krakowskich oraz szereg rozmów na temat śmierci Pyjasa - z prokuratorem, adwokatem, przyjaciółmi nieżyjącego, autorami ekspertyzy lekarskiej i innymi osobami mającymi coś do powiedzenia w tej tragicznej sprawie. "Śmierć studenta" wywołała ostrą krytykę władz polskich - za "brak obiektywizmu" - i raczej nie wchodzi w grę wyświetlanie jej w naszych kinach bądź telewizji.

Kto nie zasłużył na nagrodę

Jedną ze swych dorocznych nagród redakcja "Życia literackiego" przyznała Hannie Krall za książkę "Zdażyć przed Panem Bogiem" /opartą na wywiadzie z dr. med. Markiem Edelmanem, jednym z przywódców powstania w getcie warszawskim, obecnie wybitnym kardiologiem/. Nagroda ta jednak nie została wręczona laureatce ani w ogóle ogłoszona - ponieważ decyzję krakowskiego jury anulował Komitet Centralny PZPR. Nie wiadomo, kogo uznano za niegodnego wyróżnienia - znaną publicystkę "Polityki" Hannę Krall czy bohatera jej książki / sprzedawanej spod laby i rozchytanej dostownie w ciągu paru dni?/

Kto zasłużył na nagrodę

Przyznając po raz siódmy doroczną nagrodę "Drożdży" - "za działalność - jak głosi formułka - która skłania do myślenia, poszukiwania nowych form i treści, nowatorskiego podejścia do starych i nowych problemów, która sprzyja dyskusji i wymianie myśli niezbędnej w każdym społeczeństwie", re-

dakcja "Polityki" za najważniejszego aktualnie kandydata uznała... Janusza Rolickiego, dyrektora programowego do spraw artystycznych Telewizji Polskiej, wieloletniego szefa Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej. Wygląda to na kpiny, bo nawet dziecko wie, że cały program telewizyjny, włączając tę jego znaczącą część, za którą odpowiada Rolicki, jest przykrym skłanianiem do niemyślenia, konformizmu, upartego stosowania starych i poszukiwania nowych metod oświecania, ubezwłasnowolnienia widzów, wysiłków zmierzających do wybiicia im z głowy jakiegokolwiek dyskusji i wymiany myśli. Podobno część zespołu "Polityki" była przeciwna tej absurdałnej nagrodzie dla reprezentanta instytucji stanowiącej symbol polityki kulturalnej w PRL, jednakże przeforsował ją stanowczo, z sobie wiadomych powodów, redaktor naczelny pisma, Mieczysław F. Rakowski.

Działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej - trwa

W ostatnich miesiącach nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazały się m.in.: tomiki wierszy Kazimierza Wierzyńskiego "Czarny Polonez" i Stanisława Barańczaka "Ja wiem, że to niestuszone" / wydane uprzednio przez Instytut Literacki w Paryżu/, zbiór wypowiedzi różnych autorów pt. "Eurokomunizm", Władysława Bieńkowskiego "Socjalizm po 60 latach", "Zasady Ideowe" Jacka Kuronia, "Cienie zapomnianych przodków" Adama Michnika, "Śpiewnik uliczny i domowy" /zbiór około 40 piosenek, dawnych i nowych, chętnie śpiewanych w środowiskach związanych z "kulturą niezależną"/, "Dwie rozmowy" /sensacyjne stenogramy polsko-chińskich rozmów na najwyższym szczeblu z roku 1960/, "Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju" /opracowane przez grono ekonomistów, z przedmową profesora Edwarda Lipińskiego/, "Zapis" nr 4" /wydanie masowe/. Nowe pozycje - : wznowienia niektórych wyczerpanych, jak "Niedrukowane" Andrzeja Kijowskiego - w przygotowaniu.

"Nierzeczywistość" w Paryżu

W znanej serii "Bez cenzury" paryskiego Instytutu Literackiego ukazała się powieść Kazimierza Brandysa "Nierzeczywistość", której fragment drukowaliśmy w "Zapisie" nr 1". Jakś czas temu "Nierzeczywistość" wydała również Niezależna Oficyna Wydawnicza w kraju.

"Sztuczne oddychanie" z ilustracjami Lebensteina

Od kilku lat kursuje w kraju maszynopis /coraz na nowo powielany przez czytelników/ poematu Stanisława Barańczaka "Sztuczne oddychanie". W najbliższym numerze "Zapisu" publikujemy recenzję z tego utworu, pisma Leszka Szarugi. Ostatnio "Sztuczne oddychanie" ukazało się zagranicą, nakładem "Aneksu" /Uppsala-Londyn/, z oryginalnymi ilustracjami Jana Lebensteina.

"Kontynent" o Zapisie

Kwartalnik nowej emigracji rosyjskiej "Kontynent", który swego czasu przychylnie sygnalizował ukazanie się "Zapisu" nr 1, w wydanym ostatnio numerze 14 omawia z kolei "Zapis" nr 2 i nr 3 /obydwa dotarły do paryskiej redakcji w maszynopiśmie/. Wymienieni zostali wszyscy nasi autorzy i zwięźle scharakteryzowane ich teksty, przy czym w nr-ze 2 za szczególnie interesujące sprawozdanie uznał dział kroniki i listów czytelników, świadczące o przelastaczaniu się "Zapisu" z almanachu utworów zatrzymywanych przez cenzurę w regularne czasopismo wolnej literatury i myśli społecznej". Na razie jednak numer trzech - zawierający w całości powieść Tadeusza Konwickiego "Kompleks polski" - odsunął spełnienie tych oczekiwań i "zademonstrował głośność obranej przez redaktorów formuły". Po zwięzłym omówieniu pozycji i sytuacji Konwickiego w naszym życiu literackim, równie zwięźle i kompetentnie streszczenie "Kompleksu polskiego" kończy to jak zawsze życiwe dla nas sprawozdanie.

Ekspozycja polska z Wenecji "Fasada i tyły" wędruje po świecie

Wystawa polskiej kultury niezależnej, o której pisaliśmy w sprawozdaniu z weneckiego Biennale 77, znalazła się następnie w Londynie, 31 stycznia 1978 otwarto ją w najbardziej reprezentacyjnym gmachu tamtejszej emigracji polskiej - POKS /Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny/. Konferencje prasowa z tej okazji zagałał z ramienia gospodarzy Józef Garliński, uczestniczyła w niej także przebywająca chwilowo za granicą Halina Miłotańska. W wieczorem w tym samym lokalu odbył się wieczór dyskusyjny pt. "Bez cenzury", pod przewodnictwem Jana Radomyskiego, z udziałem Haliny Miłotańskiej i Pawła Bąkowskiego z Polski. Po Anglii wystawa "Fasada i tyły" wywędrowała do USA.

Z ostatniej chwili: przebieg zjazdu literatów w Katowicach.

Mimo, że od początku usłtowano przytyłoczyć zjazd czasochłonnym rytuałem powitań, spotkań, dekoracji, owacji i innych gestów zunifikowanej gościnności, dość szybko zdołał sobie wytybić drogę poprzez te zatory nurt żywej, rzeczowej i niekiedy dramatycznej dyskusji. Istotnym jej elementem był sprzeciw wobec represyjnej i dewastacyjnej polityki kulturalnej ostatnich lat - znuzenie zaś jałowością tej polityki jawnie zabrzmiało nie tylko w głosach pisarzy zaliczanych do "opozycji". Już w przemówieniu sprawozdawczym Jarosława Iwaszkiewicza padły zdania o prawie pisarza do wydawania książek i wyjazdów zagranicznych, o zmatruwieniu, jakim jest dla Związku zatrzymywanie wielu książek, o gorzkiej liście niewydanych książek, na której widnieją nazwiska wybitnych twórców. Listę taką - podkreślając, że jest niepełna /około 40 pozycji/ - przytoczył później Jan Józef Szczepański. Inni zaś mówcy dorzucali do niej dalsze tytuły. Marek Nowakowski zwrócił uwagę na sytuację utalentowanych młodych pisarzy - takich jak Komolka i Korzeniewski - którym uniechętnie normalny debiut; Wanda Ziśkiewska mówiła o głodzie dobrych książek dla dzieci, które wypiera z rynku prymitywny, komiksowy "Relax"; Leszek Elektorowicz - o swoich doświadczeniach kierownika literackiego, próbującego wprowadzić w teatrze repertuar współczesny, co skończyło się tym, że on stracił pracę, a teatr wycofał się z tych niebezpiecznych prób; Zbigniew Żakiewicz - o fatalnej reformie studiów humanistycznych, po której dla przykładu na polonistycę z 3000 godzin dydaktycznych 1400 poświęca się przedmiotom niekierunkowym, a z historii Polski i z historii literatury powszechnej w ogóle nie ma wykładów, choć jest egzamin; Kazimierz Koźniewski - o regresie wydawniczym i szaleństwach cenzury, m.in. o 120 ingerencjach cenzorskich na 170 stronnicach nagrodzonej książki Janiny Włeczerskiej "Nie ma sprawy"; Jacek Woźniakowski - o niepodzielności kultury polskiej / w związku z utrudnieniami w wydawaniu pisarzy emigracyjnych / i niepodzielności praworządności /go-dzi w nią istniejący obok prawa drugi, niejawni, system przywilejów i dyskryminacji, te ostatnie dotyczą m.in. środowiska "Tygodnika Powszechnego"/... Ciekawych i ważkich głosów w dyskusji było więcej niż tu wymienione, zatrzymamy się jednak tylko na jednym, wystuchanym przez zjazd ze szczególnością uwagą i pokwitowanym najgorętszymi, najdłuższymi trwałymi oklaskami. Była to wypowiedź Andrzeja Brauna, stanowiąca próbę syntetycznego ujęcia sytuacji pisarzy polskich i w ogóle kultury.

Związek Literatów, mówił Braun, powołany jest do tego, żeby b r o - n i ć: po pierwsze - kulturę i literaturę polską, po drugie - praw moralnych i materialnych swoich członków-pisarzy. Do wartości kultury narodowej należy historia ojczyzna, u nas oceniana, sfalszowana, o całych potaciach objętych tabu, historia pozbawiona wstępu do szkoły i również do literatury, jakże mogącej istnieć bez tego źródła? Do wartości takich należy też mowa ojczyzna, w naszej rzeczywistości sprymitywizowana, zepsuta, zamieniona w żargon gazet i okólników, a nade wszystko codziennie w sposób więcej grozą deprawowana przez telewizję. Dalej, źródłem wartości naszej kultury jest tradycja literacka - dawna i nowa - jedna i drugie okrawana, w każdym swoim fragmencie zagrożona przez zakazy i proskrypcje, brutalnie wytrącające dzieła i ludzi z krwioobiegu literatury. Kulturowa nasza zawsze cechowała się otwartością na świat, brak ortodoksji w myśleniu, tolerancja i swobodna wymiana myśli. Obecnie eliminuje się z niej etyczne

I filozoficzne wpływy chrześcijaństwa, świat mitów i pojęć cywilizacji śródziemnomorskiej - jak można przystać na takie samookaleczenie? Wreszcie, Związek Literatów powinien bronić normalnego mechanizmu życia kulturalnego, to znaczy ścierania się opinii, nie zaś eliminacji adversarzy i dyktatu administracyjnego. Przechodząc do obrony praw pisarzy, Braun zajął się przede wszystkim prawem do uprawiania zawodu. W tej dziedzinie bezprawie osiągnęło swe apogeum, cenzura decyduje, kto ma być pisarzem, o czym ma pisać, jak ma być przyjęty przez krytykę i opinie czytelniczą. Za praktykowanie w życiu troski obywatelskiej i wrażliwości na krzywdę ludzką - liczni autorzy skazani na wieloletnie milczenie, na sławetny "Berufsverbot". Do tego dochodzą szykany, rewizje, konfiskaty papierów i książek, zatrzymywanie przez milicję. Nawijając w zakończeniu do sprawozdania Zarządu Głównego, w którym wspomniano o "nierozważnej postawie politycznej niektórych członków Związku" i o tym, że "przed skutkami ich działań broniliśmy ich samych i ich twórczości", Braun powiedział: szkoda, że nie broniono ich przed kimś i przed czymś innym...

Powyższe sprawozdanie oparte na pośpiesznych notatkach w trakcie przemówienia Brauna, oddaje zaledwie jego najogólniejszy sens, pomija natomiast liczne przykłady, całe "mięso" opisywanej i analizowanej rzeczywistości, nie odzwierciedla też języka i stylu, a wreszcie nie może zachować temperatury, żarliwości, jaką, przy całym swoim spokoju i umiarze, tchnęła ta wypowiedź. Wiele osób, również członków partii, podchodziło potem do Brauna, gratulując mu i dziękując; wszyscy czuli, że stało się coś ważnego, że publicznie rozległo się słowo, na które czekano. W kilka godzin później, wskutek czyjejs zakulisowej decyzji, partia przystąpiła jednak do ostrego natarcia na Brauna, jakby chcąc zademonstrować w praktyce jeden z mechanizmów, o których mówił. Najpierw Wacław Sadkowski odczytał oświadczenie partyjnych delegatów, potępiające zuchwalca. Z kolei zawsze skory do ustug Artur Sandauer zinterpretował z trybuny wypowiedź Brauna, przelnaczając ją i spłaszczając. Jednocześnie upartyjniona część Komisji-Matki/powołanej do zaproponowania kandydatów w wyborach do Zarządu Głównego/ wycofała zgodę na umieszczenie na liście Andrzeja Brauna, choć uprzednio, i to już po przemówieniu Brauna, zgody tej była udzieliła. W tej sytuacji, inaczej niż w wypadku pozostałych trzydziestu kandydatów, propozycja wybrania Brauna do Zarządu Głównego zgłoszona została jedynie przez bezpartyjną część Komisji-Matki. Nie przeszkodziło by to prawdopodobnie jego wyborowi, gdyby nie rozpuszczona w kuluarach pogłoska/ której prawdziwości nie umiemy potwierdzić ani zaprzeczyć/, że prezes ZLP, Jarosław Iwaszkiewicz, zapowiedział w wypadku wybrania Brauna swoje ustąpienie... Wiele delegatów uległo tej presji i w rezultacie Braun uzyskał 52 głosy na 127 oddanych, co okazało się niewystarczające.

Póki komisja skrutacyjna liczyła głosy, większość uczestników zjazdu udata się na tzw. uroczysty cocktail /w rzeczywistości - wystawny bankiet, ze stołami uginającymi się od mięsa, ryb, alkoholi etc./, na który zostali zaproszeni przez ministra górnictwa. Okazję do bankietu nastąpiło nadanie Jarosławowi Iwaszkiewiczowi tytułu Honorowego Górnika Kopalni "Staszic", ale ceremonię zakłóciły wydarzenia nie przewidziane przez bohatera imprezy i innych gości. Już w pierwszej mowie ministra Lejczaka zabrzmiały dziwne tony: coś tam o wicherzycielach czy macielach, dla których nie ma miejsca między nami, ale wypowiedź tę można było uznać za abstrakcyjny popis werbalny. Jednakże wicewojewoda katowicki Gorczyca, wznosząc następny toast, skonkretyzował niecodzienny na takim przyjęciu atak: chodziło o Andrzeja Brauna, który swoim wystąpieniem w dyskusji na zjeździe literatów obraził ponoć klasę robotniczą, ziemię śląską, powołanie pisarza, no i naturalnie wystąpił się z zagranicznym mocodawcom... Kiedy doszło do tego pasusu, kilkunastuosobowa grupa pisarzy opuściła gościnne progi; ci, którzy wyszli nieco później, opowiedzieli kolegom, że Iwaszkiewicz, dziękując za zaszczyt, jak go spotkał, przeciwstawił się zarazem temu, co spotkało Brauna... Jeszcze trochę później, gdy delegaci znaleźli się ponownie na sali obrad, przyjęło przez aklamację rezolucję zgłoszoną przez Pawła Hertza, wyrażającą ubolewanie z powodu incydentu na przyjęciu w Ministerstwie Górnictwa i wdzięczność dla Prezesa za obronę integralności i swobody obrad przed niepowołaną ingerencją....

Wśród licznych wniosków uchwalonych przez Zjazd wymienimy zgłoszony przez Wł.L.Terleckiego i postulujący udział Związku w obchodach 60-lecia niepodległości Polski, inny Piotra Wojciechowskiego /dotyczący powołania do życia przynajmniej kilku liceów klasycznych, i jeszcze inny - o przywrócenie rdzennych nazw 200 wsiom w południowo-wschodniej Polsce, o niefortunnej zmianie tych nazw pisaliśmy również w "Zapisie"/.

Do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich wybrano - kolejność podajemy według ilości otrzymanych głosów - Kazimierza Dzięwanowskiego, Wiesławę Szymborską, Urszulę Kozłó, Janusza Krasieńskiego, Janusza Odrowąż-Pieniążka, Jana Józefa Szczepańskiego, Andrzeja Kuśniewicza, Tadeusza Nowaka, Jerzego S. Site, Witolda Zalewskiego, Jana Pleszczołowicza, Władysława L. Terleckiego, Mariana Grześczaka, Jana Koprowskiego, Bohdana Ostromięckiego, Leszka Proroka, Erwina Kruka, Jacka Woźniakowskiego, Anne Kamieńską, Marka Nowakowskiego, Jerzego Putramenta, Danutę Bieńkowską, Wiesławę Myśliwskiego, Kazimierza Koźniewskiego i Aleksandra Rymkiewicza. Reprezentacja pisarzy niezależnych wydaje się tu nieco okazała niż w poprzedniej kadencji. Na uwagę zasługuje też nie wybranie /mimo obecności na liście/ takich aktywistów partyjnych jak Andrzej Lam, Wilhelm Szewczyk, i Wacław Sadkowski. Halina Auderska /dotychczasowy wiceprezes/ i Eugeniusz Kabatc /dotychczasowy kierownik komisji zaradczej/ nie znaleźli się już nawet na liście kandydatów.

NOTY O AUTORACH

STANISŁAW BARAŃCZAK

Urodzony w roku 1946, Poeta, eseista, tłumacz, teoretyk literatury. W latach 1976-78 objęty zarządzonymi centralnie represjami, nie może wydawać swoich książek w żadnym z oficjalnych wydawnictw krajowych. Tom wierszy "Ja wiem, że to niestusze" wydał w Niezależnej Oficynie Wydawniczej oraz w Instytucie Literackim/Paryż/, poemat "Sztuczne oddychanie" - nakładem "Aneksu" /Uppsala-Londyn/, przekład wierszy Osipa Mandelsztama - w Oficynie Malarzy i Poetów /Londyn/. Współtwórca i autor wszystkich numerów "Zapisu", specjalnie dla nas napisał też esej o "Ziemli Ulro" Czesława Miłosza.

WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

Urodzony w roku 1906. Publicysta, lewicowy działacz polityczny, socjolog. Niegdyś na eksponowanych stanowiskach partyjnych i państwowych, od dawna w opozycji. W ostatnich dziesięciu latach autor prac badawczych na temat mechanizmów społecznych w krajach socjalistycznych; prace te kursują w Polsce poza zasięgiem cenzury, częściowo zaś ukazują się za granicą nakładem Instytutu Literackiego /Paryż/ oraz w językach obcych. W poprzednim numerze "Zapisu" ogłosiliśmy pierwszy odcinek otrzymanego od autora nowego esaju "Filozofia dziejów a teoria społeczna"; w tym numerze publikujemy drugi; trzeci i ostatni ukaze się w numerze następnym.

JIRI BOREŠ

Publicysta czeski, ogłaszający swoje prace poza zasięgiem cenzury.

WANDA CHYLICKA

Urodzona w roku 1914. Prozaik, publicystka. Wydała: "Ucieczka i powrót" /opowieść, 1954/, "Splątane korzenie" /opowiadania, 1955/, "Piątym asem" /opowiadania, 1959/. Swego czasu związana z Paxem, w roku 1956 wystąpiła zdecydowanie przeciw polityce tej instytucji. Ostatnio sporadycznie drukuje w "Więzi" i w "Opinii".

ANDRZEJ DRAWICZ

Urodzony w roku 1932. Doktor filozofii rosyjskiej, autor kilku książek o literaturze rosyjskiej i polskiej, tłumacz. W latach 1976-1978 objęty zakazem druku. Aktualnie za granicą, wykłada literaturę rosyjską na uniwersytecie w Kolonii. Uczestniczył w weneckim Biennale 77, skąd specjalnie dla nas napisał reportaż; tam też w trakcie sesji literackiej wygłosił przemówienie, które publikujemy.

JERZY FICOWSKI

Urodzony w roku 1924. Poeta, prozaik, badacz folkloru cygańskiego, badacz i wydawca twórczości Brunona Schulza. Trzeci rok z rzędu objęty represjami, w szczególności zakazem wydawania książek.

STANISŁAW HARTMAN

Urodzony w roku 1915. Matematyk, profesor zwyczajny, w roku 1968 usunięty z Uniwersytetu Wrocławskiego, obecnie pracownik Instytutu Matematycznego PAN. Autor ok. 50 oryginalnych prac matematycznych i dwóch podręczników. W roku 1970 opublikował w "Więzi" wspomnienie z Pawlaka. Przedmowa do "Słownika Racjonalnego" H. Steinhause napisana została dla Wydawnictwa Ossolineum, które przez pół roku nie zgłaszało do niej żadnych zastrzeżeń, odrzuciło zaś pod błahym pretekstem po podpisaniu przez autora petycji o powołanie komisji poselskiej w związku z wydarzeniami czerwcowymi 1976.

LOTHAR HERBST

Urodzony w roku 1940. Poeta, krytyk, pracownik naukowy, współzałożyciel i redaktor wrocławskiego czasopisma "Agora", zlikwidowanego w roku 1968. "Listy w sprawie wiary i nadziei" /1976-1977/ krąży w maszynpisie jako jedna z pozycji nowej, nie cenzurowanej Biblioteki Agory. Za zgodą autora wybrał listy dla "Zapisu" cztery spośród dwudziestu "Listów".

STEFAN KISIELEWSKI

Urodzony w roku 1911. Prozaik, publicysta, kompozytor, stały felietonista "Tygodnika Powszechnego". W poprzednich numerach "Zapisu" drukowaliśmy m.in. jego felietony, skónfiskowane przez cenzurę w "Tygodniku Powszechnym". Artykuł "Po 10 latach /marcu 1968/" napisany został specjalnie dla nas.

TADEUSZ KORZENIEWSKI

Urodzony w roku 1949. Prozaik. Studiował elektronikę na Politechnice Gdańskiej i filozofię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Debiutował w poprzednim numerze "Zapisu" opowieścią pt. "W Polsce"; w tym numerze m.in. opowiada o okolicznościach jej powstania.

ANNA KOWALSKA

Urodzona w roku 1932. Poetka, prozaik, autorka wielokrotnie wznowianego bestsellera powieściowego "Pestka" i trzech tomów wierszy.

IGNACY MATUSZEWSKI

1858-1919, Wybitny krytyk literacki i publicysta swoich czasów. Jego wypowiedź z 1906 roku przypominamy, jak w poprzednich numerach wypowiedzi Jana Kucharzewskiego i Jana Baudouina de Courtenay, dla unaocznienia zawsze żywej w naszym życiu kulturalnym tradycji potępienia wszelkiej cenzury.

ZDENĚK MLYNÁŘ

Naukowiec, polityk i publicysta czeski, ważna postać wiosny Praskiej 1968, następnie jeden z animatorów Karty 77, ostatecznie zmuszony do emigracji. Felieton, który publikujemy, powstał jeszcze w Pradze i krążył tam poza zasięgiem cenzury.

KAZIMIERZ ORŁOŚ

Urodzony w roku 1935. Prozaik, reporter. Od pięciu lat podlega zakazowi druku, dopiero ostatnio nieco rozluźnionemu. W poprzednich numerach "Zapisu" publikowaliśmy jego opowiadania i artykuły, częściowo skónfiskowane gdzie indziej przez cenzurę. Recenzja z książki M. Rieszetowskiej powstała specjalnie dla nas.

ZYTA ORYSZYN

Urodzona w roku 1940. Prozaik, debiutowała w roku 1969 na łamach "Twórczości" następnie wydała trzy powieści, otrzymała nagrodę im. Macha za debiut prozatorski. "Czarna iluminacja" przez kilka lat leżała w "Czytelniku" i nie została wydana ze względów politycznych.

JAN PROKOP

Urodzony w roku 1931. Poeta, krytyk literacki, eseista, tłumacz. Wydał tom szkiców "Euklides i barbarzyńcy" /1964/ i kilka innych.

G.S.

Pracownik naukowy w jednej z dziedzin humanistyki.

LESZEK SZARUGA

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, prozaik. W poprzednim numerze "Zapisu" ogłosiliśmy jego wiersze, w tym - publikujemy szkic o poemacie Stanisława Barańczaka, stanowiący fragment jednej z nie mogących się ukazać oficjalnie książek Szarugi.

MAREK TURBACZ

Urodzony w roku 1947. Pracownik naukowy w jednej z dziedzin wiedzy ścisłej. Od kilku lat zajmuje się również politologią. Autor m.in. eseju pt. "Możliwości działania opozycji w Polsce", który krążył w kraju od jesieni 1976 roku, a następnie ukazał się w czasopiśmie "Aneks" nr 16-17, Uppsala-Londyn 1978.

LUDVIK VACULIK

Prozai i publicysta czeski, autor wielu felietonów rozpowszechnianych w Pradze poza zasięgiem cenzury, jeden z czołowych działaczy Karty 77.

JAN WALC

Urodzony w roku 1948. Polonista, krytyk literacki, publikował m.in. w "Polityce" i "Literaturze na świecie".

STANISŁAW WARECKI

Pseudonim.

PIOTR WIERZBICKI

Urodzony w roku 1935. W latach 1957-1967 nauczyciel języka polskiego /niedawno ogłosił książkę "Entuzjasta w szkole" /, później dziennikarz, publicysta felietonista. W "Zapisie nr 4" wydrukowaliśmy kilka felietonów Wierzbickiego, skonfiskowanych przez cenzurę w tygodniku "Literatura". W tym numerze publikujemy rozdziały świeżo ukończonej powieści satyrycznej pt. "Cyrk".

WIKTOR WOROSZYLSKI

Urodzony w roku 1927. Poeta, prozai, eseiista, tłumacz. Od początku roku 1976 objęty zarządzeniami centralnie represjami, nie może wydawać książek w żadnym z wydawnictw krajowych. W roku 1977 ogłosił w paryskim Instytucie Literackim powieść pt. "Literatura", wcześniej jeszcze odrzuconą przez PIW i "Czytelnika", jako politycznie niecenzuralna.

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukozały się:

x **proza**
Kazimierz Brandys
Bohumil Hrabal
Tadeusz Konwicki

NIERZECZYWISTOŚĆ
ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ
KOMPLEKS POLSKI /Zapis nr 3/

x **poezja**
Stanisław Barańczak
Zdzisław Jaskuła
Czesław Miłosz

Kazimierz Wierzyński
Wiktor Woroszyński

JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE
DWA POEMATY
TRAKTAT POETYCKI
TRAKTAT MORALNY
CZARNY POLONEZ
JESTEŚ I INNE WIERSZE

x **felietony, eseje**
Andrzej Kljowski
Adam Michnik
Maria Ossowska

NIEDRUKOWANE
CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW
O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI
WALKI

x **społeczno-polityczne**
Władysław Bieńkowski
Jacek Kuroń

SOCJALIZM PO 60 LATACH
MYŚLI O PROGRAMIE DZIAŁANIA
ZASADY IDEOWE
UWAGI O STRUKTURZE RUCHU
DEMOKRATYCZNEGO
POCHODZENIE SYSTEMU
DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ
EUROKOMUNIZM
ANTYSEMITYZM
UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ
KRAJU

x **dokumenty**

Z KSIĘGI ZAPISÓW GŁÓWNEGO URZĘDU KONTROLI PRASY PUBLIKACJI I
WIDOWISK
DWIE ROZMOWY, MOSKWA 1960 /stenogramy rozmów polsko-chińskich/
DOKUMENTY BEZPRAWIA /tzw. Biata Księga/
DZIENNIK USTAW PRL nr 38 /1977/, /Pakty Praw Człowieka i Obywatela

xxxxxxx Władysław Gnomacki

TOW.SZMACIAK czyli WSZYSTKO DOBRE
CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY
SPIEWNIK DONOWY I ULICZNY

Ponadto nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazują się kwartalniki
literackie ZAPIS I PULS

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA dąży do tego, aby wolne słowo nie
stawało przed barierą państwowego monopolu wydawniczo-informacyj-
nego.
NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA nie reprezentuje żadnego kierunku
politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.
NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA spełni swoje zadanie, jeśli spo-
tężenie udzieli jej poparcia; jej powodzenie zależy od dostar-
czanych nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu materiałów
i sprzętu poligraficznego, pomocy finansowej. Od nas samych zale-
ży los wolnego słowa w Polsce.

WOLNA WĄTKOWO BĘBNOWA DRUKARNIA POŁOWA IM. J. P.
WARSZAWA, sierpień 1978
Zlec. nr 534

